

MARCELLO SIMONI

OPACTWO STU ZBRODNI



KTO STRACI ŻYCIE PRZEZ CENNE RELIKWIE?

MARCELLO SIMONI

OPACTWO
STU
ZBRODNI

Z języka włoskiego przełożyła
Joanna Kluza

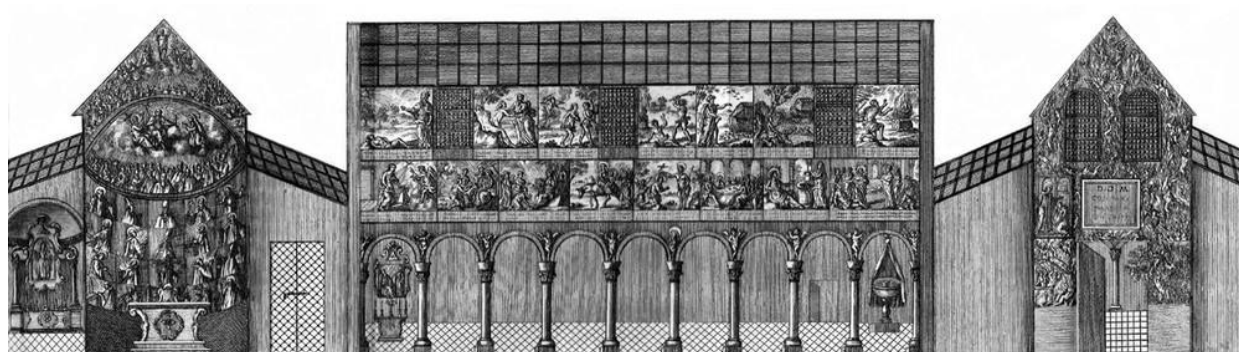


W gniewu dzień, w tę pomsty chwilę,

Świat w popielnym legnie pyle.

*Dies irae*¹

OPACTWO STU ZBRODNI
(KWIECIEŃ 1347 – GRUDZIEŃ 1348)



PROLOG

MIASTO FERRARA

13 MARCA 1329 ROKU RANKIEM

Zakuty w łańcuchy mężczyzna przekroczył mury miasta przez bramę Świętego Pawła, trzymany za stryczek przez dwóch zbrojnych. Wyczerpany, w łachmanach, obejmował się ramionami, walcząc z dojmującym późnojesiennym chłodem. Był wątłej budowy, niezbyt odporny na zmęczenie, wszelako czający się w jego źrenicach błysk zdradzał ognistą naturę. Wątpił tylko przez chwilę, gdy podniósłszy wzrok ku niebu, pod chmurą obłoków ujrzał górującą nad sobą wieżę.

– *Miserere mei!* – zawołał, padając na kolana.

Na blankach tych wieszano się zazwyczaj bluźnierców i szarlatanów, aby wrzucić ich w odmęty Padu.

Jego trwogę powściągnęło szarpnięcie sznura, które zmusiło go, by szedł dalej ulicą Szeroką. Nie było to łatwe. Poprzedniej nocy deszcz zamienił drogi w grzęzawiska łajna i błota, a odpychające wrażenie potęgował smród wydzielany przez kanały biegnące aż do fos. Jednakże najbardziej odrażające zapachy unosiły się nad nadzianymi na włócznie i umieszczonymi wzdłuż drogi trupami członków rodzin gibelińskich, ograbionymi przez awiniońskich poddanych.

Gawieź czekała nań nieco dalej, u wejścia na rynek. Tłum ściśniętych szarych postaci, okutanych w opończe, peleryny i podarte płaszcze. Więzień poczuł się tak, jakby miał przed sobą hordę szczurów, zdziczałych z powodu głodu i ograniczonych do tego stopnia, że nie zdołałyby poznać samego Boga, gdyby ktoś ich nie oświecił.

Twarze te napawały strachem. Wyrażały wściekłą pogardę, przelewającą się w okrucieństwo, tak jakby dla wszystkich jego wina była oczywista.

Mężczyzna posuwał się naprzód ze spuszczoną głową, wśród pomruków i drwiących śmiechów, atakowany przez tabun dzieciaków, które jeły go obrzucać kamieniami. Nigdy by nie przypuścił, że będzie musiał znosić podobną zniewagę! Mimo to zmusił się do nieodpowiadania nawet na obelgi tych małych przybłęd, aby nie drażnić motłochu ani tym bardziej eskortujących go straży.

Podążał pod gradem kamieni na miejsce kaźni.

Szubienica wznosiła się niedaleko katedry Świętego Jerzego, wśród morza gawiedzi, przed czterema osobistościami zasiadającymi w wysokich stallach. Miejsce po prawej stronie zajmował Jego Ekscelencja biskup Guido da Cappello, siwowłosa i brzuchaty, stanowiący wyraźne przeciwieństwo trzech szlachciców

siedzących obok niego. Wszyscy oni byli pełni wigoru, przystroili się w nader kosztowne, zakrawające na brak umiaru szaty. Więzień przyjrzał im się po kolei, oburzony, że synowie zmarłego markiza Aldobrandina II d'Este czują się tak swobodnie w towarzystwie prałata nominowanego przez papieża. Ledwie wywinęli się od procesu o herezję, a już, bez odrobiny wstydu, wywyższali się jako obrońcy duchowieństwa.

Jeszcze bardziej haniebna była wszakże ich obojętność na widok sługi, którego postawiono pod pręgierzem. Oto jak trzech bracia, którzy jeszcze poprzedniego dnia mienili się wrogami kurii francuskiej, odpłacają za wierność! Mężczyzna w łańcuchach ugryzł się w język, zdołał się powstrzymać od wykrzyczenia tego na całe gardło. Po tak wielu nieszczęściach dopóty, dopóki nie dowiedział się, jaki czeka go los, nie zamierzał narażać życia z powodu dumy.

Wielebny Guido popatrzył nań z niechęcią, jakby czytał w jego myślach.

– Zebraliśmy się tutaj – ryknął – aby ukarać pewnego łotra! – I czekając, aż szmer tłumu ucichnie, wskazał mężczyźnie pogardliwym gestem. – *Nequissimus monachus*, który nadużył tytułu opata, żeby okraść klasztor na *Insula Pomposiae*.

Prałat ocenił wrażenie, jakie jego słowa wywarły na gawiedzi, lubieżnie oblizując wargi. Po czym jął mówić dalej, w narastającym uniesieniu:

– Wszelako przed wymierzeniem zasłużonej kary powinniśmy się zastanowić, czy to możliwe, by tak ciężka zbrodnia mogła nastąpić w wyniku chciwości tylko jednego zakonnika, czarnej owcy pośród tysiąca. Otóż ja powiadam, że nie, moje dzieci. To my zawiniliśmy, my wszyscy! Albowiem, jak głosi Księga Kapłańska, Bóg ostrzegł, że dla ukarania za nieposłuszeństwo wobec swych przykazań ześle na ludzi dzikie zwierzęta, niosące śmierć i spustoszenie. I oto... Oto jedna z owych plugawych bestii, przybyłych, aby złupić nasze klasztory!

Przez rynek przebiegł niespokojny szmer. Obawa przed możliwymi zamieszkami kazała jednemu z Estów wstać i uciszyć tłum. Lecz biskup Guido, wierny naturze dominikanina, którym był niegdyś, wcale nie przestawał grzmieć i ciskać obelg.

– Jeśli ktoś pragnął pobłażliwości, niechaj wie, że nie zostanie wysłuchany. Nie czas teraz na przebaczenie nieposłusznym synom. Na nieszczęsną Ferrarę spadło zbyt wiele klęsk! I dalibóg, jeśli chcemy położyć kres naszym niepowodzeniom, pora odciąć gałązki, które nie owocują!

– *Na śmierć!* – dało się usłyszeć gniewny głos, do którego przyłączyły się zaraz inne, wypełniając rynek ogłuszającym rykiem.

Mężczyzna w łańcuchach lękał się, że motłoch wymknie się spod panowania zbrojnych, rzuci się na niego i rozerwie na strzępy, jednakże harmider ustał, gdy biskup podniósł dłoń.

Wówczas więzień zdobył się na odwagę.

– Szlachetni panowie, Wasza Ekscelencjo – odezwał się z wahaniem do czterech dostojników – proszę o pozwolenie obrony przed Radą Dwunastu Mędrców. – Po czym ze wzrokiem pełnym nadziei wskazał pobliski Pałac Mądrości.

– Sędziowie Komuny nie będą się zagłębiać w wasze sprawy – pospieszył z wyjaśnieniem prałat. – Zgrzeszyliście w sprawach duchowych, ojciec Facio di Malaspina.

Na dźwięk swego imienia mężczyzna w łańcuchach zachichotał, zdradzając fałszywą naturę, którą do tej chwili tak skrzętnie ukrywał.

– Skoro tak postanowiliście, Wasza Ekscelencjo, proszę przynajmniej o wysłuchanie mnie. Nie wiecie o pewnych rzeczach, przewielebny ojciec... Rzeczach przewyższających wasz święty urząd i znakomitości, które stoją nawet wyżej od niego...

– Cóż za zuchwalstwo! – Guido da Cappello nakazał władczym gestem garstce zbrojnych, aby zbliżyli się do szubienicy. – Katowskie obcegi zaczną kosztować wasze ciało właśnie od hardego języka.

Słyszając taką groźbę, ojciec Facio runął na ziemię.

– Wstrzymajcie się! – błagał i uczepiwszy się jedynej możliwości, jaka mu pozostała, skierował wzrok ku markizom d’Este. – Przynajmniej wy, wielmożni panowie... Wy wiecie to, co ja! Wspominałem wam o tym wiele miesięcy temu, pamiętacie? Gdybym umarł tutaj teraz, cała moja wiedza poszłaby na marne...

– Na miłość boską – zawołał Guido – okażcie godność chociaż w tej nieuniknionej chwili!

– Proszę was, powstrzymajcie się, Ekscelencjo.

Biskup odwrócił się rozsierdzony i napotkał spojrzenie najstarszego z siedzących obok szlachciców.

Przedstawiciel rodu Estów zmarszczył czoło, tak jakby jego obojętność prysła pod wpływem niespodziewanego dylematu.

– Jedno słowo sam na sam z więźniem – zażądał tylko z tajemniczą miną.

– Ależ panie... – sprzeciwił się biskup.

– Nalegam.

Ku powszechnemu zdumieniu markiz poderwał się z miejsca i pochylił nad mężczyzną w łańcuchach. Wpatrywał się w jego oblicze nieskończenie długo, w końcu szepnął mu coś do ucha.

Potem nastąpiła krótka rozmowa, której towarzyszyły pomruki tłumu. Sam biskup nie potrafił się zresztą oprzeć ciekawości i wychylił się, nadstawiając ucha. Wszyscy zdołali wszakże wyłowić tylko ostatnie zdanie, jakie padło z ust ojca Facia:

– Ceną jest moje ocalenie.

Tylko jedna osoba znajdowała się dostatecznie blisko, by lepiej wszystko

usłyszeć. Był to mężczyzna, który nie pochodził z Ferrary, dopiero co przekroczył jej mury, aby służyć w kurii jako zbrojny. I chociaż rozmowa zakonnika z markizem była nader krótka, wywarła na nim tak silne wrażenie, że na zawsze ją zapamiętał. Sposób, w jaki Faciowi di Malaspinie udało się uniknąć stryczka, po wsze czasy wrył mu się w pamięć. Wbrew woli biskupa i ku oburzeniu Stolicy Apostolskiej. Wbrew całemu ludowi zgromadzonemu pod ołowianym niebem tamtego marcowego poranka, pragnącemu ujrzeć, jak jego krew spływa po rynkowym bruku.

Aby to uczynić, wypowiedział ledwie dwa słowa. Wystarczyły dwa słowa.

Lapis exilii.

**CZĘŚĆ PIERWSZA
DZIEDZICTWO KRWI**



FERRARA, DZIELNICA GUSMARIA**25 KWIETNIA 1347 ROKU NOCĄ**

Siedział w rogu izby przy jedynym stole. Ze spuszczoneymi ramionami, z pochyloną głową, z brodą wspartą o blat. Z rozchylnych ust nienaturalnie wystawał mu język. Wyciągnięto go siłą i sztyletem przybito do deski.

Złorzeczając na własny los, Maynard de Rocheblanche podszedł do trupa, aby przyjrzeć mu się w blasku pochodni. Jego wzburzenie wywołał nie makabryczny widok, lecz żal, że zjawił się zbyt późno. Ledwie chwilę wcześniej zasiadający przy tym stole zakonnik skrywał przerażającą tajemnicę. Teraz nie mógł mu już nic wyjawić, poza tym, że dokonał żywota w mękach.

Rycerz przeżegnał się, muskając palcami krótką klingę, którą chował pod habitem. Jeżeli chciał zrozumieć, musiał zachować czujność.

Zrazu dostrzegł jedynie kałużę świeżej krwi spływającą ze stołu. Wszelako przyjrząwszy się dokładniej, zauważył wydrapane w drewnie słowa. Zapewne wycięto je tym samym sztyletem, którym posłużono się, by przebić język ofiary, jakby drwiąc z tego, kto już smażył się w piekle. Albo z tego, kto właśnie w tej chwili na nie spoglądał.

MONACHVS SVPERBVS

„Zwodnicze słowa” – pomyślał. Nie tyle z powodu wątpliwych cnót ugodzonego, ile z powodu przyczyny jego śmierci. W istocie bowiem trudno było uwierzyć w karę spowodowaną oburzeniem moralnym. Ofiarę zwabiono do gospody, a przed zabiciem poddano okrutnym torturom. Ktokolwiek to uczynił, pragnął coś uzyskać.

Niespodziewany odgłos kroków wzmógł jego czujność. Maynard przyświecił sobie pochodnią i wśród tańczących po ścianach cieni dostrzegł przyczajoną w progu postać.

– Kto idzie?! – zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, tajemniczy podglądacz nagle znieruchomiał, a potem wziął nogi za pas.

Rocheblanche rzucił się w pościg niczym ogar w środku nocy. Po kilku susach wypadł na zewnątrz, w kłębowisko uliczek wijących się na północ. Przez chwilę żałował, że nie przybył tu konno, po paru krokach przekonał się jednak, że przez ferraryjski labirynt lepiej przedzierać się pieszo, mając na sobie czarny habit,

dzięki któremu mógł pozostać niezauważony. Jak złodziej. Myśl ta wzbudziła w nim poczucie wstydu, uzmysławiając, że nie przywykł do zastawiania się. Przecież jest rycerzem z Reims, nauczonym, że wrogowi należy stawić czoło zgodnie z zasadami honoru. Właściwie był. Tamten człowiek już przestał istnieć. Wyzionął ducha na pikardyjskiej ziemi w bitwie pod Crécy. Albo może nawet jeszcze wcześniej, wtedy, gdy ujrzał swą siostrę, Eudeline, hańbioną przez ojca.

Tyle wystarczyło, by ogarnął go gniew, przywracając mu instynkt łowcy.

Zbieg był szybki, wkrótce mógł się rozplątać w plątaninie zaułków między kościołami Świętego Krzyża, Świętego Mikołaja i Wszystkich Świętych. Maynard próbował nie stracić go z oczu w nadziei, że da radę go złapać, zanim tamten zniknie w jakimś nieznanym zakamarku. Miasto było mu w dużej mierze obce. Zgubienie uciekiniera oznaczałoby, że nigdy go już nie odnajdzie. Przyspieszył więc kroku.

Nagle zniknął mu z oczu. Rocheblanche dopadł do miejsca, w którym zdawało mu się, że go ostatnio widział, i uniósł pochodnię, prosząc Boga, by przepędził chmury zasłaniające księżyc. Gdyby tylko nie było tak ciemno... Rozejrzał się dokoła, łapczywie chwytając powietrze. Oddychał głęboko i ciężko, pełen wątpliwości. Robił to jak człowiek zrezygnowany, zmęczony pościgiem po ślepych uliczkach. „Kimże ja się stałem?” – zastanawiał się, wbijając wzrok w otaczające go ciemności, jakby zaglądał w głąb własnej duszy. Po latach bitew i poświęceń życie jawiło się rycerzowi niczym talia tarota, która przeobraziła twarz każdej bliskiej mu osoby, z niego zaś uczyniła bezpańskiego psa, skazanego na pogoń za chimerami. Wyglądało na to, że na tej niedorzecznej drodze krzyżowej nie ocalało nic z wyjątkiem nienawiści do ojca i przeświadczenia, że świat nigdy nie będzie już taki jak dawniej. Nawet jeśli odprawi się pokutę i będzie żałować za grzechy.

Jedyną nadzieją było nadanie znaczenia własnym nieszczęściom, lecz nawet ów sen zaraz może się rozwiać, jeśli nie zdoła się w porę rozeznac...

Usiłował ustalić, jaki kierunek obrał zbieg, wszelako ciemności pozwoliły mu dostrzec jedynie oświetloną kilkoma pochodniami uliczkę, po której nikt się już teraz nie poruszał. Zupełnie niespodziewanie dostrzegł po prawej stronie przedsiónek. Spróbował szczęścia i błyskawicznie się weń zagłębił.

Ujrzał uciekiniera, był dziesięć kroków przed nim. Mężczyzna nadal biegł, choć już z mniejszą werwą. Po raz pierwszy Maynardowi udało się zobaczyć jego wysoką i kościstą sylwetkę, przygarbioną z powodu wyczerpania. Coraz bardziej pewny, że ściga zabójcę zakonnika, dogonił go i chwycił za odzienie.

Nieznajomy runął na wznak, upadek wszakże wcale go nie ogłuszył. Przeturlał się na bok, zbliżył dłoń do pasa i dobył sztyletu. Rocheblanche odparował cios, po czym złapał go za kołnierz i przycisnął do ściany.

– Dlaczegoście go zabili? – wykrzyczał mu prosto w twarz.

– Nikogo nie zabiłem! – wysyczał mężczyzna, sapiąc i krzywiąc się z wściekłości.

Maynard przysunął pochodnię do jego lisiej twarzy i nagle zdał sobie sprawę, że go zna. Chociaż tylko z widzenia.

– Mimo to zbiegliście – odrzekł, wcale nie mając zamiaru go puścić.

– Nie daliście mi wyboru. – Obcy zazgrzytał zębami. – Kiedy wszedłem do gospody, zobaczyłem was nad trupem i pomyślałem...

– Łgarstwa! Widziałem was dzisiaj, jakeście rozprawiali z tym zakonnikiem i wyznaczili mu spotkanie w tej samej karczmie, w której znalazłem go martwego. Słyszałem, jakeście go przekonywali, niemal zmusili... I oto jakimś dziwnym trafem pojawiacie się na miejscu zbrodni.

Przez twarz nieznanego przemknął błysk zaciekawienia.

– Kim wy jesteście, że tak wiele o mnie wiecie?

– Nie o was mi chodzi – odparł niewzruszony Maynard – ale o tego nieszczęśnika, któregoście zarżnęli.

– Nie opowiadajcie bzdur, messer. – Wprawdzie mężczyzna nie był w stanie się wyswobodzić, zdobył się jednak na odwagę i posłał mu wyzywające spojrzenie.

– Jak Bóg na niebie, nie ja uśmierciłem ojca Facia di Malaspinę.

Na dźwięk imienia człowieka, który wpędził go w tak poważne tarapaty, rycerza ogarnęła jeszcze większa ciekawość.

– A przecież czegoś od niego chcieliście... – odciął się. – Mówcie zatem, a na początek zdradźcie, kim jesteście.

– Kiedy się tego dowiecie, pożałujecie, żeście wtykali nos w nie swoje sprawy!

Groźba była oczywista. Wszelako Rocheblanche, który gardził w jednakowym stopniu tchórzami i pyszałkami, zbliżył płonąca pochodnię do policzka zuchwalca.

– Wasze imię, łotrze!

Mężczyzna spróbował się uwolnić, po czym wrzasnął z bólu.

– Superanzio Orsini... – warknął natychmiast, usiłując się odsunąć. – Widam biskupa.

Maynard nadal nie pozwalał mu się ruszyć i ani myślał oddalić płomień od jego twarzy.

– Czyżbyście zamierzali dać mi do zrozumienia, że wielbny Guido di Baisio ma własnych *missi dominici*, tak samo jak najemnych zbirów?

– Ja nie jestem najemnym zbirzem! – Twarz Superanzia zastygła w masce udręki, skwiercząca skóra jęła wydzielać swąd spalenizny. – Kiedyście odkryli moją obecność, właśnie przyszedłem na spotkanie... – Jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy, zamieniając się w odrażające kwilenie. – Dosyć, błagam was! Dosyć! – Nie mogąc dłużej znieść bólu, zmoczył się.

Rocheblanche ciągle trzymał go w żelaznym uścisku. Podczas gdy wściekłość przeradzała się w nim w bezlitosną rozkosz, patrzył, jak twarz ofiary upodabnia się coraz bardziej do oblicza znienawidzonego ojca. Wydało mu się, że słyszy płacz niewiasty, i nagle zapragnął nade wszystko zgładzić go, na zawsze zmieść z powierzchni ziemi.

– Co do biskupa... – zaskomlał messer Orsini, przywracając go do rzeczywistości. – Nie jestem tu... w jego imieniu.

Ośłupiały rycerz gwałtownie odsunął pochodnię.

– Zatem w czym?

– W niczym. – Widam był zlany potem, poparzony policzek nabierał szpetnego wyglądu. Odetchnął głęboko, przewyciężywszy szloch. – Tylko ja znam tajemnicę – wysapał. – Tamtego dnia pod szubienicą tylko ja usłyszałem...

Rocheblanche odgonił wspomnienie ojca i zmusił się do zachowania przytomności umysłu. Choć z trudem rozumiał szept Superanzia, w przeszłości zasięgał języka wystarczająco często, by pojąć znaczenie jego słów.

– Macie na myśli *Lapis exilii*?

Widam wybałuszył oczy.

– A więc wy także. Wiecie, co to takiego?

Rycerz pokręcił przecząco głową.

– Szukam dwóch relikwii związanych z owym tajemniczym przedmiotem. Dwóch bezcennych relikwii. Przed laty skradł je ojciec Facio. Czyżbyście coś o tym wiedzieli?

Messer Orsini miał zamiar zaprzeczyć, lecz na widok ponownie zbliżającego się płomienia zmienił zdanie.

– Facio di Malaspina coś mi wyjawiał, owszem – wyznał. – Rzec dotyczy kielicha i grota włóczni. Tak, przypominam sobie! Powiedział, że czytał o tym w pewnej księdze. Starej księdze.

– Jakiej księdze?

Superanzio powoli rozchyłał wargi, jakby bał się wydać jakikolwiek dźwięk. Po czym nastąpiła trudna do wytłumaczenia raptowna zmiana. Zupełnie niespodzianie rozdziawił usta i wrzasnął przeraźliwie:

– Straaaaaaże!

Zdumiony Maynard odwrócił się gwałtownie i dostrzegł w oddali jakieś dwie postacie.

– Straaaaaaże! – Nikczemnik z twarzą skurczoną w grymasie przerażenia nie przestawał krzyczeć. – Wezwijcie zarządcę dzielnicy!

Rocheblanche spojrział nań po raz ostatni, nadstawiając uszu na odgłos zbliżających się kroków. Bez wątpienia byli to robiący obchód strażnicy gminni. Jeszcze chwila, a będzie zmuszony stoczyć walkę. Tylko po co? Jedyne niepotrzebnie zdradzi, kim jest.

Po krótkim wahaniu rzucił pochodnię i skoczył w mrok, pozostawiając widamą skulonego w błocie.

Wrzeszczącego jakby obdzierano go ze skóry.

Zastał Bastiena des Baux, swego kompana i mistrza fechtunku, w najpodlejszej karczmie na przedmieściu Świętego Leonarda, kilka kroków od hospicjum Miłosierdzia Bożego. Mężczyzna siedział nad dzbanem wina w towarzystwie kilku graczy w kości. Maynarda najbardziej zdumiało to, że wśród owej hołoty rozpoznał dwóch kanoników od Świętego Antoniego, klasztoru wznoszącego się po przeciwnej stronie ulicy.

– Co wy wyprawiacie, przyjacielu? – zapytał Rocheblanche, podchodząc do niego.

Bastien przyglądał siwą czuprynę, próbując przybrać godną minę.

– Czyż to nie oczywiste? – zaśmiał się. – Właśnie tracę piękne sztuki srebra. – Widząc, jak rycerz mierzy wzrokiem zakonników, dobroduszenie otworzył ramiona. – Doskonale wiecie, Rocheblanche, że nie znoszę siedzieć przy stole, przy którym nikt nie mówi po francusku. Ci święci ludzie zaofiarowali się przyjść tu ze mną, aby być moimi tłumaczami i ochraniać mnie przed pokusami. – Podniósł dzban. – Karczmarzu, jeszcze jedną kwartę wina dla kanoników z Vienne!

Maynard nie był w nastroju do zabawy. Ciągłe miał przed oczami martwego Facia di Malaspinę i szaleńczy śmiech widama.

– Chciałem zapytać, *co tutaj robicie* – powiedział twardo. – Szukałem was na zamku Tedalda i w Pałacu Signorii, sądziłem bowiem, że jesteście na uroczystościach ku czci Świętego Jerzego. Tymczasem...

Mistrz fechtunku wzruszył ramionami.

– Po wyścigach konnych uroczystości straciły swój powab – obwieścił, śledząc ostatni rzut kośćmi. – A tak po prawdzie zmęczył mnie widok tyłu eminencji w jedwabiach i koronkach.

– Tymczasem wasz pan?

– Jego Łaskawość Humbert de Viennois oddalił się ku komnatom markiza d'Este, zostawiwszy swoją świtę na ulicy. Jak psy.

Maynard wychwycił w jego słowach gorycz, toteż postanowił okazać mu większą wyrozumiałość. Bastien utracił respekt dla wielkich kondotierów i każdego, kto powoływał się na idee sprawiedliwości, wysyłając na rzeź niezdających sobie z niczego sprawy żołnierzy. I, podobnie jak w przypadku Maynarda, pozbycie się złudzeń drogo go kosztowało.

– Muszę się z wami rozmówić – szepnął ukradkiem Rocheblanche.

To wystarczyło, by tamten spoważniał. Wskazawszy wolny stół, wokół którego było prawie pusto, rzucił na blat monetę, pożegnał się z kompanami i skinął na dawnego ucznia, aby poszedł za nim.

– Wyglądacie na wzburzonego – zauważył, ledwie zostali sami.

Rocheblanche skrzywił się lekko i odezwał dopiero wówczas, gdy usiedli

naprzeciw siebie.

– Wiele dni temu wspominałem wam, że kogoś ścigam, pamiętacie?

Mężczyzna pogładził długą brodę, zatrzymując dłoń na głębokiej bliźnie biegnącej od lewej kości policzkowej.

– Jakiegoś tajemniczego zakonnika – odrzekł. – Mówiliście, że ukrywa się na dworze markiza Obizza III d’Este.

– Zowie się Facio di Malaspina.

– I cóż?

– A to, że zmarł dzisiejszej nocy.

Bastien des Baux zerknął nań podejrzliwie.

– Chcecie powiedzieć, żeście go... – urwał i przejechał palcem po szyi.

– Nie ja – odparł Maynard. – Ktoś mnie uprzedził.

– Wiecie, kto to był?

– Nie. – Nim rycerz zaczął opowiadać, odprawił gestem karczmarza, dając mu do zrozumienia, że nie potrzebuje jego usług. – W każdym razie na miejscu zbrodni nadziałem się na człowieka biskupa. Podążyłem za nim, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, i...

Mistrz fechtunku rąbnął pięścią w stół.

– Postradaliście zmysły? – zawołał, lecz natychmiast się opanował i ściszył głos. – Tylko nie mówcie, żeście napadli na urzędnika kurii. Nie tutaj, nie w mieście tak wiernym Awinionowi.

– Sądzicie, że miałem wybór? – bronił się Maynard, rozdrażniony tą uwagą.

Bastien jednak ani myślał się uciszyć.

– Jeśli szukacie rozgrzeszenia, musicie mi wyjawić całą intrygę. Zmęczyły mnie te wasze zagadki, Rocheblanche. Można wiedzieć, czego właściwie szukacie w Ferrarze?

Maynard milczał przez chwilę, rozważając, czy powinien wyjawić część tajemnicy, której został strażnikiem. Traktował Bastiena des Baux nie tylko jako człowieka godnego zaufania, ale także jako cennego sprzymierzeńca, i był całkowicie pewien, że nigdy by go nie zdradził. Wszelako nikt nie powinien wiedzieć, co kryje się w dalekim klasztorze w Mont-Fleur. Postanowił zatem, że nie wydobędzie wszystkiego na światło dzienne.

– Szukam dwóch świętych przedmiotów – wyznał szeptem – dwóch relikwii. Złożyłem przysięgę pewnemu opatowi, że przywiozę je z powrotem do klasztoru, z którego zostały skradzione.

– Przysięgi nie są dla ludzi honoru – westchnął mistrz fechtunku. – Skłaniają ich bowiem do szalonych postępków. – Trzymał swe wielkie dłonie zaciśnięte na stole, mając nader przygnębioną minę. W jego oczach czaiła się wszakże iskierka zapалу, być może pozostałość po nigdy niezaspokojonym pragnieniu bohaterskich czynów. – Odkryliście przynajmniej, gdzie znajdują się owe przedmioty? – zapytał

zniecka.

– To wiedział tylko ojciec Facio. Teraz muszę szukać innych sposobów, zasięgnąć języka.

– Pozostając w tym mieście?

Maynard przytaknął.

– Przecież widam widział waszą twarz – zauważył Bastien, teraz już wyraźnie zaniepokojony. – Rozpoznał was?

– Wątpię.

– Tak czy inaczej, może was szukać. Znieważyliście go?

Tym razem westchnął Rocheblanche.

– Bardziej, niż było trzeba.

– Musicie więc znaleźć dobrą kryjówkę. Nie zapominajcie, że w tych murach nosicie szaty pospolitego pielgrzyma. W dodatku fałszywego zakonnika. Gdyby strażę się o tym dowiedziały...

– Właśnie dlatego do was przyszedłem. Miałem nadzieję, że w imię naszej przyjaźni...

Słyszając te słowa, Bastien des Baux popatrzył nań niemal z rozbawieniem.

– Dumny Maynard de Rocheblanche proszący o pomoc? To doprawdy coś nowego! – wykrzyknął, napawając się jego zakłopotaniem. – Zmieniliście się, przyjacielu, chociaż jeszcze nie jestem pewien, czy na lepsze. Tak czy inaczej, musicie mocno pragnąć rozwikłać swoje zagadki, skoro zniżyliście się aż do tego.

Mistrz fechtunku czekał na odpowiedź, która jednak nie padła. Po chwili przerwał więc milczenie i rzekł poufnym tonem:

– Podjęliście słuszną decyzję, zwracając się do mnie, wiercie mi, albowiem tak się akurat składa, że mam rozwiązanie waszych kłopotów.

Superanzio Orsini umoczył gałgan w wywarze ze ślazu, wpatrując się we własne odbicie w zwierciadle. W blasku świecy metalowa powierzchnia ukazała mu obraz wykrzywionej wściekłością twarzy, zniekształconej z powodu poparzonego policzka. Uzmysłowił sobie, że został oszpecony na zawsze i że za każdym razem, gdy będzie się przyglądał swojemu obliczu, wspomni mężczyznę, który wyłonił się z mroku. Nieznajomego, który poniżył go ponad wszelką miarę, potraktowawszy jak nędznego obdartusa.

„Już on mi za to zapłaci” – przyrzekł sobie. „Tak czy inaczej, odnajdę go, a wtedy pożałuje po tysiącuroć swojego zuchwalstwa”.

Doskwierało mu nie tylko pragnienie zemsty. Dręczyła go także ciekawość, kim jest ten człowiek i jak bardzo się uwikłał w poszukiwania *Lapis exilii*. Kiedy tamten wypowiedział owe słowa, niemal go zmroziło. Do tej pory jedynie Facio di Malaspina zdawał się o nim wiedzieć. Superanzio doskonale pamiętał, jak zakonnik uniknął stryczka, wspomniawszy o owej zadziwiającej tajemnicy. Tajemnicy, która urzekła Estów, chociaż pozostawała ukryta przed ich wzrokiem,

podobnie jak przed wzrokiem całego chrześcijańskiego świata.

Przycisnął gałgan do policzka, ciesząc się chwilową ulgą.

Nie wiedział, jakie korzyści mogło mu przynieść odnalezienie takiego skarbu, wystarczyłoby wszakże, gdyby uwolnił się spod tyranii kurii. Zmęczyło go przestrzeganie zasad przyzwoitości i wstrzeźliwości. Znużyło przybieranie skromnej i służalczej postawy wobec każdego przedstawiciela duchowieństwa i udawanie, że nie marzy o niczym innym, jak tylko o tym, by mu się przypodobać. Postawa ta była dobra w młodości, by wydobyć się z biedy. Wszelako teraz stał się jedną z najbardziej wpływowych osobistości Ferrary. Możliwość panoszenia się wreszcie do woli, spełniania każdego pragnienia, zdołałaby mu wynagrodzić każde poświęcenie. Nie mógł tego jednak czynić, nie skupiając na sobie ukradkowych spojrzeń inkwizycji. Święta Matka Kościół źle znosiła, gdy dzieci oddalały się od jej łona, a w czasach takich jak obecne nie zawahałaby się przed ogołoceniem go z wszelkich dóbr, zarczucując sprzyjanie gibelinom. Chyba że zaofiarowałaby w zamian coś nieprawdopodobnie cennego.

Teraz, gdy ojciec Facio smażył się w piekle, Superanzio potrzebował pomocy.

– Musisz go znaleźć i do mnie przyprowadzić – rzekł zniechęcony.

– Jak sobie życzy, Wasza Wielmożność – odparł jakiś głos za jego plecami.

Mężczyzna ów zwał się Petricciolo i był gwardzistą widama; zasięgał języka wszędzie tam, gdzie zwykły paż nie byłby w stanie szpiegować.

– Tylko nie spuszczaaj z łańcucha swoich rzezimieszków. – Orsini zdjął okład z policzka z grymasem bólu. – Nasz zajac mógłby się przestraszyć.

– Nie drgnie ani źdźbło trawy. – Zbir wyłonił się z półmroku, pokazując prostackie rysy, których szpetoty dopełniała zajęcza warga. – Ale będziecie musieli podsunąć mi jakiś ślad, Wasza Wielmożność. Zapamiętaliście jakiś szczegół wyglądu łotra, który na was napadł?

„Nic” – miał ochotę odpowiedzieć Superanzio. Z tamtego spotkania zapamiętał jedynie intensywny blask płomienia i potworne skwierczenie. To wystarczyło, by znów oblał się szkarłatem, jednocześnie czując pragnienie wyładowania gniewu.

– Nosił się jak mnich, lecz nim nie był – oznajmił, rzucając do miednicy gałgan. – Zachowywał się jak zbrojny, nie jak prosty żołnierz. I jakoś dziwnie się wysławiał. – Zastygł, odtwarzając w pamięci tembr głosu napastnika. – Mówił...

– Jak, mój panie? – dopytywał się gwardzista.

Orsini odwrócił się z przebiegłym uśmiechem.

– Jak Francuz.

– To przydatna wiadomość. Niewielu Francuzów mieszka w tych murach.

Na te słowa widam rozciągnął wargi w bezlitosnym, szyderym uśmiechu,

zaraz tego wszakże pożałował.

– Petricciolo, zaczekaj – dodał, przytykając dłoń do obolałego policzka. –
Zanim odejdiesz, przynieś mi opium.

Bastien pochylił się nad stołem z chełpliwą miną i oparł na nim łokcie.

– Właśnie dziś rano, Rocheblanche, otrzymałem nader osobliwą propozycję. Złożył mi ją sam markiz Obizzo III, usłyszawszy, kim jestem i skąd pochodzę. – Zaczekał, aż kompan przytaknie jego słowom, po czym mówił dalej: – Z pewnością wiecie, że Jego Wielmożność jest jedynym ocalałym synem dostojnego Aldobrandina II d’Este, i chociaż rządzi Ferrarą za zgodą papieża, lęka się o własne potomstwo. Pragnie przygotować najstarszego syna do przejęcia po nim schedy, tylko że preceptorzy i magistrowie nie wystarczą do tego. Potrzeba mu dobrego mistrza fechtunku.

– Nie mógł wybrać lepszego człowieka – pochwalił go Maynard. – Gdybyśmy jednak powrócili do naszej rozmowy...

– Odrzuciłem propozycję – przerwał mu Bastien. – Jestem za stary na takie rzeczy. Po klęsce krucjaty i śmierci mojej słodkiej Marie pragnę spędzić resztę życia wyłącznie na pławieniu się w smutkach. Są niczym wspomnienia chwały, wiecie? Z czasem łagodnieją, dopóki nie nauczymy się ich kochać.

– Nie chciałbym się okazać niegrzeczny – zniecierpliwił się rycerz – ale może jednak powróćmy do mojej prośby...

– Mógłbym polecić *was* na swoje miejsce, pojmujecie? – rzekł w końcu Bastien, wyjawiając własne zamiary. – Macie wystarczające doświadczenie, by przekazać synowi markiza to wszystko, czego was nauczyłem, a może nawet więcej. Wiem, ile jesteście warci.

Rocheblanche oniemiał. Wydarzenia ostatniej, straszliwej nocy tak bardzo dały mu się we znaki, że nie był w stanie wyrazić należytej wdzięczności.

– Dysponując tyloma zbrojnymi – mruknął zamiast podziękowań – niby dlaczego Obizzo miałby wybrać obcego człowieka?

– Skromność wam nie przystoi – upomniał go Bastien des Baux, jakby odpowiadał na obelgę.

– Jego Wielmożność będzie doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że choćby przeszukał każdą posiadłość od Alp po Morze Sykulskie, nigdy nie znajdzie *chevalier* godniejszego tego miana od was. Jesteście francuskim paladynem, żołnierzem Jego Królewskiej Mości Filipa! W waszych żyłach płynie krew Franków, którzy przed rokiem tysięcznym dotarli na grzbietach swoich rumaków aż do brzegów Renu i opanowali sztukę walki konnej. Jak wam się wydaje, co ci italscy kramarze wiedzą o świętości *ordo equestris*? Czego mogliby was nauczyć o sposobie władania kopią, mieczem i tarczą w siodle na pędzącym wierzchowcu?

Nawet tak żarliwe słowa nie zdołały się jednak przebić przez miłość własną Maynarda. Hańba ojca, cierpienie Eudeline i klęska pod Crécy przyćmiły jego

dumę, którą odczuwał jako rycerz.

– Jestem tu po to, by prosić was o schronienie – skwitował tylko – a wy dajecie mi sposobność, żebym znalazł się na widoku.

– Ukryjcie się tam, gdzie nikt nie będzie was szukał – upierał się Bastien. – A może zamierzacie zaprzeczyć, że nie dostrzega się tego, co najbardziej oczywiste?

Rycerz skrzywił się zjadliwie.

– Jeżeli tak jest, zawsze płaci się za to wysoką cenę.

– Waszą ceną będzie powrót do *cingulum*².

Rocheblanche wpatrywał się w twarz kompana i dostrzegł w niej tak ogromną determinację, że wreszcie ustąpił. Nie w taki sposób zamierzał prowadzić poszukiwania, wszelako zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Plan Bastiena des Baux umożliwił mu dostanie się na dwór i zasięgnięcie języka w kwestii ojca Facia bez zbytniego narażania się. Ponadto nie wzbudzałyby podejrzeń. „Niegdyś ufałem temu człowiekowi” – pomyślał, przyglądając się swojemu mistrzowi fechtunku.

– *Cingulum*, powiadacie? – Uśmiechnął się, pokazując postrzępione rękawy. – W tej chwili mam jedynie ten stary habit.

– Przypuszczam, że posiadacie wystarczająco dużo pieniędzy, by zwrócić się do kupca bławatnego – odparł tym samym tonem Bastien. – Widziałem kilku znakomitych na wschodnim rogu rynku, przy samym Pałacu Signorii.

– Wasz pomysł ma swoje zalety, przyznaję – ciągnął Maynard, chociaż jego głos zdradzał lekkie wątpliwości. – Tylko że brak mi doświadczenia z rozpuszczonymi smarkaczami.

Mistrz fechtunku zbył go machnięciem ręki.

– Najwyraźniej z młodym malarzem, który wam towarzyszył aż tutaj, dobrze się dogadywaliście.

– Z Gualtierem! – Imię to przeszło głowę Rocheblanche’a niczym błyskawica pogodnego nieba, pozostawiając lęk i wyrzuty sumienia. – Niech mi Bóg wybaczy, niemal o nim zapomniałem! – Zerwał się na równe nogi i pożegnał w pośpiechu.

– Zaczekajcie, przyjacielu. – Bastien go zatrzymał. – Nie możecie odejść w ten sposób.

– Nie pojmujecie. – Maynard wyswobodził się z jego rąk, rozmyślając o niesprawiedliwościach, jakie w bardzo krótkim czasie dotknęły rodzinę tego dzielnego młodzieńca. – Właśnie dzisiaj powieszono jego ojca, rozumiecie? Muszę go odnaleźć!

– To nie wasza sprawa.

– Właśnie że tak. To również moja wina, że Gualtiero przeżywa piekło na ziemi.

Bastien des Baux skrzywił się z rezygnacją.

– Idźcie więc, nie traćcie czasu – odprawił go. – Co do mojej propozycji...

Rocheblanche, który zmierzał już do wyjścia, skinął głową.

– Chciałbym to przemyśleć, jeśli pozwolicie.

– Ani mi się śni! – parsknął Bastien. – Już jutro przekażę wiadomość markizowi. Jeśli się zgodzi, lepiej, żebyście stawili się przed nim w nowych szatach.

FERRARA, ŁĄKA SZUBIENIC

Na pewien czas, który wydawał się wiecznością, pogrążył się w czarnym, dręczącym zapomnieniu, dopóki nie otrząsnął się pełen obaw. Nie przypominał sobie, by stracił przytomność w aż tak ciemnym miejscu, jak to teraz, poczuł jednak wdzięczność, że jest noc. Nieprzenikniony mrok sprawiał, że brzemień wspomnień stało się lżejsze, tak jakby to wszystko, co się wydarzyło, było jedynie snem. Leżał skulony na ziemi niczym istota, która dopiero co przyszła na świat, zanim zaś ocknął się z odrętwienia, wsłuchiwał się w szelest wiatru w trawie, napawając się pragnieniem, by zatracić się w tym dźwięku. Na zawsze. Wszelako zmysły mu się w końcu wyostrzyły, wyłowił więc plusk rzeki, zapach błota i stopniowo także czyjaś obecność wokół siebie. Dostrzegł to w blasku światełek, które zrazu wziął za gwiazdy, zdał sobie jednak sprawę, że to pochodnie na murach miasta, za wałami.

Niewielu ludzi zostało na łące. Poza żołnierzami kilku krewnych nadal opłakiwało swych bliskich, łkając cicho, gdy tymczasem bracia z *Congregatio mortis* wznosili modły do Boga, który ukrywał się gdzieś daleko, zbyt daleko, by móc je usłyszeć.

Chłopiec przykląkł i wbił wzrok w wiszących na szubienicach. Był w stanie ich dostrzec w ciemnościach wyłącznie dlatego, że kołysali się na sznurach, ale to wystarczyło, by poczuł w sercu ukłucie bólu, które przerodziło się w przeciągły krzyk rozpacz.

Pośród owych ciał znajdował się jego ojciec. Zginał w poniżeniu i niesprawiedliwości, wypowiedziawszy jakieś nieskładne słowa.

Nagle czyjaś dłoń musnęła go po karku, wrywając na chwilę z boleści. Niemal ze zdziwieniem poddał się dotykowi tej ręki, szukając pociechy w pochylonej nad nim twarzy dziewczyny. Nie wiedział, co skłoniło ją, by podążać za nim aż do tego miejsca śmierci, niemniej jednak był jej za to ogromnie wdzięczny. Stanowiła ostatnią deskę ratunku, jedyny dla niego punkt oparcia, niepozwalający mu na pogrążenie się w otchłani. Otworzył usta, chcąc jej o tym powiedzieć, wydobyły się z nich jednak tylko urywane dźwięki.

Isabeau przytuliła go i położyła jego głowę na swym łonie. Było w niej coś dzikiego, jakaś wymykająca się natura, co podkreślały dodatkowo różnobarwne tęczęwki, które mogłyby budzić niepokój, gdyby nie jej anielska buzia.

Gualtiero zanurzył się w jej zapachu, ciepłe. Wreszcie czuł się bezpieczny, chroniony od wszelkiego zła, i tkwił tak, dopóki nie nabrał sił, by wstać. Nie chciał zmierzyć się z tą chwilą osłabiony. W ciągu następnych lat odczuwałby wstyd, że

schował się w niewieściej spódnicy. Wyswobodził się więc z uścisku i podszedł do ciała ojca.

Mrok nie wydawał się już aż tak gęsty. Pozwolił mu dojrzeć wykrzywioną maskę, w której trudno byłoby rozpoznać oblicze upartego rzemieślnika, harującego całe życie, żeby zostać mistrzem malarskim. Dusza Sigismonda de' Bruniego nie mieszkała już w tej kukle o bezwstydnym wyglądzie. Uleciała, zanim kruki i robaki zdążyły zrobić sobie ucztę z jego ciała.

Gualtiero niemal doznał ulgi. Teraz jego ojciec był wolny, szybował pod postacią ulotnego tchnienia, o którym rozprawiali filozofowie i teologowie. Chłopiec uczynił znak krzyża i poprosił Matkę Boską, by wstawiła się za tą niespokojną, choć sprawiedliwą duszą, tak aby po zważeniu przez archanioła Michała okazała się godna raju. Następnie zwrócił się do ojca, odrywając wzrok od wiszących na sznurze zwłok. Nie było to łatwe. Kula w gardle stłamsiła rozsądek, pozostawiając miejsce jedynie dla gniewu, strachu i żądzy zemsty.

Młodzieniec zdołał nad sobą zapanować w imię miłości do tego szorstkiego człowieka, z którym dzielił więcej kłótni niż chwil spokoju. To on określił jego życie, okiełznał jego pasję, pozwalając mu pielęgnować ambicję zostania wielkim malarzem. „I pewnego dnia nim będę” – poprzysiągł ojcu. Wszelako zrodziło się w nim tysiącokrotnie silniejsze pragnienie. „Ale najpierw pomóż mi odnaleźć matkę” – zaszlochał. „Spraw, żeby przynajmniej ona ocalała, żeby do mnie wróciła”.

Przewyciężywszy onieśmielenie, przysunął się bliżej i dotknął dłonią stopy ojca w ostatnim geście pożegnania.

Gdy się odwrócił, zobaczył, że obok Isabeau stoi mężczyzna w czarnym habicie, który nie był w stanie ukryć jego szerokich ramion ani dumnej postawy.

Gualtiero otarł twarz i skinął na powitanie.

Maynard spuścił głowę, by okazać smutek. Najwidoczniej coś innego nie dawało mu wszakże spokoju i wkrótce dał temu wyraz.

– Przeszedłem was stąd zabrać. – Zerknął z wyrzutem na dziewczynę. – Oboje.

– Nie opuszczę miasta. – Mimo bólu żałoby Gualtiero wypowiedział to z determinacją, która zbiła z tropu Maynarda. – Jestem wam wdzięczny za wszystko, lecz nie pozwolę, byście po raz kolejny decydowali o moim życiu.

Rycerz przyglądał się, jak kroczy po drewnianym moście prowadzącym do miasta, i mimo woli ogarnął go podziw. O ile do tej pory uważał tego młodzieńca za grzecznego marzyciela, teraz z lubością dostrzegał, że jest w nim potężniejsza siła ducha, niż sobie wyobrażał. Niestety, siła niewspółmierna do doświadczenia. Czyniło go to łatwym łupem dla istot drapieżnych, a zgryzoty i niesprawiedliwość świata mogłyby go zniszczyć, jednak pod przewodnictwem przyzwoitego mentora mógłby stać się człowiekiem nadzwyczajnych zalet.

– Wróćcie do opactwa w Pomposie – rozkazał pod wpływem tych

rozważań. – Pod opiekę opata Andrei.

Gualtiero pokręcił głową.

– Zostanę tu, w Ferrarze. Żeby poszukać matki.

– Waszej matki już nie ma za tymi murami, doskonale to wiecie. – Maynard podążył za nim i Isabeau pod łuk bramy miejskiej, śledząc ospałe ruchy straży. – Zabrano ją do Awinionu. I jak Bóg na niebie, nie macie ani możliwości, ani odpowiednich środków, żeby ją odnaleźć.

Młodzieniec spiorunował go wzrokiem.

– Sądźcie, że urodziłem się wczoraj?

– Owszem, sądzę – odparł rycerz, nie bacząc na to, że go rani. – Nie znacie świata ani jego pułapek. Nie przeżylibyście nawet tygodnia, gdybyście udali się w podróż do papieskiego miasta.

Zamiast odpowiedzieć chłopiec pogardliwie machnął ręką. Pomimo złości i żalu zatrzymał się jednak, żeby się zastanowić.

– Może i macie rację, ale szybko się uczę. Przystosuję się i stawię czoło wszelkim przeciwnościom losu, byleby tylko ją odnaleźć.

– Uczynicie to, owszem, we właściwym czasie.

– *Teraz* jest właściwy czas! Jeśli będę dłużej zwlekał, będzie za późno.

– Pomyślcie rozsądnie, przyjacielu. Gdyby chcieli ją uśmiercić, nie wywieźliby jej tak daleko. Powinniście sobie uzmysłować, że wasza matka jest niewiastą, która skrywa wiele tajemnic. Będziecie musieli je poznać, zanim przystąpicie do działania.

Maynard przemawiał ostrożnie, łagodnym głosem, lecz tylko rozsierdził Gualtiera.

– Sam zdecyduję, co robić – wybuchnął młodzieniec.

– A właśnie że nie. Będziecie mi posłuszni – odparł z naciskiem Francuz. – Wróćcie do opactwa w Pomposie, dopóki się nie dowiem...

– Nie możecie mi rozkazywać!

– Jesteście tego pewni? – Co rzekłszy, rycerz dał znak Isabeau, by się nie wtrącała, i stanął przed chłopcem, zagrządzając mu drogę. Znajdowali się już w murach, na usianej pochodniami ulicy, wijącej się między kościołem Świętego Jana a klasztorem serwitów.

Gualtiero, nie lękając się, postanowił stawić mu opór.

– Odsuńcie się, messer.

Rocheblanche przyjrzał się jego wścieklej twarzy i choć wiedział, że przemawia przez niego ból, tkwił bez ruchu z założonymi rękami.

– Przekonajcie mnie, bym to zrobił – odparł wyzywająco. – Pokażcie, że jesteście mężczyzną.

Nie zdążył dokończyć zdania, albowiem młodzieniec rzucił się nań rozpalony skrywanym w sercu żalem. Maynard zareagował z chłodem.

Przeniósłszy ciężar ciała na prawą stopę, zadał mu cios pięścią w splot słoneczny, po którym tamten runął na brzuch.

– Właśnie tak zamierzacie stawić czoło przeciwnościom losu? – skarcił go. – Właśnie tak zamierzacie ocalić matkę?

Roztrzęsiony Gualtiero zakasłał, kuląc się w błocie. Po czym z wrzaskiem rozpaczy podźwignął się na kolana i ponownie ruszył do ataku. Rocheblanche tylko się odsunął, chwycił go za pas i po raz kolejny rzucił o ziemię.

– Nie podnoście się, synku – ostrzegł. – I dobrze zapamiętajcie sobie tę naukę. – Gdy jednak się nad nim pochylił, tamten wyskoczył do przodu i chwycił go wpół.

Nim rycerz zdołał odepchnąć chłopca, spostrzegł, że ma twarz zalaną łzami, pozwolił więc, by ścisnął go z całej siły.

– No dalej, przyjacielu – zachęcił. – Dalej, wyrzucicie to z siebie!

Gualtiero wtulił głowę w jego pierś, tłumiąc krzyk.

Czując, jak udręka chłopca przelewa się także na niego, Maynard zdał sobie sprawę, że już nie walczą, że połączył ich przyjacielski uścisk.

– Pozwólcie, żebym wam pomógł – szepnął, jakby uspokajał konia. – Pozwólcie, bym wam wytłumaczył, jak ją ocalić i jak ocalić siebie samego.

Łkanie, które usłyszał w odpowiedzi, pozwoliło mu mieć nadzieję, że burza ucichła.

Nazajutrz rano Rocheblanche odstawił dwoje przyjaciół do dzielnicy Miłosierdzia Bożego – przedmieścia na południu, oddzielonego od reszty miasta Padem. Bywa także nazywana Ferrariolą na pamiątkę longobardzkiego *castrum*, od którego na północ od rzeki rozwinęło się miasto.

Gdy pokonywali mury i most na barkach, stojące już wysoko słońce złociło kościół Świętego Jerzego za murami i plac targowy, zapraszając sporą gromadę ludzi na ścieżki między kramami i wozami kupców. Głośna wrzawa nie zdołała wszakże rozwiać strasznych obrazów z minionej nocy. Z kłębowiska bezładnych myśli rycerza wyłaniały się obrazy to zabójstwa ojca Facia, to nieszczęścia, które dotknęło rodzinę Gualtieria.

Maynard żałował, że okazał chłopcu surowość, chociaż wiedział, że zrobił to dla jego dobra. Doskonale znał gwałtowne uczucia, zwłaszcza te zatruwające serce jadem. Sam padł ich ofiarą, co zmusiło go do życia w gniewie, który nigdy nie słabł, tak jakby ojciec nadal, dzień po dniu, zadawał gwałt Eudeline.

Spojrzał na syna mistrza malarskiego, a gdy zobaczył wielkie przygnębienie na twarzy młodzieńca, udzielił mu się jego smutek. Jeszcze kilka lat wcześniej nawet by nie podejrzewał, że ma tak wrażliwą duszę. Pragnął chwały i krwi, goniąc za snem, w którym zostaje się bohaterem na wzór śmiałków z poematów rycerskich. Trzeba było wielu upokorzeń i cierpień, aby pojął błahość owych mrzonek. Chwała jest tylko złudzeniem, a krew piętnem Kaina odcisniętym na polach bitew. Pozostało powołanie do *servitium*. Dopiero to mogło nadać znaczenie przysiędze, którą złożył w dniu inwestytury. Służba na rzecz prawych i uciśnionych.

Gdy tak kluczył wśród kramów i koszy handlarzy ryb, nie potrafił się też uwolnić od pewnej natrętnej myśli. Była to mało istotna kwestia, drażniła go jednak tak bardzo, że nie mógł się doczekać, kiedy ją rozwiąże. Nim to wszakże uczyni, musi dojść do miejsca załadunku i rozładunku towarów na skraju przedmieścia, tam gdzie płaskodenne statki przyjmowały również na pokład podróżnych zmierzających w kierunku wybrzeża. Z pewnością niektóre z nich przybiją do brzegu w *Portus Abbatis* w Pomposie, umożliwiając Gualtierowi i Isabeau dotarcie do celu. Ledwie je wypatrzył, powrócił do nękającej go kwestii, którą na chwilę odsunął od siebie. Dotyczyła dziewczyny. Korzystając z nadarzającej się sposobności, znalazł odpowiedni wybieg, by rozmówić się z nią w cztery oczy.

– Trzymajcie, Gualtiero. – Wręczył chłopcu kilka monet, wskazując górującą nad przedmieściem dzwonnice kościoła Świętego Jerzego. – Na modlitwę za duszę waszego ojca.

Otrząsnąwszy się z żalu, młodzieniec wziął pieniądze i skinął mu

z wdzięcznością. Odszedł, zostawiając go z wychowanicą.

Wówczas Rocheblanche nie zdołał się już powstrzymać, by jej nie wyłajać.

Mury kościoła skrywały resztki jego dawnej świetności. Gualtiero prawie nie zwrócił na nie uwagi. Przechodząc przez portal, dostrzegł tkaniny i święte ozdoby, które cieszyły się niegdyś intensywnością purpury i blasku złota. Teraz pozbawione tego przepychu ściany pokrywał już tylko kurz i pajęczyny, co za sprawą noszonej w sercu żałoby wydało mu się jeszcze smutniejsze. Mimo woli jego wprawne oko przebiegło po wyblakłym fresku przedstawiającym żywot błogosławionego Jerzego. Świętego z Kapadocji nie ukazano na koniu, lecz przywiązanego do koła zębatego, na mękach. Jego poza osoby cierpiącej, jakże odmienna od tej, w jakiej zwykle go malowano, poruszyła chłopca tak mocno, że powrócił myślami do sprawy, dla której znalazł się w tym przybytku.

Podszedł do szkatuły na ofiary, wrzucił do niej otrzymane od Maynarda monety i odmówił modlitwę. Dziwnie się czuł, zachowując się w ten sposób w miejscu, które zazwyczaj kojarzył z pracą. Pierwsze swoje kroki w życiu postawił właśnie w kościele, na oczach ojca zajętego ozdabianiem arkady. Od tamtej pory ciągle przemierzał z nim ziemie od Apeninów do morza, zatrzymując się w bazylikach i kościołach, gdzie stopniowo uczył się zawodu. Aż przyszedł czas, że zachwyił kunsztem do tego stopnia, by nie tylko pomagać ojcu, gdyż wręcz przewyższał go swoimi umiejętnościami. I nie co innego jak właśnie ten jego ogromny talent odsunął ich od siebie, siejąc w sercach pychę i zawiść. Teraz jednak Gualtiero nie nosił już w duszy tego rodzaju uczuć. I był pewien, że również Sigismondo, gdziekolwiek by się znajdował, nie chowa już doń urazy. Więcej, ufał, że spogląda nań z życzliwością, chroniąc go bardziej niż kiedykolwiek za życia. Młodzieniec jasno to widział. Nie umiał sobie inaczej wytłumaczyć siły ducha, z jaką przyglądał się całemu przebiegowi uśmiercania ludzi przez powieszenie, ani determinacji, która teraz pchała go, by szukał matki.

Uznał, że nie powinien opierać się dłużej Rocheblanche'owi. Pojmował jego racje i czuł się zaszczycony okazywaną mu przezeń przyjaźnią. Nie będzie wszakże czekał na jego pozwolenie. Chociaż nie znał powodu, dla którego matkę pojmano i wywieziono w największej tajemnicy do Awinionu, wiedział, że nie zostawi jej na łasce nikczemników.

Musi się zastanowić, jak działać – co do tego zgadzał się z rycerzem – wszelako postanowił, że gdy tylko zdobędzie dość pieniędzy, wyruszy w podróż. Wiedział już, do kogo się zwrócić.

Mając wrażenie, że otoczenie wokół niego uległo zmianie, powrócił do odmawiania *Requiem*. Wydało mu się, że półkolista ściana apsydy, ściany i sklepienie kolebkowe drżą, przybierając postać okalających go olbrzymich skrzydeł. Spuścił powieki i znalazł się w wyciszonym świecie, w którym ból przybiera jaskrawe, niemal oślepiające barwy, po raz pierwszy jednak chłopiec

zdołał go powitać, nie popadając w rozpacz.

Requiem aeternam dona eis, Domine...

Pijąc z tego kielicha goryczy, po raz pierwszy pojął, co znaczy wejść do kościoła w poszukiwaniu pocieszenia u Boga.

– Zostawiłem was w Pomposie pod opieką zakonników. Dlaczegoście podążyli za chłopcem?

Isabeau spuściła głowę, pogrążając się w milczeniu, które rozszerzyło Maynarda.

– Czy on was o to poprosił? – dopytywał się mężczyzna.

Odpowiedziała mu przeczącym ruchem głową.

Pokusa, by ją spoliczkować, wywołała mrowienie w dłoniach. Powstrzymał się, zniesmaczony myślą, że mógłby uderzyć dziewczynkę. W dodatku uzmysłowił sobie, że nie ma najmniejszego prawa, by to uczynić. Zanim się spotkali na Drodze Lombardzkiej, Isabeau żyła wolna, bez zasad i pęt, które ograniczałyby ją w dokonywanych wyborach. Co w połączeniu z porzuceniem przez matkę uczyniło ją nieprzystępną i nieufną, sprawiając, że dojrzała szybciej, niżby wskazywał na to jej wiek.

– Tak czy inaczej – rzekł Maynard najbardziej władczym tonem, na jaki potrafił się zdobyć – żądam, byście więcej tego nie robili. Przysiągłem się wami zaopiekować i...

– Okłamaliście mnie.

Wpatrzył się w twarde rysy dziewczyny.

– Co macie na myśli? – zapytał, jakby to on dostawał właśnie burę.

– Porzuciliście mnie w opactwie – odparła oskarżycielsko. – Bałam się, że już nie wrócicie.

Rocheblanche odwrócił wzrok.

– Moja droga, pamiętacie, co wam powiedziałem o misji, którą muszę wypełnić?

Dziewczyna zmierzyła go swymi dziwnymi oczami – jednym zielonym, drugim niebieskim.

– Powiedzieliście tylko, że kiedy doprowadzicie ją do końca...

– Owszem, tak właśnie powiedziałem – uspokoił ją i pogładził po twarzy. – Powiedziałem, że wrócę do Francji i zabiorę was ze sobą. Obiecałem, Isabeau, a prawy rycerz zawsze dotrzymuje danego słowa. Aby móc to uczynić, będę musiał zostać jeszcze w tym mieście i zakończyć swoją misję.

– Wobec tego pozwólcie mi wam pomóc.

– Pomożecie mi, przebywając w bezpiecznym miejscu. W opactwie Pomposy, razem z Gualtierem. – Zaczekał, aż dziewczyna przytaknie, po czym nieznacznie się uśmiechnął. Chciał wbić jej do głowy jeszcze jedną rzecz. – I pamiętajcie – przykazał – w oczach fratrów nadal musicie pozostać moją siostrą.

– Zrezygnował z wyjaśnienia motywu, aby jej nie zranić. Opat Andrea zgodził się sprawować nad nią pieczę tylko dlatego, że uważał ją za szlachciankę z urodzenia, potomkinię Rocheblanche'ów. Maynard nie potrafił odgadnąć, jak zareagowałby wielbny ojciec, gdyby wiedział, że jest sierotą po zmarłym aktorze wędrownym. – Po powrocie opowiecie zakonnikom z Pomposy, żeście uciekli, aby mnie odnaleźć. Nic więcej.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– To oznacza, że nie odwieziecie mnie na *Insula Pomposiæ*?

– Nie mogę, już mówiłem. Czekają na mnie pilne sprawy. – Dostrzegłszy zacumowaną przy brzegu długą barcę, uzmysłowił sobie, że to ta właściwa. – Teraz bądźcie grzeczni – rzekł do dziewczyny – idźcie po Gualtiera, a ja ugadam się z tymi marynarzami słodkich wód.

OPACTWO W POMPOSIE, PALATIUM ABBATIS

26 KWIETNIA

Siedzący w półmroku pracowni opat Andrea wpatrywał się w pieczęć listu, który właśnie otrzymał, zastanawiając się, dlaczego biskup Ferrary zwlekał tak długo z napisaniem do niego. Delikatna kwestia, jak przypuszczał. Nie można było inaczej wyjaśnić zachowania markiza Obizza, który w przeciwieństwie do biskupa Guida nie raczył odpowiedzieć na jego pytania.

W dodatku uzasadnione pytania. Zdumiewała go zajadłość owych wielmożnych w stosunku do dwojga osób z ludu. Nie przestawał o tym myśleć, odkąd widam wkroczył do Pomposy i rozkazał pojmać rodzicieli Gualtieria de' Bruniego. Jak na razie wiedział tylko tyle, że to Sapia, żona mistrza malarskiego, wywołała taką reakcję Superanzia Orsiniego i żołnierzy markiza. Jedynym przewinieniem, jakim splamił się Sigismondo, było to, że stanął w jej obronie, i zapłacił za to wysoką cenę.

On natomiast przyglądał się temu bezsilnie.

„A gdyby zbrojni podnieśli rękę na jednego z moich zakonników?” – zadał sobie pytanie. „Czy też bym im na to pozwolił?”

Przebiegł wzrokiem po półkach z książkami zajmujących pracownię, po czym wrócił do listu leżącego na pulpicie. Był zniesmaczony. Sigismondo i Sapia od tygodni gniją w więzieniu, tymczasem jemu udało się uzyskać jedynie ów nędzny pergamin! Jak śmie przeklinać Guida di Baisio i Obizza d'Este, skoro sam postąpił tak niecznie?

Po prawdzie to czuł się zagubiony, niezdolny odróżnić tego, co słuszne, od tego, co nikczemne. By nie stracić zdrowego rozsądku, odwołał się do nauk Seweryna z Padwy, swego starego nauczyciela, który przygotowywał go do zakonnego życia. W każdej sferze stworzenia istnieją hierarchie, tłumaczył mu niegdyś. Hierarchie zaś, których chce Bóg, a które ustanawiają porządek pomiędzy stanami społecznymi, podobnie jak pomiędzy ciałami niebieskimi, wymagają pozornie niesprawiedliwych poświęceń, by owy porządek mógł być zachowany.

Ojciec Andrea dostrzegał w owych słowach przerażającą, ale niepodważalną logikę. Logikę, którą na równi z każdym człowiekiem władzy akceptował i której przestrzegał.

Wszelako dla Gualtieria de' Bruniego uczynił wyjątek.

Wyrwał go ze szponów Orsiniego i przyjął do skryptorium w Pomposie, aby

zrobić z niego miniaturzystę.

Wyrzucał sobie te postępkę podyktowane przyzwoitością, chociaż widział w nich dobro. Geniusz tego młodzieńca pozwolił mu na odwrócenie losu całego opactwa, nie mówiąc o tym, że sam Gualtiero wzniesie się ponad status zwykłego rzemieślnika. Chwilowo Andrea nie czuł się na siłach wyjawić, co dla niego przewidział. Pozwolił mu pomknąć do Ferrary, aby zasięgnął języka w sprawie rodziców, z przeświadczeniem, że dzięki tej wyprawie ujrzy świat taki, jaki jest: namacalny i brutalny. Tylko wtedy zrozumie, że Pomposa to jedyne miejsce, gdzie może się spełnić.

Pokrzepiony na duchu powrócił do listu. Wiedziony ciekawością, by poznać los Sigismonda i Sapii, otworzył szufladę pulpitu i wyjął rysik, który posłużył mu do zerwania woskowej pieczęci.

To, co przeczytał, zaparło mu dech w piersiach.

„Nie może być” – pomyślał, zatrzymując wzrok na straszliwym słowie widniejącym w tekście.

Hæresis.

– Nie może być – powtórzył na głos. Nie potrafił uwierzyć, że rodzina de' Brunich składała się z heretyków. Przecież byli to ludzie prości, nader oddani Matce Boskiej i Świętemu Franciszkowi... Poczciwy Sigismondo zwierzył mu się nawet, że wprawił się w swym rzemiośle, ozdabiając kościoły i święte przybytki... Jak więc mógł być heretykiem?

Biskup Ferrary wyraził się jednoznacznie. „Heretycy” – napisał, nie wspominając o katarach, lollardach, Braciach Apostolskich, członkach Bractwa Wolnego Ducha... Zamiast wskazać diabelską doktrynę, którą wyznawała rodzina de' Brunich, przesyłał zawołowane ostrzeżenie, by nie zgłębiać tej kwestii. *Nie zadawajcie więcej pytań*, zdawał się czytać między wierszami opat.

Ojciec Andrea miewał już do czynienia z podobnymi ostrzeżeniami i bez trudu rozpoznał w napuszonej łacinie Guida di Baisio ukrytą groźbę.

Z rozpalonym umysłem zwinął list i odrzucił go od siebie. Co ma teraz powiedzieć temu wspaniałemu chłopcu? Z pewnością nie może go okłamać ani zabronić poszukiwania prawdy. Z tym że na własną odpowiedzialność...

Przemknęło mu przez myśl, że może jego przyjaciel Maynard zdoła coś odkryć, po czym skarcił się za łatwowierność. Rocheblanche przybył z Francji, by wypełnić zupełnie inną misję, ponadto nie orientował się w otoczeniu biskupa ani markiza wystarczająco dobrze, by móc przejrzeć tak zagmatwaną intrygę.

Opat jednak nie zamierzał rezygnować. Sprawienie zawodu Gualtierowi oznaczałoby utracenie go, a jemu samemu wcale nie przypadła do gustu myśl, że miałby znosić nadużycia władzy wielebnego Guida. Tylko jeśli się nad tym zastanowić, co innego mu pozostało? Przygniatały go klasztorne długi, nie wspominając już o wierze...

Nagle przestrzeń pracowni wydała mu się zbyt ciasna. Rozejrzał się dokoła, dysząc niczym rumak pragnący uciec, zostawić wszystko za sobą. Intrygi, plany, odpowiedzialność... Złorzecząc na swój los, opuścił skryptorium i przekroczył próg.

Gdy wyszedł za portyk *palatium*, oślepiło go słońce padające wprost na dziedziniec. Szedł przed siebie ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie pozdrawiając zakonników ani sług mijanych po drodze. Ogarnęły go tak silna złość, wyrzuty sumienia i żal, że poczuł się, jakby unosił się w jakimś czarnym wirze.

W takim stanie ducha stanął przed opactwem.

Przywiodła go tu nie potrzeba modlitwy ani wezwanie do mistycznego skupienia. Z tego zrezygnował już przed wielu laty. On pragnął otworzyć się przed Ojcem. Nie znał innego sposobu porozumiewania się z nim. Po utracie wiary gniew był jedynym kompanem zdolnym uchronić go przed rozpaczą. I właśnie w takich chwilach jak ta gniew przeradzał się w pragnienie tak przenikliwego krzyku, by zadrżeli aniołowie.

Nie istniało odpowiedniejsze miejsce, gdzie mógłby wyrazić swe wzburzenie, niż nawa główna, przed starym pulpitem i ołtarzem, wśród nadgryzionych zębem czasu fresków. Żadne inne miejsce nie byłoby w stanie lepiej go ukoić, albowiem było ono łonem, gdzie dojrzewały jego marzenia, które opuścił dla świata szaleńców.

Wpatrywał się w budowlę z uniesionymi ku niebu pięściami, podczas gdy widniejące na fasadzie rzeźby – symbole Lwa, Pawia i Drzewa – nakładały się na jego kłębiące się myśli. Po raz nie wiadomo który poczuł, że zakpił z niego jakiś ulotny byt, zbyt doskonały, by się nim zajmować.

Już miał przekroczyć próg i nakazać modlącym się mnichom, by zostawili go w spokoju, gdy ujrzał Matkę Boską namalowaną nad portalem.

Panią na tronie w otoczeniu aniołów, błogosławioną w swej matczynej i niewieściej boleści.

Poczuł, że serce przestaje mu bić.

Zupełnie jakby nigdy wcześniej jej nie widział. Skrzyżował ramiona na piersi, przekonany, że nań spojrzała. Przypomniawszy sobie, że doznał czegoś podobnego jako dziecko przed malowidłem przedstawiającym Chrystusa, chociaż wówczas ogarnęła go nieskończona słodycz. Teraz wszakże Matka Boska go upominała. Całe opactwo zdawało się to czynić, górując nad nim groźnie niczym jakaś drgająca olbrzymia istota.

Poczuł, że jest malutki, że jest najgłupszym i najnędzniejszym człowiekiem na ziemi.

Wtedy usłyszał skomlenie.

Porzuciwszy swą wizję, wsłuchał się w ów podobny do skargi dźwięk, który wzbudził w nim wielką litość. Skierował się ku niemu jak lunatyk, nadal

owładnięty myślami o spojrzeniu Matki Boskiej. Dotarł do płotu na skraju dziedzińca. Gdy już miał się pochylić, jego uwagę zwrócił chrząst gałęzi. Wówczas rozchylił liście, ciekaw, jakie stworzenie tak mocno cierpi.

Ujrzał skulonego w trawie psa.

Był tak brudny, że nie dało się określić barwy jego sierści. Podłużny pysk i długie lapy pozwoliły wszakże Andrei rozpoznać w nim przedstawiciela szlachetnej rasy chartów. Zwierzę nie przejawiało drapieżnej natury. Przycupnęło, sapiąc u kresu sił. Przyjrząwszy się dokładniej, opat stwierdził, że ma ranną łapę.

Spróbował jej dotknąć, lecz pies obnażył kły.

– *Dominus!*

Wielebny ojciec odwrócił się raptownie i zobaczył jednego ze sług opactwa. Zwał się Bonus i był jeszcze niemal chłopcem.

– Trzymajcie się z daleka, *dominus* – ostrzegł po raz drugi, podnosząc z ziemi kamień. – Bo was pokąsa.

– Jest tylko przestraszony. – Ojciec Andrea wstał i dał mu znak, by się nie kłopotał, po czym przypomniał sobie, że chłopiec należy do służby pracującej wewnątrz klasztoru. – Co ty tu robisz?

– Ojciec furtian przysłał mnie po was – odparł Bonus. – Poleciał mi was zawiadomić, że przed chwilą powróciły dwie osoby.

– O kogo chodzi?

– O francuską dziewczynkę i mint... minia...

– Miniaturzystę – dokończył opat. „Zatem Gualtiero zawitał z powrotem!” Myśl ta sprawiła, że sam już nie wiedział, czy powinien być szczęśliwy, czy się lękać. Co on mu powie? Z pewnością nie może zataić przed nim treści listu od biskupa... Jednocześnie nie mógł się doczekać wieści z Ferrary. „Gdybym tylko miał więcej czasu na zastanowienie!” – zrzędził w myślach, kierując się niechętnie ku klasztorowi.

Zanim odszedł, przypomniał sobie o psie. Pokazał Bonusowi ranną łapę.

– Daj temu biednemu stworzeniu wody – rozkazał – i wezwij brata infirmera, aby się nim zajął.

Gualtierowi nakazano, by wraz z Isabeau zaczekał koło gołębnika. Gdyby mógł wybierać, schowałby się w wielkim wozie, należącym do jego rodziny. Dostrzegł go, gdy spojrzął za arkadę, przez którą widać było klasztorny dziedziniec, na skraju dróżki, którą dotarł do Pomposy. „Zaledwie miesiąc temu siedziałem w tym wozie, malując portret matki” – uzmysłowił sobie. To wystarczyło, by pod falą tych wspomnień oczy zaszyły mu łzami. Jego świat zmienił się tak bardzo, że nie potrafił się w nim rozeznąć. A ostatnią, najbardziej wstrząsającą wiadomość obwieścił mu sam Sigismondo tuż przed tym, nim wyzionął ducha.

Nie jestem twoim ojcem.

Słowa te przebiły mu serce niczym sztylet.

Zrazu przemknęło mu przez głowę, że wypowiedział je w obłędzie, dumając o śmierci. Boleść na twarzy Sigismonda skłoniła go jednak do przypuszczenia, że jest inaczej.

Zastanawiał się nad tym, płynąc do opactwa, kołysany prądem rzeki. Nie potrafił przywołać żadnego wspomnienia, które rozwiałoby jego wątpliwości. W jego życiu istnieli wyłącznie Sigismondo i Sapia. Był pewien, że się kochali i że pomimo skromnych warunków wiedli szczęśliwy żywot. Gdyby jeszcze przed kilkoma dniami ktoś mu powiedział, że łącząca ich więź opierała się na kłamstwie, zareagowałby oburzeniem. Teraz natomiast wydawało mu się, że wszystko spowija mrok tajemnicy. Pojmanie matki. Śmierć ojca. Jego własne narodziny.

Kluczem była Sapia.

Uznał to za oczywiste, gdy tylko odzyskał jasność umysłu. Wszystko zdawało się z nią wiązać. Wszystko brało początek od niej. Im mocniej się upewniał w tej kwestii, tym bardziej był rozdarty między tym, co mówił mu rozum, a tym, co nakazywało uczucie. Myśl, że matka go oszukała, wytrącała chłopca z równowagi. Jego dłonie instynktownie znajdowały schronienie w dłoniach Isabeau. Jej twarz złagodniała i dziewczyna go objęła.

Pod wpływem tego gestu Gualtiero przypomniał sobie, że płakał w jej objęciach, i po raz kolejny wyczuł jej przepojony tajemnicą zapach. Isabeau także skrywała zagadki. Przybyła z północy wraz z Maynardem, lecz ani słowem nie wspomniała o swej przeszłości. Pewne było jedynie to, że z trudem udawało jej się uchodzić za pannę z wysokiego rodu. Miała porywczy, niemal gwałtowny charakter, który nie bardzo licował z zachowaniem wymaganym od córek szlachciców czy bogatych kupców. Niemniej właśnie to go do niej przekonało, sprawiając, że jej zaufał, i dziękował Panu, iż ma ją przy sobie.

Nagle wyswobodził się z jej uścisku. Oto bowiem z jednego z budynków przylegających do klasztoru wyłonił się ojciec Andrea.

Zakonnik zbliżył się z rękami splecionymi na brzuchu, zwykle bardzo dostojny, teraz wszakże niespodziewanie zasapany. Skinąwszy na powitanie, spojrział pytająco na Isabeau.

– Wybaczcie, że się oddaliłam – rzekła dziewczyna, ledwie znalazła się z nim twarzą w twarz. – Chciałam odwiedzić mego szlachetnego brata.

– Uciekając z klasztoru? – odparł z wyrzutem opat. – Gdybym wiedział, kazałbym słudze was eskortować.

Isabeau wzruszyła ramionami.

– Towarzyszył mi messer Gualtiero.

Wielebnemu ojcu odpowiedź najwyraźniej nie przypadła do gustu. Z westchnieniem skupił uwagę na młodzieńcu.

– Synku – sposepniał – wszystko widać w twoich oczach.

– Mój ojciec nie żyje – Gualtiero odezwał się nadmiernie twardym głosem, lecz ból, który w sobie nosił, nie pozwolił mu przemówić inaczej. – Ale nie o tym chciałem z wami porozmawiać.

Andrea okazał najpierw zdziwienie, następnie głęboki smutek. Niezwykle powoli uczynił na sercu znak krzyża.

– Pozwólcie okazać mi swą żałobę.

– Nie o tym – odparował młodzieniec, walcząc z palącym go w piersi bólem. – Lecz o pomocy, której potrzebuję, by odnaleźć matkę.

Opat wraz z chłopcem odwrócili się plecami do krużganka i ruszyli ścieżką wiodącą na południe, aby swobodnie porozmawiać. Gualtiero wolałby mieć przy sobie Isabeau, ale zakonnik sprzeciwił się temu i polecił pachołkowi odprowadzić ją do kwatery.

– W bezpieczne miejsce – podkreślił ze zdawkowym uśmiechem.

Był ciepły dzień, który za sprawą wilgotnego powietrza stawał się parny. Szli obaj w milczeniu pod koronami wiązów, jesionów i topoli, aż dotarli do tafli zielonawej wody, nad którą unosiła się silna woń torfu. Gualtiero nigdy dotąd na ziemiach opactwa nie zapuścił się tak daleko. Wpatrywał się w najeżony trzciniami krajobraz, zachodząc w głowę, dlaczego mnich chciał mu go pokazać.

– To, co spotkało waszego ojca, jest niesłychane – oznajmił Andrea, przerywając ciszę.

– Messer Maynard niczego się nie dowiedział – odrzekł młodzieniec w odpowiedzi na niewyrażone głośno pytanie. – Ja zaś... mogłem tylko być obecny przy egzekucji. Bezsilnie się przyglądać.

– Czy w pobliżu szubienicy zauważyliście ludzi Kościoła?

– Ludzi Kościoła? – Gualtiero spojrział nań oszołomiony.

– Dominikanów, franciszkanów, inkwizytorów... – wyjaśnił opat, czyniąc niedbały gest ręką.

– Byli wyłącznie bratry z *Congregatio mortis*.

– Jesteście pewni?

– Tak, ojcze.

Andrea dumiał przez chwilę, tylko kiwając głową.

– Odprawię mszę w intencji Sigismonda – dodał ze współczuciem. – Żeby spoczywał w pokoju.

Młodzieniec wyczuł, że opat coś przed nim ukrywa.

– Jestem wam wdzięczny – rzekł. – Wszelako, jak już wspominałem, chcę was prosić o coś innego. Moja matka nie przebywa już w murach Ferrary. Maynard de Rocheblanche słusznie sądzi, że wywieziono ją do Awinionu.

– Niby dlaczego? – mruknął opat.

Gualtiero wpatrywał się w bagno, podziwiając wieczną senność, jaka zdawała się panować w tym miejscu.

– Rycerz tego nie wie – odparł. – Tak czy inaczej, muszę ją odnaleźć. Dlatego błagam was o pomoc.

Andrea nie od razu odpowiedział. Zastanawiał się ze skrzyżowanymi ramionami – czarna postać na tle pogrążonych w ciszy brzegów.

– Pojmujecie, o czym mówicie? – zapytał go w końcu. – Wiecie, ile dni wędrówki was czeka?

– Jeśli moje zamiary są słuszne, Bóg mi pomoże.

– Och, Bóg... – Oblicze opata przemieniło się w szyderczą maskę. – Nie bądźcie głupcem.

Chłopiec obrzucił go zawiedzionym spojrzeniem.

– I to wy mówicie w ten sposób, wielebny ojcze?

Andrea wzruszył ramionami, niemal rozdrażniony.

Gualtiero dostrzegł jego niechęć i po raz pierwszy doszło do niego, że pod benedyktyńskim habitem kryje się człowiek z krwi i kości.

– Potrzebuję pieniędzy na podróż – oświadczył bez ogródek. – Wierzcie mi, zwracanie się do was z taką prośbą wiele mnie kosztuje, ale nie mogę liczyć na nikogo innego. Przysięgam, że jak tylko wrócę, spłacę dług, pracując w skryptorium Pomposy nawet do końca życia, jeśli będzie trzeba.

– Jak tylko wróćcie... – powtórzył Andrea bez wiary. Po czym z westchnieniem spuścił głowę. – Zapewne nie wiecie, jakie nieszczęście spadło na moje opactwo. Nie daje się tego, rzecz jasna, porównać z waszym, aczkolwiek jego siła powaliła mnie na kolana. Ta garstka florenów, które miałem, przeszła z rąk markiza Obizza do skarbcza Kamery Apostolskiej. Wybaczcie mi zatem, Gualtiero. Choć pragnę wam pomóc, nie mogę.

– Nie proszę o wiele – nalegał młodzieniec, czując, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

– Wystarczy, by uszczuplić tę odrobinę, która pozostała. – Opat mówił przez zaciśnięte zęby, ze wzrokiem wbitym w odległy punkt, w którym wody zdawały się

stykać z białawą mgłą. – Nie zauważyliście, jak nędzny jest mój klasztor? Mam zaledwie dwudziestu zakonników, których dusze i ciała wystawione są na próbę.

Słyszając odmowę, Gualtiero poczuł, że jest zgubiony. Przymknął oczy, zapadając się raptownie w jakąś czarną czeluść, z której chciał się wydostać, aby nie dawać podstaw do dodatkowego upokorzenia.

– Gdybyście wszakże okazali cierpliwość... – ciągnął mnich.

Nagle znów sprawiał wrażenie spokojnego. Młodzieniec nie potrafił pojąć owej zmiany, dopóki nie spostrzegł wyrazu jego twarzy. Kłębiące się w nim wzburzenie ani nie ucichło, ani nie zostało stłumione. Nadal szalało gdzieś w tajemnych zakamarkach, poza twardą czernią jego źrenic.

– Na miłość boską, ojcze, mówcie jaśniej.

– Dzięki talentowi moglibyście zgromadzić potrzebne pieniądze – oznajmił Andrea. – Jak wiecie, do biblioteki w Pomposie zwracają się często zamożni panowie, chcąc zdobyć kopie swoich manuskryptów. Kosztowne kopie, zwłaszcza gdy ozdobione są cennymi miniaturami, w których tworzeniu jesteście mistrzem. – Obdarzył go uśmiechem. – Gdyby nadarzyła się taka sposobność, byłbym gotów podzielić się z wami zapłatą.

– Ale może upłynąć wiele miesięcy... – zauważył Gualtiero. – Nawet lat.

– Albo tydzień.

Chłopiec nie wiedział, co odpowiedzieć. Żałoba popychała go do odrzucenia pomysłu i wyruszenia w drogę, zanim będzie za późno również dla matki. Jednocześnie słowa opata potwierdzały to, co wyłuszczył mu wcześniej Maynard: gdyby oprawcy Sapii pragnęli jej śmierci, z pewnością nie zadawaliby sobie trudu, wywożąc ją do Awinionu.

Przycisnął dłonie do skroni, lękając się, że zaraz postrada zmysły. Gdyby był wasalem, nie wahałby się ani chwili, zebrałby kilku śmiałków i popędził ją uwolnić. Życie nie okazało się dla niego jednak łaskawe. Każda przeszkoda zamieniała się w niedostępną, niemal nieosiągalną górę. Szczególnie teraz, gdy został sam, otoczony przez obcych, których słowa z trudem rozumiał. Wszelako potrzebował sprzymierzeńców i doskonale wiedział, że nie może odrzucić żadnej ofiarowanej mu pomocy.

– Wielebny ojcze – rzekł zdecydowanie – jestem zmuszony przyjąć wasze warunki.

Andrea skinął głową, ciągle wpatrzony w bagno. Milcząc, skrywał liczne obawy.

FERRARA, PAŁAC SIGNORII

28 KWIETNIA

Nim Maynard przekroczył próg wielkiej sali, zaczekał, aż jego wzrok przywyknie do silnego światła, które wpadało przez wychodzące na rynek biforia. Otwierała się przed nim szeroka przestrzeń ozdobiona herbami i freskami, przedstawiającymi dokonania ludu Ferrary. W głębi, w otoczeniu garstki dostojników, siedział markiz Obizzo III d'Este.

Rocheblanche podszedł do niego zdecydowanym krokiem, oswajając się ze swoimi nowymi szatami. Wybrał brunatnoczerwoną barwę, aby dodać sobie powagi i jednocześnie podkreślić surowość zakonu rycerskiego. Nie wiedział jednak do końca, jak powinien zachować się przed obliczem możnowładcy. Ten zaś przyglądał mu się, gładząc ciemną brodę, po czym szepnął coś do ucha wysokiego mężczyźnie w długiej szacie, siedzącemu po jego prawej stronie.

Na widok ich kpiących uśmiezków dumny Rocheblanche o mało się nie zachnął. Towarzyszem Obizza był Filippo Migliorati, sędziego należący do Rady Dwunastu Mędrców i przywódca ferraryjskiej szlachty. W czasie prowadzonych w mieście poszukiwań Maynard był zmuszony do pertraktowania z niektórymi jego pochlebcami. Na szczęście Maynard rozpoznał nie tylko jego. Na uboczu, pod arrasem, dostrzegł Bastiena des Baux.

Zachęcające skinienie mistrza fechtunku dodało mu otuchy.

Rycerz zdołał skłonić się przed Obizzem, wszelako kolejny szydarczy uśmiech Miglioratiego wzbudził w nim gniew.

– Wiedźcie, messer – rzekł w odpowiedzi – że nie przywykłem, by witano mnie z takim grubiaństwem.

– Wybaczcie mu, szlachetny panie – wtrącił Obizzo z krotochwilną miną. – Jak przystało na dobrego Toskańczyka, messer Filippo ma uszczypliwą naturę. Właśnie mi wyznał, że nigdy dotąd nie widział rycerza bez miecza.

Dopiero teraz Rocheblanche uzmysłowił sobie, że jest jedynym nieuzbrojonym mężczyzną na sali, noszony bowiem u pasa sztylet się nie liczył. Wezwano go tak niespodziewanie, że nie zdążył odebrać estoka ani długiego miecza, przechowywanych w krypcie Pomposy. Wcale niespeszony, obdarzył obecnych dumnym uśmiechem.

– Byle łapserdak mógłby się obnosić z mieczem i udawać rycerza, lecz to cnota hartuje żelazo, w czym jestem mistrzem.

– Nie brak wam ciętego języka – skwitował markiz, jakby prowokowanie gościa go bawiło – jednakże mój syn powinien się wprawić we władaniu bronią. Czujecie się na siłach go uczyć?

Maynard nieznacznie pochylił głowę, ale nie spuścił wzroku.

– Jestem gotów.

– Podajcie zatem wasze imię i tytuł.

– Messer Maynard, pan na zamku Rocheblanche i rycerz Jego Królewskiej Mości Filipa VI Walezjusza.

– Mocno się oddaliliście od swoich ziem – zauważył d’Este. – Co was do tego skłoniło?

– Po klęsce pod Crécy rozpocząłem tułacze życie – odrzekł Francuz. – Od tej pory nie pragnę niczego innego, jak dowieść męstwa.

Na te słowa Obizzo rozejrzał się dokoła z grymasem powątpiewania.

– Niechaj dadzą mu miecz.

– To obelga! – wybuchnął Bastien des Baux z wypiekami na twarzy. – To ja poleciłem wam tego człowieka, ręcząc za jego męstwo i lojalność. Traktowanie go z taką wyższością oznacza zniewagę.

– Jeśli mam mu powierzyć własnego syna – ryknął markiz – zdecyduję, czy to uczynić, dopiero wtedy, gdy ocenię jego zalety. I sprawi mi to przyjemność.

– Niechaj będzie – odparł Maynard, uspokajając nastroje, po czym podniósł dłonie na wysokość piersi. – Niech mi dadzą żelazo.

– Dostaniecie moje. – Bastien des Baux dobył miecza i mu go wręczył. Był to burgundzki estok, półtorak z kulistą główką i jelcem tak długim, że przypominał krzyż.

Skinąwszy kompanowi z wdzięcznością, Rocheblanche zważył broń w dłoni, kilkakrotnie przeciął powietrze, wyszedł na środek sali i czekał.

Zanim markiz zdążył się odezwać, wystąpił naprzód jakiś odziany na zielono szlachcic. Był potężny niczym byk i miał tak niskie czoło, że wyglądał jak mała.

– Pozwólcie, że to ja będę się bił z kogutem – oznajmił butnie.

– Messer Niccolò de’ Roberti, pan na zamku San Martino in Rio – obwieścił drwiąco Obizzo. – Nie jestem temu przeciwny, mam wszakże nadzieję, iż nie utracę jednego z cennych sprzymierzeńców królestwa.

Owa dowcipna uwaga wzbudziła powszechne rozbawienie, które dodatkowo podsyciło nerwowy nastrój. Obaj mężczyźni nosili lekkie szaty, które nie mogły ich ochronić przed bezpośrednimi razami, mimo to nie przejawiali ani odrobiny wahania.

Niccolò de’ Roberti drżał z niecierpliwości, by się pokazać. Dostrzegając jego pragnienie, Maynard skinął, by rozpoczął pojedynek. Odczekawszy bez ruchu, aż tamten się zbliży, odparował cięcie z góry, następnie chwycił estok oburącz i zadał cios z dźwignią, by go zmusić do cofnięcia się. Rywal stracił równowagę

i wpadł na ścianę. Rozwścieczony sieknął z całej siły. Rocheblanche zrobił unik, uginając nogi, i ugodził go płazem w bok. Uderzenie było niczym potężne smagnięcie batem.

Niccolò wydał zdławiony okrzyk i zgiął się wpół. Jego dzika twarz zapowiadała straszliwy odwet, Maynard wcale się tym jednak nie przejął. Celowo go upokarzał, aby dowieść Obizzowi, jak niewiele warci są jego paladyni.

W oczekiwaniu na dalszy ciąg pojedynku rycerz wrócił na środek sali, odsłonił się i jął się wpatrywać w przeciwnika zawiedziony, jakby upominał kadeta. Niccolò popełnił błąd, rzucając się naprzód, aby zaatakować go pchnięciem w pierś. Rocheblanche uskoczył w bok, złapał go za nadgarstek i zmusił do opuszczenia miecza, tak aby sztych dotknął podłogi, po czym uderzył nim gwałtownie i zgiął go.

Pozwoliwszy, by Niccolò de' Roberti runął na kolana, wskazał nieodwracalnie zwichrowany miecz.

– Jak mówiłem, byle łapserdak może się obnosić z bronią.

Markiz Obizzo wstał zachwycony.

– Winszuję, messer. – Przemierzył salę i uściśnął mu dłoń, spoglądając nań po raz pierwszy ze szczerym respektem. – Może to ja powinienem skorzystać z waszych nauk. Teraz jednak chodźcie za mną, nie zwlekajmy dłużej. Nie mogę się doczekać, kiedy przedstawię wam mego młodego Aldobrandina.

Wielmożna Lippa Ariosti odsunęła się od szpary w murze, przez którą patrzyła na to, co działo się w wielkiej pałacowej sali. Mężczyźni już dawno przestali budzić jej ciekawość, musiała jednak przyznać, że ten nowy rycerz, Rocheblanche, wcale nie był byle kim.

Zaintrygowała ją jego tajemniczość. Wydawało jej się, że już go widziała przed kilkoma dniami wśród widzów oglądających wyścigi konne. Nie była jednak gotowa przysiąc, że tak było, gdyż mężczyzna, którego zapamiętała, nosił mnisi habit.

Z pewnością Jego Wielmożność chętnie by posiadał taką wiedzę. Wszelako Lippa Ariosti miała zupełnie inne zamiary. I nikomu by nie pozwoliła popsuć sobie zabawy.

Tylna część pałacu zwrócona była na zachód, w kierunku dzielnicy Świętego Marka, otwierając się na dziedziniec, dostatecznie szeroki, by urządzać na nim turnieje rycerskie. Maynard przyjrzał się drewnianemu krużgankowi, okalającemu go z prawej strony, po czym jego wzrok zatrzymał się na budowli wzniesionej po przeciwnej stronie, stajni i prawdopodobnie składzie broni, rzędów i oporządzenia jeździeckiego. Pośrodku, przy studni, rozprawiali o czymś dwaj młodzieńcy. Ten wyższy, jasnowłosy i chudy, miał na sobie lekkie rycerskie szaty, na które składały się skórzany kaftan i buty z cholewami. Drugi, bardziej wąły, nosił tunikę z pasiastej tkaniny.

Rocheblanche przystanął pod portykiem na skraju dziedzińca, obok markiza Obizza, darzącego go coraz większym szacunkiem. Zachowanie mężczyzny go nie zaskoczyło. Jego Wielmożność był miejscowym władcą, który obwarował się na skraju olbrzymiej szachownicy, pozostając na łasce wielkich potęg, mogących mu zagrozić. Wystarczyło pokazać odrobinę żarliwości, aby uzmysłowił mu, jak mały jest jego świat urzędników.

Odczekawszy, aż obecni go otoczą, wskazał jasnowłosego chłopca pośrodku dziedzińca.

– Messer Aldobrandino, mój najstarszy syn – oznajmił z dumą. – Ledwie skończył dwanaście lat, a już przebiera nogami, żebym uczynił go naczelnym dowódcą milicji.

– To piękny młodzieniec, sprawia wrażenie pełnego wigoru – powinszował mu Maynard.

Aldobrandino, spostrzegłszy, że o nim mowa, odwrócił się ku nim i skłonił.

– Panie ojczy – rzekł – co was do mnie sprowadza?

– *Chevalier* de Rocheblanche, twój nowy mistrz fechtunku – odparł szlachcic, klepiąc nieznajomego po ramieniu. – Zanim jednak ci go przedstawię, pragnąłbym pokazać mu twoje postępy we władaniu mieczem.

Syn markiza przywitał się z Maynardem i polecił chłopcu w pasiastej tkaninie, aby przyniósł mu broń. Pachołek czym prędzej spełnił rozkaz. Podbiegł do stojaka, wy dobył odpowiedni dla budowy panicza mały miecz i szybko mu go wręczył. W ferworze potknął się i runął przed nim wprost w kałużę.

Aldobrandino otrzepał się z grudek błota, czerwieniejąc ze złości.

– Głupiec! – wysyczał. – Jak śmiesz upokarzać mnie przed moim szlachetnym ojcem!

Podniósł mieczyk i uderzył pachołka płazem w plecy, zmuszając go, by skulił się na ziemi z głową w dłoniach.

Nieszczęśnik jęczał z bólu, błagając o wybaczenie płaczącym głosem.

Zanim Obizzo zdążył coś zrobić, Maynard podszedł do chłopca, wyrwał mu

z rąk broń i spoliczkował go.

– *State ergo succincti lumbos vestros in veritate et induiti loricam iustitiae!*³ – zrugął go, następnie odwrócił się ku obecnym ze spartańską dumą. – Święty Paweł naucza, aby silny chronił słabego.

Aldobrandino, szkarłatny ze wstydu, dotknął policzka.

Markiz przyglądał się temu szeroko otwartymi oczami, z niedowierzaniem i zarazem z oburzeniem.

– Spoliczkowaliście mojego syna – napadł w końcu na Rocheblanche’a i ruszył ku niemu, położywszy prawą dłoń na rękojeści miecza.

– Sam zostałem kiedyś spoliczkowany – odparł rycerz. – Było to w dniu inwestytury i miało na celu wybudzenie mnie z *malitia*, abym stał się mężczyzną. – Pochylił się nad pachołkiem i pomógł mu się podnieść. – Cóż, Wasza Łaskawość, czyż nie pragniecie tego samego dla waszego potomka?

Obizzo znieruchomiał w blasku południowego słońca i patrzył na niego z ukosa. Maynard dobrze znał ten wzrok mastyfa. Dostrzegł go po raz pierwszy w ubiegłym miesiącu w katedrze i od tamtej pory wiedział, że ma do czynienia z osobnikiem drażliwym i nieprzewidywalnym. Rzucił mu pod nogi mieczyk i uśmiechnął się wyzywająco, zdając sobie sprawę, że stawia na szali wszystko.

– Wystawiacie mnie na próbę, messer? – zapytał Obizzo tak ostrym tonem, że aż zwrócił uwagę straży.

– Nie bardziej, niż sami to czynicie, Wasza Łaskawość – odrzekł Francuz, wytrzymując jego spojrzenie.

Markiz splótł ręce na piersi.

– Posłuchajcie mnie uważnie – oznajmił. – Gdybym dojrzał w was choć ślad zuchwalstwa, już bylibyście mięsem dla moich psów. Niech wam się jednak nie wydaje, że jestem taki łatwowierny i nie wiem, co sobie myślicie. Wiem, skąd przybywacie. Zapewne mój dwór wydaje się wam niczym w porównaniu z paryską *curia regis*. Tak czy inaczej, teraz znajdujecie się tutaj, pod moją życzliwą opieką.

– Sądząc po tonie, tuszę, że pojęliście mój gest.

– Owszem, messer. – W głosie markiza zabrzmiała ukryta groźba. – Lecz jeśli jeszcze raz ośmielicie się publicznie upokorzyć mego syna, wasza głowa zostanie nadziana na włócznię.

Maynard rozłożył ręce.

– Mam zatem nadzieję, że wasz *donzello*⁴ okaże się pojętym uczniem. – Podniósł z ziemi mieczyk i oddał z powrotem pachołkowi. – Przynies mi estok godny tego miana, z klingą długą przynajmniej na pięć piędzi i z szerokim jelcem. Nadeszła pora, by messer Aldobrandino zawierzył prawdziwej broni.

Dzięki tym słowom pozyskał pochwalne skinienie panicza d’Este.

Ćwiczenia Aldobrandina rozpoczęły się nazajutrz. Uzyskawszy pozwolenie Jego Wielmożności, Maynard spotkał się z nim na pałacowym dziedzińcu. Od razu

wyczuł niechęć chłopca, bez wątpienia wywołaną policzkiem. Po rycerskim pozdrowieniu zademonstrował mu porządnie wykonany miecz i skierowawszy go sztychem do dołu, wskazał na głowicę.

– Zapamiętajcie, messer, że tym też można zaatakować. O, tak! – Udał, że zadaje mu cios w splot słoneczny i w podbródek, jakby dzierżył moździerz.

Chłopiec cofnął się o krok i zasłonił twarz. Gdy zorientował się, że nie było to prawdziwe uderzenie, spojrział na mistrza ze zdziwieniem.

– Przejdźmy teraz do głowni – ciągnął Rocheblanche. Napięcie między nimi zaczęło słabnąć. – Składa się z trzech części, z których każda ma własne cechy. Opanowanie jej odróżni was od ordynarnego awanturnika. – Następnie wskazał okolicę sztychu, środek, a na koniec część najbliższą nasady, określając je po kolei: *cieńszyzna*, *miąszzyna*, *zastawa*. Odczekał, aż chłopiec skinie głową, po czym objaśnił: – Jak widzicie, cieńszyzna to jedyny zaostrowany, ale zarazem najłatwiejszy do złamania punkt. – Skierował uwagę na środek głowni. – Miąszzyna, szersza i bardziej wytrzymała, jest nader istotna przy zasłonach, czyli odpieraniu ataków przeciwnika. – Następnie przeszedł do części przy nasadzie. – Zastawa ma tak dużą wytrzymałość, że pozwala na parowanie i blokowanie. Zrozumieliście?

– Cieńszyzna, miąszzyna i zastawa – powtórzył Aldobrandino, przytakując gorliwie.

– W takim razie przyjmijcie postawę! – Rocheblanche wręczył mu estok, polecił przybrać pozycję i okrążył go. – Nogi mniej rozstawione. Plecy proste. Ustawcie się bardziej bokiem. O tak, z wdziękiem. Może być.

Młodzieniec posłał mu wyćwiczony uśmieszek. Z każdej cząsteczki jego ciała biła chęć zadawania ciosów.

Rycerz przyjrzał się jego twarzy i odkrył w niej obcą jego ojcu uprzejmość. Ponadto dostrzegł charakterystyczną naturę latorośli wysokich rodów, hardą i popędliwą. Jak swego czasu u siebie. Nakazał mu stać bez ruchu, z uniesioną bronią, po czym ruszył ku stojakowi.

Wybrał miecz tej samej wielkości i nakreślił na ziemi linię odgradzającą nauczyciela od ucznia. Tymczasem Aldobrandino zachowywał postawę szermierczą, chociaż od ciężaru miecza zaczęła mu drżeć ręka.

– Teraz oceńcie dokładnie odległość – polecił Maynard i stanął naprzeciw niego w pozycji do ataku. – Odległość między przeciwnikami jest istotna, dobrze to sobie zapamiętajcie. To ona zdecyduje, czy zadacie cios z daleka, czy zastosujecie walkę z bliska. Pojmujecie? W pierwszym przypadku będziecie mieli dość miejsca, żeby ugodzić cieńszyzną. W drugim z kolei będziecie musieli użyć miąszzyny i zastawy.

– Doprawdy istnieje aż tyle reguł? – zapytał Aldobrandino. – Myślałem, że to kwestia instynktu i brutalnej siły.

– Uważacie się za chama z kijem? – wyśmiał go Rocheblanche. – Sztuka władania mieczem jest jak filozofia i muzyka. Trzeba się jej uczyć, doskonalić ją, odczytywać. Nieliczni zgłębili jej tajemnice.

– Czy to dlatego udało się wam pobić Niccolò de' Robertiego?

Francuz zerknął na niego z ukosa.

– Skąd o tym wiecie?

– Powiedziała mi o tym matka, wielmożna Lippa Ariosti.

Maynard nie znał tej damy. Widział ją przelotnie i nie orientował się, jakie stosunki łączą ją z Obizzem III.

– Mówiła, żeście pokonali go zaledwie trzema ciosami – ciągnął z podziwem Aldobrandino.

– Dwoma. – Francuz puścił do niego oko. – Przy trzecim ataku odpowiedziałem twardą paradą.

Słyszac to, chłopiec nie zdołał ukryć zachwyty.

– Powiedzcie mi jak, mistrzu!

– Może później. – Rocheblanche dał mu znak, by poprawił postawę. – Teraz pokażę wam najbardziej podstawowe techniki walki z daleka i z bliska i lepiej dla was, żebyście dobrze uważali. Być może pewnego dnia zdołają ocalić wam życie.

Przystąpiwszy do objaśnień, w myślach powtórzył zaplanowane działania. O zmroku zejdzie do pałacowych podziemi i poszuka kwatery Facia di Malaspiny. Może tam znajdzie wskazówki dotyczące jego śmierci i kryjówki dwóch relikwii, za którymi od tak dawna się uganiał.

Po ucieczce z Pomposy ojciec Facio znalazł schronienie w Pałacu Signorii, gdzie został zmuszony do zamieszkania w podziemiach. Maynard zastanawiał się nad przyczyną tego, zamierzał ją poznać o zmroku. W tym celu musiał wszakże sprawić zawód Aldobrandinowi, który liczył, że po pierwszej lekcji usłyszy o bohaterskich czynach Maynarda.

– Jutro – przyrzekł rycerz i czym prędzej się pożegnał.

Opuściwszy piętro reprezentacyjne, zagłębił się ukradkiem w gmatwaninę pałacowych korytarzy, aż trafił na jeden oświetlony pochodniami. Nie były to wprawdzie lochy, lecz i tak poczuł się jak w więzieniu. Ruszył naprzód, mając nadzieję, że nie natknie się na żadnego wartownika.

Napotkał dwie nisze, wszelako, gdy stwierdził, że są puste, podążył dalej w półmroku. Schylił głowę i pokonał kolejne stopnie, po czym wszedł do kaplicy skazańców, gdzie znajdowały się stary klęcznik i krucyfiks. Jego uwagę przykuły drzwi po obu stronach ołtarza. Za tymi po lewej ciągnęło się ciemne niczym noc przejście, natomiast za tymi po prawej dostrzegł izbę z pulpitem i siennikiem.

Mając nadzieję, że trafił na właściwe miejsce, Maynard wziął tkwiącą w ścianie pochodnię i przekroczył próg.

Najwyraźniej pulpit był niedawno używany. Znajdował się na nim kałamarz z jeszcze świeżym inkaustem, ogarek świecy i arkusz pergaminu. Rycerz spojrział na pergamin, a gdy przeczytał widniejący na nim napis, drgnął.

*Missam ut molam ab angelo in mare
est Lapis exilii situs in Monte floris
nostra salute clausus in vetusta crypta
sub caelo historiis mire depicto
a meridie Sancti Savini in villa Cerisii.*

Nie wątpił ani przez chwilę, że autorem tych słów był Facio di Malaspina. Oprócz niego jedynie Facio znał zagadkę prowadzącą do klasztoru w Mont-Fleur i tajemnicy *Lapis exilii*. Tylko dlaczego ją przepisał? Maynard odsunął owo pytanie, uzmysłowił sobie bowiem nagle, że tekst nie kończy się tak, jak oczekiwał. *Zawierał szósty wers*. Zdanie, którego nigdy wcześniej nie widział.

Wtem doszedł do niego jakiś niespodziewany hałas.

Na posłaniu coś się poruszyło.

Z dłonią na sztylcie przybliżył się i trącił stopą zwiniętą na sienniku tkaninę. Wskoczyło z niej z dziesięć szczurów, które rozbiegły się na wszystkie strony.

„Biedny Facio” – pomyślał. Spędził swe ostatnie dni w szczurzej norze, bojąc się, że ktoś go wytropi. Maynard był pewien, że nie on jeden go ścigał. W mroczną intrygę musiały zostać wplątane także inne osoby. Nader niebezpieczne

osoby, o których być może widam Orsini coś wiedział... „Ale wszystko w swoim czasie” – rzekł w duchu. Zanim przyjdzie mu wypytać ponownie to oślisze indywiduum, zamierzał stworzyć sobie dokładniejszy obraz całej sprawy.

Nim powrócił do pulpitu, przyjrzał się zawiniątku, rozpoznając w nim mnisi habit oraz odzienia przedstawicieli różnych profesji. Nogawice, szkaplerz z kapturem, kaftan, płaszcz... Być może ojciec Facio z nich korzystał, aby się maskować i swobodnie krążyć po mieście.

W ubraniach leżała sakwa podróżna. Otworzył ją w poszukiwaniu nowych wskazówek, lecz okazała się pusta. Wywrócił ją więc na drugą stronę, a wtedy w blasku płomienia dostrzegł, że na źdźbła słomy spada jakiś mały przedmiot.

Schylił się, by go podnieść.

Był to złoty pierścień.

Natychmiast rozpoznał kroczącego na tylnych łapach lwa i kardynalskie symbole wygrawerowane na oprawie. Był to pierścień, który powierzył mu tuż przed śmiercią Jan Ślepy, wraz z zagadką *Lapis exilii*. Rozsierzdziła go myśl, że ten ośliszy Facio zabrał mu go sprzed nosa. Wszelako jeszcze bardziej rozgniewało go przeczucie, że ten przeklęty mnich wiedział więcej od niego również w kwestii tego klejnotu.

Licząc na to, że pergamin pomoże mu coś więcej zrozumieć, podszedł do pulpitu, aby przeczytać szósty wers zagadki.

Xpi servata ab primis in quinque.

Rocheblanche odniósł wrażenie, że w izbie zrobiło się jeszcze ciemniej. Pewnie płomień nieco przygasł. Albo jego przytłoczony tajemnicą umysł utracił zdolność pojmowania.

„To nie ma żadnego sensu” – pomyślał. Z pewnością *Xpi* to *chrismon*, monogram Chrystusa. Umykało mu wszakże powiązanie z wyrażeniem *ab primis in quinque*. Przez chwilę przywiodło mu ono na myśl pewne zagadkowe zdanie zasłyszane wiele lat wcześniej z ust wędrownego mnicha: *Na krzyżu są trzy gwoździe, Jego ran natomiast jest pięć*. Czyżby miał do czynienia z kolejnym odniesieniem do Pana? Maynard żałował, że nie może pobiec do swej siostry, Eudeline, i poprosić ją o radę. To ona pomogła mu rozwiązać zagadkę, co zawiodło go do Mont-Fleur, ale też wpoilo lęk przed Apokalipsą. Teraz jednak znajdowała się daleko, w swym klasztorze w Reims. On zaś został wplątany w krwawą zbrodnię, która, zamiast się wyjaśniać, jeszcze bardziej się gmatwała.

Jaki by nie był powód zabójstwa ojca Facia, w tych ponurych ścianach niczego więcej nie znajdzie.

Nie pozostało mu nic innego, jak zwinąć pergamin, włożyć do sakiewki wraz z kardynalskim pierścieniem i czym prędzej wyjść z tych podziemi, zanim ktoś go zobaczy.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

Chart drzemał w kącie zielarni pod niewielkim oknem. Po energicznym wyszczotkowaniu przez Bonusa miał jedwabistą bielusienką sierść, podpalaną na rudo na grzbiecie. Ojciec Andrea pochylił się nad nim, by obejrzyć tylną łapę, włożoną w łubki i owiniętą. „Co ja wyprawiam?” – pytał tymczasem sam siebie. Nigdy dotąd nie opiekował się zwierzętami domowymi, uznawszy to zajęcie za frywolne. Stworzenie to jednakże go wzruszyło.

– Nie pojmuję – mówił stojący za jego plecami infirmer – tyle starań raptem dla psa.

Andrea pogłaskał charta.

– Mistrz uczy nas szanować również zwierzęta – rzekł, jakby odpowiadał samemu sobie.

Zakonnik rozłożył ręce.

– Ale żeby marnować na zwierzę te resztki medykamentów, które mam w zapasie...

Opat uciszył go wzrokiem.

– Wyzdrowieje?

– Obawiam się, że nie całkiem. Łapa jest złamana, być może po spotkaniu z jakimś dzikim zwierzęciem. Zrobiłem, co mogłem.

Ojciec Andrea próbował sobie wyobrazić, czym jest dla takiej istoty unieruchomienie. „Ograniczona w swych zapędach, tak jak mój duch”. Wpatrywał się w zwierzę, odnosząc wrażenie, że ono również mu się przygląda. Zdumiało go wszakże coś innego. W psich oczach dostrzegał niemal stoicką wytrzymałość na ból, być może dającą się przyrównać do łaski. Łaski proroka Jakuba, którego Bóg okulał, a potem pobłogosławił. „A gdyby tak się stało i ze mną?” – zastanawiał się opat. „Gdyby osłabienie mojej wiary było próbą, na jaką wystawił mnie Pan?” Myśl ta zawiodła go daleko, skłaniając do ponownego rozważenia planów duchowej reformy. Niemal niemożliwego, lecz koniecznego dla odrodzenia Pomposy przedsięwzięcia.

Infirmer chrząknął, chcąc wyrwać go z zadumy.

– Muszę się z wami szczerze rozmówić, ojcze.

– Słucham – zachęcił Andrea.

– W klasztorze pojawiły się dwa przypadki wysokiej gorączki. Niezdrowe wyziewy z bagna wraz z nadejściem lata...

Opat ponownie pogłaskał charta, jakby szukał u niego zrozumienia.

– Zatem to nic nowego.

– Macie słuszość – zgodził się zakonnik. – Wszelako, jak już wspomniałem, niedostatek medykamentów uniemożliwia mi należyte wypełnianie obowiązków. Niektóre zioła nie wschodzą w naszym *hortus simplicium*⁵, pojmujecie? Nasiona konopi, opium, naparstnicy, mandragory... Za pozwoleniem, potrzebowałbym pieniędzy, żeby udać się do zielarza i zdobyć skromny zapas.

– Rozumiem. Sam o to zadbam.

– Nie miałem na myśli jedynie tego – ciągnął poważniejszym tonem infirmer.

– Już sobie wyobrażam, do czego zmierzacie – westchnął Andrea.

– Mnisi są źle odżywiani. W ich stanie łatwo o chorobę albo wyczerpanie.

– Głód wszędzie się sroży, nie tylko w naszym klasztorze.

– Tutaj wszakże jest mowa o synach Kościoła, nie o prostych wieśniakach.

Na te słowa opat się obruszył.

– Uważacie się za lepszego od nich tylko dlatego, że jesteście fratrem? – Już miał wstać, by go wyłajać, lecz zorientował się, że chart liże go po ręce. Rozczuliło go to tak bardzo, że zapomniał o rozgoryczeniu. Zresztą, nie było warto się gniewać. Widmo nędzy od dawna wisiało nad opactwem, gęstniejąc niczym czarna chmura, w miarę jak topniały zapasy pszenicy, warzyw i dziczyzny. Byłoby to jednak do zniesienia, gdyby nie długi zaciągnięte u Kamery Apostolskiej.

– Pokładajcie ufność – powiedział znienacka pojednawczo. – Istnieje na to lekarstwo.

– Nie zwódcie mnie, wielebny ojcze – zaprotestował zakonnik. – Nie jestem dzieckiem, które trzeba uciszyć.

– Rozmawiam z wami uczciwie, nie wążpcie – upierał się Andrea.

Rzeczywiście istniało rozwiązanie. Zastanawiał się nad nim od wielu dni i chociaż uważał je za zbyt poniżające, nie widział innego wyjścia. Wszelako było za wcześnie, by wyjawić je mnichom. Najpierw chciał przedyskutować to z pewną zaprzyjaźnioną osobą. A przynajmniej tak właśnie lubił myśleć o rycerzu Rocheblanche'u.

Wstał.

– Nie mam teraz czasu zagłębić się w tę kwestię, czekają na mnie w skryptorium. – Ruszył do drzwi. – Sporządźcie spis ziół leczniczych, których wam potrzeba, a ja czym prędzej zadbam o uzupełnienie naszych zapasów. – Pożegnał się. – A wy, ojcze, zatroszczcie się o Moczarka.

– Moczarka? – powtórzył infirmer. – A niby kto by to miał być?

Opat wskazał charta.

– Przecież jakoś musimy go nazwać, nie sądzicie?

Ojciec bibliotekarz czekał nań w krużganku *palatium*, przechadzając się w tę i z powrotem z rękami założonymi do tyłu. Był rówieśnikiem Andrei, aczkolwiek za sprawą długiej białej brody wydawał się starszy. Zbliżywszy się, opat spostrzegł

jego ciężki od niewidzialnego brzemienia chód.

– Pragnęliście się ze mną widzieć? – zapytał jowialnie.

Bibliotekarz skinął mu na powitanie.

– Wielebny ojcze, oczekiwałem was z niepokojem.

– Cóż takiego?

– Proszę, nie tutaj. Wolałbym się z wami rozmówić w bardziej... ustronnym miejscu.

– Czy biblioteka waszym zdaniem się nadaje? – zapytał Andrea spokojnie.

Gdy tamten skinął przyzwalająco, ruszyli na wyższe piętro.

Wspięli się po schodach i weszli na korytarz oświetlony pięcioma rzędami pięciodzielnymi okien, za którymi rozpościerał się widok na opactwo wraz z dzwonnica. Po przeciwnej stronie ceglany mur odgradzał ich od osobnych, choć przylegających do siebie, pomieszczeń skryptorium i biblioteki. Opat szedł szybko, unikając sali kopistów, aby im nie przeszkadzać.

– Gdybyście tymczasem zechcieli coś wstępnie powiedzieć... – zaczął, nie mogąc się doczekać, by poznać przyczynę tak silnego wzburzenia.

Zakonnik podązał za nim ze spuszczoną głową.

– Powinniście wiedzieć...

– Wiedzieć co?

Dotarłszy pod drzwi do biblioteki, opat odwrócił się i spojrzał uważnie w twarz swego towarzysza.

– Chłopiec – westchnął bibliotekarz z coraz bardziej posępną miną. – Młody miniaturzysta...

Pomarszczona twarz ojca skryptora zastygła w zdumieniu. Gualtiero cieszył się przez chwilę, że wywołał u niego tak wielkie zdziwienie, po czym pochylił się nad pulpitem i zabrał z powrotem do ozdabiania pierwszej strony *Explanatio Apocalypsis* Bedy Czcigodnego. Pomimo dumnej natury ból po stracie ojca nie pozwalał mu się pysznić swoimi umiejętnościami przed kopistami ze skryptorium. Co więcej, poczucie, że jest przedmiotem ich podziwu, drażniło go, skłaniając do poświęcenia całej uwagi wyłącznie miniaturom.

Praca mu nie ciążyła. Wprawdzie z początku trudno mu było znów wziąć do ręki pędzelek, teraz wszakże już z łatwością uciekał w skupienie, aby odgrodzić się od świata. W tej jakby przytłumionej mgle, z dala od natrętnych myśli czuł się na siłach rozważyć każdą kwestię bez pośpiechu i bez lęku, szukając najskuteczniejszego rozwiązania, choćby sposobu na odnalezienie Sapii i na pomszczenie Sigismonda. Zupełnie jakby myśli przybrały proporcje drobnych obrazów, jakie były jego dziełem. Choć potrafiły go zranić, były bardziej znośne.

Opanowanie techniki miniatury nie zajęło mu wiele czasu. Nauczywszy się mieszania kolorów – w sposób bardziej delikatny niż w technice tempery – i łączenia ich w roztworze gumy arabskiej oraz cukru, wprawił się w kładzeniu ich

na pergaminie, a następnie wyćwiczył się w każdym z czterech stadiów poprzedzających wykończenie pracy. Bawił się, odwzorowując fałdy, cienie i kolor skóry, stosując na przemian czerwień żelazową, biel ołowiową i czern z winorośli. Często jednak zadawał sobie pytanie, jakie wrażenie wywarłyby te małe postaci, gdyby można je było przedstawić na większych powierzchniach i patrzeć na nie w świetle dnia i blasku świec.

Jakkolwiek znajdujące się w pomposkim skryptorium kodeksy były wspaniałe, nie zapomniał o słowach ojca: to fresk jest najważniejszą ze sztuk. Niech wielebny Andrea mówi, co chce, dla niego stanowiło to absolutną prawdę. Jedyną, jaka mu pozostała po przerażających słowach wypowiedzianych przez Sigismonda. Wiadomość, że nie jest jego synem, wstrząsnęła nim bardziej niż wspomnienie śmierci Sigismonda. Czuł się wypędzony, pozbawiony przeszłości. Myśl, że Sapia zataiła przed nim tak ogromną tajemnicę, podsyciła jego gniew.

Wtem z zadumy wyrwały go słowa ojca bibliotekarza. Dobiegały z przyległej izby, wszelako panująca w sali kopistów cisza sprawiała, że słyszał je wyraźnie.

- Zbyt długo to znosiłem! Może sobie mieć talent, jednak...
- Jednak co? – Drugi, pełen oburzenia głos należał do ojca Andrei. – Wasze zarzuty są żalosne, ociekają zawiścią.
- Ja miałbym być zazdrosny o niedouczzonego chłopca?
- Jest mądrzejszy, niż gotowicie przyznać, i dał temu dowód.
- W końcu mówimy o kmieciu, nie o... o...
- Mnichu? – dokończył wielebny ojciec. – To jest właśnie słowo, którego nie odważyliście się wypowiedzieć?
- Twierdzę tylko, że skryptorium nie jest stworzone dla laików!
- Wkrótce... Wkrótce zmienicie zdanie!

Po tych słowach drzwi otwarły się z hukiem i pojawił się w nich opat, który przemierzył zamaszystym krokiem salę kopistów. Onieśmielony bibliotekarz podążył za nim, mamrocząc przeprosiny. Andrea odepchnął go jednak ze złością i przekroczył próg, po czym zamknął za sobą drzwi. Również z hukiem.

Podobnie jak wszyscy obecni, Gualtiero poderwał się na równe nogi, by patrzeć na całą tę scenę. Gdy zaś z powrotem nastąpiła cisza, zdał sobie sprawę, że spojrzenia zakonników skupione są na nim.

Szybko pochylił się nad pulpitem, udając, że nic się nie stało.

Aż do wieczora tkwił zatopiony w świetle swych miniatur.

Okłamywanie Gualtiera zmęczyło Isabeau. Znużyło ją udawanie szlachcianki, w dodatku dziewczyna nie czuła się na siłach, by dłużej odgrywać tę rolę. Wszystkie kłamstwa o rodzie Rocheblanche'ów i o dzielnym bracie nie wystarczyły, by ukryć jej prawdziwą naturę. Do diabła z zasadami Maynarda! Za każdym razem, gdy stała przed młodzieńcem, pragnęła się przed nim otworzyć,

zwłaszcza teraz, widząc go pogrążonego w żałobie. Chciałaby mu wyznać, że wie, podobnie jak on, co to samotność i rozpacz. Wie tak dobrze, że wyparła wspomnienia z czasów, kiedy żyła z rodzicami. Matka porzuciła ją, gdy była dzieckiem, i pognała za obcym mężczyzną, poznanym nie wiadomo gdzie. „Pewnego dnia zrozumiesz” – szepnęła jej do ucha, nim uciekła w środku nocy. Od tamtej pory Isabeau więcej jej nie widziała i nadal nie pojmowała tego postępu. Jeszcze gorsze jednak okazało się patrzenie na to, jak cierpiał jej ojciec. Choć ciągle wykonywał profesję wędrownego aktora, gasł z każdym dniem, przytłoczony zdradą żony, a potem śmiertelną chorobą.

Dziewczyna nigdy nie dała nikomu dostępu do swojej duszy, nawet Maynardowi. Wszelako nagle poczuła, że zwierzenie się Gualtierowi posłużyłoby im obojgu, pozwoliłoby bowiem pozbyć się brzemienia, a jednocześnie zbliżyłoby ich do siebie.

Obawiała się ponadto, że jeśli nie wyzna mu prawdy, straci go. Nie była głupia. Nie uszła uwagi dziewczyny pozorna wielkoduszność i natarczywość, z jaką ojciec Andrea związywał chłopca ze skryptorium. Za kilka dni pod takim czy innym pretekstem nie wypuści go już z klasztoru.

Oto dlaczego tamtego wieczoru postanowiła działać. Zebrawszy w sobie całą odwagę, jaką posiadała, weszła do wozu Gualtieria. Z pewnością zakradanie się do zakazanych miejsc nie było jej obce, mimo to miała wrażenie, że narusza najskrytszą przestrzeń. Odkąd młodzieniec został sam, coraz bardziej przywykał w tym miejscu do samotności. W tych drewnianych ścianach zamknięta była czułość wspomnień, a także gorzkie bezsennych nocy spędzonych na rysowaniu i malowaniu. Isabeau doskonale zdawała sobie z tego sprawę, albowiem niejednokrotnie wymykała się ze swej kwatery, aby go szpiegować. I właśnie wtedy, widząc, jak ogarnia go na przemian to żal, to wena twórcza, poczuła coś więcej niż zwykłą ciekawość.

Nigdy wcześniej nie znała nikogo takiego jak on. Mimo braku doświadczenia i mimo niewinności Gualtierio posiadał coś wyjątkowego. Nic dziwnego, że przykuł uwagę wielebnego Andrei. Dziewczyna nie zamierzała jednak pozwolić, by ten starzec go omołał.

W wozie było pusto. Czekał na powrót Gualtieria, podziwiała jego dzieła. Wszędzie wisiały szkice twarzy, krajobrazów, architektury kościołów i pałaców. Córka wędrownego aktora nie umiałaby powiedzieć, jak długo wpatrywała się w owe obrazy, ale ledwie ujrzała cudowne malowidło na desce leżące obok posłania, była pewna, że nigdy go nie zapomni.

Przedstawiało niewiastę.

Niewiasta o jasnych włosach splecionych nad uszami patrzy w jakiś nieokreślony punkt. Jej łagodne spojrzenie poruszyło Isabeau do głębi. Trudno powiedzieć, czy uczucie emanujące z twarzy damy z obrazu było jej uczuciem, czy

obdarował ją nim ze wzniosłym wdziękiem ten, kto namalował jej portret.

– Moja matka.

Isabeau raptownie się obejrzała, stał przy niej Gualtiero. Wydawał się zmęczony, po wielu godzinach spędzonych w skrytorium miał ściągniętą twarz. Nie mogła oderwać oczu od jego powalanych farbą palców, smukłych i szlachetnych palców, które zaciskał w przyływie żalu. Znowu zapragnęła ich dotyku. Nagle jednak poczuła się jak intruz.

– Muszę się z tobą rozmówić – rzekła.

Popatrzył na nią pytająco, niemal z zakłopotaniem.

– Chcę ci wszystko opowiedzieć – ciągnęła Isabeau, podchodząc bliżej. – Całe swoje życie.

12

FERRARA, 5 MAJA

Na krótko przed południem krzątania między ulicą zajęta przez kupców bławatnych a tą wiodącą do kościoła Świętego Dominika stanowiła nader ciekawe widowisko.

Petricciolo wpatrywał się w twarze przechodniów, siedząc w cieniu krążanka i dla zabicia czasu chrupiąc nasiona fenkułu.

– Cierpliwości – powtarzał mu stojący obok mężczyzna w łachmanach. Gwardzista szorstko przytaknął, chociaż wiedział, że mężczyzna ma rację. Pod nędznym przyodziewkiem krył się jeden z najlepszych szpiegów w Ferrarze, jeden z nielicznych znających życie, śmierć i cuda każdego nieznajomego, który zawitał w tym mieście. Jednakże nawet przy pomocy owego szpicla trudno było wyłuskać Francuza, który w ubiegłym tygodniu napadł na Superanzia Orsiniego. Petricciolo zawierzył mu i pozwolił działać bez przeszkód pomimo ponagień ze strony swego pana. Pojmował rozgorączkowanie widama, lecz polowanie na człowieka należało przeprowadzić z zimną krwią.

– Jest! – zawołał zniecka szpieg.

– Gdzie? – zapytał zbir.

Na sobotnim jarmarku roiło się od ludzi, aczkolwiek nieliczni wydawali pieniądze. Większość chodziła tam i z powrotem ze spuszczoneymi głowami, z twarzami ściągniętymi z powodu głodu.

– Tamten wysoki, odziany w brunatnoczerwone szaty – wyrwał go z zamyślenia głos kompana. – Widzicie? Obok kramu garbarza.

– Tak, tak, widzę – szepnął Petricciolo. – Jesteś pewien, że to on?

– Postawiłbym na to całą zapłatę.

– Powiedz mi więc, co wiesz.

– Zowie się Maynard de Rocheblanche, chociaż ledwie przed paroma dniami podawał się za brata Mainarda. Nosił się jak mnich i mieszkał na przedmieściu Świętego Leonarda, w hospicjum kanoników z Vienne. Ma przyjaciół pośród krzyżowców przybyłych ze Smyrny.

Gwardzista przyjrzał się wysokiemu Francuzowi, oczarowany jego uprzejmą i zarazem drapieżną miną.

– Osobliwe indywiduum – skwitował.

– To jeszcze nic – dodał szpieg z nutką złośliwości. – Obecnie mieszka w pałacu markiza.

– Pod opieką Jego Wielmożności?

– Co o tym sądzicie?

Petricciolo, który raczej nie zwykł się bawić w słowne gierki, zazgrzytał zębami.

– Mówże prędzej. Jaką odgrywa rolę?

Kompan ociągał się przez chwilę.

– Jeszcze tego nie odkryłem.

– Wiesz chociaż, co go przywiodło do Ferrary?

– Nie.

– Wobec tego, jaki właściwie mam z ciebie pożytek? – Gwardzista rzucił na ziemię ziarna, które pozostały mu w garści, po czym patrząc wyzywająco, wydobyl spod płaszcza trzos pełen monet i zważył go w dłoni. „Musisz na nie zasłużyć” – dał do zrozumienia szyderczym uśmiechem, który zwrócił uwagę na jego zajęczą wargę. Następnie oznajmił, wskazując Francuza: – Może gdyby udało się poszperać w jego sakwie...

Mężczyzna w łachmanach wykrzywił usta.

– Tego nie było w umowie.

– W takim razie obejdiesz się smakiem.

Wzrok szpiega powędrował od ręki z trzosem z monetami do drugiej, wystającej spod płaszcza i ściskającej sztylet.

– Cóż, niech będzie – westchnął mężczyzna. Zanim oddalił się do swego dzieła, zatrzymał gwardzistę: – Wolnego...

Wpatrzony w ulicę Petricciolo dostrzegł coś, co wcale mu się nie spodobało.

– Rozpoznajecie ją? – zapytał kompan.

– Pewnie, że tak – mruknął sługa widama. – Tylko co *ona* tutaj robi?

– Messer Maynardzie.

Maynard odwrócił się, usiłując się zorientować w tłumie, skąd usłyszał głos niewiasty wypowiadającej jego imię. Ujrzał wychylającą się spod baldachimu lektyki twarz Lippy Ariosti, okoloną płomiennorudymi włosami.

– Pani. – Pozdrowił ją ukłonem. – Wy tutaj, wśród ludu... To nie jest odpowiednie miejsce dla was.

– Wy zdajecie się tu jeszcze mniej pasować niż ja – odparła rozbawiona. – Śmiem twierdzić, że jesteście skrupowani.

Rycerz wpatrywał się w jej niebieskie oczy nieco dłużej, niż powinien.

– Nie przywykłem do ciżby – usprawiedliwił się – jednakże...

– Czegoście szukali, messer? – zapytała Lippa, wskazując kram garbarza.

– Pendentu, pani. Do zawieszenia miecza.

Kiwnęła głową i skrzywiła się, dając do zrozumienia, że nie ma tu nic wartego kupienia. Po czym znów utkwiała w nim wzrok.

– Muszę się z wami rozmówić. – Zachęciła go gestem, by wsiadł do lektyki.

Francuz grzecznie odmówił.

– Nigdy bym się nie poważył bez pozwolenia waszego męża.

Pojąwszy delikatną prowokację, dama roześmiała się z zadowoleniem, stając się jeszcze bardziej intrygująca.

– Obizzo nie jest moim mężem i doskonale o tym wiecie.

– Nadal pozostaje waszym panem...

Lippa nie przestała się śmiać.

– Usiądźcie obok mnie, Maynardzie de Rocheblanche, a obiecuję, że was nie zjem.

Rycerz postanowił spełnić jej prośbę wyłącznie dlatego, że chciał położyć kres tym kłopotliwym przekomarzaniom. A przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Zanim wszakże wsiadł do lektyki, niemal nie zdając sobie z tego sprawy, potrącił jakiegoś przechodnia. Odziany w łachmany nieszczęśnik skinął przepraszająco i podążył dalej w stronę rynku.

Włosy Lippy Ariosti falowały miękko przy każdym ruchu lektyki.

– Nie myślcie o mnie źle, messer. Chciałam tylko zapytać o syna.

Rocheblanche stronił od wszelkich uwag. *Nie myślcie o mnie źle*. Zabrzmiało to nie jak prośba o wyrozumiałość, ale raczej dwuznacznie, sugerując uwiedzenie go bądź onieśmielenie. Nie wiedział o niej prawie nic. Markiz Obizzo po śmierci żony, Jacopy Pepoli, z którą nie miał dzieci, uczynił z niej swą faworytę. Lippa natomiast zdołała mu urodzić wielu potomków z nieprawego łoża.

– Aldobrandino jest pojętnym uczniem – odrzekł tylko Rocheblanche. – Wykazuje tyleż samo zwinności co bystrości.

Sprawiła wrażenie zachwyconej.

– W głębi duszy nie sądziłam, że będzie dobrze władał bronią.

– Ma łagodną naturę, przyznaję. Lecz właśnie dzięki temu stanie się wartościowym mężczyzną. Okrucieństwo jest cechą oprawców, nie wojowników.

Dama spuściła oczy zaciekawiona.

– Mówicie o moim synu czy o sobie?

– Mówię o rodzaju człowieka, którym staram się być co dnia, pomimo moich licznych ułomności.

– Ułomności? – W głosie Lippy Ariosti pobrzmiwało i niedowierzanie, i drwina. – Trudno się ich u was dopatrzeć, messer. Jesteście doskonali. Nawet aż za doskonali.

Maynard wystrzegając się poufałości, odparł więc żartobliwie:

– Mam ich akurat tyle, żeby być dobrym nauczycielem Aldobrandina.

Lippa opadła na oparcie i spojrzała mu prosto w oczy bez cienia skrzepowania. W jej zachowaniu nie było pochlebstwa, ale otwartość, jaka cechuje dwoje przyglądających się sobie badawczo ludzi. Starych przyjaciół albo rywali. Wszelako Rocheblanche dostrzegł w nim także wyzwanie. Przyszła mu na myśl niewiasta, z którą bił się wiele miesięcy wcześniej na ziemiach Vienne, i uznał, że ma do czynienia z osobą tego samego pokroju. Pojął również, co jest źródłem powabu, który znienacka obudził w nim pożądanie do Lippy Ariosti.

– Pozwalacie mi już się pojedyńkować?

– Coście rzekli, pani? – powrócił do rzeczywistości Francuz.

– Mówię o Aldobrandinie – wyjaśniła. – Pozwalacie mi już walczyć?

– Jest za wcześnie, żeby wystawiać go na próbę. Na razie ćwiczysz się w rozmaitych sposobach ataku i obrony.

– To musi być dla was nudne.

– Przeciwnie, pozwala mi przeżywać na nowo radosne chwile. Kiedy wszystko było prostsze, a ja drżałem z niecierpliwości, żeby ruszyć do boju.

– A co się potem stało?

Maynard wyrzął na zewnątrz i zapatrzył się w mrowie ludzi rozstępujących się przed lektyką.

– Bierki na mojej szachownicy zostały... wywrócone.

Niewiasta skinęła na znak, że pojmuje, i nagle spowaźniała.

– Niekiedy odnoszę wrażenie, że dano nam jedynie złudzenie gry, a w rzeczywistości jesteśmy tylko bierkami na szachownicy należącej do kogoś innego.

Rocheblanche wyczuł ze zdziwieniem, że Lippa mówi o sobie. Przez chwilę wydała mu się smutna, niemal nieszczęśliwa, po czym powrócił jej znowu cięty dowcip. Właśnie dostarczyła mu usprawiedliwienia dla rozmowy, która w innych okolicznościach byłaby zwodnicza. Toteż nie bacząc, że może to zabrzmieć przyziemnie, oznajmił:

– Bierkami przeznaczonymi niekiedy do nieprzewidzianych ruchów, owszem... Jak ten biedny zakonnik, którego znaleziono martwego dziesięć dni temu w dzielnicy Gusmaria.

Lippa drgnęła.

– Znaliście go?

– Och, nie – skłamał. – To tylko taka ogólna uwaga. Na ulicach nie mówi się o niczym innym.

Dama nie zdołała ukryć grymasu obrzydzenia.

– Powiadają, że strasznie skończył.

– Zatem wy także o tym wiecie – rzekł Rocheblanche, udając zdumienie.

– Jakże by inaczej – odparła Lippa. – Był protegowanym Jego Wielmożności.

– Doprawdy? Wyobrażam sobie udrękę markiza Obizza.

– Tak po prawdzie to niezbyt cierpi. Przeciwnie, wydaje mi się, że niemal mu ulżyło. Często powtarzał, że ów zakonnik był przeklętą spuścizną po jego bracie Rinaldzie.

Rycerz milczał przez chwilę, zapisując w pamięci te słowa.

– Czy schwytał zabójcę? – zapytał, nie bacząc, że zdradza tym pytaniem swoją ciekawość.

– Jego Wielmożność nie miał czasu, by o tym ze mną pomówić. Jak zapewne wiecie, wyruszył na parę dni ku Modenie.

– Aby stłumić powstanie – dodał, ostrożnie kończąc temat.

Lippa skinęła potakująco głową.

– Sprawowanie rządów nad własnymi ziemiami wiele go kosztuje.

– Kosztuje wszystkich, pani. – Co powiedziawszy, Rocheblanche wysunął ramię i zastukał w dach lektyki. – A teraz, za pozwoleniem, muszę was pożegnać.

Nie zważając na pełną niezadowolenia minę damy, zeskoczył na ziemię.

Przekroczywszy żwawym krokiem mury od północnej strony, ruszył ku

przedmieściu Świętego Leonarda i dotarł do hospicjum Miłosierdzia Bożego. Zastał Bastiena des Baux na ulicy siodłającego konia.

– Przyjacielu – powitał go stary mistrz fechtunku – zjawiacie się akurat na czas, by wypić strzemiennego.

Maynard posłał mu gorzki uśmiech.

– Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że skłonię was do pozostania.

Des Baux z powrotem zajął się wierzchowcem.

– Nic tu po mnie.

Kompan chwycił go za ramię.

– A w Paryżu tak?

– Nie róbcie takiej ponurej miny, Rocheblanche – burknął Bastien i wyswobodził się szarpnięciem. – Humbert de Viennois ze swoimi ludźmi już odjechał, jeśli więc chcę skorzystać z ich glejtu, muszę się pospieszyć.

– Nadal jesteście mi potrzebni – upierał się Maynard.

Mistrz fechtunku zacisnął popręg i zaklął.

– Nieprawda, mówicie tak tylko po to, żebym poczuł się winny. – Odsunął się od konia i przeszedł na drugą stronę ulicy, wyraźnie dając kompanowi do zrozumienia, by podążył za nim. Gdy się odwrócił, miał wilgotne oczy. – Tamtego dnia w Pałacu Signorii dostrzegłem w was wielkość. To była ledwie chwila, poczułem wszakże dumę.

Maynard nigdy by się nie spodziewał tak głębokich słów. Przez lata ów stary niedźwiedź wciąż tylko warczał i utyskiwał, tymczasem teraz zegnał się w tak osobliwy sposób. Na myśl, że może już go więcej nie zobaczyć, rycerzowi ścisnęło się serce. Podniósłszy wzrok, dostrzegł jakże znany im obu szyld gospody. Uśmiechnął się lekko.

– Strzemiennego, rzekliście?

Usiedli w cieniu pergoli i gawędzili z zażyłością łączącą ojca i syna. Maynard nigdy nie krył wdzięczności do swego mistrza i zdawał sobie sprawę, że dąży do ideału rycerza, jaki zaszczerpił mu właśnie Bastien. Niemal nieosiągalnego ideału szlachetności i dumy, którym kierował się mimo wszystko, aby poczuć, że jest go godzien. Tak jak wyjawiał to Lippie Ariosti.

Opowiedział mu o postępkach w swych poszukiwaniach, pomijając kilka szczegółów, następnie skupił się na opisie nieoczekiwanej przyjemności, jaką sprawiały mu lekcje dawane synowi markiza. Najwyraźniej właśnie to najbardziej przypadło do gustu Bastienowi. Po czym wznieśli kielichy i się pożegnali.

Gdy przyszło do płacenia, Maynard sięgnął po sakwę i skrzywił się z niedowierzaniem.

– Co się dzieje? – zapytał Bastien des Baux.

Maynard, zanim odpowiedział, pomacał się po brzuchu i wokół pasa.

– Nie do wiary! – wykrzyknął osłupiały. – Okradziono mnie.

Gdy tylko Petricciolo znalazł się w bezpiecznej kryjówce, zdjął płaszcz i otworzył sakwę Maynarda. Jak zauważył na ulicy, była ona zbyt duża, by mogły ją wypełniać wyłącznie pieniądze. I rzeczywiście, wysypawszy jej zawartość na stół, zobaczył nie tylko sztuki srebra.

Wśród rozmaitych monet był tam złoty pierścień, ozdobiony symbolem lwa. Szubrawiec obejrzał go dokładnie, zastanawiając się, ile mógłby za niego dostać, gdyby sprzedał go jakiemuś złotnikowi. Potem jednak doszedł do wniosku, że Superanzio Orsini okaże mu o wiele większą hojność.

Następnie jego uwagę przykuł zwinięty pergamin. Omiótł go wzrokiem z mniejszym zaciekawieniem, zerkając pobieżnie na widniejący na nim tekst, składający się z sześciu wersów.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że pisane dokumenty stanowią bardziej przydatne dowody do odkrywania ludzkich tajemnic, wszelako nie umiał czytać.

Aby dowiedzieć się więcej, musiał udać się jak najrychlej do widama.

– Zasłona, krok w tył... Pchnięcie! Nie, wróćcie do postawy szermierczej. Bardziej miękko, połóżcie kciuk na podkrzyżu. Tak, dobrze! Spróbujcie jeszcze raz!

Maynard stanął obok Aldobrandina i wykonywał z nim ćwiczenie dziesięć, piętnaście razy – tak długo, aż był zadowolony. Następnie polecił mu je powtórzyć w wersji z cięciem z góry na dół i w bok i śledził kątem oka błyskanie ostrza.

– Odpocznijcie – rzekł wreszcie i wyszedł na środek dziedzińca. Czekaając, aż chłopiec obetrze czoło, jął wymachiwać mieczem niczym różdżką preceptora. – Zapamiętajcie raz na zawsze: pchnięcie jest skuteczne wyłącznie z dalekiej odległości. Ale musicie być zdecydowani, najpierw powinniście wyciągnąć ramię, a potem zrobić wykrok, aby nie zdradzić swoich zamiarów.

Syn markiza kiwnął potakująco głową. Nabrał zwyczaju powtarzania słów mistrza, aby lepiej wryły mu się w pamięć. Rocheblanche cieszył się z jego postępów, tego dnia nie był jednak skory do pochwał. Utrata sakwy stanowiła najgorszą rzecz, jaka mogła mu się przytrafić. Prawdopodobnie była to sprawa jakiegoś złodziejaska. Może łachmaniarza, z którym się zderzył w alei kupców bławatnych. W normalnych okolicznościach by to zauważył, rozproszyło go wszakże trzepotanie rzesz Lippy Ariosti.

Istotna była strata nie tyle pieniędzy, ile przedmiotów znalezionych w kryjówce ojca Facia. Niepokoiła go myśl, że nie wie, w czyje ręce trafiły, wzmagając smutek, który ogarnął go po pożegnaniu z Bastienem des Baux. Wcale zresztą nie okłamał starego mistrza. Choć w gruncie rzeczy potrafił o siebie zadbać, nieobecność przyjaciela, który był w stanie go zrozumieć czy upomnieć, odbierała mu po ostatnich odkryciach pewność w postępowaniu.

– Dalej, wracajmy do pracy – rzekł niespodziewanie.

Posłuszny Aldobrandino już miał przybrać postawę szermierczą, gdy na dziedziniec wkroczył markiz Obizzo. Był sam, w przesywanicy i wysokich butach z cholewami, zupełnie jakby wracał z pola bitwy.

– Wasza Wielmożność. – Maynard się skłonił. – Przybywacie z Modeny?

– Z ostatnimi przeszkodami muszą się uporać moi podwładni, lecz buntownicy już zostali zakuci w kajdany – obwieścił Jego Wielmożność i obdarzył uśmiechem syna. Chłopiec oparł się pokusie wybiegnięcia mu na powitanie, pozdrawiając go po rycersku jak dorosły. Szlachcic poklepał go po ramieniu.

Rocheblanche wyczuł u Obizza źle skrywane podniecenie, zaczął się więc zastanawiać, czy nie doniesiono mu o jego spotkaniu z Lippą. Wszelako w obsydianowych źrenicach markiza nie widać było zazdrości.

– Chyba czymś się turbujecie – zagadnął.

– Polityka – wyjaśnił Obizzo, jakby mówił o jakiejś tajemniczej chorobie.

Musnął prawą dłonią pendent, dając do zrozumienia, że musi się wyładować. – Wszystkie te ustępstwa, fałszywe układy... Nawet sobie nie wyobrażacie, messer, jaką budzą we mnie ochotę do zadawania ciosów.

Tymczasem rycerz doskonale to pojmował. Odczuwał to samo, gdy jego król pozwolił angielskiemu najeźdźcy zająć Calais, poświęciwszy honor dla korzyści.

– Szczerze mówiąc, messer – ciągnął szlachcic – od chwili, gdy ujrzałem wasz pojedynek z Niccolò de' Robertim, żywię pragnienie, by stoczyć z wami walkę. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciw temu.

– Zupełnie nic – odparł Maynard, zbliżając się z mieczem w dłoni.

Obizzo dobył swego miecza i przybrał postawę szermierczą.

– Do pierwszej krwi?

– Niech będzie.

Rocheblanche czekał na pierwszy cios, który objawił się w postaci błyskawicznego zwodu. Cofnął się i wykonał pchnięcie, zmuszając Obizza do zachowania dużej odległości za pomocą serii dobrze zrównoważonych natarć. Im pojedynek stawał się gorętszy, tym bardziej rycerz go podsyczał. Nie znał lepszego sposobu na poznanie charakteru mężczyzny niż zmierzenie się z nim w starciu sam na sam, i właśnie tak zmierzył się z impetem Jego Wielmożności. Nader rzadkim impetem, trzymanym w ryzach przez bystrość umysłu, obcą komuś, kto bije się dla czystej przyjemności. Każdemu uderzeniu odpowiadała replika w jakimś tajemniczym dialogu, który Maynard rychło postanowił zastąpić innym.

– Słyszałem o śmierci waszego protegowanego. – Po czym prześliznął się w bok, szukając szczeliny. – Przykro mi.

Odpowiedź markiza padła po mistrzowskiej serii parad.

– Kogo macie na myśli?

– Ojca Facia di Malaspinę.

– Tego nikczemnika! – Klinga jego miecza szczęknęła, zawadzając o ostrze broni przeciwnika.

Domyśliwszy się strategii rywala, Rocheblanche zaskoczył go uderzeniem z prawej, zmuszając do intensywnego parowania. Dzięki temu zyskał chwilę.

– Wygląda na to, że nie darzyliście go szacunkiem.

– Kto wam o tym powiedział? – zapytał zdyszany Obizzo.

Odetchnęli, wpatrując się jeden w drugiego niczym lwy, na oczach zachwyconego Aldobrandina. Ekscytacja markiza osłabła, na czoło wystąpiły zmarszczki zwątpienia.

Rycerz, niezdecydowany, czy prowokować go, czy zaniechać tych prób, uzmysłowił sobie, że bardziej sprzyjająca sposobność już się nie powtórzy.

– Po ulicach Ferrary krążą słuchy o jego śmierci – wykonał nieokreślony gest. – Ale w przeciwieństwie do wielu ludzi ja znałem go za życia. Zetknąłem się z nim w Pomposie.

– Ach. – Obizzo nabrał podejrzeń. – Rozmawialiście z nim kiedykolwiek?

– Tylko raz. Wymienił imię waszego brata Rinalda.

Zanim Jego Wielmożność zdążył odpowiedzieć, Maynard zadał cios na odlew, a jego broń ześliznęła się po klindze miecza przeciwnika, doprowadzając do zwarcia ostrzy. Obaj mierzyli się wzrokiem z odległości trzech piędzi poprzez skrzyżowane główne.

– Mojego brata... – Obizzo zazgrzytał zębami. – Okazał zbytnią łatwownością, ufając temu mnichowi.

Rocheblanche stawiał opór.

– A wy?

– Ja go ukryłem... Jak wstyd! – Markiz zręcznym ruchem przełamał twardą zasłonę i zmniejszył odległość między nimi, zmuszając Maynarda do walki z bliska. – Sądził, że mnie też omota tymi swoimi tajemnicami... Tą swoją przekłętą księgą.

Uprzedzając atak, Francuz zablokował mu uzbrojone ramię lewą ręką.

– Jaką księgą? – zapytał odruchowo.

– Nie wasza rzecz! – wysyczał Obizzo owładnięty furją, która pomnożyła jego siłę.

Maynard dostrzegł wielkie pragnienie markiza, by go pokonać, by wdeptać go w ziemię za wszelką cenę. Nie było to spowodowane zwyczajną dumą, lecz potrzebą górowania dosłownie nad każdym. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby mądrze podbudować ów przejaw władzy, wszelako nie pozwoliła mu na to własna natura. Wykorzystując zwarcie, uderzył go w twarz głowicą miecza. Ledwie musnął podbródek, by go nie upokorzyć.

Markiz cofnął się niezdarnie i dotknął ust.

– Do pierwszej krwi – przypomniał rycerz, wskazując szkarłatną strużkę spływającą mu z dolnej wargi.

– Jakiej krwi? – Obizzo splunął z pogardą. – Zmęczyliście się już, messer?

Rocheblanche posłał mu dumny uśmiech. Pomimo nieco szorstkiego obejścia, nielicującego z jego arystokratycznym pochodzeniem, ten człowiek przypadł mu do gustu. Pod pewnymi względami przypominał mu jego przyjaciela, Roberta de Vermandois, którego zostawił w Reims.

– Wprost przeciwnie – odparł – ten pojedynek mnie pasjonuje. Podobnie jak tajemnice ojca Facia i waszego brata.

Obizzo otarł podbródek wierzchem dłoni. Zapanowawszy nad wściekłością, jął mu się przyglądać z przenikliwością stratega.

– Można wiedzieć, co wam naopowiadano w Pomposie?

Maynard nie wiedział, do jakiego stopnia może sobie pozwolić na otwartość, nie budząc podejrzeń.

– Prawie nic – odrzekł ostrożnie – ale wystarczająco dużo, by wzbudzić

ciekawość nieznanego.

– Ci kłamliwi mnisi – burknął markiz. – Niech wam się nie wydaje, że są lepsi od Facia di Malaspiny. Nie popełnijcie tego błędu, messer.

– Co macie na myśli?

Obizzo, śmiejąc się oschle, dał mu do zrozumienia, że posunął się za daleko.

– Sami ich zapytajcie, skoroście tacy ciekawi! Zapytajcie, co znalazł ojciec Facio w ich przeklętej bibliotece. Rzecz jasna, na własną odpowiedzialność.

Zanim skończył zdanie, Obizzo zamachnął się z góry i zadał cios wymierzony w gardło.

Maynard ograniczył się do obrony i pozwolił wyładować złość markizowi, nie dając mu satysfakcji i nie pokazując, że jest w tarapatkach. Jednocześnie rozważał jego zagadkowe słowa. Mnisi z Pomposy, biblioteka opactwa... Zachodził w głowę, co wspólnego ma owo miejsce z tajemnicami Facia di Malaspiny, a wzmianka o tajemniczej księdze obudziła w nim wspomnienie pewnej rozmowy właśnie z ojcem Faciem. W tych okolicznościach nie miał już wszakże wielkiego wyboru. Musi wrócić do Pomposy, aby zasięgnąć języka.

Tymczasem markiz nadal walczył zaciekle, aczkolwiek nie zdołał zrobić wyłomu w obronie przeciwnika. Sapał, poczerwieniał na twarzy, jego ruchy utraciły wszelką grację. Nagle wydał wściekły okrzyk i cisnął miecz na ziemię.

– Ten pojedynek przestał mi się podobać! – zawołał, spoglądając ku pałacowemu krużgankowi.

Maynard odsunął się zdumiony ową porywczą decyzją. Ostatnią ranę musiały zadać jego słowa, nie miecz. Patrzył, jak markiz oddala się żwawym krokiem, nawet nie pożegnawszy się z synem.

– Jeszcze jedno – dodał Obizzo twardym głosem. – Jutro odbędzie się polowanie. Będzie miło, jeśli się przyłączycie.

Francuz się skłonił.

– W takim razie nie omieszkam się pojawić, Wasza Wielmożność. – Podniósłszy wzrok, spostrzegł wychylającą się z galerii damę.

Lippa Ariosti wpatrywała się weń z nieposkromioną ciekawością.

Superanzio Orsini przyglądał się z okna pałacu biskupiego gromadzie żebraków zmierzających do kościoła Świętego Romana. Po laskach i świętych obrazach wyszytych na szatach można było poznać, że to pielgrzymi. Z każdym dniem, na przekór straszliwemu głodowi, który zbierał żniwo na ziemiach Emilii i Romanii, ich liczba rosła. W obręb murów pchało ich zresztą nie tylko poszukiwanie jedzenia. Zbliżało się święto Bożego Ciała, a wraz z nim i wiele obowiązków, z którymi widam powinien się zmierzyć. W ogólnym rozrachunku nie byłyby to wcale takie niemiłe obowiązki, gdyby nie wiązały się z przymusem wyjścia na otwartą przestrzeń.

Po napaści z dwudziestego piątego kwietnia nie pokazywał się publicznie.

Oparzenie na twarzy przyciągało zbyt dużo spojrzeń, a każde z nich przypominało mu, jak łatwo pozwolił się poniżyć Francuzowi. Opium i malwa zdołały uśmierzyć ból, nic wszakże nie mogło ukoić jego stanu ducha. Nic poza zemstą.

Poprawiwszy pergamin przykrywający okno zamiast zasłony, skierował się w głąb izby, ku gwardziście, który stał przed jego pulpitem.

– To wszystko? – zapytał.

Okutany w płaszcz Petricciolo upodobił się do jednego z tych strachów stawianych przez chłopów do odpędzania kruków.

– Wszystko, mój panie.

Superanzio skinął głową.

– W takim razie odejdźcie.

Ledwie tamten zniknął, mężczyzna usiadł na krześle i wyszeptał imię Maynarda de Rocheblanche'a. Czynność ta zapewniła mu chorobliwe poczucie wszechmocy, podobne do tego, które jest udziałem kogoś, kto szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu śpiącemu. Nareszcie należy do niego, trzyma go w garści. Mógłby mu zrobić wszystko, co tylko zechce.

Prawdę mówiąc, *prawie wszystko*. Na widok dostarczonych przez Petricciola przedmiotów ogarnęła go wielka niepewność. Superanzio przyglądał im się z ciekawością, usiłując dociec, w jakim stopniu są ze sobą powiązane. Nie potrafił ochłonąć ze zdumienia, że na pergaminie jest wzmianka o *Lapis exilii*. Zdawał się wskazywać miejsce, być może kryjówkę, gdzie znajduje się bezcenna relikwia, o której przed laty mówił mu zakonnik Facio. Wszelako odniesienia do „góry kwiatu” czy miasteczka Cerisier zupełnie nic mu nie mówiły. Nie zdoła ich odnaleźć bez pomocy.

Ponadto nie można było wykluczyć, że drugi przedmiot skradziony Maynardowi stanowi podstawę do wyjaśnienia zagadki. Był to kardynalski pierścień oznaczony srebrnym lwem.

Istniało sporo tego rodzaju pierścieni, przy czym każdy z nich różnił się jakimś szczegółem, bo każdy należał do innego prałata. Szczęśliwie widam z łatwością sobie przypominał, że widział już ten pierścień, który właśnie miał przed oczami.

Przedstawiał symbol, którym posługiwał się przerażający człowiek: awinioński kardynał, przed czternastu laty trzęsący całą Ferrarą. W owych żałobnych dniach Superanzio schronił się wraz z miejskim duchowieństwem w Bolonii, chcąc uniknąć najazdu oddziałów papieskiej milicji, która uczyniła wyłom w murach i wdarła się aż na rynek. Wszyscy trzej bracia Estowie, na czele z walecznym Rinaldem, dwoili się i troili, aby je przepędzić. Jednakże Jego Eminencja Bertrand du Pouget, wielki kardynał-wojownik, przeżył i wycofał się do Awinionu.

Teraz z kolei widam starał się zrozumieć, co łączy Jego Eminencję

z Maynardem de Rocheblanche'em i z tajemniczym *Lapis exilii*.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

9 MAJA

Gualtiero i Isabeau siedzieli na trawie, rozkoszując się późnopołudniowym słońcem. Rozmawiali i uśmiechali się, nic więcej. Mimo to na widok ich bliskości ojca Andree ogarnęło wewnętrzne rozdrażnienie. Skierował się w ich stronę żwawym krokiem, a za nim podążał wychudzony Moczarek. Ledwie chart wydobrzył, stał się cieniem ojca Andrei, snując się za nim wszędzie, czy raczej kuśtykając z powodu zranionej łapy. Opat nic nie mówił na ten temat, ale w głębi duszy czuł, że owo milczące towarzystwo jest mu miłe. Gdy wiedział, że nikt nie może tego zobaczyć, głaskał zwierzę, szepcząc mu coś łagodnie do ucha.

Obecność Moczarka nie wystarczyła jednak, by zapanował nad wzburzeniem. Czuł, że z niego zakpiono, że niemal go zdradzono. Jak ta mała bezwstydnica śmie odrywać od pracy jego cennego miniaturzystę! Już od pewnego czasu dostrzegał jej słabość do Gualtiera, z początku wszakże się tym nie kłopotał. Po śmierci ojca młodzieniec pograżył się w tak silnej rezygnacji, że potrzebował jakiegoś urozmaicenia. Teraz jednak dość tego. Andrea uważał, że dziewczyna zbyt wykorzystuje cierpienie chłopca, i chociaż sam nigdy w życiu nie dotknął niewieściego ciała, dobrze wiedział, jak się te sprawy mają.

– Gualtiero! – zawołał piskliwym głosem. – Dlaczego nie jesteście w skryptorium?

Młodzieniec gwałtownie podniósł głowę.

– Proszę o wybaczenie, wielbny ojcie. Poczuję, że muszę dać oczom wytchnienie.

– W takim razie – odpowiedział Andrea, zrównawszy się z nim – mogliście odpocząć w klasztorze.

– Świeże powietrze lepiej mi zrobiło.

– Cóż, teraz wołałbym, żebyście wrócili. Ojciec bibliotekarz was potrzebuje.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparł zmieszany Gualtiero. – Moja obecność dla ojca bibliotekarza jest nader odpychająca.

– Nie wam to osądzać, synku. Bądźcie posłuszni i tyle.

Na te słowa Isabeau poderwała się na równe nogi, oburzona.

– On nie jest jednym z waszych zakonników – wybuchnęła. – Nie możecie mu rozkazywać.

Wielebnego ojca tak bardzo to zaskoczyło, że aż się cofnął. Spojrzał na

dziewczynę z lekką niechęcią, usiłując ukryć zakłopotanie z powodu jej różnobarwnych tęczywek.

– Zechciejcie mi wybaczyć, moja droga – starał się, by jego głos brzmiał pojednawczo. – Okoliczności są bardziej złożone, niż sądzicie. I, jeśli wolno mi coś powiedzieć, błąkanie się po dziedzińcu nie przystoi młodej pani.

Isabeau zachichotała kpiąco i wymieniła z Gualtierem porozumiewawcze spojrzenie.

Przez chwilę Andrea miał wrażenie, że tych dwoje coś przed nim ukrywa, co jeszcze bardziej go rozeźliło.

– Synku, zamierzacie mnie posłuchać?

Gualtiero skinął potakująco głową, otrzepał szaty z trawy i się pożegnał. Zanim jednak zdążył się oddalić, Isabeau uczepliła się jego ramienia i pocałowała chłopca w policzek, jakby rzucała opatowi wyzwanie.

Mnich odwrócił wzrok i zmuszając się do odzyskania niewzruszonego spokoju, oddalił się ku *palatium*. Przez chwilę kusiło go, by wyjawić Isabeau, że wkrótce do opactwa przybędzie Maynard. Wszelako powstrzymał się, obawiając się, że wówczas dowie się o tym również młody de' Bruni. Przyjazd Rocheblanche'a mógłby zakłócić spokój chłopca i rozbudzić w nim na nowo pragnienie poszukiwania matki. Na razie należało się jednak tego wystrzegać za wszelką cenę. Wielebny ojciec był bowiem bliski zdradzenia mu swych planów.

- Księga – powtórzył Maynard.
- Jesteście pewni? – dopytywał się opat.
- Tak utrzymuje Jego Wielmożność.

Wprawdzie Rocheblanche'a nie było w Pomposie zaledwie nieco ponad miesiąc, ale dostrzegał w ojcu Andrei jakąś zmianę. Przywołując w pamięci ostatnie spotkanie w pracowni opata, nosił w sobie obraz zupełnie innego człowieka niż ten, który siedział teraz naprzeciw niego. Im baczniej się weń wpatrywał, tym bardziej był tego pewien. Opat spoglądał bardziej przenikliwie, niemal wrogo, spod pobrużdżonego czoła. *Ci kłamliwi mnisi...* Być może to słowa markiza wzbudziły jego czujność albo odcisnęły na nim piętno.

- A dokładniej: jakiego rodzaju jest to księga? – zapytał Andrea.

Maynard, zanim odpowiedział, popatrzył na charta zwiniętego w kłębek pod *armarium*.

– Obizzo d'Este suponuje, że ojciec Facio znalazł ją tutaj, w bibliotece Pomposy. Z jego słów wynika, że dzięki tej księdze Facio omotał dostojnego Rinalda.

Opat pogładził podbródek.

- Rinaldo II d'Este... – szepnął. – Co o nim wiecie?
- Doprawdy niewiele, wielbny ojcze.
- Był najstarszym synem Aldobrandina II d'Este, po którym odziedziczył wyważoną, choć waleczną naturę. Poległ dwanaście lat temu, pozostawiając na czele rodu nieodpowiedniego następcę.
- Tuszę, że macie na myśli Obizza – rzekł Maynard. – Istotnie, chyba dostrzegłem w nim skrywaną urazę do brata.

– Nie dziwi mnie to. W ciągu ostatnich dwudziestu lat kolejne bogactwa Estów przepuszczał niemal wyłącznie Rinaldo. To on zawarł pakt z heretykiem Ludwikiem Bawarskim i przepędził wojska awiniońskie z Ferrary. Następnie przekonał braci, żeby ułożyli się z papieżem i zgodzili na wikariat w mieście.

- Z waszych słów bije niemalże podziw.
- Nie zrozumcie mnie źle, messer – tłumaczył się opat. – Rinaldo d'Este był w głębi serca gibelinem, podobnie jak brat. Nawet po zawarciu układu z Janem XXII. Bez skrupułów grabił kościoły i opactwa, podstępnie umieszczając w ich murach szpiegów i złodziei. Jak zapewne wiecie, jednym z nich był ojciec Facio di Malaspina.

Rocheblanche zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

- Zatem związek Facia z rodem Estów wziął się stąd...
- W świetle waszych słów może sięgać nawet głębiej.
- Zyskamy pewność dopiero po odnalezieniu księgi.

Ojciec Andrea westchnął.

– Zdajecie sobie sprawę, jak trudne jest dla mnie spełnienie waszego żądania? Gdybyście zdradzili mi przynajmniej cel waszej misji...

Maynard patrzył, jak opat spleta nerwowo palce na pulpicie, jakby tkał jakąś niewidzialną pajęczynę.

– Poszukuję dwóch zaginionych relikwii, przypominacie sobie? Kielicha i grotu włóczni, które Malaspina skradł i gdzieś ukrył. Nie mogę wyjawić niczego więcej: ani tego, skąd pochodzą, ani tego, kto chce je odzyskać. Mam nadzieję, że wspomniana przez Obizza księga zdoła mnie skierować na właściwą drogę.

– Co pozwala wam sądzić, że może się okazać pomocna?

– Domysły związane z przysięgą milczenia.

Andrea wykrzywił wargi z powątpiewaniem.

– Odnalezienie jednej księgi w tysiącu innych, przy założeniu, że ona w ogóle istnieje, nie jest łatwym przedsięwzięciem. Jeśli w dodatku nie znamy ani jej autora, ani tytułu, to prawie niemożliwe.

– Mam pewien trop – odparł Maynard. Po długich rozważaniach w minionych dniach uzmysłowił sobie, że nie tylko Obizzo wspominał o tajemniczej księdze będącej w posiadaniu Facia. Superanzio Orsini także mówił o istnieniu starego manuskryptu zawierającego tajemnice *Lapis exilii* oraz dwóch relikwii skradzionych przez Malaspinę. Aż do tej pory rycerz wolał nie poruszać tego tematu przy opacie zarówno ze względu na chęć dochowania tajemnicy, jak i w nadziei, że właśnie od niego czegoś się dowie. – Nie wykluczam, że to pomyłka – dodał ostrożnie – uważam jednak, że warto spróbować.

Wielebny ojciec pochylił się nad pulpitem i oparł na nim łokcie.

– Słucham.

– To, o czym zamierzam wam powiedzieć, wydarzyło się przed dwoma miesiącami, kiedy Facio uciekł z Pomposy.

– Doskonale pamiętam okoliczności. Uciekł z waszego powodu, albowiem sprzeniewierzyliście się moim zaleceniom.

– Gdybym was wtedy posłuchał, być może teraz nie musielibyśmy rozwiązywać tej intrygi – przyznał z przepaszającym gestem rycerz. – Niemniej jednak zanim ojciec Facio mi się wymknął, nadmienił zagadkowo o jakiejś apokryficznej ewangelii, o jakimś kodeksie... Wówczas nie uznałem za konieczne wypytywać go o to. Wszelako teraz podejrzewam, że chodzi o tę samą księgę, o której mówił Obizzo d'Este.

– I cóż z tego wynika? – dopytywał się opat.

– A to – ciągnął z większym naciskiem Maynard – że ojciec Facio wyjawiał mi tytuł owej księgi. To *Codex Millenarius*.

Uśmiech opata zupełnie go zaskoczył.

– Jesteście łatwowierni, messer.

- Co przez to rozumiecie? – wybuchnął rycerz.
- Że prawdopodobnie jest to *alias vices* albo *vel etiam*, o ile nie *flatus vocis*.
- Zechcielibyście łaskawie mówić jaśniej?

– *Alias vices*, inaczej powiedziane – wytłumaczył Andrea, wruszając ramionami. – Tytuł wymienionej przez was księgi jest tak ogólnikowy, jakby ktoś celowo go wymyślił, żeby ukryć ten prawdziwy. To się czasem zdarza, zwłaszcza w przypadku tekstów zakazanych, stanowiących zbiór różnych utworów, albo po prostu *sine titulo*, czy tekstów ukrytych *sub alio titulo vel alio nomine* lub za pomocą innych nazw. Mówimy tu o obyczajach w bibliotekach, w których manuskrypty niedające się przypisać z całkowitą pewnością określone autorowi, kataloguje się poprzez sformułowania pochodzące z incipitów, z treści lub według uważania. Moim zdaniem wasz *Codex Millenarius* zalicza się do tych ostatnich.

– A gdyby nawet tak było? – upierał się Rocheblanche. – Czyżby biblioteka Pomposy nie posiadała katalogu?

– Po prawdzie ma więcej niż jeden. I chociaż przeglądałem je tysiąc razy, nigdy nie widziałem podobnego tytułu. Ojciec Facio musiał go widzieć gdzie indziej, o ile po prostu sobie tego nie wymyślił, żeby was wprowadzić w błąd.

Maynard poderwał się z krzesła i zaczął chodzić w kółko.

– Wszelako jest wielce prawdopodobne, że księga nadal znajduje się w tych murach.

– A jeśli to wy daliście się wywieść w pole markizowi Obizzowi? – zapytał w końcu zakonnik.

– Nie! – Rycerz uderzył pięścią w ścianę tak mocno, że aż chart podskoczył.

– *Codex Millenarius* istnieje, jestem tego pewien!

– Zgoda, nie unoście się. – Ojciec Andrea złączył dłonie w błagalnym geście.

– Skoro tak bardzo wam na tym zależy, poszukam go, macie moje słowo. Przetrzęsnę każdą szafę w bibliotece.

Rocheblanche zerknął nań z ukosa, gdyż owa nagła ustępliwość opata wzbudziła jego podejrzenia. Ów mądry mnich, któremu ledwie dwa miesiące wcześniej zwierzał się w zaufaniu, nigdy nie zareagowałby tak przypoehlebie. Ukrył wszakże swe podejrzenia, okazując wdzięczność.

– Jestem w waszych rękach, ojcze.

– A ja w waszych, messer.

– Co przez to rozumiecie?

Andrea nagle schował twarz w dłoniach, po czym odetchnął głęboko i odchrząknął.

– Potrzebuję pieniędzy – wyznał urywanym głosem. – Nie po to, by zaspokajać własne ambicje czy nawet odnawiać freski w opactwie.

Zakłopotany Maynard dał mu znak, by mówił dalej.

– Na utrzymanie, pojmujecie? – ciągnął w popłochu opat. – Pieniądzy! Po to,

żebym mógł nakarmić swoich mnichów i bym mógł właściwie się o nich troszczyć, przynajmniej dopóki nie uzdrowię finansów Pomposy.

Przemówiwszy, pogrążył się w nabrzmiałym wstydem i upokorzeniem milczeniu.

Rocheblanche wpatrywał się w pochylonego nad pulpitem opata, rozdarty między pragnieniem pocieszenia go a chęcią usłyszenia wyjaśnień. Okoliczności zmieniły się tak raptownie, że ogarnęło go zmieszanie. Długo się wahał, w końcu zdecydował się położyć opatowi dłoń na ramieniu.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wcześniej?

Andrea otarł oczy ze ściągniętą twarzą.

– Z powodu dumy.

– Czy sześćset florenów mogłoby wystarczyć?

Na te słowa opat spojrział na niego osłupiały.

– Messer! – wykrzyknął. – Nigdy bym się nie ośmielił prosić aż o tyle.

– Wszelako będziecie musieli poczekać – dodał lekko rycerz. – Rodzinnego skarbcza strzeże moja siostra w Reims.

Zakonnik wielce się zdumiał.

– Macie jeszcze jedną siostrę?

– Eudeline de Rocheblanche, przeoryszkę klasztoru Świętej Balsamii – odrzekł Maynard z szerokim uśmiechem. – Nie mogę się teraz wdawać w wyjaśnienia, czas, na jaki pozwolono mi opuścić dwór, właśnie mija. Ale gdy tylko przybędę do Ferrary, napiszę do siostry, by przysłała mi odpowiednią sumę.

– Jesteście aniołem, messer.

– Nie przesadzajcie. – Otwierając jowialnie ramiona, Francuz zachodził w głowę, czy owa pantomima została zaplanowana już wcześniej, przed jego przybyciem. Tak czy inaczej, trzymanie opata w węźle zobowiązań mogło okazać się dla niego korzystne. – Niegrzecznie jest poprosić o przysługę, a samemu jej nie odwzajemnić – zauważył. – Okazaliście tyle serca mnie i Isabeau, wielbny ojcze, że nie mógłbym wam odmówić.

– Co do Isabeau... – zaczął mnich.

Rycerz spoważniał.

– Czy coś się stało?

– Och, dziewczynka ma się dobrze – uspokoił go Andrea, przywodziąc na powrót surową, nieprzeniknioną maskę. – Wszelako... doszedłem do wniosku, że lepiej by jej było w innym otoczeniu. Tam, gdzie jest przewaga niewiast, pojmujecie?

– Głupstwa – zbył go Maynard. – Ufam wyłącznie wam.

– Powstrzymajcie się od sprzeciwów – nie dawał za wygraną opat. – Schronienie, o którym myślę, jest całkowicie bezpieczne, a ponadto mogę was zapewnić o pobożności mieszkających tam zakonnic.

Chociaż Rocheblanche nie spodziewał się takiej kolei rzeczy, uzmysłowił sobie, że z jakiegoś tajemniczego powodu obecność Isabeau w Pomposie stanowi kłopot.

– Można wiedzieć, o czym właściwie mówicie? – zapytał zniecierpliwiony.

– O tym, by oddać ją do klasztoru Świętego Antoniego.

– Jaki to zakon?

– Benedyktynek, messer. Ich klasztor leży na wyspie pod Ferrarą, za murami. W ten sposób Isabeau będzie blisko was, a jednocześnie z dala od zagrożeń tego świata.

– Pomyślę nad tym, ojczy – obiecał rycerz. – Teraz wszakże muszę ruszać w drogę. Mam nadzieję, że nie złamiecie danego słowa, podobnie jak ja postaram się dotrzymać swojego.

– Jeśli *Codex Millenarius* jest ukryty w tym opactwie, odnajdę go. – Powiedziawszy to, ojciec Andrea zgiął się w pełnym szacunku ukłonie. Gdy podniósł głowę, wyglądał, jakby uwolnił się od ogromnego ciężaru.

Ojciec Andrea miał nadzieję, że nie był zbyt surowy, nie potrafił wszakże trzymać języka za zębami. Przekonanie Maynarda do przeniesienia Isabeau pozwoliłoby mu wydobyć się z tarapatów. Być może jego obawy były płonne, wszelako lękał się, że to dziewczę o dziwnych oczach prędzej czy później zdoła odciągnąć młodego de' Bruniego od opactwa. Lepiej było zatem dmuchać na zimne.

Pożegnawszy się z Rocheblanche'em, opuścił pracownię i udał się na piętro *Palatium Abbatis*. Mimo wspaniałych wieści był w ponurym nastroju. Nie sprawił tego wyłącznie *Codex Millenarius*, który, jak przeczuwał, zmusi go do długich i bezowocnych poszukiwań. Frasował się, ponieważ od wielu dni nie potrafił znaleźć wspólnego języka z ojcem bibliotekarzem. *Laik!* Nigdy jeszcze nie słyszał aż tak głębokiej pogardy z ust konfratra. Poczul się niemal jak winny zbrodni. Andrea umiał wszakże łagodzić spory. Nie usunie Gualtiera ze skryptorium, nawet gdyby miał złamać zakonne reguły. Jego talent był bezsprzecznie darem niebios, jedynym promykiem światła po latach spędzonych całkowicie bez Boga. Teraz zaś, czując znów na sobie wzrok Ojca, nie zrezygnuje z doprowadzenia do końca tego, co sobie zamierzył.

Z czasem nawet ojciec bibliotekarz okaże przychylność Gualtierowi, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Teraz jednak czekała go najtrudniejsza część zadania.

Opat przeszedł szybko między pulpitemi kopistów, aby nie zakłócać im spokoju. Obejrzał się kilka razy, chcąc przyciągnąć uwagę Moczarka, którego zaciekawiły ruchy gęsich piór, po czym wyłuskawszy z grona mnichów młodego Gualtiera, przystanął przy nim i szepnął mu coś do ucha. Gdy chłopiec skinął głową, opat przekroczył próg sąsiedniego pomieszczenia, gdzie przechowywano księgi.

Bibliotekarz przywitał go z wyraźnym skrępowaniem.

– Zostawcie mnie samego – odprawił go Andrea, sprawiając mu tym dodatkowy zawód.

Ledwie bibliotekarz zniknął, zbliżył się do pulpitu, na którym spoczywał katalog.

Był to ogromny pergaminowy wolumin, przytwierdzony do blatu łańcuchem, aby nikt nie mógł go wynieść. Stronice te zawierały pełny wykaz ksiąg, które posiadał klasztor: dziedzictwa, jeśli nawet nieporównywalnego z tym z Cluny, to tak samo będącego w stanie wzbudzić ciekawość największych uczonych i teologów wspólnoty ludzkiej, w tym florenckiego autora *Komedii*. Do pierwotnego wykazu, sporządzonego trzy wieki wcześniej przez mnicha Enricusa, dołączano kolejne, aby uaktualniać spis woluminów, które z roku na rok

wzbogacały bibliotekę.

Czując, jak chart układa się u jego stóp, Andrea jął przesuwać palcem po rejestrze. Wątpił, że zdoła natrafić na tekst, którego szukał Maynard, jednakże zamierzał wypełnić powzięte zobowiązanie. Słyszał, że ojciec Facio, gdy sprawował funkcję opata, spędzał wiele czasu pośród ksiąg. Nawet później często przebywał w bibliotece. Być może pogłoska o *Codex Millenarius* zrodziła się za sprawą owego zwyczaju. Albo może wyszła z kłamliwych ust samego Malaspiny. W każdym razie należało to sprawdzić.

„Czytaj dalej” – nakazał sobie, przebiegając wzrokiem raz okrągłe, a innym razem kanciaste litery skreślone przez Enricusa. Potem pismo zniemacka uległo zmianie, zdradzając rękę innego mnicha. Imiona i tytuły następowały po sobie, sprawiając wrażenie pozbawionej logiki, bezładnej gmatwaniny, jakby pomieszał je jakiś chimeryczny diabeł. Andrea musiał wielokrotnie przecierać powieki, aby dać odpocząć zachodzącym mgłą oczom. Już od jakiegoś czasu myślał nad sprawieniem sobie *oculi de vitro*, które, jak mówiono, ułatwiają lekturę, lecz z powodu licznych wydatków ciągle to odkładał.

Zapadający zmierzch sprawił, że musiał czytać przy świecy, aż pokonało go zmęczenie. Dotarł do połowy katalogu, który znał niemal na pamięć. Zamierzał skończyć nazajutrz. Teraz wszakże musiał się oddać innemu istotnemu zajęciu.

Tuż przed dzwonami na nieszpory Gualtiero opuścił skryptorium i udał się do klasztoru, jak nakazał mu ojciec Andrea. Owa zapowiedziana rozmowa podsyciała jego wyobraźnię. Może opat odkrył coś w sprawie pojmania Sapii albo jej uwolnienia... Młodzieniec nie chciał ulegać złudzeniom. W ostatnich dniach wielebny ojciec wydał mu się posepny i zamyślony, pomijając już to, w jaki sposób wdarł się między niego a Isabeau. Gualtiero nie znał przyczyny zmiany w zachowaniu opata. Ta dziewczyna stanowiła jedyną piękną rzecz, jaka mu pozostała, nie tylko ze względu na posiadaną umiejętność pocieszenia go, ale także oczarowania. Chęć zgłębienia powodu, dla którego musiała udawać siostrę Maynarda, sprawiała, że była dla niego jeszcze bardziej frapująca.

Gdy po przekroczeniu portalu szedł główną nawą, jego wzrok przykuł namalowany na apsydzie Chrystus Pantokrator. Miesiąc wcześniej Gualtiero i Sigismondo oszpecili malowidło uderzeniami dłuta, przygotowując ścianę do namalowania fresku, który miał je zastąpić. Teraz w odczuciu chłopca była to już tylko mrzonka, zdolna jedynie przelać czarę goryczy. „A przecież przysięgłem” – uzmysłowił sobie nagle. „Przysięgłem, że zostanę malarzem, tak jak mój ojciec”.

Myśl ta przeszła go niczym sztylet.

Mój ojciec.

Sigismondo de' Bruni, ten, który nauczył go chodzić, żyć, tworzyć obrazy, wyzionął ducha, powiedziawszy, że nie jest jego ojcem.

Gualtiero poczuł nagle ukłucie złości, która oczyściła jego umysł z wszelkich

obrazów i myśli. Wtedy dostrzegł opata.

Prędko otarł łzy.

– Powiedzcie, ojczy – rzekł ochrypłym głosem – dlaczego chcieliście mnie widzieć.

Andrea położył mu delikatnie dłoń na głowie.

– Muszę poruszyć z wami pewną ważną kwestię, synku.

– Słucham.

Opat wpatrywał się weń przez chwilę, a potem uśmiechnął się życzliwie.

– Być może nigdy o tym nie mówiłem, ale nie zapominam o dręczącym was bólu. Przyjąłem was w tym klasztorze z nadzieją, że znajdziecie tu nową rodzinę.

– Ja zaś jestem wam za to wdzięczny – odparł Gualtiero, chociaż wiedział, że ma tylko jedną rodzinę i że nic ani nikt nigdy nie zdoła mu jej zastąpić. – Nawet nie wiecie, jak bardzo.

– Niemniej jednak – ciągnął Andrea – nie należycie do osób, które zasługują wyłącznie na litość. Jesteście darem niebios, synku. Natchnieniem dla nas wszystkich, *in primis* dla mnie.

Chłopiec patrzył nań speszony.

– Wasz geniusz, Gualtiero. – Wielebny ojciec otworzył z zapalem ramiona. – Łatwość, z jaką przetrawiacie teologiczne pojęcia, aby przekładać je na obrazy... Nigdy nie znałem nikogo, *nikogo* tak bardzo uzdolnionego jak wy.

– Nie jestem erudytą – tłumaczył młody de' Bruni. – Ja tylko wykonuję miniatury, malowidła...

– A jednak czynicie to naturalnie. Więcej, z wena. Wyobraźcie sobie, do czego moglibyście dojść, mając wiedzę równą mojej albo nawet większą.

– Już raz mówiliście do mnie tymi słowami – odrzekł Gualtiero. – Tylko że ja jestem sam na świecie, biedny i niewykształcony.

Wielebny ojciec ponownie się uśmiechnął, przybierając tajemniczą minę.

– Myślę, że obca jest wam bulla papieska *Summi Magistri*, mam rację? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi. – Ogłosił ją przed dziesięciu laty papież Benedykt XII w celu zreformowania zakonu benedyktynów. Nie chcę was zanudzać, toteż nie będę mówił o całości. Wiedźcie, że między innymi pozwala ona co dwudziestemu mnichowi uczyć się na uniwersytecie.

– Wybaczcie, ojczy – wtrącił chłopiec, nadal urażony. – Umyka mi sens waszych słów.

Andrea nagle spowaźniał, utkwiał wzrok w jednym z przedzielających freski okien, przez które przenikały czerwone promienie zachodzącego słońca.

– W murach Pomposy zamieszkuje *rodzina* składająca się z dwudziestu zakonników – objaśnił głębokim, niemal zaklinającym głosem. – Postuluję, byście wstąpili do niej jako nowicjusz i zostali dwudziestym pierwszym zakonnikiem. Będę was wspierał na wszelkie sposoby, abyście rozwijali wasze talenty. Dzięki

zaś przywilejom, jakie zapewnia *Summi Magistri*, jestem przekonany o powodzeniu tego przedsięwzięcia. Będziecie mieli przeciwników, wzbudzicie zawiść, ale obiecuję...

– Na miłość boską, ojcze! – Gualtiero zacisnął pięści. – Muszę odnaleźć matkę. Dowiedzieć się, skąd wywodzą się moje korzenie. Jak możecie myśleć, że zgodzę się na coś takiego?

– Zastanówcie się nad tym dobrze, synku – powiedział Andrea i spojrzał nań niczym jastrząb. – Nie podsuwam wam myśli, byście zostali prostym zakonnikiem, lecz doktorem nauk na miarę ksiąg, które ilustrujecie! Zdajecie sobie sprawę, ile światła rzucilibyście na to opactwo? Dzięki wam by się odrodziło, powróciło do dawnej świetności.

Pomimo osłupienia młodzieniec poczuł narastającą dumę. Zostać wielkim uczonym, zaspokajać ambicje ponad wszelkie wyobrażenie... Przez chwilę niemal to widział, po czym wrócił myślami do półmroku nawy, pełen lęku o matkę i złości, że jest bękartem obcego człowieka.

– Ofiarujecie mi wiele, ojcze – przyznał z wdzięcznością. – Równie wiele jednak żądacie w zamian. – Oparł się o ławkę, przewyciężywszy niespodziewany zawrót głowy. Wzrok Andrei ponaglał do podjęcia rychłej decyzji. Wyrażna odmowa pozbawiłaby go przychylności opata, a zgoda oznaczałaby pożegnanie z wolnością. Obecnie zaś znajdował się w niezbyt dobrym położeniu, by decydować o swoim życiu.

– Potrzeba mi czasu – oznajmił nieoczekiwanie. – Czasu do namysłu.

– I dostaniecie czas – padła odpowiedź.

Gdy rozległy się dzwony na nieszpory, Andrea odprawił chłopca i westchnął. Kości zostały rzucone. Teraz musiał tylko oczekiwać na decyzję i żywić nadzieję, że w tym czasie Maynard napisze do siostry Eudeline, prosząc ją o pieniądze.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

15 LIPCA NOCĄ

Siostra Eudeline popatrzyła przez okno na księżyc, który właśnie był w pierwszej kwadrze, a następnie zanurzyła dłonie w miednicy i ochlapała wodą twarz. Pomimo wielu naglających obowiązków, które wypełniła poprzedniego dnia, nie mogła zasnąć. Podobnie jak każdej nocy, odkąd intruz zakradł się do jej *domus particularis*. Ledwie zapadała w drzemkę, a już się podrywała, mając w uszach odgłos kroków i czując na ciele dotyk rąk.

Woda przyniosła jej chwilową ulgę, nie zapewniając wszakże spokoju. Zresztą zakonnica zbyt wiele wycierpiała, by się łudzić, że skutki jej krzywdy miną, podobnie jak mija zły sen. Trwały bowiem o wiele dłużej niż okoliczności i osoby, które je spowodowały, piętnując żywym ogniem serca ofiar. Najpierw ojciec, Gaspar, a teraz wrogowie brata... „Jesteś głupia” – rzekła do siebie. Zamknięcie się w klasztorze nie zdało się na nic. Natrętny strach nie przestawał jej dręczyć, trwał zawsze i wbrew wszystkiemu, bez względu na mury, które oddzielały ją od świata.

Tej nocy spać nie pozwalała jej myśl o Maynardzie. Po otrzymaniu listu, wysłanego z Emilii, nie mogło być inaczej. Tekst był jak zwykle krótki, lecz w przeciwieństwie do poprzednich ujawniał miejsce nadania: *abbatia Pomposiæ*. Eudeline słyszała pogłoski o tym klasztorze. Wznosił się nad rzeką Pad, niedaleko Ferrary, i słynął z żarliwości mieszkających w nim mnichów, a także z legendy o opatach pustelnikach. Wszelako należało wątpić, by tak wybitne cnoty zdołały przetrwać. Kościoły i klasztory z upływem czasu chyliły się ku upadkowi, podobnie jak ludzie, a siła charakterów ustępowała miejsca zepsuciu. I choć słowa Maynarda potwierdzały tego rodzaju spostrzeżenia, nie wyjaśniały, dlaczego schronił się właśnie w Pomposie. Poza powiadomieniem jej, że jest w dobrym zdrowiu, prosił o pieniądze – sześćset florenów – aby zdobyć zaufanie osoby przydatnej w prowadzonych poszukiwaniach.

„Błogosławiony brat”. Zakonnica znów wyjrzała przez okno i z rosnącą niechęcią obrzuciła wzrokiem księżyc. Rozporządzanie pieniędzmi, jakby nie miały żadnej wartości, było znamienne dla Maynarda. Sześćset florenów stanowiło pokaźną kwotę, którą ponadto nader trudno było przewieźć przez koronę alpejską. Szczególnie w czasach biedy. Ponadto Eudeline nie miała wielkiej ochoty się z nią rozstawać. Poza tytułem szlacheckim to przecież bogactwo zapewniło jej

nominację na przeoryszę i pozwoliło na odgrodzenie się od świata. Roztrwonienie rodowego majątku uczyniłoby z niej pospolitą niewiastę, zmuszoną wieść niepewny żywot i podporządkować się męskim regułom postępowania. Była to pierwsza rzecz, z jakiej zdała sobie sprawę, zarządzając dobrami odziedziczonymi po ojcu: ziemię, pola i żywy inwentarz gwarantowały jej niezależność.

Oto dlaczego panujący w ostatnich czasach głód tak bardzo ją przeraził. Chociaż spadek dochodów nie groził, że natychmiast zbiednieje, wartość ziemi nieustannie malała. W tych warunkach jedyną pewnością dawały złote i srebrne monety, przechowywane w szkatule, do której wyłącznie ona miała dostęp. Co mógł jednak wiedzieć o tych sprawach jej brat, który zwykł bronić honoru mieczem?

„Sześćset florenów!” – dziwiła się zakonnica, a jej mina świadczyła o ogarniającym ją przygnębieniu. Była to suma wystarczająca na roczne utrzymanie zamożnej rodziny. O wiele więcej, według niej, niż potrzeba, aby opłacić usługi każdego człowieka, choćby nawet był patrycjuszem czy chciwym prałatem. A jeśli potem konieczne okażą się kolejne wydatki? Dziewięć tysięcy florenów przechowywanych w szkatule nie będzie istnieć wiecznie!

Jednakże to Maynard o nie poprosił. Miał do nich prawo.

Eudeline westchnęła głęboko, spoglądając na rozgrzebane posłanie. Próba zaśnięcia i tak spełzała na niczym. Lepiej już zmierzyć się z kolejnym brzemieniem, które od wielu dni nie dawało jej spokoju.

Aleydis, klasztorna osadzona – prędzej czy później będzie musiała się z nią rozmówić.

Gdy opuściła swą komnatę i szła wirydarzem, przyświecając sobie kagankiem, zastanawiała się, czy dobrze robi. Więźniarka siedziała pod kluczem w pomieszczeniu na skraju ogrodu, z dala od pozostałych sióstr. Eudeline, od kiedy poleciła ją zamknąć, ani razu jej nie odwiedziła. Nie z powodu lęku czy złości, lecz dlatego, że stawienie czoła Aleydis oznaczało dla niej zakwestionowanie wszystkiego, czym była. Zaczęła to rozumieć już wtedy, gdy nie wiedziała, że dziewczyna zabiła jedną z mniszek i zawarła układ ze złym człowiekiem. I chociaż wielebna matka ujawniła jej zbrodnię, uzmysłowiła sobie, że nie potrafi oswobodzić się z łączących ją z Aleydis więzów.

Zbliżyła się do położonego pod ziemią miejsca odosobnienia, dawniej wykorzystywanego jako chłodnia. Gdy pojawiła się potrzeba odosobnienia Aleydis, musiała zadowolić się tym, co było pod ręką, albowiem klasztor nie posiadał pomieszczeń nadających się na więzienie. „Zawsze to lepsze niż odpychające zakamarki krypty” – pomyślała. Dotarłszy do drzwi, spojrzała przez judasza i z westchnieniem odsunęła rygiel.

Aleydis siedziała na sienniku oparta plecami o ścianę, jakby na nią czekała. Eudeline przyjrzała się jej dłoniom splecionym na lekko zaokrąglonym brzuchu,

oświetlonym kagankiem. Jej brzemiennosc była juz widoczna.

– Dobrze wygladacie – powiedziala na przywitanie.

– Kwitnaco niczym przeorysza – zakpila zlosliwie Aleydis.

– Opieka jest wystarczajaca, zeby utrzymac was w zdrowiu. – Wielebna matka podeszla blizej, patrzac bacznie na osadzone. – Jesli wam sie wydaje, ze zaslugujecie na wieksza wielkodusznosc tylko z powodu bogoslawnego stanu...

– Przyznaje, ze wielkodusznosc wam nie przystoi – odparla Aleydis. – Przynajmniej, ze sie o mnie zatroszczycie, ze zapewnicie mi godziwe warunki, tymczasem...

– Wolicie biskupie wiezienie? – Wyglosiwszy te dwuznaczną riposte, Eudeline postawila kaganek na zydlu i stanela przed dziewczyną. – Nie rzucajcie tak latwo oskarzen, moja droga. Z nas obu to z pewnoscia nie ja jestem zmija.

Aleydis odwrócila wzrok.

– Zmuszono mnie. Sądziłam, ze to rozumiecie. To nie zalezalo ode mnie.

– Zabiliście siostrę Claire – cisnela jej w twarz matka przełożona. – Kardynal nakazal wam takze i to?

– To byl wypadek.

– To byla konsekwencja dokonanych przez was wyborow. – Eudeline ogarnelo wzburzenie i – tak jak przypuszczala – nie zdoiala zachowac nalezytej powsciagliwosci. Widzac upokorzenie na twarzy dziewczyny, zastanowila sie, czy gdyby sama znalazla sie w tak trudnym polozeniu, potrafilaby postapic wlasciwie. Spuscila ze smutkiem glowe. – Gdybyście mi chociaz opowiedzieli calą prawde, od poczatku...

Osadzona usmiechnela sie drwiaco.

– Przyjelibyscie mnie wtedy na nowicjat?

– Ochronilabym was. Wierzcie mi, to prawda. Uzylabym wszelkich wplywow, zeby trzymac was z dala od tego potwornego czlowieka.

– Jego Ekscelencji kardynala Bertranda du Pougeta. – Wystarczył dzwiek tego imienia, by wprawic w drzenie mrok celi. – Naprawde wierzycie, wielebna matko, ze zdoalibyscie stawic mu czola? Wiecie, o kim mowicie?

– Ileż w was nagle hardosci – zadrwila przeorysza, wcale nie dajac sie zastraszyc. – Zreszta, rozumiem was. W koncu rozmawiamy przeciez o ojcu waszego dziecka.

Dziewczyna jakby zamknela sie w sobie i skulila pod sciana.

– Wzial mnie sila, i nie on pierwszy! – wysyczala przez zęby, zdradzajac pogarde zrodzona z glębokiej nędzy, w której przyszla na swiat. – Ale co wy mozecie o tym wiedziec, skoroście dorastali w przepychu i wśród wonnych tkanin?

– Milczcie, przekleta! – Eudeline, którą przesylo wspomnienie ojca rzucajacego sie na nią ze zwierzęcą chucią, spoliczkowala ją z taką silą, ze dziewczyna przewrocila sie na bok. Cofnela sie zdyszana, z ciagle uniesioną prawą

dłonią, i oparła plecami o drzwi. – To wy nic nie wiecie... – wyszeptała. – Nic... o mnie nie wiecie.

Aleydis podniosła się i spojrzała na nią w osłupieniu.

– Dlaczegoście przyszli do mnie? – zapytała urywanym głosem.

Matka przełożona chwyciła kaganek i jęła się szarpać z rygłem.

– Wkrótce się przekonacie!

Przekroczyła próg i czym prędzej zamknęła drzwi, jakby uciekając. Ponownie otoczył ją mrok.

Mrok, który tkwił w niej samej.

O ile godzina czytań wzmogła nocny niepokój, o tyle powitanie Roberta de Vermandois o brzasku całkiem go rozwiało. Gdy wszedł do pracowni, siostra Eudeline, nie zważając na podstępny urok jego zielonych oczu, uznała, że jeszcze bardziej wzbudza podziw i szacunek, niż to zapamiętała. Może działa się tak za sprawą tuniki z szerokimi rękawami i ciemnej zmierzwionej brody, nadającej jego twarzy twardy wygląd. A może dlatego, że nadal drżała na myśl, że obejmuje ją ramionami. Poprosiwszy, by usiadł na krześle, zajęła miejsce naprzeciw niego – nie rozdzielał ich ani stół, ani szachownica.

– Przykro mi – przemówiła – że wezwałam was o świcie, lecz jest to kwestia równie niecierpiąca zwłoki, jak delikatna.

Pikardyjski baron posłał jej uprzejmy uśmiech.

– Służę wam z radością, pani.

Wielebna matka dostrzegła w jego oczach skrywane skrępowanie i jęła się zastanawiać, czy wywołała je ta sama podnieta, którą sama odczuwała. „Nie” – doszła do wniosku. Robert sprawiał wrażenie dotkniętego, niemal urażonego. Korciło ją, by zapytać o przyczynę, lecz powstrzymała się, żeby nie zdradzać swoich uczuć.

– Niepokoję was z powodu mojego brata.

Vermandois wpatrywał się w nią, czekając na dalszy ciąg.

– Maynard to cenny przyjaciel – rzekł tylko. – Oddałbym za niego życie.

Vermandois nie był już dotkniętym zanikiem pamięci mężczyzną, którego oddano pod opiekę Eudeline. Teraz nabrał dużej pewności siebie i emanował spokojem, a wystarczył dźwięk drogiego imienia, by okazał lojalność. Przeorysza nie chciała się nim wszakże wysługiwać.

– Będziecie musieli mu coś ode mnie doręczyć – wyjaśniła. – Pieniądze.

– Odkryliście zatem, gdzie przebywa – zauważył baron. – Wrócił do Reims?

– Nie, messer. Ukrywa się na południu Alp, w Emilii.

– Wiedzie tam dość uciążliwa droga.

Matkę przełożoną rozgniewała nuta nieufności w jego głosie.

– Właśnie dlatego nie mogę wysłać nikogo ze służby ani tym bardziej siostry – wyjaśniła. – Ufam wyłącznie wam.

– Pojmuję pragnienie trzymania mnie jak najdalej – wysnęło się Robertowi – jednakże...

– Na to się nie zgadzam! – Eudeline uderzyła pięścią w poręcz krzesła i poderwała się na równe nogi. – Przecież sami zrezygnowaliście z mej gościny, już zapomnieliście o tym? *Wy sami!* Opuściliście mój klasztor w jednej chwili, bez słowa.

Vermandois pochylił się, by ją uciszyć, lecz odepchnęła go stanowczym

gestem. Pikardyjczyk, prychnąwszy, opadł na krzesło.

– Nie mogłem dłużej mieszkać w domu gościnnym przy klasztorze Świętej Balsamii – usprawiedliwił się, wbijając wzrok w podłogę. – Nie byłem już w stanie, rozumiecie? Nie po tym, jak was pocałowałem.

Eudeline splótła ręce na piersiach, jakby chciała powstrzymać szalejącą wewnątrz burzę. Była pewna, że nie powinna go winić. Wszelako nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że oddalając się, pragnął ją ukarać.

– Robercie, zrozumcie, proszę...

– Nie ma tu wiele do rozumienia, pani – przerwał. – Sam nie wiem, czy miłość, jaką was darzę, jest bardziej bogoburcza, czy szalona, lecz nie umiem jej ukryć. I właśnie z tego powodu po dwakroć proszę was o wybaczenie. Wybaczenie mi głupotę i grubiaństwo.

– Nie musicie za nic przepraszać – uspokoiła go zakonnica, klękając obok niego. – Jeśli Pan wszystko widzi, wie, że ta chwila była dla mnie...

Robert musnął jej dłoń.

– Usiądźcie, pani. – Uśmiechając się gorzko, spróbował mówić spokojnym tonem. – To, co zamierzałem powiedzieć, odnosi się do waszego bezpieczeństwa. Otóż wiedzcie, że jestem na tropie Araba.

– Araba? – Drgnęła, słysząc to imię. Było to po prawdzie zmyślane imię, określające pewnego Maura, który przed wieloma miesiącami ocalił jej życie. Gdyby nie on, Eudeline wpadłaby w łapy Bertranda du Pougeta. Jednak myśl, że nie wie, co łączy Araba z tą tajemniczą sprawą, napawała ją niemałym lękiem. – Odnaleźliście go?

– Jeszcze nie – odparł Vermandois. – Ale natknąłem się na kowala, który twierdzi, że go zna.

– Kowala?

– Ściślej biorąc, płatnerza. Ma pracownię przy katedrze, obok starego jarmarku. Utrzymuje, że ów człowiek zapłacił mu za wykonanie zbroi.

Eudeline wpatrywała się weń osłupiała.

– Mówicie zagadkami.

– Tak, pani. Zbroi z czarnego żelaza, jakiej nigdy dotąd nie widziałem. Nie wyobrażam sobie, do czego mogłaby służyć, lecz kiedy Arab się po nią zgłosi... Ja będę tam, żeby go przydybać.

– To może długo potrwać – zauważyła wielebna matka – tymczasem żądanie Maynarda powinno zostać spełnione jak najrychlej.

– Proszę tylko o kilka dni – nalegał baron, zaciskając pięści. – Zbroja już jest gotowa.

Nim Eudeline się odezwała, dokładnie rozważyła to, co chciała powiedzieć. Przewiezienie florenów do opactwa w Pomposie zajmie Robertowi całe miesiące. Bez wątplenia Maynard zdaje sobie sprawę, ile czasu trwa taka podróż, wie zatem,

że musi cierpliwie czekać. Z pewnością tydzień zwłoki nie będzie miał tu znaczenia. Natomiast dla przeoryszy oznaczałoby rozwiązanie niepokojącej tajemnicy. – Skoro tak się rzeczy mają, nie ośmielę się stanąć wam na drodze.

Vermandois skinął z aprobatą głową, po czym wstał z zamiarem pożegnania się. Niespodziewanie wszakże spochmurniał.

– Tak czy inaczej, dobrze się nad tą sprawą zastanówcie, pani.

– Co macie na myśli? – zapytała Eudeline.

– Gdy opuszczę Reims, zostaniecie sami. Nie będzie nikogo, kto mógłby was obronić. Gdybyście przynajmniej zechcieli powierzyć mi swe tajemnice...

Zakonnica potrząsnęła przecząco głową.

– Kardynał Bertrand du Pouget wyjechał z miasta. Krążą słuchy, że powrócił do Awinionu.

– Jednakże jego szpiedzy mogą się nadal czaić wśród szumowin Reims – ostrzegł Robert – albo nawet parę kroków od klasztoru. Pamiętajcie o powiązaniach kardynała z Karolem Luksemburskim i francuskimi hierarchami? On jest niebezpieczny, pani, a jego ręce mogą sięgać wszędzie.

Zasiawszy wątpliwości w Eudeline, Vermandois skłonił się i wyszedł.

AWINION, PAŁAC KARDYNALSKI

18 LIPCA

– Trzymajcie się z daleka, Eminencjo. Ta kobieta leżała z diabłem.

Kardynał zatrzymał gniadosza przed bramą do swego pałacu i przyjrzał się zbrojnemu, który do niego przemówił, a następnie siedzącej nieopodal niewieście. Była przywiązana do słupa, pozlepiane brudem włosy zakrywały jej twarz. Wokół niej gromadka fratrów odmawiała *Paternoster*, okadzając ją smrodliwym dymem z trybularzy.

Nie mógł się powstrzymać i roześmiał pod nosem. Doprawdy, przy tylu kwitnących dziewczkach wokół, diabeł musiałby mieć nader skromne wymagania, gdyby wybrał cudzołożenie z taką mizerotą. Zdjął kapelusz łowiecki i jął wachlować twarz, aby ochłodzić się, gdyż południowy skwar dawał się we znaki. W normalnych okolicznościach rozpędziłby to małe zgromadzenie, ale polowanie z nagonką na granicy hrabstwa Venaissin wprawiło go w dobry nastrój. Uczyniwszy w powietrzu znak krzyża, przekroczył konno pałacową bramę, a za nim podążyła świta łuczników i paziów.

Wrócił do Awinionu przed tygodniem i każdą wolną chwilę przeznaczał na wypoczynek, korzystając z wygód. Podróże do Reims i Metz wystawiły go na ciężką próbę, ale o ile pierwsza okazała się porażką, o tyle druga przyniosła istotne zwycięstwo. Teraz, gdy Karol Luksemburski podarował mu grot włóczni, kardynał był w posiadaniu dwóch bezcennych relikwii wymienionych w *Codex Millenarius*. Brakowało jeszcze trzeciej. Kiedy trafi w jego ręce, zyska ogromną władzę nad Kościołem i cesarstwem. Tylko że zdobycie *Lapis exilii* nie zapowiadało się na łatwe zadanie. Maynard de Rocheblanche, jedyna osoba, która wiedziała, gdzie on się znajduje, przepadła jak kamień w wodę.

Mimo wszystko Jego Eminencja nie tracił nadziei. Po ucieczce z Reims zadbał o to, by zostawić na miejscu zaufanego człowieka, zdolnego szpiegować przeoryszkę klasztoru Świętej Balsamii. On nie sprawi mu takiego zawodu jak Aleydis. Był bardziej przezorny i powodował nim ten rodzaj pobudek, który może się zrodzić wyłącznie z pobożności.

Kardynał miał oczekiwać na wieści od niego w swym pałacu, nie narażając się już bardziej. „Najwyższy czas” – rzekł w duchu. Musi jedynie być cierpliwy, a wydarzenia same dojrzeją niczym owoce na drzewie. I gdy tylko jego szpieg odkryje, gdzie zaszył się Rocheblanche, *Lapis exilii* będzie należał do niego.

Przemierzał truchtem wewnętrzny dziedziniec, kierując się ku stajniom, aż dostrzegł idącego mu na spotkanie leciwego osobnika w czerni. Na widok jego obszernej cioppy⁶ zsiadł z konia i skinął mu na powitanie.

– Dawno już nie odwiedzała mnie papieska *gens togata*.

Urzędnik skłonił się sztywno w odpowiedzi.

– Kardynał Bertrand du Pouget, jak przypuszczam?

– We własnej osobie. Z kim mam zaszczyt?

– Zwę się Jacques de Bérail, choć to nieistotne. Jestem adwokatem kurii awiniońskiej i przybyłem, aby dać wyraz konsternacji Jego Świątobliwości.

Kardynał powściągnął gniadosza, chwytając za wędzidło.

– Konsternacji?

– Owszem, Wasza Łaskawość – odparł niewzruszony Jacques de Bérail.

Bertrand wpatrywał się weń ze zdziwieniem graniczącym z irytacją. Jak ten człowiek śmie traktować go z taką wyższością? Poczł pokusę, by dobyć przytroczonej do łęku dągi i poderżnąć mu gardło niczym jelonkowi, mimo to obdarzył go uprzejmym uśmiechem.

– Zechcielibyście omówić to ze mną w bardziej odpowiednim miejscu?

Urzędnik rozejrzał się dokoła, zatrzymując wzrok nieco dłużej na wysokim żywopłocie okalającym dziedziniec.

– Czyż nie znajdujemy się w waszym pałacu?

– Owszem.

– Zatem to miejsce dobre jak każde inne. – Jacques de Bérail wyjął z kieszeni zwój opatrzony pieczęcią Klemensa VI i zdecydowanym ruchem wręczył go kardynałowi. – Jak mówiłem, jestem tu, by dać wyraz konsternacji wywołanej pewnymi pogłoskami, które jeły krążyć po waszej krótkiej kwietniowej wizycie w Metz. – Obrzucił hierarchę zimnym spojrzeniem. – Podobno odbyliście spotkanie z Jego Królewską Mością Karolem Luksemburskim.

Kardynał z trudem ukrył przerażenie. Zachował wszelkie środki ostrożności, aby utrzymać całą sprawę w tajemnicy, najwyraźniej jednak szpiedzy papieża dotarli nawet do alkowy Karola. Zawahał się na widok zwoju, szacując w pośpiechu konsekwencje, po czym wyrwał go z rąk papieskiego urzędnika.

– Spowiadam tego szlachetnego władcę od jego najmłodszych lat – oznajmił.

– Kiedy więc bardzo się tego domagał, postanowiłem bez namysłu się z nim spotkać.

– I doradziliście mu, żeby schronił się w Pradze – dodał Jacques de Bérail głosem ostrym niczym brzytwa. Milczenie Jego Eminencji zdawało się sprawiać mu wewnętrzną rozkosz. – Nie lękajcie się – ciągnął. – Papieża rozczarowała nie tyle ta wiadomość, ile raczej to, że Karol przyjął posłańców rodu Habsburgów i Wittelsbachów.

Bertrand nawet nie mrugnął.

– A gdyby nawet tak było?

– To wrogowie Awinionu, sojusznicy heretyka Ludwika Bawarskiego. Nigdy nie pozwoliliby sobie zbliżyć się do człowieka, którego zwa „królem klechów”. Chyba że sam dostojny Karol, urzeczywistniając jakąś tajemniczą strategię, postanowił się przed nimi otworzyć.

Kardynał ponownie skupił wzrok na dadze.

– Nie wiem, co to mogłoby mieć ze mną wspólnego – bronił się.

Advocatus pozwolił sobie na sztuczny śmiech zakłopotania.

– Cóż, to co najmniej... znaczące, że owe spotkania odbyły się tuż po waszej wizycie.

Bertrand, który nie potrafił już nad sobą zapanować, poczerwieniał.

– Zabraniam wam!

Jacques de Bérail pokręcił głową niewzruszony.

– Nie mnie powinniście zabraniać – sprostował – lecz Jego Świątobliwości, który natychmiast oczekuje wyjaśnień. – I wskazawszy zapieczętowany zwój, skłonił się lekko i oddalił.

Kardynał spoglądał na przecinającą dziedziniec czarną postać, dopóki nie zniknęła w oślepiającym blasku słońca. Niczym jakiś nienawistny kruk zwiastujący nieszczęście.

===YIRgWGheb15xQHVFc0Z1Q3NGd1gNfwx2A28OLmkIfw===

BORY FERRARY**20 LIPCA**

Wilk był zaledwie plamą na tle zarośli. Nieruchomy, wpatrywał się niemal drwiąco, jak mężczyzna na koniu celuje do niego z łuku. Przez chwilę stanowili jedno: bestia i łowca, oboje skupieni na żelaznym grocie gotowym przeciąć powietrze. Raptem między lotkami strzały a gotowymi ją wypuścić palcami znalazła się czyjaś dłoń. Obizzo d'Este szarpnął gniewnym ruchem łuk i rzucając przekleństwo, spojrzął na sprawcę tego zuchwalstwa.

Rocheblanche w odpowiedzi obdarzył go uśmiechem.

– Oszczędźcie go – szepnął. – To przepiękne zwierzę.

Markiz wcale nie miał zamiaru posłuchać tej rady, wszelako kiedy wycelował ponownie, spostrzegł, że wilk zdążył uciec.

– Zaproszenie was na polowanie to doprawdy znakomity pomysł! – sarknął.

– Nie jesteśmy tu po to, by zabijać wilki, Wasza Wielmożność.

– Coś mi się zdaje, że w waszym towarzystwie nie udałoby mi się upolować nawet zająca.

Francuz wzruszył ramionami. Już od dziecka wiedział, że prawdziwą sztuką było łowiectwo uprawiane zimą, gdy bory stają się nieprzebyte, a dzikie zwierzęta bardziej czujne. Nie mógł jednak przecież przyznać się przed markizem, że uważa letnie zmagania ze zwierzyną za rozrywkę dla tchórzy.

– O ile się nie mylę – zmienił temat – zamierzaliście mi coś powiedzieć?

Ciągle jeszcze naburmuszony Obizzo odłożył strzałę do kołczanu przy nodze i spał konia.

– Owszem – odparł burkliwie.

Maynard popędził karego i pognał za nim przez makie Świętego Jerzego. Znał markiza wystarczająco dobrze, by przykładać właściwą miarę do jego niespodziewanych zmian nastroju. I rzeczywiście, wkrótce Obizzo pogrzyżył się w zadumie.

Wsunął dłoń do kieszeni w siodle i wydobył jakąś małą księgę.

– Co o tym sądzicie? – zapytał, wręczając mu ją.

Zaciekawiony Francuz zwolnił i przekartkował iluminowane stronice w poszukiwaniu incipitu.

– *Vita Merlini*⁷ prozą – przeczytał zdumiony. Nigdy nie spodziewałby się podobnego dzieła u tak posępnego i pragmatycznego człowieka jak markiz. Tym

bardziej tu, na polowaniu.

– Pożyczył mi ją pewien mistrz pióra z Bolonii – wyjaśnił Obizzo. – Bardzo chciałbym mieć kopię, zanim ją oddam.

– By wam dostarczała uciechy? – zakpił Maynard.

– Nie wygadujcie bredni, messer. To dla... bliskiej mi osoby.

Za skrywanym zakłopotaniem rycerz dostrzegł u markiza pragnienie przypodobania się damie.

– W takim razie będzie to nader cenny dar – stwierdził, zwracając mu księgę.

– Tylko do czego potrzebne wam jest moje zdanie?

Obizzo schował *Vita Merlini* do kieszeni siodła.

– Wiele dni temu – odrzekł – napomknęliście o waszych powiązaniach z klasztorem w Pomposie, pamiętacie?

– Owszem. I cóż stąd?

Krzyki i ujadanie zapowiadały zbliżającą się gromadę myśliwych, której zamiarem było spłoszenie przyczajonych wśród zarośli dzików. Markiz skinął na swego kompana, po czym – aby im nikt nie przeszkadzał – oddalili się w miejsce, gdzie roślinność była gęstsza.

– Ostatnio w opactwie pracuje wyjątkowo uzdolniony miniaturzysta – rzekł, ruszając truchtem. – Nie wiem, jak się zowie ani skąd pochodzi, ale mogłem podziwiać jedno z jego ostatnich dzieł, *Legenda aurea* Jakuba de Voragine, zilustrowaną dla kanoników od Matki Boskiej z Brodu. I zastanawiałem się, czy przypadkiem wy...

– Wiem, kogo macie na myśli – wszedł mu w słowo Rocheblanche. – I potwierdzam krążące o nim słuchy. To naprawdę utalentowany młodzieniec.

– Chciałbym, żeby to on ilustrował kopię księgi, którą wam pokazałem. – Markiz mówił ostrożnie, jakby żuł pokrzywy. – Nie mogę wszakże zwrócić się bezpośrednio do skryptorium Pomposy. Być może nie wiecie, ale moje stosunki z opatem są dość trudne.

– Wiadomo mi także i o tym – wyznał Maynard. – Podatki.

– Owszem, podatki – odparł prosto z mostu Obizzo. – Nie żebym domagał się części tych florenów, ma się rozumieć. Wszystkie należą się Kamerze Apostolskiej, podobnie jak kwota, którą wpłacam co roku, aby zachować wikariat w Ferrarze.

– Nie musicie się przede mną tłumaczyć, Wasza Wielmożność.

– Wcale nie zamierzałem. – Wtem markiz powstrzymał konia i dał kompanowi znak, by nadstawił ucha. Podejrzany trzask w zaroślach ucichł raptownie, a obaj odnieśli wrażenie, że ktoś ich szpieguje. – Powróćmy do *Vita Merlini* – powiedział Obizzo, nie przestając się rozglądać. – Jedynym sposobem na ominięcie przeszkody w postaci opata byłoby pośrednictwo kogoś trzeciego.

– Mowa o mnie, jak przypuszczam.

Markiz przytaknął.

– Nie wiem, do kogo innego mógłbym się zwrócić. Wielebny Andrea jest bystry, natychmiast rozpoznałby mojego podwładnego.

– Niechaj będzie – zgodził się Francuz. – Powiem, że kopia jest dla mnie.

Rysy Obizza złagodniały.

– Zasłużyliście na moją wdzięczność, messer.

Maynard czuł szczerzy podziw. Obdarowywanie ozdobionym miniaturami *roman* było zaletą szlachetniejszego ducha, niż sądził markiz. Jednocześnie pod pretekstem wypełnienia tej misji mógłby udać się do Pomposy i wypytać ojca Andreę, czy się czegoś dowiedział na temat *Codex Millenarius*. Minęły już dwa miesiące, odkąd opowiedział mu o tej sprawie, toteż jego niecierpliwość rosła, powodując lęk, że wraz ze śmiercią Facia zniknęła jedyna droga do odnalezienia relikwii z Mont-Fleur. Rychło jednak uzmysłowił sobie, że może skorzystać z tego zrządzenia losu także dla osiągnięcia innego celu.

– A miniaturzysta? – dodał zniechęca.

– Co macie na myśli? – zapytał Obizzo, usiłując dociec, skąd dobiega osobliwy szelest.

– Miniaturzysta – powtórzył Francuz – będzie musiał poznać prawdziwe imię zleceniodawcy, aby dostosować się do jego upodobań.

– Wydaje mi się to oczywiste. Sami mu je wyjawicie, w zaufaniu, obiecując sowitą zapłatę.

Rocheblanche spoważniał.

– W takim razie jestem zmuszony wam coś o nim powiedzieć.

Obizzo przestał się rozglądać i popatrzył nań osłupiały.

– Co niby powinienem wiedzieć o pospolitym kopiście?

– To nie jest pospolity kopista – odparł Maynard, którego ogarnęły spóźnione wyrzuty sumienia. Jeszcze słowo, a zdradziłby tajemnice przyjaciela, nadarzyła mu się jednak tak dobra sposobność, że żał byłoby ją zmarnować. Popędził karego ścieżką wzdłuż krzewów jeżyn w nadziei, że trzask łamanych gałęzi za ich plecami wywołało jakieś dzikie zwierzę, a nie szpiegujący ich człowiek. – Zowie się Gualtiero de' Bruni.

Markiz skrzywił się zakłopotany.

– Jego imię powinno mi coś mówić?

– Jego ojciec został powieszony w Ferrarze w kwietniu na wasz rozkaz.

– Nie przypominam sobie.

– Mistrz malarski. Wasi ludzie pojмали go w Pomposie.

– O co był oskarżony?

– Nie wiem. – Niespodziewanie oczy markiza pociemniały, stając się nieprzeniknione. Przeczuwając niebezpieczeństwo, Maynard instynktownie pomyślał o przytroczonym do siodła mieczu. Wtedy rozległ się kolejny trzask

gałęzi, wzmagając napięcie.

Zastygli w bezruchu, nasłuchując, z dłońmi na kołczanach, aż wreszcie ciszę przerwał głos Obizza:

– Z waszych słów wynika, że ów młodzian jest moim wrogiem.

– Nie – pospieszył z wyjaśnieniem Rocheblanche. – Gualtiero de' Bruni to człowiek roztropny. Złość chłopca nie bierze się z chęci zemsty, jej przyczyna tkwi w niepewnym losie matki, Sapii. Pojmano ją wraz z mężem, lecz w przeciwieństwie do niego...

Obizzo machnął ręką zniecierpliwiony.

– Żądacie, żebym roztrząsał wydarzenia, których sobie nie przypominam?

– Opat Andrea pisał do was w twej kwestii, przynajmniej to powinno utkwic wam w pamięci. Osobiście doręczyłem list do waszej kancelarii.

Markiz wzruszył ramionami.

– Dajcie spokój, messer. Mam na głowie nazbyt wiele obowiązków. O ile się jednak nie mylę, leży wam na sercu los młodego Gualtiera de' Bruniego.

Maynard posłał mu porozumiewawczy uśmiech.

– Powiedzmy, że gdyby zdołał uzyskać wieści o matce, lepiej wykonałby pracę, którą zamierzacie mu powierzyć.

Markiz niejasno przytaknął.

– Skoro ta sprawa jest dla was aż tak ważna, macie moje pozwolenie na przejrzanie rejestrów kancelarii. Z pewnością gdzieś zostało napisane, co się stało z tą nieszczęśnicą.

– Jestem wam wdzięczny.

– Spodziewam się! – wykrzyknął Obizzo. – Nie zapomnijcie dostarczyć *Vita Merlini* do skryptorium w Pomposie, messer.

– Uczynię to już jutro, Wasza Wielmożność.

Spięli konie i pomknęli ku powiększającemu się zbiegowisku mężczyzn i psów ścigających zdobycz. Markiz zdradzał niecierpliwą żądzę zabijania, z kolei Francuz nie miał już żadnego powodu, by go powstrzymać. Ledwie jednak macka się przeredziła, z zarośli wynurzył się mężczyzna na wierzchowcu, zagradzając im drogę i zmuszając do ściągnięcia cugli.

Maynard od razu rozpoznał ten szydyczny grymas rzeźnika. Ukrywszy wzgardę pod drapieżnym uśmiechem i przyjrząwszy się bliźnie, którą wypalił na twarzy Superanzia Orsiniego, skinął mu lekko głową na powitanie.

– Nie wiedziałem, że bierzecie udział w polowaniu, messer.

Ignorując nieufne spojrzenie Maynarda, Superanzio Orsini zwrócił się do markiza.

– Pospieszcie się, panie – zawołał. – Słudzy właśnie wypłoszyli dużego dzika.

Obizzo skinął głową i bezzwłocznie puścił się galopem. Rocheblanche powstrzymał karego i utkwiał wzrok w przybyszu.

– Ach, ta szlachta... – zadrwił widam, czekając, aż markiz zniknie wśród drzew. – Zawsze gotowa rozszarpać kość, którą się jej rzuci, jak psy.

– Wy natomiast bardziej przypominacie szakala – odparował Francuz – który czai się w krzakach.

– A – uśmiechnął się tamten – zatem dostrześliście moją obecność.

Maynard wzruszył ramionami.

– Wyczułem jedynie nieokreślony odór ścierwa – odrzekł i ściągając cugle, ostrożnie podjechał bliżej. – Dlaczego tu jesteście?

Szyderczy uśmiech Superanzia zamienił się w fałszywy grymas.

– Na waszym miejscu – rzekł – zostawiłbym tę niewiastę własnemu losowi.

– Jaką niewiastę? – Rycerz udał, że nie pojmuje.

– Żonę mistrza malarskiego. To nie wasza sprawa.

Rocheblanche zastanawiał się, co takiego ukrywa biedna Sapia, że człowiek biskupa zadaje sobie trud, ostrzegając go. Bardziej niż ciekawość jego duszę rozpałała wszakże zawołowana groźba.

– Podobnie jak przy naszym pierwszym spotkaniu znowu pojawiają się odmienne poglądy na wzajemne powinności – oznajmił, marszcząc czoło. – Widocznie ostatnia nauczka nie wystarczyła.

– Przeciwnie, zostawiliście ślad. – Widam, gładząc się po oparzeniu na twarzy, celowo pokazał noszony na palcu pierścień. – Teraz moja kolej.

Nie wierząc własnym oczom, Francuz rozpoznał kroczącego na tylnych łapach lwa w emaliowanej oprawie.

– Zatem to wy...

– Posłuchajcie mnie uważnie, messer! – W głosie Orsiniego zabrzmiała nuta goryczy. – Zdradźcie mi, jak odnaleźć *Lapis exilii*, albo powiem markizowi, że jesteście awiniońskim szpiegiem. Dowodem będzie ten pierścień.

Maynard oparł się pokusie, by chwycić go za gardło i zrzucić z siodła.

– Obawiam się, że nie rozumiem – rzekł przez zęby.

– Chcecie mi wmówić, że nie wiecie, do kogo należy?

– Sami to za chwilę wyjawicie! Albo jak mi Bóg miły...

Piskliwy śmiech widama, którego twarz zastygła w masce plugawej

wesołości, był niczym smagnięcie biczem.

– Do Jego Eminencji kardynała Bertranda du Pougeta – wysyczał. – Kardynała-wojownika, który jakiś czas temu przypieczętował losy Ferrary.

Gdy słowa te rozbrzmiewały mu w uszach, rycerz zachodził w głowę, co człowiek tego pokroju może mieć wspólnego z Janem Ślepym i tajemnicami Mont-Fleur. Był pewien, że nikt dotąd nie wymówił przy nim jego imienia, chociaż niejednokrotnie cisnęło się na usta. Po klęsce pod Crécy kryło się za szyderczym grymasem Karola Luksemburskiego, a wkrótce potem miała je na końcu języka tamta niewiasta, którą wysłano, aby go uśmierciła. Zatem to on, Bertrand du Pouget, wysłał zbirów, którzy ścigali go aż do Reims. I prawdopodobnie także on zawiódł zaufanie króla Czech. Bijąc się z myślami, mierzył pogardliwym wzrokiem szakala, którego miał przed sobą.

– To niktzemna potwarz – zaprzeczył rycerz. – Nie służę temu człowiekowi.

– Mniejsza z tym – odparł Superanzio. – Takie oskarżenie wystarczy, żebyście trafili na szubienicę.

– Wobec tego – dłoń Maynarda dotknęła rękojeści estoka – szybszy będzie mój miecz.

Widam w jednej chwili stracił całą zuchwałość.

– Jeżeli mnie teraz zgładzicie – ostrzegł – odzyskacie pierścień, ale nie zagadkę, którą chowaliście w sakwie.

Rocheblanche opanował gniew.

– To też będziecie musieli mi zwrócić, jeśli zależy wam na życiu – odrzekł.

– Przekażę ją w odpowiednim czasie we właściwe ręce. Wydałem polecenie, że gdybym nie przeżył tego spotkania, ma dotrzeć do władz, wraz z imionami waszym i kardynała Bertranda du Pougeta. Wyobrażacie sobie, jakie będą tego następstwa?

– A jeśli was oszczędzę?

– Już wam to tłumaczyłem – powiedział Superanzio. – Będziecie musieli wyjawić mi wszystko, co wiecie o *Lapis exilii*. Od ponad miesiąca codziennie studiuję tekst waszego pergaminu, lecz nie mogę pojąć, co znaczy. Gdybyście tylko pomogli mi go rozszyfrować...

Maynard rozważał jego słowa, wahając się. Ten człowiek to wąż, który w taki czy inny sposób go oszuka. Nie należało zresztą wykluczyć, że to właśnie on zabił Facia di Malaspinę. Rycerz już miał odmówić, oszacował wszakże korzyści, jakie mogłoby mu to przynieść.

– Moja pomoc za prawdę o żonie Sigismonda de' Bruniego.

– Zgoda – odrzekł widam. – Ale nie teraz. Spotkajmy się w nocy, kiedy dzwony zabiją na prymę, w miejscu, gdzie dzielnica Powodzi styka się z fosą, której wody wpadały do Padu. Ale jeśli wyczuję pułapkę...

– Widocznie zapomnieliście, messer, kto z nas jest obłudnym węzem.

Odepchnąwszy go obcesowo, spał konia i popędził za Obizzem.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

Gualtiero czekał na spotkanie z Isabeau cały dzień, zanim jednak po opuszczeniu skryptorium skierował się w stronę wozu, licząc na to, że właśnie tam się zaszyla, ruszył ścieżką na tyłach pałacu. Wraz z błyskawicznym nadejściem lata roślinność wokół opactwa stała się gęsta i bujna, powodując, że krajobraz wyglądał niemal dziko. Gualtiero zapuścił się między krzewy jeżyn i jagód, zmierzając ku tafli laguny, którą przed wieloma miesiącami pokazał mu ojciec Andrea. Później niejednokrotnie tam powracał, aby w samotności prosić o radę duchy dawnych mnichów, które unosiły się nad wodami. Wystawiając cierpliwość opata na próbę, zwlekał z odpowiedzią. Przerażała go myśl, że miałby związać swój los z klasztorem, nie mówiąc już o uczuciach do Isabeau i wielu wątpliwościach dotyczących istnienia jakiegoś dobrego boga. Wszelako nie zapominał o korzyściach płynących z bulli *Summi Magistri*, a zwłaszcza o możliwości udania się do najważniejszych ośrodków nauk teologicznych. Wielebnemu Andrei wyrwała się nawet nazwa Paryż, co obudziło w młodzieńcu nadzieję na zatrzymanie się w drodze w Awinionie i poszukanie matki.

Tej samej nocy Maynard wyruszył do Pomposy. Wszedł w pośpiechu na pokład jedynej krypy, która podniosła w ciemnościach kotwicę. Była to barka z powiązanych desek płynąca w dół Padu z załogą składającą się z przemytników. Przeciętnego podróżnego rejs ten napełniłby trwogą. Maynard potrafił jednak nawiązać z właścicielem łodzi – chłopiskiem o imieniu Oreste – relacje oparte na milczącym szacunku, dzięki czemu mógł siedzieć na rufie, gdzie nikt mu nie przeszkadzał. A było to wskazane, bo miał o czym rozmyślać. Podczas wizyty w kancelarii markiza odkrył niepokojącą prawdę o pojmaniu Sapii, a najnowsze wieści o Bertrandzie du Pougecie przysporzyły mu wiele zgrzyzoty.

On was przewyższa. Słowa niewiasty, która przed miesiącami próbowała go zabić, ścigały rycerza niczym wichur. Jeszcze nie tak dawno nie uwierzyłby, że machinacje jednego człowieka, choćby i kardynała, mogą wywrzeć wpływ na losy tak wielu osób. Teraz wszakże musiał się skupić na czymś innym. Zaraz po rozmowie z ojcem Andrea będzie musiał wrócić do Ferrary na spotkanie z Superanziem Orsinim. Miał nadzieję, że zdoła go nakłonić do współdziałania, nie wyjawiając mu tajemnic Mont-Fleur.

Niemal szukając rady, jał wypatrywać na firmamencie Altaira, gwiazdy odwagi, która swym lodowatym płomieniem zapewniała gwiazdozbiorowi Orła panowanie nad niebem. Dostrzegłszy jednak wśród obłoków także blask Pikującego Orła i Deneb, miał nad sobą Trójkąt Letni⁸, przywodzący na myśl sen o trzech jeźdźcach.

„Dosyć tych strachów” – nakazał sobie nagle. Nawet gdyby byli zwiastunami apokalipsy, ci trzej ludzie-komety nie mają przecież nad nim żadnej władzy. Najwyższa pora odsunąć na bok tajemnicze wizje i stawić czoło rzeczywistym trudnościom. Tylko tak zdoła zmyć hańbę swego ojca i odkupić grzechy, które sam popełnił.

Nagle Oreste wypuścił ster i przechylił się przez nadburcie ku językowi ziemi ciągnącemu się między oczeretem a czarnymi wodami. Rocheblanche przypuszczał, że szuka miejsca do zacumowania z dala od *Portus Abbatis*, aby uniknąć kontroli i płacenia cła. Gdy upewnił się, że ma rację, odwiązał karego od grotmasztu i odczekał, aż przemytnicy rzucą kotwicę. Następnie pożegnał się z właścicielem łodzi, zszedł na ląd i pogalopował przed siebie.

Dotarł do Pomposy o pierwszym brzasku.

Zostawił konia w stajni i opłukał twarz wodą ze studni; zanim jednak zapytał o opata, zakołatał do wozu Gualtieria. Pragnął uprzedzić go o wydarzeniach, które miały nastąpić, w razie gdyby sojusz z nim w starciu z Andrea okazał się konieczny. Nie usłyszawszy odpowiedzi, uznał, że młodzieniec jest już w skryptorium, wyruszył więc na poszukiwanie wielebnego ojca.

Znalazł Andreę w krużganku, przed wejściem do kapitulacza. Siedział u stóp kolumny bardzo zafrasowany i najwyraźniej mówił do siebie. Podeszedłszy bliżej, Maynard spostrzegł przycupniętego przed nim charta, który wyglądał, jakby go słuchał.

– Wyrazy szacunku, wielbny ojciec – przywitał się.

Opat poderwał się raptownie.

– Jakież to pomyslnie wiatry, messer?

– Powinniście się domyślić.

– Sześćset florenów? – zapytał opat z nadzieją.

– *Codex Millenarius* – rozczarował go z lekkim rozdrażnieniem Rocheblanche. – Skoro nie raczycie już przesyłać mi nowin, musiałem sam się pofatygować.

– Moje milczenie wynika stąd, że nie ma żadnych wieści – usprawiedliwił się zakonnik. – Tak jak się obawiałem, nie natrafiłem na poszukiwaną przez was księgę.

Maynard wpatrywał się weń nieufnie.

– Jesteście pewni, że niczego nie pominęliście?

– Uważacie mnie za niezgułę? – odparował niezadowolony opat.

– Uchowaj Boże – uspokoił go Francuz. – Wszelako znając przebiegłość ojca Facia, nie zdziwiłbym się, gdyby ukrył tę księgę bardziej, niż się tego spodziewamy.

Opat pokręcił głową.

– Przeszukałem dosłownie wszystko.

– Każdy zakamarek klasztoru?

– Biblioteki, messer.

– A wy schowalibyście tak cenną księgę w miejscu dostępnym dla każdego?

Andrea zerknął na niego z ukosa.

– Wcale nie jest łatwo dostać się do biblioteki.

– Proszę, ojciec, z pewnością zrozumieliście moje słowa – upierał się Maynard, podnosząc głos. Był wyczerpany, a myśl, ile jeszcze będzie musiał znieść, czyniła mu tę rozmowę nienawistną. – Malaspina był mnichem przywykłym do oszustw i zasadzek. Kto wie, jakimi kryjówkami dysponował w czasach, gdy był opatem Pomposy.

Wielbny ojciec już miał się zachnąć, lecz zmienił zdanie. Powędrował pieszczotliwie oczami ku Moczarkowi. Następnie jął błądzić wzrokiem wokoło, tłumiąc tajemniczy żar, który zżerał go od środka. Kilkakrotnie omiół spojrzeniem zmieszana twarz Francuza, w końcu westchnął.

– Przekonał mnie – oznajmił – będę szukał dalej.

Rocheblanche wpatrywał się w głęboko podkrążone z niewyspania oczy i rumieńce na policzkach opata, ponownie odnosząc wrażenie, że ma przed sobą

kogoś obcego. Zastanawiał się ze złością, czy ta nagła układność nie jest jedynie wybiegiem, aby go zadowolić.

– Teraz wszakże chciałbym z wami pomówić o waszej siostrze – ciągnął Andrea.

– Eudeline? – zapytał zaskoczony Maynard. – Pieniądze nadejdą, nie trwóście się.

– Chodzi mi o Isabeau – sprostował zakonnik, splatając ręce na piersi. – Mam nadzieję, że przemyśleliście moje słowa.

Rocheblanche musiał nieco wysilić pamięć, aż w końcu przypomniał sobie o sugestii opata, by przenieść dziewczynę do zakonnicy od Świętego Antoniego, niedaleko Ferrary.

– Porozmawiamy o tym wkrótce – odrzekł, czyniąc nieokreślony gest. – Teraz chciałbym was prosić o przysługę dotyczącą skryptorium Pomposy.

– Jakiego rodzaju przysługę?

Rycerz otworzył przewieszoną przez plecy sakwę i wyjął maleńką księgę, którą powierzył mu Obizzo.

– Wpadła mi w ręce niniejsza *Vita Merlini*. Chciałbym uzyskać jej kopię.

Andrea przyjrzał się z zaciekawieniem niewielkiemu woluminowi.

– Możecie to uznać za zrobione – obiecał. – Każę ją przepisać najzdolniejszemu z mych kopistów.

– Niechaj będzie. – Maynard podniósł palec. – Pod warunkiem, że miniatury wykona Gualtiero de' Bruni.

– Ma się rozumieć, messer.

– W takim razie wezwijcie go. Chcę z nim porozmawiać w cztery oczy, aby się upewnić, w jaki sposób sporządzi iluminacje.

Gdy Gualtiero usłyszał, kto o niego pyta, przeszył go dreszcz. Wyszedł ze skryptorium, starając się bardzo zachować spokój, po czym puścił się pędem po schodach *palatium* i przeciął skąpany w promieniach palącego słońca dziedziniec. Maynard czekał nań w cieniu dzwonnicy, wsparty o stare cegły, które pomimo skwaru potrafiły użyczyć przyjemnego chłodu.

– Mówcie, messer – poprosił natarczywie młodzieniec, przystanąwszy przed nim.

Rocheblanche był w ponurym, pełnym zadumy nastroju.

– Nie tutaj – rzekł.

Odsunąwszy się od ściany, okrążył dzwonnice i ruszył wzdłuż południowego muru opactwa. Gdy dotarł na wysokość apsydy, poszedł ścieżką wzdłuż ogrodu, w kierunku chlewu.

– Są wieści o mojej matce? – nalegał Gualtiero, ledwie znaleźli się z dala od wścibskich spojrzeń.

Rycerz uniósł dłonie.

– Po kolei.
– Zamieniam się w słuch.
– Będziecie musieli ozdobić miniaturami pewną księgę – oświadczył Maynard. – Opat Andrea powie wam, że to dla mnie, lecz w rzeczywistości chodzi o pracę dla kogoś innego. Zanim wyjawię, kto to taki, przyrzeknijcie, że zatrzymacie to dla siebie i że nie wpadniecie we wściekłość.

Młodzieniec zgodził się bez wahania.

Maynard świdrował go wzrokiem.

– Jego Wysokość Obizzo III d’Este.

– Ten pies... – warknął Gualtiero.

– Miarkujcie się – upomniał go Rocheblanche. Odczekawszy, aż Gualtiero przytaknie, ciągnął: – Kopia księgi przeznaczona jest dla pewnej niewiasty, prawdopodobnie damy dworu bliskiej markizowi. Miejcie to na uwadze, dobierając tematy miniatur.

– Nie podoba mi się to, messer. Wolałbym odmówić.

– Nie bądźcie głupcem, zadowolenie markiza mogłoby się wam okazać pomocne.

– W jakiż to sposób?

– Przede wszystkim w postaci zapłaty. – Ton Maynarda stał się nieco łagodniejszy. – Wkrótce będziecie potrzebowali pieniędzy. Dużo pieniędzy. O ile nadal zamierzacie wyruszyć w podróż.

Gualtiero otworzył szeroko oczy, zachwycony.

– Coście zatem odkryli!

Francuz położył mu dłoń na ramieniu.

– Powściągnijcie radość. – Po czym spoważniał. – To wam się nie spodoba.

Młodzieniec poczuł ukłucie w żołądku i nagle wcale już nie był pewien, czy chce się dowiedzieć, co się stało z matką. A jeśli Sapia także skończyła na szubienicy? Zacisnął powieki, aby odegnać ową złą myśl. Musi być silny, jak człowiek, który przed nim stoi.

– Jestem gotów, messer.

Przez oblicze Rocheblanche’a przemknął błysk podziwu.

– Pamiętacie tę noc, kiedyśmy udali się do Ferrary, aby się dowiedzieć, gdzie uwięziono waszych rodziców?

– Jakże mógłbym zapomnieć? W rejestrach zarządcy więzień nie było imienia mojej matki.

– Wszelako – powiedział z zapalem Francuz – wiele wskazuje na to, że tego samego dnia pojmano inną niewiastę.

– I cóż?

– Cóż, niedawno udało mi się zajrzeć do archiwum kancelarii markiza. Pozwoliło mi to stwierdzić, że niewiasta, o której mówię, przez krótki czas była

przetrzymana w lochach pod zamkiem bizantyjskim, a potem odstawiono ją pod eskortą do Awinionu.

– Zupełnie jak moją matkę... – szepnął Gualtiero.

– Przyjacielu – Maynard uśmiechnął się gorzko – istnieje nikłe prawdopodobieństwo, żeby tego samego dnia do miasta papieży przewieziono dwie osoby. Rozumiecie, co mam na myśli?

Młodzieniec spojrzał nań osłupiały, po czym drgnął. Dopiero po chwili otrząsnął się ze zdumienia i odtworzył bieg wydarzeń.

– Jeśli nie jako Sapia – rzekł drżącymi wargami – to pod jakim imieniem występuje moja matka na przeglądanych przez was stronicach?

Po krótkim wahaniu mężczyzna odparł:

– Elisa de' Bonacossi.

Gualtiero stał skamieniały. Elisa de' Bonacossi. Nic mu to nie mówiło. Był bliski przeświadczenia, że Maynard się pomylił, że przekartkował niewłaściwe dokumenty albo wręcz źle zrozumiał notariuszy Obizza III d'Este. Powrócił myślami do dnia, w którym pojmano jego rodziców, i przypomniał sobie, że dostrzegł wtedy w Sapii coś nowego: tak twardą i wyniosłą naturę, że wydała mu się kimś obcym.

– Tak czy inaczej, jest jeszcze sporo do odkrycia – ciągnął rycerz. – Jeśli, jak przypuszczam, Elisa de' Bonacossi to *prawdziwe* imię waszej matki, w kancelaryjnych rejestrach nie ma wyjaśnienia ani dlaczego, ani na czyj rozkaz przewieziono ją do Awinionu.

Młodzieniec tak mocno zacisnął pięści, że wbił paznokcie w skórę. Już i tak źle znosił wiadomość, że nie jest synem Sigismonda, a teraz spadła nań kolejna wstrząsająca rewelacja. Chociaż bardzo się starał, nie zdołał powstrzymać krzyku. Sam nie wiedział, czy powinien czuć pogardę, czy lęk w stosunku do niewiasty, która nazywając się jego matką, okłamywała go każdego dnia jego życia. Jeszcze silniejsze okazało się jednak pragnienie, by ją odnaleźć i zapytać o powód tych wszystkich tajemnic.

– Nie mogę czekać dłużej w tym miejscu – szepnął.

– Ja wszakże proszę was o cierpliwość – odparł Francuz.

– Jak możecie? – Gualtiero oblał się szkarłatem. – Nawet nie wyobrażacie sobie, ile udręki przysparza mi ta zwłoka! A teraz, kiedy wiem...

Maynard nakazał mu spokój.

– Słowa, które wypowiedziałem po śmierci waszego ojca, nadal obowiązują. – Chwycił go za ramiona z wyraźnym rozgoryczeniem. – Posłuchajcie mojej rady, przyjacielu. Jeszcze dzisiaj wrócę do Ferrary i dowiem się czegoś więcej o waszej matce. Pojmujecie? Zaledwie tydzień cierpliwości, najwyżej dwa i będzie można zdecydować, co robić dalej. Tymczasem zachowajcie milczenie. Przede wszystkim przed wielebnym Andream.

Młodzieniec zatopił spojrzenie w jego pełnych życzliwości oczach, dając odpór wewnętrznemu wzburzeniu. Spośród nielicznych osób mogących mu pomóc mógł zaufać wyłącznie temu człowiekowi.

– Wielebny Andrea... – powtórzył. – Od paru dni nie jest sobą.

– Zauważyłem – westchnął rycerz. – Właśnie dlatego zgodziłem się zabrać Isabeau z Pomposy.

Gualtiero cofnął się o krok.

– A czy ona... o tym wie?

– Jeszcze nie. Wszelako czuję się do tego zmuszony, opat nie toleruje już jej obecności.

Miniaturzysta spuścił wzrok.

– Być może z mojego powodu...

Reakcja Maynarda była tak gwałtowna, że aż zaparło mu dech w piersi.

– Mówcie jaśniej! – syknął Rocheblanche.

Zacisnął palce na jego szacie. Chłopiec miał przed sobą całkowicie odmienionego człowieka, który wpatrywał się weń z ponurym grymasem. Próbował się wyrwać, udało mu się jednak tylko chwycić go za nadgarstki.

– Opowiedziała mi, kim jest, i... – wyjąkał. – To znaczy, kim *naprawdę* jest...

Rocheblanche, który nie pozwolił się udobruchać, nadal nacierał nań groźnie niczym krogulec.

– Co jeszcze wam powiedziała? – potrząsnął nim. – Jazda, mówcie!

– Żeście tu przyjechali, aby odnaleźć dwie zaginione relikwie... I aby rozwikłać tajemnicę, która zwie się *Lapis exilii*.

Mężczyzna zaklął siarczyście, puścił chłopca i odwrócił się do niego plecami.

– Nigdy nie ważcie się wypowiadać tej nazwy.

– Ja... – usiłował się usprawiedliwić Gualtiero, dysząc.

– Stawką jest wasze życie – uciszył go Rocheblanche, po czym nie oglądając się na niego, ruszył ku opactwu.

– Teraz wracajcie do skryptorium – polecił. – I uczyńcie, jak powiedziałem. Wkrótce otrzymacie wieści ode mnie.

– Zaczekajcie! – Chłopiec puścił się w kierunku Rocheblanche'a. – Pozwólcie mi się chociaż pożegnać z Isabeau!

Rycerz odwrócił się raptownie i przeszył go surowym, nieznoszącym sprzeciwu wzrokiem.

– Jeśli to, co mi przed chwilą wyjawiliście, jest prawdą, lepiej będzie, jeśli nigdy więcej jej nie zobaczycie.

REIMS, PLAC PRZED KATEDRĄ

Po tygodniu czajenia się Vermandois zaczął się czuć niezręcznie. Człowiek jego postury z pewnością nie pozostawał niezauważony, a krążenie w tym samym miejscu przez kilka dni narażało go na niebezpieczeństwo dostrzeżenia przez poszukiwanego. Z tego też powodu nieustannie się przemieszczał, przechadzając się po targowych alejkach, aby wmieszać się w tłum.

Kramy rzemieślników, rozsiane wokół *cloître Notre-Dame*⁹, zapewniały mu różnorodne możliwości szpiegowania. Pikardyjczyk przechadzał się po podcieniach zajętych przez handlujących wyrobami włókienniczymi, aptekarzy, złotników, nigdy nie oddalając się zbyt daleko od południowego krańca placu, gdzie w odległości stu kroków od katedry znajdowały się warsztaty kowalskie. Właśnie tam miał nadzieję ujrzeć prędzej czy później Araba. Od czasu do czasu kluczył jednak w pobliżu, między klasztorem dominikanów a pracowniami cieśli, udając, że ciekawia go konie prowadzone na jarmark żywego inwentarza. I czekał.

W czasie trzeciej wędrówki od kościoła Świętego Jakuba do frapującego go miejsca natknął się na pewną szlachciankę kupującą tkaniny. Była młoda, miała rozpuszczone włosy i jaskrawozieloną szatę opinającą biodra. Robert wpatrywał się w nią przez chwilę, usiłując wyobrazić sobie wystrojoną tak Eudeline. „Ach – westchnął – gdybyż to tylko było możliwe...”

Z rozmarzenia wyrwało go niespodziewane pojawienie się dziwnego osobnika. Był niezbyt wysoki, miał na sobie szkarłatny płaszcz, a na głowie biały turban, który podkreślał jego mauretańskie rysy. Vermandois z rosnącym podnieceniem patrzył, jak zatrzymuje się przed kantorem, aby pobrać pieniądze, a następnie podąża ku podcieniom zajętych przez kowali.

To był Arab, bez cienia wątpliwości. Pikardyjczyk ostrożnie ruszył za nim. Prawdopodobnie człowiek ten zmierzał do płatnerza, aby zapłacić za wykonaną zbroję.

Coś mu jednak nie pasowało. Przecież ten człowiek nie był w stanie przenieść przygotowanego ciężkiego ekwipunku. Potrzebowałby do tego wozu albo przynajmniej potężnego zwierzęcia jucznego.

Robert nie spuszczał go z oka, dopóki tamten nie wszedł do pracowni płatnerza. Zdrowy rozsądek nakazywał zaczekać na zewnątrz, a potem śledzić Araba przez całą drogę powrotną, aby dowiedzieć się, gdzie mieszka. Vermandois był wszakże zbyt zmęczony, by cierpliwie stać, i zarazem zbyt mocno pragnął zadowolić Eudeline. Uznał, że prościej będzie, gdy wtargnie do pracowni, złapie Saracena za kołnierz i porządnie nim potrząśnie, aby zmusić do mówienia.

Jeszcze nie zdążył dokończyć planu, a już był w warsztacie z wojowniczym uśmiechem na ustach. Znajdujący się kilka kroków od niego Arab stał przed płatnerzem i właśnie opróżniał sakiewkę. Zanim Robert się odezwał, zatrzymał się przed olbrzymią zbroją ukrytą w cieniu. Nałożona na manekin, budziła trwogę samym wyglądem. Nie tyle z powodu rozmiaru godnego cyklopa, ile za sprawą hełmu ozdobionego przypominającym dziób grzebieniem i rogami, które przywoływały na myśl diabła.

Pikardyjczyk błyskawicznie dostrzegł na twarzy Araba niepokój. Rzucił się w jego kierunku, nagle jednak wydarzyło się coś, na co nie był przygotowany.

Zbroja się poruszyła.

Przyklękła i zamierzyła się prymitywnym młotem – zaledwie bryłą żelaza – spoczywającym obok paleniska, po czym podniosła się i groźnie na niego ruszyła. Reagując instynktownie, Vermandois uchylił się przed razem i odsunął od owego lśniącego, czarnego niczym piekło monstrum. Izba była wszakże zbyt ciasna, by mógł zachować bezpieczną odległość. Okrążył stół, spuścił głowę i cudem uniknął kolejnego ataku. Nie ustrzegł się trzeciego uderzenia, które trafiło go w łydkę i powaliło na ziemię.

Po chwili olbrzym w pancerzu stał nad nim z uniesionym młotem.

Robert zachował wystarczającą przytomność umysłu, by złapać opartą o ścianę starą tarczę, dzięki której obronił się przed gradem coraz gwałtowniejszych ciosów. Nie zdążył się zorientować, z kim ma do czynienia, a ogromne łapska wroga już zacisnęły się na krawędziach tarczy i wyrwały mu ją z rąk.

Szarpięcie było tak silne, że Vermandois poleciał do przodu. Rąbnął piersią o stół, niemal tracąc oddech. Następnie poczuł, że ktoś chwyta go za ramiona i wlecze ku beczce, w której chłodzi się metal, nie mógł jednak już nic zrobić.

W ostatnim przebłysku jasności usłyszał kogoś wrzeszczącego na całe gardło:

– Nie!

Zdawało mu się, że to on krzyknął, a gdy podniósł wzrok znad krawędzi beczki, ujrzał biegnącego ku niemu Araba o kocich oczach, w szkarłatnym płaszczu, który lśnił w migocącym żarze.

A potem palce z czarnego metalu zamknęły się na jego karku i wepchnęły go do lodowatej wody.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć, pani, ale mnie oszczędził.

Wstrząśnięta do głębi Eudeline zacisnęła dłonie na brzegach pulpitu, wpatrując się w Roberta. Siedział przed nią ze ściągniętą twarzą, na której malowało się tak silne napięcie, że aż budziło lęk. Chociaż w tej chwili w budynku klasztoru Świętej Balsamii byli bezpieczni, zakonnica wodziła wzrokiem po znanych ścianach swej kwatery, aby odnaleźć spokój.

– Niebiosom niech będą dzięki – szepnęła, czyniąc znak krzyża.

– Dziękuję kowalowi – parsknął mężczyzna. – To on wyjął mi głowę z beczki, kiedy olbrzym w zbroi odszedł.

– A Arab?

Vermandois wzruszył ramionami.

– Uciekł za olbrzymem. Przynajmniej tak twierdzi kowal. – Z jego głosu dawało się wyczytać lekki wstyd. – Wybaczcie mi, pani, że okazałem się nieprzydatny.

– Nie oceniacie się tak surowo – pocieszała go Eudeline. – W końcu dopiero coście doszli do siebie po ciężkim niedomaganiu. A o ile dobrze zrozumiałam, przeciwnik wziął was z zaskoczenia.

Pikardyjczyk rąbnął pięścią w poręcz krzesła.

– Dopóki nie ujrzałem, jak się rusza, myślałem, że ta przeklęta zbroja jest pusta!

– Domyślcie się, kto mógł się ukrywać w środku?

– Nie, pani. Kowal utrzymuje, że nie zna ani prawdziwego imienia Araba, ani imienia tego, kto zamówił pancerz. Po prawdzie umiał mi podać wyłącznie szczegóły dotyczące zbroi.

– Coś, co może się przydać?

– Wykonano ją z prętów brescjańskiego żelaza, sprowadzonych w tym celu z Awinionu. Samo przewiezienie ich tutaj kosztowało fortunę.

– A zatem zamożny zleceniodawca.

– Owszem, zamożny – zgodził się Robert – i dobrze wyćwiczony w sztuce wojennej. Co do Araba, moim zdaniem jest jego sługą. To, że nadal żyję, chyba zawdzięczam jemu.

Wielebna matka spuściła głowę i splotła dłonie na pulpicie. Wprawdzie sprawa wydawała się coraz bardziej tajemnicza, jednakże ostatnie słowa Roberta de Vermandois utwierdzały ją w przekonaniu, że Arab nie stanowi zagrożenia.

– Dlaczego według was zostaliście napadnięci?

Pikardyjczyk zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem, zwłaszcza że nie pozwolono mi powiedzieć ani słowa. Tylko dlaczego miałbym się dziwić? Kto knuje spiski, zawsze działa gwałtownie.

– A jeśli sami poczuli się zagrożeni?
– Nie mieli powodu.
– Może zdawali sobie sprawę, że są śledzeni – snuła przypuszczenia zakonnica. – Może wasza twarz zdążyła zapaść im w pamięć.

– Nie wykluczam tego – musiał się zgodzić Robert.

Eudeline próbowała uspokoić go uśmiechem.

– Będę drażnić dalej – ciągnęła. – Ale tak czy inaczej, wam...

Pikardyjczyk poderwał się rozsierdzony.

– Pojmuję waszą decyzję, żeby mnie odsunąć, lecz...

– Źle mnie zrozumieliście, messer – przerwała mu Eudeline. – Naraziłam was na śmiertelne niebezpieczeństwo i dziękuję Najświętszej Pani, żeście cali i zdrowi. Dlatego nie bądźcie uparci. Uczynicie to dla mnie, dla mojego spokoju. Zrozumcie, że czeka was poważniejsze zadanie.

Vermandois usiadł z powrotem, wcale nie był jednak zachwycony.

– Macie na myśli waszego brata, jak mniemam.

Matka przełożona przytaknęła.

– Od zbyt dawna potrzebuje pokaźnej kwoty. Nie mogę dłużej zwlekać.

– Czyżbyście chcieli, bym zostawił was bez ochrony?

– W razie konieczności poproszę o pomoc zbrojnych biskupa.

Robert skrzywił się z przyganą.

– Gdybyście byli moją żoną, nigdy bym wam nie pozwolił...

– Tymczasem jestem zakonnica – odrzekła – nawykłą ze spokojem poddawać się temu, co nieuniknione.

Vermandois zerkał na nią z ukosa, z trudem powstrzymując złość.

– Jak sobie życzycie, pani. – Oparł łokcie na kolanach i schował twarz w dłoniach, zachowując nieznośne milczenie. Kiedy znów przemówił, w jego głosie słychać było wyraźnie pragnienie pojednania. – Wyruszę do Pomposy, gdy tylko powierzycie mi pieniądze. Wystarczy mi weksel, który pozwoli mi je wypłacić w jednym z florenckich banków.

Przeorysza pokręciła głową.

– Wolałabym wam przekazać brzęczącą monetę – oznajmiła. – Wiem, że to bardziej niebezpieczne, ale podobno wojna i głód zrujnowały wiele rodzin bankierów. Krążą słuchy, że nawet rody Bardich i Peruzzich stały się niewypłacalne.

– W takim razie najlepszym rozwiązaniem będzie mała, dobrze zamknięta szkatułka.

– Znakomicie. Zaczekajcie tutaj.

Powiedziawszy to, Eudeline pożegnała go i wyszła z pracowni.

Piękna poranna pogoda niespodziewanie się zepsuła; rozszalała się ulewa, która zamieniła wirydarz w grzęzawisko. Osłonięta welonem wielebna matka

pobiegła w deszczu w kierunku kościoła Świętej Balsamii. Jednonawowa budowla zamknęła ją w milczącym uścisku, niemal sprawiając wrażenie, że śledzi jej kroki w łagodnym świetle wpadającym przez witraże. Upewniwszy się, że jest sama, Eudeline podążyła ku apsydzie, wzięła świecznik i wśliznęła się do krypty.

Zeszła po spowitych mrokiem schodach, myśląc z goryczą o tym, że tu, na dole, tkwiła zamknięta Aleydis. „Niemądra niewiasto” – zrugła samą siebie. Dlaczego miałyby się litować nad zakłamaną zabójczynią? Ta żmija dostała to, na co zasłużyła. A prawdę powiedziawszy, nie spotkał jej wcale przykry los, jeśli wziąć pod uwagę męki zadawane złoczyńcom przez inkwizytorów i zbrojnych biskupa. Tak czy inaczej, obiecała sobie odwiedzić ją w starej chłodni, gdy tylko upora się z kwestią pieniędzy.

Posuwała się powoli tak długo, aż dotarła do zwieńczonej ceglanym łukiem ściany, nad którą widniał fresk przedstawiający Świętą Balsamię karmiącą maleńkiego Świętego Remigiusza. Malowidło to zawsze głęboko poruszało Eudeline, uzmysławiając jej, że nigdy nie będzie miała dzieci.

Być matką... Swego czasu pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego. W pewnym stopniu nadal pragnęła. Teraz wszakże była inną niewiastą, benedyktynką oddaną Chrystusowi.

Skłoniwszy się z westchnieniem przed świętą piastunką, przytknęła płomień do muru, oświetlając małą żelazną klamkę. Niewiele osób wiedziało o tajnej izbie ukrytej za freskiem, ale tylko wielebna matka miała do niej dostęp.

Z niewielkim wysiłkiem pchnęła drzwi, idealnie wtopione w ścianę, i uniosła świecznik, oświetlając próg ślepej wnęki. Wewnątrz na kamiennej podłodze stało sześć pozamykanych na kłódki skrzyń. Zakonnica podeszła do tej największej, wyjęła z kieszeni pęk kluczy i otworzyła wieko. Jej oczom ukazały się złote monety. Wpatrywała się w nie przez chwilę z zadowoleniem. Oto miała przed sobą większą część bogactwa Rocheblanche'ów i wcale się nie wstydziła tego, że patrzeć na nie za każdym razem sprawiało jej przyjemność. Niech obłudnicy i golcy bez ziemi nazywają ją „czarcim bobkiem”. Dla przeoryszy klasztoru Świętej Balsamii pieniądze oznaczały niezależność. Toteż nie bez niechęci odliczyła sześćset monet i wsypała je do niewielkiej szkatułki.

Następnie zamknęła skrzynię, wzięła szkatułkę i wychodząc, starannie zamknęła tajemne drzwi. Szkatułka okazała się jednak tak ciężka, że Eudeline musiała ją dźwigać w obu rękach, rezygnując z przyświecania sobie.

Dotarła bez przeszkód do schodów, wszelako ledwie wynurzyła się spod łuku, zdała sobie sprawę, jak bardzo była nieostrożna. Zatrzymała się w połowie drogi i przysiadła na stopniach, by nabrać tchu. Wreszcie w kojącym blasku, który przenikał z góry, wydostała się na powierzchnię. „Najważniejsze zostało zrobione” – rzekła w duchu. Teraz musi tylko zamknąć drzwi do krypty... Wtem pojawiła się przed nią jakaś postać.

Przeorysza cofnęła się gwałtownie, o mało nie spadając ze schodów.

– Wielebna matka... – zawołał mężczyzna. – Nie spodziewałem się was tutaj.

Siostra Eudeline dopiero po chwili oprzytomniała i rozpoznała młodego prokuratora, którego dwa miesiące wcześniej przydzieliła jej kuria.

– Ojciec Claret! – syknęła z przyganą. – Czy przebywanie tutaj wydaje się wam właściwe?

Duchowny splótł kościste palce w błagalnym geście.

– Proszę o wybaczenie, jeśli was przeraziłem, ale nie wiedziałem...

– Odsuńcie się – poleciła zakonnica.

Już sam widok prokuratora przyprawił ją o mdłości, i to nie tylko z powodu jego szurzej twarzy. Uczyniła wszystko, by uwolnić się od tego natręta, Reguła nakazywała jednak każdej żeńskiej wspólnoty, by powierzała administrowanie swych dóbr męskiemu zarządcy. Aż do tej pory Eudeline udawało się go unikać i samej dbać o własny majątek, niedawno przywołano ją wszakże do porządku.

Oddaliła się w pośpiechu, ściskając szkatułkę pod brodą.

Ojciec Claret podążył za nią, wpatrując się z zaciekawieniem w dźwigany przez nią przedmiot.

– Życzycie sobie pomocy?

– Gdybyście zniknęli mi z oczu – spiorunowała go wzrokiem – istotnie okazalibyście się nader użyteczni.

– Przykro mi to mówić – oznajmił słodkim głosem – ale jeśli zabraliście jakieś pieniądze, muszę o tym wiedzieć. – Po czym wyciągnął ręce po szkatułkę.

Zdjęta nagłym oburzeniem Eudeline odepchnęła go ramieniem i ruszyła niemal biegiem.

– Nie wzięłam nic, co by was mogło obchodzić – wykrzyknęła z oburzeniem.

Prokurator przystanął, udając, że go to dotknęło, i patrzył, jak przekracza próg i znika w ulewnym deszczu niczym cień. Ledwie został sam, zrzucił z oblicza maskę fałszu.

– Ciesz się tym, póki możesz, głupia suko – mruknął przez zęby. – Wkrótce poznam wszystkie twoje tajemnice...

– Oto sześćset florenów – oznajmiła Eudeline, wręczając Robertowi szkatułkę.

Vermandois wziął kuferek pod pachę, jakby nic nie ważył.

– Wyruszę nazajutrz o pierwszym brzasku – obiecał. – Postaram się dotrzeć do Maynarda jak najrychlej.

– Niech Pan ma was w swej opiece, messer.

Mężczyzna uśmiechnął się zuchwale.

– Zadowolilibym się waszą miłością. – Poglądził ją po skąpanej w deszczu

twarzy.

Matka przełożona się wzdrygnęła.

– Macie moją przyjaźń.

– Wy zaś moją lojalność – powiedział Vermandois i skinął głową na pożegnanie. Na progu pracowni się zawahał. – Czy poza pieniędzmi chcecie przekazać bratu jakąś wiadomość?

Siostra Eudeline zastanawiała się przez chwilę, marszcząc czoło.

– Opowiedzcie mu o kardynale Bertrandzie du Pougecie – odparła. – O wszystkim, co mi uczynił, i o zagrożeniu, jakie może na nas ściągnąć.

– Arab i bardzo wysoki wojownik, olbrzym.

Aleydis wpatrywała się w przeoryszę z lekkim zdumieniem, wyciągając się na posłaniu, z dłońmi splecionymi na okrągłym brzuchu. Gdy tylko się przekonała, że to krępuje jej ciemżycielkę, miała w zwyczaju kłaść się w ten sposób.

– I zeszlście do mnie, żeby o to zapytać?

Stojąca pośrodku starej chłodni siostra Eudeline spoglądała na nią z udawaną obojętnością.

– Czy kiedykolwiek ich widzieliście albo poznaliście?

– Nie.

– Jesteście pewni, że wasz kardynał nigdy o nich nie wspominał?

Osadzona wygięła nieznacznie plecy, uwydatniając swe krągłości. Wydało jej się, że po twarzy wielebnej matki przemknął jakiś cień.

– Nie wiem, czego szukacie – roześmiała się – ale sprawiacie wrażenie mocno zmieszanej. Albo tylko przerażonej.

– A na waszym obliczu maluje się odraza – odparowała przeorysza. – Z pewnością nie pytałabym was o to, gdyby nie podejrzenie, że nadal coś przede mną ukrywacie.

– Jego Eminencja nie wtajemniczał mnie w swoje plany, już wam to mówiłam. Przysięgam na życie dziecka, które noszę w łonie.

– W istocie musiał was traktować jak nic nieznaczącą sługę. – Głos wielebnej matki przepelniała szydercza niechęć. – Świadczy o tym chociażby to, że uciekł z Reims, nie troszcząc się o was. Zostawił was tutaj na pastwę losu.

Dziewczyna zacisnęła pięści.

– Nie możecie tego pojąć – odparła pogardliwie. – Przyrzekł mi...

– Co takiego? – zapytała z drwiną Eudeline. – Obsypać was bogactwem? Mianować przeoryszą? Biedna niewiasta, zamiona paroma pochlebstwami!

– Milczcie! – Aleydis wstała, chcąc chwycić ją za włosy. Zmitygowała się wszakże i postanowiła zranić ją w inny, bardziej subtelny sposób. – Ja przynajmniej dowiem się, co znaczy być matką.

Wzrok przeoryszy spoczął na brzuchu dziewczyny, a na jej niewzruszonej twarzy ukazał się błysk zazdrości. Po czym rozległy się bezdźwięczne słowa, godne epitafium:

– Wiedziecie, że pewien zaufany człowiek wyruszył dzisiaj w drogę, aby ostrzec mego brata, Maynarda, przed kardynałem Bertrandem du Pougetem. Wkrótce sprawiedliwości stanie się zadość, możecie być pewni. Do was należy wybór, czy współpracować, aby odkupić winy, czy tkwić w zamknięciu tutaj do końca waszych dni. – Nie czekając na odpowiedź, siostra Eudeline odwróciła się do niej plecami i podążyła ku wyjściu. Nim zamknęła drzwi celi, dodała lekko: –

A co do doświadczania uroków macierzyństwa, porzućcie złudne nadzieje. Po narodzinach odbiorą wam dziecko, które będzie dorastało w przytułku dla bękartów.

Rozdzierający, przepelniony gniewem krzyk ścigał ją po ciemnych schodach wiodących na górę. Cios miecza nie zdołałby jej zadać głębszej rany.

Eudeline ledwie opuściła więzienie, ponownie natknęła się na ojca Clareta.

Mijając ją zręcznie, prokurator nawet uprzejmie skinął jej głową na powitanie. Matka przełożona nie zaszczyliła go wszakże choćby spojrzeniem. Była zbyt wzburzona, by zwracać na niego uwagę i by podejrzewać, że podsłuchiwał.

NAD BRZEGAMI PADU

Isabeau nie dała się łatwo przekonać do opuszczenia Pomposy. Dowiedziawszy się, że Maynard zamierza ją wywieźć, uciekła do kościoła i zamknęła się w zakrystii. Rocheblanche dobijał się do drzwi, nakazując gromkim głosem, by wpuściła go do środka, a gdy w końcu udało mu się tam wtargnąć, musiał stawić czoło małej furiatce, gotowej w każdej chwili czmychnąć. Po krótkim zamieszaniu mnisi zobaczyli, że wychodzi, niosąc na ramieniu dziewczynę, która wierzgała niczym muł. Nie bacząc na jej zachowanie, Francuz dotarł na dziedziniec, wsadził ją na konia i pognał ku *Portus Abbatis*. Musiał koniecznie znaleźć się w Ferrarze przed zmierzchem, lepiej zatem było dalej nie zwlekać. Po drodze wszakże sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Przynajmniej dwukrotnie dziewczyna zeskokczyła z siodła, próbując umknąć, i zmusiła rycerza, by gonił ją między drzewami.

– Tam do licha, zechciecie mi powiedzieć, co was napadło? – zdążył zapytać dziewczynę po złapaniu, ale znowu wyrwała się i zniknęła w zaroślach.

– Puśćcie mnie! – pisnęła Isabeau. – Nie macie prawa tak mnie traktować.

Zaciągnął ją do karego, zniecierpliwiony.

– Przecież dopiero co błagaliście, żebym zabrał was ze sobą!

– Wszystko się zmieniło.

– Z powodu młodego de' Bruniego, jak przypuszczam – warknął Maynard, sadzając ją z powrotem na wierzchowcu.

Isabeau zarumieniła się ze wstydu.

– Nie wasza rzecz!

– A właśnie, że moja. – Rocheblanche, nim popędził konia, obwiązał dziewczynę w tali sznurem i zacisnął węzeł na łąku. – Otóż moja rzecz, a jakże, odkąd zdradziliście mu moje tajemnice.

– Gualtiero to człowiek godny zaufania – broniła się dziewczyna.

– *Na razie*. Gdyby jutro kazano mu mówić o *Lapis exilii*, równie dobrze mógłby zmienić zdanie.

– Nigdy tego nie uczyni.

– Nawet gdyby zmusiły go do tego okoliczności? – zapytał Maynard. – Każdemu z nas na czymś zależy, czy na jakiejś osobie, czy na dążeniu, które chce urzeczywistnić. Cóż, dla takich rzeczy jesteśmy gotowi na wszystko.

Isabeau wzruszyła ramionami i przez całą podróż milczała naburmuszona. Francuz miał ochotę ponownie poruszyć tę kwestię, doszedł jednak do wniosku, że lepiej milczeć. Gnębiło go zbyt wiele trosk, żeby zaprzętać sobie teraz głowę

zakochanym dziewczątkiem. Bo przecież właśnie z zakochanym dziewczątkiem miał do czynienia.

Córka wędrownego aktora rozpaczała za Gualtierem. I zapewne to przysporzy mu kłopotów.

Wsiadłszy na statek przy Latarni Morskiej, rycerz i dziewczyna pomknęli rzeką w gęstym i ulewnym deszczu. Płynąc w górę Padu, minęli przystań Caput Gauri, następnie dryfowali po coraz bardziej wzburzonych wodach, pośród zwałów błota i gałęzi. Wzdłuż brzegów wznosiły się osady wiejskie o nazwach, które obły się o uszy Maynarda: Miliarium, Valclusura, Fiscalia i Alberlongum. Znikały kolejno za połaciami trzciny, aż wreszcie z szarej mżawki wyłoniły się mury Ferrary.

Zamiast wysiąść przy Świętym Jerzym za murami, Rocheblanche kazał się przewieźć za ruchomy most przy barbakanie, wzdłuż odnogi rzecznej skierowanej na zachód. Isabeau uczepiła się jego płaszcz, żądając wyjaśnień, on jednak milczał, dopóki barka nie dobiła do brzegów pewnej wysepki na południe od miasta, naprzeciw bramy Świętego Piotra.

– Wyspa Świętego Antoniego – obwieścił Maynard, zachęcając swą młodą towarzyszkę, by podążyła za nim.

– Dlaczego tu jesteśmy?

– To będzie wasze nowe schronienie.

Dziewczyna przystanęła kilka kroków od brzegu.

– Ale... sądziłam, że zostanę z wami!

Rocheblanche złapał ją delikatnie za nadgarstek.

– Będę blisko – zapewnił. – Zamieszkać za murami, niedaleko stąd.

Powiedziawszy to, poprowadził ją wzdłuż ogrodzenia z cegieł, za którym rozciągał się dziedziniec, a nad nim górowała ściana szczytowa kościoła. Po prawej stronie widniał krużganek, spowity tak gęstym kłębowiskiem pnączy, że nie sposób było dostrzec, kto przechadza się między jego arkadami.

Zaczęło się już ściemniać i Maynard koniecznie chciał się pożegnać. Za kilka godzin miał się spotkać z tym wężem, Superanzem Orsinim. Zapukał więc do klasztornej bramy i niecierpliwie czekał na pojawienie się zakonnic w czerni.

Stojąca w progu mniszka przyjrzała się najpierw jemu, a następnie Isabeau.

– Czy to jest dziewczę, o którym pisał opat z Pomposy?

– Tak, matko – odparł Maynard.

Wzrok niewiasty spoczął na tęczęwkach dziewczyny.

– Jej oczy... – Ze źle skrywaną wrogością uczyniła znak krzyża.

Francuz położył dłonie na ramionach Isabeau, tłumiąc w zarodku rodzący się bunt.

– To moja siostra – skłamał. – Pragnąłbym polecić ją na krótki czas waszej opiece.

Zakonnica machnęła ręką z rozdrażnieniem.

– To nie jest hospicjum – sprostowała. – Będzie musiała przystosować się do naszych zwyczajów.

– Zrobi to.

– A wydatki na jej utrzymanie?

Rocheblanche bez wahania odwiązał sakiewkę, którą miał u pasa, i podał ją zakonnicy.

– To pokryje pobyt przez ponad pół roku.

– Niechaj będzie, messer. – Niewiasta zważyła w dłoni trzos i schowała go w fałdach habitu. Po czym nadal tkwiła w wejściu, jakby przepowiadała nieszczęście.

– W razie jakichkolwiek kłopotów – poczuł się w obowiązku dodać Francuz – przyślijcie po mnie. Mieszkam w pałacu markiza, jestem nauczycielem fechtunku. Od czasu do czasu sam się odezwę.

– Zapamiętam.

Zanim Maynard powierzył Isabeau mniszce, oddalili się nieco od niej, aby się pożegnać.

Dziewczyna wyrwała się wszakże z jego objęć.

– To tak się o mnie troszczycie? – wybuchnęła. – Bądźcie szczerzy, messer. Mój los nic a nic was już nie obchodzi.

– Najwyraźniej niedostatecznie uważaliście, moja droga – odrzekł mężczyzna. – Za wasz dobrobyt wręczyłem właśnie tej mniszce wszystkie pieniądze, jakie mi zostały.

Po czym z gorzkim uśmiechem odwrócił się i ruszył ku jedyńemu drewnianemu mostowi łączącemu wyspę z miastem Ferrarą.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W&NBSP;POMPOSIE

Ojciec Andrea nigdy by się do tego nie przyznał, lecz w głębi serca nie posiadał się z radości. Na myśl, że już więcej nie zobaczy tej małej buntowniczkii, czuł, jakby narodził się na nowo. Obecność Isabeau stanowiła ciągłą udrękę – nie był w stanie znieść dłużej jej urody, zdolnej oczarować mnichów, czy nieustannego wałęsania się po opactwie. Jednakże kroplą, która przepelniła czarę goryczy, było jej prowokujące zachowanie wobec Gualtiera. Dzięki Bogu spostrzegł je wyłącznie opat, który za nic na świecie nie wspominałby o tym konfratrom. Reputacja młodego de' Bruniego powinna pozostać nieskazitelna aż do chwili, gdy będzie się starał o wstąpienie do nowicjatu. Chwili, która niewątpliwie nadejdzie, skoro chłopiec właśnie został ochroniony przed pokusą lubieżności.

Wszelako nadal jeszcze należało zachować cierpliwość. Wola Pana objawi się we właściwej porze. Tymczasem Andrea napawał się swym drobnym zwycięstwem w pracowni *palatium*, z dala od spojrzeń ojców, którzy mogliby źle odczytać jego niespodziewaną wesołość. A już przed Rocheblanche'em o mało się nie zdradził.

„Właśnie. Rocheblanche” – pomyślał nagle opat. Gdy ten człowiek będzie chciał dotrzymać słowa, niebawem wręczy mu sześćset florenów. Kwotę, która może podnieść Pomposę po ostatnich malwersacjach. Mając ją do dyspozycji, Andrea dwoiłby się i troił, by wprowadzić ulepszenia w klasztorze i podreperować fundusze, a także uczynić warunki życia mnichów oraz służby bardziej znośnymi.

Jednocześnie będzie musiał spełnić obietnicę daną rycerzowi i wznowić poszukiwania *Codex Millenarius*, księgi ukrytej przez ojca Facia. Opat oparł się o pulpit, marszcząc czoło. Był pewien, że to przedsięwzięcie nie przyniesie owoców, podobnie jak poprzednie. Pomyślał, by szukać tej księgi w bibliotece, zapędził go w ślepy zaułek. Jednakże gdzie powinien dalej szukać? Wszędzie poza biblioteką manuskrypt wydałby się tak bardzo nie na miejscu, że natychmiast przykułby uwagę, nie wspominając o szkodach, jakie mógłby wyrządzić. Sam Andrea bardzo się wystrzegał wynoszenia dokumentów z własnej pracowni. Z obawy przed zgubieniem trzymał je tutaj, bezpiecznie, w swoim... „O, mój Boże! A gdyby tak było?”

Położył dłonie na pulpicie i jał mu się bacznie przyglądać. Wykonany z orzechowego drewna i intarsjowany na brzegach motywami zodiakalnymi, był czymś o wiele więcej niż tylko zwykłym przedmiotem. Należał kiedyś do jego mistrza, Seweryna z Padwy, który z kolei otrzymał go w darze od astrologa Piotra Apońskiego, na krótko przed jego spaleniem na stosie.

Andrea przesunął palcami po krawędzi zwróconej ku siedzisku i podniósł blat, pod którym ukazała się skrytka na najcenniejsze pergaminy. Wpatrywał się w nią przez chwilę, precyzując w duchu niejasne przeczucie, po czym stanął w progu i głośno zawołał:

– Bonus!

Nadbiegł zdyszany pacholek.

– Słucham, panie.

– Stary pulpit, ten, który należał do poprzedniego opata. – Ojciec Andrea był tak poruszony, że połykał słowa. – Co się z nim stało? – zapytał w końcu.

Bonus spoglądał na niego przestraszony.

– Stół do pisania! – wrzasnął opat. – Posługiwał się nim ostatnio ojciec Facio di Malaspina, zanim go zastąpiłem.

Zmieszany tak wielkim zniecierpliwieniem sługa poprosił o chwilę do namysłu. Lęk przed sprawieniem zawodu zwierzchnikowi rozpałił mu uszy do czerwoności.

– Chyba sobie przypominam – rzekł wreszcie. – Wiem, co się z nim stało.

Choć klasztorna kuźnia z pewnością nie była najbardziej godnym miejscem dla mebla, na którym przez dziesięciolecia stawiano kałamarze ojców z Pomposy, Andrei wcale to jednak nie oburzyło. Bonus wyjaśnił, że ten stary pulpit nie znalazł zastosowania w sali kopistów ani w bibliotece, gdyż był uszkodzony.

– Uszkodzony? – powtórzył wielebny ojciec.

– Zaraz zrozumiecie – oznajmił Bonus.

Warsztat kowalski był ciemną i zapuszczoną norą. Musieli długo szukać, nim odnaleźli pulpit pod stertą narzędzi, łańcuchów i różnej wielkości metalowych odpadków.

– Widzicie, panie? – odezwał się pacholek. – Skrytka pod blatem się nie otwiera, jakby wieko się zacięło.

Opat obejrzał ją uważnie. Pomijając tę skazę, miał do czynienia z przedmiotem o ogromnej wartości. A przynajmniej pulpit takową przedstawiał, zanim niedbalstwo i upływ czasu doprowadziły go do dzisiejszego opłakanego stanu. Nadal dawało się rozpoznać dwóch klęczących mnichów, wyrytych na szczycie blatu, podobnych do tych wyrzeźbionych na chrzcielnicy opactwa. Nie sposób było nie zauważyć starodawnej wytworności wsporników i siedziska. Wszelako Bonus miał słuszość, skrytka się nie otwierała.

Andrea wątpił, aby była to usterka. Bardziej skłonny był uwierzyć w istnienie urządzenia blokującego wieko, w jakie niekiedy zaopatrzone były tego rodzaju meble. Prawdopodobnie gdzieś kryła się dźwignia albo zamek, które pozwalały je otwierać. Z niecierpliwością wyczekiwał chwili, kiedy będzie mógł się przekonać o swojej racji.

– Chcę, żeby użyto siły – rozkazał kowalowi. – Teraz.

– Jeśli to zrobię – sprzeciwił się mężczyzna – zepsuję go...

Opat wzruszył ramionami.

– Trudno.

Na te słowa rzemieślnik przytknął dłuto do miejsca oparcia blatu i przewyciężywszy chwilowe wahanie, uderzył w nie młotkiem. Rozległ się przypominający jęk trzask drewna, potrzebnych było jednak jeszcze kilka uderzeń, aby poszerzyć szczelinę. Mimo to mebel nie chciał się otworzyć.

Ponaglany przez ojca Andreę kował odłożył dłuto i jął walić młotkiem w rogi pulpitu, aż rozłupał górną część.

– Znakomicie.

Opat podszedł czym prędzej do zniszczonego mebla i zdjął to, co zostało z blatu do pisania, aby sprawdzić, czy coś się pod nim kryje.

Schówek pod spodem był dość mały. Na lewej ścianie widniał przemyślny mechanizm zamków, które strzegły do niego dostępu.

Uwagę Andrei przykuła jednak natychmiast leżąca pośrodku księga. Był to oprawiony w skórę ogromny kodeks *in folio*, z czterema okuciami na rogach oprawy.

Powstrzymując drżenie, ścisnął go w dłoniach. Nie mógł mieć jeszcze pewności, lecz czuł, że natrafił na cenny tom, ukryty przez przebiegłego Facia. Tak, bez wątplenia tak właśnie było. Pan w swym niezgłębionym milczeniu go poprowadził.

Pogładził brzegi księgi, zatrwożony na myśl, że pogwałci jej tajemnice.

Potem wszelako zwyciężyła ciekawość, toteż ją otworzył.

Już spojrzenie na pierwsze wersy wystarczyło, by opat doznał wstrząsu.

FERRARA, DZIELNICA POWODZI

Wyznaczone przez widama Orsiniego miejsce z pewnością nie nadawało się na spotkanie szlachciców. Leżało za murami, na wzniesieniu, do którego od wschodu przylegała osada ubogich domów, a od przeciwnej strony fosa wiodąca ku bramie Spinella, gdzie wody wpadały do Padu.

Gdy Maynard tam zmierzał, lało jak z cebra, a mrok był tak gęsty, że rycerz z trudem posuwał się naprzód, przyświecając sobie pochodnią. Zatrzymał konia pod koroną ogromnego buka i czekał, osłonięty przed deszczem, w gąszczu zarośli i krzewów porastających błotniste zbocze i schodzących aż do kanału.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że postąpił nierozważnie, lecz stawka w tej grze była zbyt wysoka, aby zachować środki ostrożności. Obłudny Superanzio dowiedział, że wie o wielu rzeczach i choć nie potrafi rozwiązać zagadki *Lapis exilii*, może znać szczegóły konieczne do odnalezienia obydwu relikwii skradzionych przez ojca Facia. Rocheblanche bardzo na to liczył, aczkolwiek przeczuwał, że nie będzie łatwo skłonić go do mówienia. Jeśli zamierzał coś z niego wyciągnąć, musiał go zastraszyć i postąpić z nim w nikczemny sposób.

Zaśmiał się pod nosem. Cóż za niespodziewane skrupuły. Bycie nauczycielem młodzika nadwerężyło jego ochronny pancerz. A może zmienił go afekt do Isabeau? Już dawno nim zapałał, a rozgoryczenie nieopuszczające go od przyjazdu na wyspę Świętego Antoniego podsycalo tylko to uczucie. Zamknięcie dziewczyny w klasztorze sprawiło mu przykrość, ale nie miał wyboru. Podobnie jak wiele lat wcześniej w sprawie z Eudeline. Po raz kolejny ogarnęły go wątpliwości, czy aby nie popełnił błędu.

Jego czujność wzbudził jakiś ruch pośród cieni. Maynard uniósł pochodnię i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Pokażcie się! – rozkazał.

Z mroku nocy wyłonił się otulony płaszczem mężczyzna.

– To ja – powiedział cicho, opuszczając przemoczony od deszczu kaptur. – Rocheblanche rozpoznał złośliwy uśmiech Superanzia Orsiniego.

– Nareszcie – przywitał go ponuro. – Mam nadzieję, żeście skłonni do gadania.

– Będę mówił – zawtórował mu widam. – Powiem wam wszystko o żonie mistrza malarskiego, ale najpierw musicie mi wyjawić, co wiecie o *Lapis exilii*. Taki zawarliśmy pakt.

– Do diabła z paktami. – Maynard postąpił krok do przodu, dając mu do zrozumienia, że jest uzbrojony. – Powiem wam, jak będzie. Oddacie mi pierścień

i pergamin z zagadką, następnie wyśpiewacie po kolei wszystkie tajemnice, aż mnie zadowolicie. Nie tylko dotyczące żony malarza, ale także Bertranda du Pougeta i Facia di Malaspiny. Zrozumieliście?

Superanzio zarechotał sprośnie.

– Przeklęty Francuzie! – wysyczał. – Głupiec z was!

Zdjęty nagłym przecuciem rycerz odwrócił się raptownie, słysząc szelest gałęzi, i natknął się na jakąś męską postać. Maczuga ugodziła go prosto w twarz, wywołując szkarłatną błyskawicę.

Runął w błoto rozwścieczony i natychmiast spróbował się podnieść, lecz drugi zbir rąbnął go w pierś, powalając z powrotem na ziemię. Potem spadły nań kolejne potężne ciosy maczugi, od których po całym ciele rozlewał się przeszywający ból.

Mając oczy zasłonięte skorupą błota, Rocheblanche przeturlał się na bok i dobył miecza. Jego ostrze jednak tylko przecięło ze świstem powietrze, chybiając celu.

Ponowne uderzenie wytrąciło mu broń z ręki, a następne, w skroń, odebrało wszelką nadzieję.

– Wystarczy, Petricciolo! – rozkazał nagle Orsini. – Powiedz swojemu kompanowi, żeby przestał. Chcę go żywego!

Po tych słowach męka dobiegła końca. Maynard poczuł, że chwytają go za ramiona i wloką przed oblicze widama.

Orsini górował nad nim niczym wieża.

– Nareszcie się zemściłem! – obwieścił triumfalnie. Niemal się zaślinił z zadowolenia, ale jeszcze nie nasycił ową zwyrodniałą rozkoszą. Złapał Rocheblanche'a za włosy i przytknął mu dagę do gardła.

– Teraz wyśpiewasz wszystko, łajdaku. Wszystko, co wiesz o zagadce *Lapis exilii*, a wtedy może obetnę ci tylko nos.

Francuz splunął mu w twarz, na co tamtemu wyrwał się plugawy okrzyk. Zanim siepacze zdążyli zareagować, zaparł się stopą o ziemię i szarpnął, wrywając się, po czym zacisnął palce na szyi widama z całą siłą, jaka mu jeszcze została.

Upajał się ową chwilą czystego okrucieństwa, ale uzmysłowił sobie nagle, że daga Superanzia okazała się równie szybka. Weszła mu między żebra na pół piędzi, niemal nie sprawiając bólu.

Zwolnił uścisk i cofnął się, drżąc, po czym runął z krawędzi wzniesienia, nim owe parszywe psy widama zdołały go dopaść. „Wszystko skończone” – przemknęło mu jeszcze przez myśl. Następnie ześliznął się po języku mulistej mazi, bardziej lepkiej niż krew, aż pochłonął go wir wody, kładąc kres wszystkiemu.

**CZEŚĆ DRUGA
DNI GNIEWU**



OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

9 PAŹDZIERNIKA

Tego dnia Moczarek oddalił się od opactwa bardziej niż zwykle. Zajęczy trop zwabił go na ścieżkę wijącą się na zachód przez przystrojony w jesienne barwy bór. Pies podążał za śladem po kobiercu z suchych liści, podrywając się na pisk wszystkich wiewiórek i bażantów, które uciekały na jego widok. Poruszały się jednak zbyt szybko, by mógł je upolować. Mimo to chart nadal truchtał przez zarośla, podekscytowany zapachem dziczyzny, który przenikał każdy zakątek lasu. Co i rusz przystawał, wściubiał nos w norę i drapał, węsząc zapachy zwierząt, mchu i ziemi, a maleńkie owady łaskotały go w nos.

Jeźdźcy byli jeszcze daleko, gdy tętent końskich kopyt dobiegł jego uszu. Moczarek zapomniał o zającu, kiedy zaś wiatr wwiął mu w nozdrza zapach ludzi i koni, wiedział, skąd dochodzi, i zaciekawiony ruszył w ich kierunku. Przebrnął przez polanę porośniętą kolczastymi jeżynami i pobrużdżone korzeniami zbocze, tymczasem ziemia drżała coraz mocniej. Wreszcie ich zobaczył.

Garstkę zbrojnych z chorągwiami i lśniącymi ostrogami.

Patrzył na nich zza gęstwiny krzewów, dopóki instynkt psa myśliwskiego nie kazał mu podążyć za nimi. Dogonił ich i dostosował krok do końskiego kłusu, nie zważając na żołnierzy z tylnej straży, którzy naigrawali się z jego biegu na trzech łapach.

Drużyna posuwała się naprzód, otoczona odcieniami czerwieni i brązu, ku wieży dzwonnicy, sterczącej ponad nagimi konarami. Wkrótce ukazała się także reszta zabudowań opactwa i dowódca, popędzając konia, polecił swym ludziom się pospieszyć. Spośród innych wyróżniała go sroga mina, wyrażająca zarówno gniew, jak i uniesienie. A pomijając minę, najbardziej rzucała się w oczy blizna po oparzeniu, szpecąca lewą stronę jego twarzy.

Superanzio Orsini zatrzymał konia przed fasadą klasztoru i rozkazał zbrojnym czekać. Ojciec Andrea wyszedł z krużganka i zagroził mu drogę przed zewnętrznym portykiem, wbijając w ziemię sękaty pastorał. Widam poczuł instynktowną wrogość. Przez całe życie służył ludziom tego pokroju i nie potrafił zdobyć ich szacunku. Kątem oka dostrzegł kulawego charta, który podszedł z tyłu i zwinął się w kłębek obok zakonnika. Roześmiał się.

– Nowy akolita w klasztorze, *abbas*?

– Co was przywiodło do mych bram? – Wielebny ojciec zatrzymał wzrok na

bliźnie, po czym dodał kwaśno: – Nie znajdziecie tu więcej pieniędzy dla awiniońskich trzosów.

– Po prawdzie szukam pewnego człowieka.

– Ostatnim razem, gdyście wypowiedzieli te słowa, zakuliście w kajdany niewinne osoby.

Superanzio wpatrywał się w opata z wysokości siodła. Wystarczyłoby raz szarpnąć wodze, a zmiażdżyłyby go kopyta wierzchowca. Opanował się. Nie powinien zapominać, co przywiodło go do Pomposy.

– Francuskiego rycerza – obwieścił gromkim głosem. – Maynarda de Rocheblanche’a.

Ojciec Andrea wymijająco uniósł brew.

Widam zauważył cień niepokoju na jego twarzy.

– Wiem na pewno, że się z nim porozumiewacie – ostrzegł. – Ukrywacie go?

– Nie mam od niego wieści od ponad dwóch miesięcy.

Przez chwilę Superanzio widział oczyma duszy, jak Francuz wpada do fosy z daga tkwiącą w ciele. W ciągu kolejnych dni wysyłał swoich zbirów, by przeczesywali brzegi Padu w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów wskazujących na to, że Francuz zdołał przeżyć. Na próżno. Najwyraźniej wody pochłonęły tego przekłętą człowieka razem z jego tajemnicami. Widama nigdy jednak nie opuszczało przeczucie, że Francuzowi w taki czy inny sposób udało się wyjść z tej opresji cało. Było to mgliste przeczucie, lecz wiedział z doświadczenia, że umarli – bądź za takich uznani – wracają czasem, by się zemścić.

– Od dwóch miesięcy, powiadacie. – Zmierzył opata badawczym wzrokiem.

– A jaki był powód jego ostatniej wizyty w Pomposie?

Opat wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nic ważnego.

– Przybył tylko po to, by zabrać siostrę i odwieźć ją do klasztoru Świętego Antoniego.

– Siostrę?

– Dziewczynkę – wyjaśnił Andrea.

Superanzio pozwolił sobie na uśmiezek, lecz nie chcąc budzić podejrzeń zakonnika, szybko zmienił temat.

– Zatem – podsunął – gdybym rozkazał swoim ludziom przeszukać klasztor, niczego bym nie znalazł?

Zamiast odpowiedzieć, opat nieufnie zmierzył wzrokiem garstkę zbrojnych za plecami Orsiniego.

– Wśród towarzyszących wam ludzi widzę barwy rodu Estów, nie kurii. W czym zatem imieniu przybywacie?

– W imieniu Jego Wysokości markiza. Poleciał mi zasięgnąć języka w kwestii przedłużającej się nieobecności nauczyciela fechtunku.

– Zostaliście więc ogarem Obizza III?

Widam zignorował zaczepkę. Domyślił się gierka opata i nie zamierzał dawać mu powodów, dzięki którym mógłby się bronić.

– Naturalna kolej rzeczy – usprawiedliwił się. – Otrzymałem od biskupa zezwolenie, bym służył papieskiemu wikariuszowi.

– Niemniej jednak nie macie żadnej władzy nad Pomposą – oświadczył opat.
– Ani w imieniu biskupa, ani w imieniu markiza. Chyba żeście otrzymali zezwolenie od papieża, ma się rozumieć.

Superanzio ze złością zacisnął palce na wodzach.

– Uważajcie, mnichu! – syknął. – Już raz żałowaliście swej buty.

Ojciec Andrea nadal stał przed nim wyprostowany, czujny i niewzruszony.

– W tych murach nie znajdziecie Rocheblanche’a – powtórzył chłodno. – Jeśli mimo to pragniecie wejść, uczynicie to jako pokutnik, bez broni i ostróg.

– Bezbronny jak baranek prowadzony na rzeź? – Widam cofnął konia, zaniepokojony widokiem dwóch łuczników pod arkadami dzwonnicy. Byli to ludzie wierni biskupowi i markizowi, którzy pozostawali wszakże zbyt długo pod rozkazami opata, by chciał się zakładać o to, komu byliby posłuszni. – Nigdy! – zawołał, dając znak odwrotu.

Po czym popędził wierzchowca w kierunku Ferrary.

Gualtiero przyglądał się widniejącemu u góry stronicy czerwonemu demonowi o skrzydłach nietoperza i nieuchwytnym wdzięku, który pomógł mu zakraść się pod pościel śpiącej dziewicy. *Conceptio Merlini*. Wykonał tę miniaturę po kryjomu, zaczekawszy, aż skryptorium opustoszeje, aby ukończyć pracę nad księgą zamówioną przez Jego Wysokość Obizza III d'Este. Jako miniaturzysta nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się ulec przyływowi pożądlivosti. Wszelako miniatura ta już od pierwszego ruchu piórka pobudziła go do snucia lubieżnych fantazji. Z początku pociągało go dziewczę leżące na pościeli, niedoświadczone, lecz rozwiązłe. Potem na ów obraz nałożyło się wspomnienie Isabeau, wywołując gwałtowne pragnienie, by ją uwieść. Tęsknił za nią, i nie tylko z powodu jej urody.

Odegnął pokusy czerwonego demona, gładząc powierzchnię pergaminu w pełgającym blasku świecy. Podziwiał hardą przenikliwość, z jaką autor przeciwstawił poczęcie czarodzieja poczęciu Jezusa. Należało się zastanowić, czy tak wielka zuchwałość kryje w sobie ziarno herezji, czy drwinę z teologów.

Ponadto skryba, który przepisał *Vita Merlini* na polecenie ojca Andrei, najwyraźniej delectował się tekstem. Tego rodzaju rozrywki nie zdarzały się często tym, którzy marnowali wzrok, ślęcząc nad ewangeliami, kazaniem ojców pustyni czy traktatami Świętego Augustyna. Sam Gualtiero czerpał niezliczoną ilość pomysłów z alegorycznych figur stylistycznych owego świeckiego kodeksu. Było to pouczające doświadczenie, chociaż w ciągu ostatnich miesięcy narastał w nim niepokój. Młodzieniec nie wiedział, jak sobie tłumaczyć przedłużającą się nieobecność Rocheblanche'a, lękał się wręcz, że jego plany spełzną na niczym.

Zdawał sobie sprawę, że bez Maynarda nie zdoła uzyskać kolejnych wieści o matce ani nie będzie w stanie dowiedzieć się, gdzie jest Isabeau. Ponadto istniała kwestia *Vita Merlini*: przekonanie opata, że kopię należy przekazać markizowi Obizzowi, będzie nie lada wyczynem.

Gualtiero był jednak zdecydowany znaleźć jakieś rozwiązanie. Uczynił wszystko, by wykonać miniatury godne szlachcianki, a teraz miał zamiar otrzymać zapłatę.

Drżenie płomyka zdradziło jakiś ruch za jego plecami. Młodzieniec ledwie zdążył przykryć arkuszem dwuznaczną miniaturę, gdy stanął nad nim opat.

– Pracujecie do późna – stwierdził Andrea.

– Jeśli przysporzyłem wam kłopotów, wielbny ojcze... – tłumaczył się miniaturzysta.

– Przeciwnie, to mi się podoba. – Zakonnik się uśmiechnął. – Z każdym dniem okazujecie większe zrozumienie obowiązków i poświęcenia. Niestety, istnieje niebezpieczeństwo, że ominie was wieczerza.

– W takim razie postaram się rychło skończyć.

Gualtiero uporządkował materiały do rysowania na pulpicie i poskładał karty pergaminu, zamierzając schować je w skrytce pod blatem. Zawahał się wszakże na widok nagle sposepniałego oblicza opata.

– Ciągle czekam na waszą odpowiedź, synku – mruknął Andrea. – Nie zapominajcie o tym.

– Proszę was, byście nie brali zwłoki za niewdzięczność, wielebny ojciec – rzekł młodzieniec. Od ich ostatniej rozmowy rzeczywiście upłynęło już wiele czasu, toteż miał nadzieję, że zakonnik puścił ją w niepamięć. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że się mylił. – Czekam na ważną wiadomość – był zmuszony wyjaśnić – i dopóki jej nie otrzymam, nie będę w stanie podjąć decyzji.

Opat obdarzył go ciepłym uśmiechem.

– Zatem proszę Boga, żeby nastąpiło to jak najprędzej – odparł, odchodząc. Po krótkiej rozterce wszakże zawrócił. – Ale jeśli ową wiadomość ma dostarczyć Rocheblanche, radzę wam porzucić wszelką nadzieję.

Gualtiero drgnął.

– Czyżbyście wiedzieli, co się z nim stało?

– Dzisiaj z Ferrary przybyli jacyś ludzie, którzy go szukają. Krążą słuchy, że zaginął.

– Zaginął?... Co to znaczy?

Ojciec Andrea pochylił się nad nim z jeszcze bardziej ponurą miną.

– Jako że wieść pochodzi od widama biskupa, jestem skłonny odczytać ją jako zapowiedź śmierci.

Po wieczery Gualtiero myślał o tym, co czynić.

Odczekawszy, aż konfratry zbiorą się w klasztorze na nieszpórach, wśliznął się do skryptorium i skradł kopię *Vita Merlini* wraz z oryginałem. Zarówno tekst, jak i miniatury były gotowe, wykonane bez zarzutu. Brakowało jedynie oprawy. „Nic nie szkodzi” – rzekł w duchu. Obizzo skorzysta z usług jakiegoś mistrza introligatorskiego z Ferrary.

Z arkuszami schowanymi w sakwie tkwił w ukryciu aż do zachodu słońca, po czym biegiem opuścił opactwo. Nie wiedział, ile czasu zajmie mu pokonanie drogi do miasta na piechotę, nie chciał jednak, aby przyłapano go przy wsiadaniu na statek pod Latarnią Morską. Bez wątplenia będzie to pierwsze miejsce, gdzie opat każe go szukać.

Na wszelki wypadek zabrał ze sobą pieniądze zarobione w ciągu tych miesięcy. Nędzne grosze, które ledwie wystarczą na opłacenie noclegu i wyżywienia w drodze. Tak czy inaczej, musi je dobrze ukryć. Teraz, w czasach biedy, mógłby z ich powodu zostać ugodzony nożem.

Podążał ścieżką wśród drzew w blasku księżyca, starając się nie zapalać łuczywa, dopóki nie oddali się od opactwa na dostateczną odległość. Lepiej zachować ostrożność. Zapewne nieszpory zdążyły się już skończyć i wkrótce

zauważą, że go nie ma.

Wtem w gęstych zaroślach rozbłysło światło.

W obawie przed przyłapaniem, Gualtiero, przyciskając do piersi sakwę, czmychnął tam, gdzie roślinność stawała się jeszcze bardziej zbita, by schronić się w niej. Choćby nie wiadomo co się działo, nie może dać się zaskoczyć. Tymczasem światło zbliżało się nieubłagane, a towarzyszył mu tętent kopyt.

Młodzieniec przeskoczył gruby pień leżący w poprzek ścieżki i przycupnął za nim, wykorzystując lekką pochyłość terenu. Po chwili ujrzał, jak olbrzymi koń pokonuje przeszkodę, lądując niedaleko.

Mężczyzna w siodle szarpnął wodze i uniósł trzymaną w dłoni pochodnię. Był równie majestatyczny jak wierzchowiec, na którym siedział, a jego potężne ramiona otulał płaszcz.

Gualtiero zerwał się na równe nogi i popędził naprzód z pochyloną głową. Jeździec w kilku susach zagroził mu wszakże przejście.

– Stójcie, wieśniaku, z łaski swojej! – zawołał z wyraźną francuską wymową. – Chcę was zapytać o drogę.

Młodzieniec pozostał czujny, gotów do ucieczki.

– Powiedzcie, dokąd zmierzacie, messer.

– Do opactwa w Pomposie.

– Zaraz do niego dotrzecie – odparł czym prędzej Gualtiero. – Jedźcie dalej na wschód, a wkrótce je zobaczycie.

– Pochodzicie stąd? – zapytał mężczyzna, bacznie się weń wpatrując. – Wyglądacie mi na mnicha...

Młody de' Bruni powstrzymał się od odpowiedzi. Cofał się powoli, nadal ściskając mocno sakwę.

W blasku pochodni na obliczu Francuza można było dostrzec iskierkę nadziei.

– Może znacie pewnego rycerza, który tam mieszka – ciągnął. – Pochodzi z północy, jak ja. Zowie się Maynard de Rocheblanche.

Gualtiero zmusił się, by zachować zimną krew. Gdyby odpowiedział twierdząco, z pewnością nieznajomy zażądałby, by go odprowadzić do opactwa. Gualtiero był jednakże ogromnie ciekaw, kim on jest i z jakiego powodu szuka Rocheblanche'a.

– Nie znam go – wyjąkał, starając się wypaść przekonująco.

Mężczyzna świdrował go przez chwilę wzrokiem, w końcu pokiwał głową.

– Mimo to jestem wam wdzięczny, niech Pan ma was w swej opiece. – Następnie spał wierzchowca.

– Zaczekajcie! – zatrzymał go chłopiec, narażając się na niebezpieczeństwo. – Jak brzmi wasze imię?

Nie zwolniwszy ani trochę, rycerz krzyknął w noc:

– Robert, baron Vermandois.

Blask jego pochodni stopniowo się rozpraszał wśród czarnych zarysów drzew.

– Znaleźliśmy się w niezłych opałach, pojmujesz? – mruknął ojciec Andrea, opuszczając klasztor ze zwieszoną głową.

Moczarek podążał za nim w ciemnościach po kobiercu z trawy, który rozciągał się aż do *palatium*, a mnisi tymczasem w oddali zmierzali gromadnie ku dormitorium.

– W opałach – powtórzył opat, jakby czekał na odpowiedź. – Rocheblanche akurat teraz, kiedy mógłby mieć to, czego szuka, znika jak kamfora – ciągnął. – A do tego Gualtiero... Och, ten niespokojny chłopiec!

Dotarłszy do budynku, przystanął pod arkadami krużganka. Nieszpory nie zmyły z jego czoła napięcia. Przeciwnie, napełniły go smutkiem, każąc jak najprędzej opuścić chór. Teraz zaś zwlekał z zamknięciem się we własnej celi, gdzie czekały go godziny niespokojnego snu. Lepiej zostać tutaj, pod sklepieniem nieba, albowiem owa noc, jak nigdy dotąd, budziła w nim wspomnienie ukochanego mistrza Seweryna. Szaleńca, który płakał przed stosem Piotra Apońskiego.

Andrea otarł łzę. Może był to ten rodzaj szaleństwa, które podtrzymywało wiarę, nawet wypaczoną? Nie przestawał się nad tym zastanawiać, odkąd otworzył księgę znaną pod starym pulpitem. Teraz wyzbył się już wątpliwości. To musiał być właśnie *Codex Millenarius*, niegdyś własność Facia di Malaspiny, księga wzniosłych i potwornych tajemnic, które dręczyły go od miesięcy.

„Herezja” – pomyślał. Kiedyś Seweryn z Padwy oznajmił mu, że ona nie istnieje. Nie sposób twierdzić, że umysł trwa bez ruchu, nie zadając sobie pytań o dogmaty ani o prawdę. Bóg obdarzył człowieka rozumem właśnie po to, aby go używał, nie zważając na narzucone przez bliźnich pęta.

Andrea lękał się wszakże tych słów. Brakowało mu odwagi, by stawić czoło zwątpieniu i zapuszczać się na nieznane lądy.

Porzucicie wszystko i pójdźcie za mną.

Pojał dogłębnie owo zaproszenie dopiero po przeczytaniu *Codex Millenarius*. Teraz zaś nie potrafił wygnać go z myśli.

Porzucicie wszystko.

Tak, wszystko.

Zatem także wszelką pewność.

Teraz wreszcie wiedział, dlaczego utracił wiarę. Z obawy przed całkowitym zatraceniem się w niej, jak to czynił w okresie nowicjatu. Obawy przed zapamiętaniem się w czymś nieznanym, bez zważania na reguły i nauki zwierzchników.

Z żalem uzmysłowił sobie, że na to już się nie może zgodzić.

Oto dlaczego ta księga powinna zniknąć.

„Przeklęty Rocheblanche” – wyszeptał przez zęby. „Gdzieście się podziali?”

Moczarek zaskomlał, odrywając go na chwilę od owego posępnego pomstowania. Opat schylił się, by pogłaskać go po łbie, przelotnie zazdroszcząc mu ignorancji i spokoju. Następnie podniósł wzrok na stojący nieopodal wóz de’ Brunich i ogarnęło go niespodziewanie dziwne przeczucie. Wewnątrz nie widać było żadnego światła. Zastanawiające, biorąc pod uwagę to, że Gualtiero nie mógł ostatnio w ogóle spać. Chciał nawet podejść i sprawdzić, co się dzieje, ale głos pachołka kazał mu się odwrócić.

– *Dominus*, do opactwa przybył właśnie jakiś rycerz!

Ojciec Andrea przytknął dłoń do piersi.

– Czy to Rocheblanche?

– Nie, *dominus* – rozczarował go pachołek. – Twierdzi, że pochodzi z daleka i chce z wami mówić.

Ojciec Andrea przyjął nieznanego w rozmównicy. Zdumiał go upór, z jakim przybysz domagał się natychmiastowego widzenia z nim, pomimo wyraźnego zmęczenia podróży. Wysoki, odziany w płaszcz, z głową owiniętą czarną materią, stał przed nim uroczyście, jakby to była kwestia życia i śmierci.

– Robert de Vermandois – powtórzył zakonnik. – Czy dobrze zrozumiałem?

– Tak, Wasza Łaskawość. – Rycerz zmarszczył brwi. – I jak powiedziałem, szukam Maynarda de Rocheblanche’a.

Ojciec Andrea wznosił oczy ku niebu.

– Ostatnio wiele osób go szuka.

– Ja jednak wiem na pewno, że jest tutaj – nalegał mężczyzna. – Muszę mu koniecznie coś dostarczyć. Coś... bardzo cennego. – Odchylił połę płaszcza, odsłaniając kuferek, który trzymał pod pachą.

– O, Panie... – wyrwało się opatowi. – Chyba nie chcecie powiedzieć, że to... sześćset florenów?

Robert nabrał podejrzeń.

– Jak widać, wiecie o wszystkim.

– Nie obawiajcie się – uspokoił go Andrea. – Rocheblanche mi oczywiście o tym mówił. Bo tak po prawdzie te pieniądze są przeznaczone dla opactwa.

– Cierpliwości, wielebny ojcze. Zwykle nie ufam duchownym, którzy żądają ofiar tak bezceremonialnie jak wy.

Opat uczynił przepaszający gest.

– Daleki jestem od żądania czegoś, co do mnie nie należy, ale...

Vermandois przerwał mu zniecierpliwiony.

– Nie powiedzieliście mi jeszcze, gdzie przebywa messer Maynard.

Nagle ojciec Andrea pożałował, że sam przyjął tego rycerza. Czuł, że jego gniew narasta, obawiał się jednak, że przywołanie pachołka jeszcze by sprawę pogorszyło.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odrzekł spokojnie. – Ściślej biorąc, nikt tego nie wie. Już będzie blisko trzy miesiące, jak zniknął.

Pikardyjczyk zachnął się i groźnie przysunął.

– Opowiedzcie mi wszystko od początku.

Zakonnik zrobił krok do tyłu.

– Szczerze mówiąc, nie ma co opowiadać. Rocheblanche gościł u markiza Ferrary, był tam nauczycielem fechtunku i nie mówiąc nic nikomu, zniknął jak kamfora.

– Skoro był gościem markiza Ferrary, dlaczego kazał mi przyjechać tutaj?

– Ponieważ – odparł Andrea – ufał tylko mnie.

Na te słowa Vermandois przeciągnął dłońią po twarzy i rozejrzał się dokoła, nic nie rozumiejąc.

– Proszę o nocleg – oznajmił w końcu. – Wiedźcie też, że dopóki nie odnajdę mego towarzysza broni, nie dostaniecie tych pieniędzy.

FERRARA, WYSPA ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

10 PAŹDZIERNIKA RANKIEM

Isabeau nie znosiła życia konwerski. W Pomposie miała jego przedsmak, jednak reguły stosowane przez benedyktyнки od Świętego Antoniego okazały się o wiele twardsze. Musiała pracować w ogrodzie, dzielić dormitorium z innymi siostrami i uczestniczyć we wszelkich nabożeństwach odbywających się przed świtem. Zmagiała się z brzemieniem dyscypliny i odosobnienia. Ponadto nie umiałyby nawet wyrazić słowami tego, jak bardzo nienawidzi śpiewu. Miała obowiązek należeć do chóru sióstr w każdy dzień święty, aby recytować psalmy, i ciągle była przyłapywana na połykaniu wyrazów, kiedy zaś udawała, że śpiewa, upominano ją, snując opowieści o diable Titivillusie, który połyka przemilczane sylaby, aby złożyć je w hołdzie Złemu. Wszelako dziewczyna bezsprzecznie wolałaby już towarzystwo efemerycznego Titivillusa od towarzystwa przeoryszy. Rzadko udawało jej się oddalić od przełożonej, a gdy to było możliwe, skrywała się pod konarami ogromnej wiśni rosnącej na skraju wirydarza, aby poszybować myślami ku Gualtierowi.

Środa była jedynym dniem, kiedy pozwalano jej opuszczać klasztor. Po prawdzie nie znaczyło to sposobności do zabawy. Isabeau miała obowiązek towarzyszyć matce depozytariuszce podczas obchodu posiadłości na wyspie, poza wysokimi na półtora sążnia murami, które odgradzały klasztor od reszty świata. Wydawało się niemożliwe, by na tak ograniczonej przestrzeni tak wiele się zmieściło, lecz przecież ów spłachetek ziemi okolony rzeką wystarczał, by zapewnić niezależność wspólnocie od Świętego Antoniego. Poza winnicą i ogrodem miała ona nawet młyn i przystań dla barek.

Dziewczyna nie gardziła towarzystwem depozytariuszki. Siostra Imelda była niewiastą małomówną, lecz o dobrym sercu. Niska i odznaczająca się kwitnącym wyglądem, sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie zdołała przywyknąć do obszernego czarnego habitu spowijającego jej ciało i krępującego ruchy. Zdawała się na swoim miejscu wyłącznie wtedy, gdy zapisywała na woskowej tabliczce wielkość zbiorów albo ulepszenia, jakie należało wprowadzić, dokonując matematycznych wyliczeń bez najmniejszego wysiłku.

Isabeau podziwiała ową bystrość umysłu, uważając ją za dar bez porównania większy niż umiejętność śpiewania czy poruszania się z wdziękiem. Zamiast jednak zwracać uwagę na depozytariuszkę, wykorzystywała te chwile na świeżym

powietrzu, aby patrzeć na miejskie mury na drugim brzegu Padu i wyobrażać sobie splot różnorodnych losów i krzątanie ludzi za bramami. Zdarzało się to coraz częściej, od kiedy jęła się frasować brakiem wieści od Maynarda. Lato ustąpiło już miejsca jesieni i biedaczka nie wiedziała, co o tym myśleć.

Odziana w szaty konwerski, przechadzała się po nabrzeżu. Czekala, aż depozytariuszka wypyta rodzinę rybaków o kosze ryb, które miały być w tym tygodniu dostarczone do klasztoru, gdy nagle poczuła za plecami czyjaś obecność.

– Rocheblanche.

Dziewczyna nie przywykła, by tak ją nazywano, licząc jednak na to, że ma do czynienia z wysłannikiem Maynarda, natychmiast odwróciła się i skinęła potakująco głową. Mężczyzna, którego przed sobą ujrzała, przeraził ją. Krępy, z zajęczą wargą wykrzywającą mu twarz w nieprzyzwoitym uśmiechu, był spowity czarnym płaszczem, spod którego wyzierała daga. Zamiast się przedstawić, wyciągnął ramiona, by ją pochwycić.

Zanim Isabeau zdążyła krzyknąć, siostra Imelda rzuciła się jej na ratunek. Wystarczyło wszakże jedno pchnięcie, by ją powalić. Po czym zbir dobył sztyletu i przytrzymując dziewczę, kazał się odsunąć rybakom.

Isabeau zaczęła wierzgać, lecz nie zdołała się wyswobodzić. Mężczyzna zawlókł ją brutalnie na brzeg i cisnął niczym wór na ukrytą wśród gałęzi barkę. Drugie indywiduum, otulone peleryną, czekało na rufie.

– Wiosłuj! – rozkazał Petricciolo, wskakując na pokład.

Na oczach przyglądających się bezsilnie ludzi barka oddaliła się szybko od nabrzeża.

FERRARA, PAŁAC SIGNORII

11 PAŹDZIERNIKA

Dotarcie do Ferrary zajęło Gualtierowi dwa dni. Sporą część drogi pokonał pieszo, przemierzając bezkresne gliniaste pola, gdzie co i rusz widział wychudzone postacie uczepione pługów, ciągnionych przez jeszcze bardziej zabiedzone zwierzęta. Spotykał wyczerpanych chłopów, uginających się pod jarzmem, które napawało młodzieńca jeszcze większym lękiem niż czyhające nań niebezpieczeństwa. W najgorszym razie musiałby zostać zakonnikiem i utrzymywać się z własnego talentu. A przeznaczeniem mijanych nieszczęśników była harówka na jałowej ziemi aż do śmierci, podczas gdy ich pozbawiony kształtu Bóg objawiał się niekiedy pod szarym niebem za trupią czaszką albo zadowolonym uśmiechem biskupa.

Ostatni odcinek przejechał na wozie zarządcy, drzemiąc ukołyszany miarowym ruchem kół. Dotarłszy do przedmieścia Topoli, przekroczył południowo-wschodnią bramę miasta, przeszedł ulicą Szeroką aż do zamku bizantyjskiego i skręcił w ulicę Piaskową, która zawiodła go na rynek. Podczas poprzednich wizyt w Ferrarze nauczył się unikać zaułków zamieszkiwanych przez szumowiny. Biedacy roili się jednak także na głównych ulicach. Kalecy, żebracy i fałszywi mnisi prosili o wsparcie na każdym rozstaju dróg.

Gualtiero pozostawał obojętny, dopóki nie natknął się na siedzącą na bruku, odzianą w łachmany dziewczynkę, która żuła placek z mąki przemieszanej z ziemią. Już miał zanurzyć dłoń w sakiewce, wszelako doszedł do wniosku, że gdy tylko się oddali, na jego szczodrości skorzysta jakaś bardziej drapieżna istota.

Szedł niechętnie dalej wzdłuż katedry, przyspieszając kroku za Bramą Pielgrzymią. W końcu stanął przed pałacem markiza.

Miał już do czynienia ze strażami stojącymi przed wejściem i nie było to miłe wspomnienie. Od tamtej pory nauczył się udawać. I kłamać.

Zbliżył się z podniesioną głową, z szacunkiem, ale bez przesadnej rewerencji.

– Oczekuje mnie Jego Wysokość markiz Obizzo – oznajmił. – Przysłała mnie messer Rocheblanche.

Gualtiero nigdy jeszcze nie stawał przed obliczem szlachcica tej rangi co Obizzo III d'Este, toteż widok markiza od razu wywarł na nim ogromne wrażenie. Nie za sprawą okazałości ani pychy, wspólnej wszystkim zbrojnym, lecz sposobu,

w jaki nań patrzył. Nachmurzony i zamyślony, potrafił spoglądać, nie zdradzając swoich uczuć. Młodzieńcowi wydało się, że jego wzrok przeszywa go na wylot, chcąc więc tego uniknąć, skierował swą uwagę na mieniące się czerwienią szaty Obizza i upierścienione dłonie, zakłopotany tym, że sam ma na sobie stary, powalany błotem habit. Oblał się szkarłatem z powodu – skutecznie powstrzymywanej – wściekłości wywołanej myślą, że prawdopodobnie ma przed sobą człowieka, który kazał pojmać jego matkę i powiesić ojca.

Jego Wysokość udzielił mu posłuchania w krużganku wewnętrznego dziedzińca, jakby chciał dać wyraz temu, że niestosownie jest przyjmować plebejusza w pomieszczeniach pałacu. Nie towarzyszył mu żaden strażnik. Nie było wokół nikogo – tylko markiz i młody malarz, klęczący przed jego obliczem.

– I cóż, podobno przysyła was Rocheblanche – rzekł podejrzliwie Obizzo. – Wiecie, że ten zuchwalec nie pojawił się na moim dworze od lata?

Gualtiero tylko skinął głową.

– Musiałem go zastąpić innym nauczycielem fechtunku – ciągnął Obizzo – który wielce rozczarował mego syna.

– Ja również nie mam od niego wieści – zdecydował się wyznać młodzieniec. – Wszelako pozwoliłem sobie stanąć przed wami, Wasza Wielmożność, aby wywiązać się ze zobowiązania, któreście nałożyli na mnie za pośrednictwem rycerza Rocheblanche’a.

Na twarzy markiza odmalowało się lekkie zdziwienie.

– Jakiego zobowiązania?

– Wykonania kopii *Vita Merlini*.

– Ach tak, księga – mruknął Obizzo, marszcząc brwi. – Zatem to wy jesteście tym miniaturzystą.

– Tak, Wasza Wielmożność. Gualtiero de’ Bruni, do usług.

– Syn mistrza malarskiego – ciągnął szlachcic.

Młodzieniec nadal klęczał ze wzrokiem utkwionym w wysokie buty markiza. Przez okamgnienie był znów na Łące Szubienic, przed czarną sylwetką ojca wiszącego na sznurze.

– Tak.

Ku jego ogromnemu zdumieniu Obizzo westchnął i zmienił temat:

– Jeszcze słowo o Rocheblanche’u. Czy wiecie, co się z nim stało?

– Nie – odparł Gualtiero. Podniósł na chwilę wzrok na markiza, który patrzył przed siebie. – Wiem tylko, że niedawno przyjechali po niego do Pomposy wasi ludzie.

– Było to wynikiem skrupulatnych poszukiwań poczynionych za radą widama biskupa – wyjaśnił szlachcic. Po czym ponownie skupił uwagę na chłopcu i dał mu znak, by wstał. – No dalej, pokażcie mi księgę.

Gualtiero posłusznie wyjął z sakwy obydwą kodeksy skradzione ze

skryptorium w Pomposie i podał mu je.

– Przyniosłem także oryginał – rzekł.

Obizzo nasrożył się, wzięwszy do ręki kopię *Vita Merlini*.

– Ale... składki są niepozszywane!

Młodzieniec wytrzymał jego spojrzenie, opanowując odruch, by znowu paść na kolana.

– Być może źle zrozumiałem, ale ze względu na przeznaczenie księgi uznałem, że lepiej dać ją do oprawy bardziej zaufanym rzemieślnikom, których maestria przewyższa umiejętności klasztornego introligatora.

Obizzo przetrawiał jego słowa, bębniąc palcami po pliku pergaminu.

– Słusznie – przemówił w końcu. – A co opat miał do powiedzenia w tej kwestii?

– Opat o niczym nie wie – wyznał Gualtiero. – Myśli, że kopię księgi zamówił messer Maynard.

Na wargi markiza wypełził uśmiezek.

– Nie przeczę, drwienie z tego swarliwego gawrona sprawia mi przyjemność.

– Po czym jał się przechadzać z kpiącą miną pod kolumnadą krużganka. – Czcigodny Andrea! Zawsze gotów ciskać klątwy, chociaż powinien raczej zadbać o skromne dobra, które mu jeszcze pozostały. – Następnie zwrócił się do młodzieńca, który ciągle wpatrywał się weń ze splecionymi na piersiach dłońmi. – Ale może posuwam się za daleko, rozmawiając z jednym z jego...

– Nie jestem mnichem – powiedział Gualtiero, pochylając głowę, aby pokazać brak tonsury. – Ani nawet nowicjuszem.

– I mimo to zatrudniają was w skryptorium? – Markiz obejrzał z niedowierzaniem wręczony mu przez chłopca kodeks. Przekartkował go z rosnącym zdumieniem, a potem porównał z oryginałem. – Niewiarygodne miniatury... – wyrwało mu się. – Wykonane z prawdziwą maestrią.

Wrażliwy na pochwały młodzieniec dumnie wyprężył pierś, na chwilę zapominając o troskach.

– Moje dzieło, Wasza Wysokość.

– Jeszcze gołowąs, a już taki zdolny... – ciągnął Obizzo, nie przestając podziwiać ilustracji. Nagle Gualtiero uzmysłowił sobie, że posępny mur, który stwarzało jego spojrzenie, całkowicie zniknął, i że oto stoi przed człowiekiem pospolitym, niemal grubianinem w porównaniu z układowym zachowaniem części zakonników. Przyglądał mu się nieustannie, milcząc jak zaklęty, aż wreszcie markiz odwiązał skórzany woreczek zawieszony u pasa i wręczył mu go, mówiąc:

– Godna zapłata za wasze piękne dzieło sztuki.

Chłopiec przyjął sakiewkę z wdzięcznością. Jej ciężar budził w nim pragnienie, by jak najprędzej się oddalić i z dala od ciekawskich oczu policzyć monety.

– A teraz idźcie sobie – odprawił go Obizzo, którego zaniepokoiło nieoczekiwane przybycie posłańca. – Wróćcie do klasztoru i pozostańcie mi oddani.

Ochłonawszy szybko ze wzruszenia, Gualtiero skłonił się z zamiarem odejścia. Nagle jednak poczuł, jak wzbiera w nim coś tajemniczego i bolesnego, napełniając wstydem, że przybrał tak służalczą postawę.

Jął się oddalać, lecz czując narastającą złość, którą tak długo tłumił, zawrócił i rzekł twardo:

– Pójdę sobie, Wasza Wysokość, jak tylko mi powiecie, dlaczego skazaliście mojego ojca na szubienicę.

Obizzo, już pochłonięty rozmową z posłańcem, odwrócił się gwałtownie. Znowu patrzył gdzieś w dal, niemal wrogo, i przez chwilę wydawało się, że uczyni coś nierozważnego.

– Wasz ojciec został stracony nie z mojej woli – odparł zagadkowo. – I nie wiem, dlaczego waszą matkę spotkał tak straszliwy los.

Gualtiero opuszczał Pałac Signorii wzburzony. Chociaż miał trzos ciężki od monet, odnosił wrażenie, że przyjdzie mu wracać do Pomposy z niczym.

– Wspomóżcie biednego ślepcę!

Młodzieniec odsunął się od mężczyzny w poszarpanym płaszczu, bacząc, by nie potknąć się o jego kostur.

– Nie mam pieniędzy – wzbraniał się.

– Zaczekajcie, messer! – nalegał, niemal naigrawając się, tamten. – Dajcie chociaż kilka monet, żeby zmniejszyć brzemię waszych grzechów.

Gualtiero poczuł, że dłoń nieznajomego zaciska się na jego ramieniu, gotów odpowiedzieć, znalazł się z nim twarzą w twarz. Chciał się oswobodzić, ale spojrzawszy pod ciemny kaptur, rozpoznał – pod zarośniętą brodą – twarz natręta.

– O, Boże! – wykrzyknął osłupiały. – Nie wierzę własnym oczom!

– Mówcie ciszej, przyjacielu – nakazał Maynard – bo inaczej zwróćcie na nas uwagę.

Gualtiero musiał ochłonać, nim zdołał zrozumieć słowa Maynarda. Oszołomiony i jednocześnie szczęśliwy, podążał za nim z udawaną obojętnością wąską uliczką na skraju rynku. Dopiero tam Rocheblanche zdjął kaptur. Był blady, miał mocno podkrążone oczy.

– Niedobrze z wami, messer...

– Nie lękajcie się, wyjdę z tego. – Rocheblanche rozejrzał się ostrożnie. – Po co przybyliście do Ferrary?

– Oddałem *Vita Merlini*.

– Bez mojego wsparcia to niebezpieczne przedsięwzięcie.

Gualtiero wzruszył ramionami.

– Jego Wysokość pytał o was, nie wiedziałem, co rzec – dodał, nagle zaciekawiony. – Co wam się przydarzyło?

– Widam Orsini zastawił na mnie pułapkę. – Maynard dotknął ręką żeber z pogardliwym grymasem. – Przeżyłem tylko dzięki pewnemu pasterzowi, który wyłowił mnie z Padu i zawlókł do eremu, gdzie mnie opatrzone. Byłem ciężko ranny, bliski śmierci. Odzyskanie sił zabrało mi wiele czasu. Dopóki jednak całkiem nie wyzdrowieję, pozostanę w ukryciu, bacznie śledząc wroga.

– Zamiarujecie się zemścić?

– Teraz nie mogę wam tego objaśnić... – Zamilkł na widok dwóch mężczyzn i zasłoniwszy twarz kapturem, ruszył dalej ciasną uliczką prowadzącą do kościoła Wszystkich Świętych.

Młody de' Bruni poszedł za nim.

– Jacyś zbrojni pytali o was w Pomposie – ostrzegł go szeptem chłopiec. – Nie widziałem ich, byłem wtedy w skryptorium. Opat powiedział, że przewodził im widam.

Maynard pokiwał głową.

– Ten łajdak Orsini podejrzewa, że przeżyłem, i ciągle mnie ściga. W mieście też aż roi się od jego szpiegów.

Na te słowa Gualtiero poczuł dreszcz na plecach. Minawszy ze spuszczoną głową gromadkę ludzi przed kościołem, wkroczył wraz ze swym kompanem do starej dzielnicy ciągnącej się w kierunku zachodnim.

– Szuka was jeszcze jeden człowiek – oznajmił, ledwie zostali sami. – Jakiś francuski rycerz.

– Jak się zowie? – zapytał Rocheblanche, nie odwracając się.

– Dokładnie nie pamiętam, natknąłem się na niego dwie noce temu, uciekając z Pomposy. To baron. Vardois albo Manois, chyba tak powiedział.

Maynard raptownie przystanął i chwycił go za ramię, napędzając mu trochę strachu.

– Robert de Vermandois?

– Możliwe – odparł młodzieniec, który aż podskoczył.

– Koniecznie muszę się z nim widzieć. – Francuz puścił chłopca i przyspieszył kroku. – Jeszcze dziś wyruszę z wami do Pomposy.

– Niechaj będzie – zawołał Gualtiero. – Skoro jednak ciągle znajdujemy się w Ferrarze, poproszę was o przysługę.

Rocheblanche zerknął na niego z ukosa.

– W czym rzecz?

– Chciałbym zobaczyć Isabeau.

Most łączący wyspę Świętego Antoniego z bramą Świętego Piotra był właściwie wąską kładką, przymocowaną z obydwu stron do drewnianych pali. Maynard i Gualtiero przemierzali go, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a nad brzegami unosiła się mgła, wciskająca się w fałdy ich szat.

Chociaż miasto było blisko, czuli się tak, jakby wkraczali do odgradzonej od reszty świata pustelni – miejsca, gdzie źle znoszono pielgrzymów, a zwykła głośna rozmowa zdawała się występkiem, który zasługuje na karę. Nie, żeby obaj kompani mieli o czym rozprawiać. Rocheblanche po wypowiedzeniu przez chłopca prośby nie odezwał się już ani słowem, a Gualtiero był zadowolony, że nie musi nic wyjaśniać.

Kiedy przekroczyli bramę, powiadomili posługacza, że chcą się zobaczyć z przeoryszą. Mężczyzna poprowadził ich na tyły klasztoru, na skraj ogrodu okolonego różanym żywopłotem. Wielebna matka przechadzała się tam w samotności z małym kodeksem w dłoniach.

Skłoniwszy się, Maynard ruszył jej naprzeciw. Nim Gualtiero podążył jego śladem, spojrzął w górę, na wąskie kraty sąsiedniego budynku, przez które można było dostrzec zakonnice, śledzące, co się dzieje na zewnątrz. Na myśl, że Isabeau przebywa wśród tych zamkniętych niewiast, wyrwało mu się rozpaczliwe westchnienie. Czym prędzej dołączył zatem do swego kompana w nadziei, że wkrótce zobaczy dziewczynę.

– Wróciłem po siostrę – oznajmił Maynard.

Przeorysza, wyraźnie wstrząśnięta jego nędznym wyglądem, pokręciła przecząco głową ze smutną miną.

– Co to ma znaczyć? – zapytał zafrasowany rycerz.

– Została uprowadzona – odrzekła zakonnica. – Wczoraj rano przez dwóch mężczyzn z barki. Ledwie to się stało, natychmiast wysłałam wam wiadomość do pałacu markiza, otrzymałam jednak odpowiedź, że już tam nie mieszkacie. Dlatego, nie wiedząc, do kogo się zwrócić...

– Dwóch mężczyzn, powiadacie? – przerwał jej Maynard.

Przerażona jego tonem przeorysza się cofnęła.

– Tak – odparła. – Matka depozytariuszka, która była razem z dziewczyną, widziała z bliska tylko jednego. Był to rycerz odziany w płaszcz.

– Mówił cokolwiek? Rozpoznała herby albo barwy?

– Nic, messer. Zauważyła tylko u niego zajęczą wargę.

Rocheblanche już miał coś odpowiedzieć, lecz zastanowiły go jej ostatnie słowa.

– Zajęczą wargę... – mruknął pod nosem. Na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech. – Dziękuję wam, matko – pożegnał ją pospiesznym ukłonem – sam się

tym zajmę.

– Ależ messer! – sprzeciwił się Gualtiero, który przysłuchiwał się rozmowie z narastającym niepokojem. – Czy nie byłoby lepiej dowiedzieć się wszystkiego z ust samej depozytariuszki? Może gdybyśmy zadali jej właściwe pytania...

– Nie ma potrzeby, przyjacielu – przerwał Maynard. – Już wiem, o kogo chodzi.

– To był człowiek Superanzia Orsiniego.

Gualtiero wpatrywał się w rycerza zatrwożony.

– Jesteście pewni?

Maynard odpowiedział dopiero wtedy, gdy przeszli przez most i stanęli przed bramą Świętego Piotra. W szarym wieczornym świetle wieże Ferrary sterczały niczym nieme straże.

– Jak wspominałem wcześniej – wyjaśnił chłopcu – już teraz tak pilnuję widama, że znam wszystkich jego zbirów. Najwierniejszym z nich jest kanalia o imieniu Petricciolo, która odpowiada opisowi przeoryszy. To nie może być zbieg okoliczności.

– W takim razie na co czekamy?

– Cierpliwości, przyjacielu.

Młody de' Bruni zacisnął pięści.

– Izabeau znajduje się w ich rękach, a wy się wahacie?

– Nie myślcie, że tylko wy się o nią zamartwiacie – upomniał go Rocheblanche ochryłym głosem. – To oczywiste, że te psy uprowadziły ją, by wywabić mnie z kryjówki. Już niedługo poznają mój gniew. Lecz jeśli chcemy ją ocalić, musimy zrównoważyć zagrożenie sprytem.

Gualtiero spuścił wzrok, trzęsąc się ze złości.

– Co wy wiecie o jej losie? Przecież może już być martwa!

Maynard splótł ramiona, pogrążając się w milczeniu, które napawało chłopca lękiem. Na jego twarzy malowało się na przemian to cierpienie, to wściekłość, aż wreszcie skrył się pod maską chłodnej rzeczowości.

– Nie, Superanzio Orsini jeszcze jej nie zabił – stwierdził. – Jedynym sposobem uzyskania ode mnie czegokolwiek jest oddanie mi jej żywej. Nie zapominajcie, że uważa ją za moją siostrę. Jako okupu zażąda ode mnie wyjawienia tajemnic, a ja przyniosę mu śmierć.

Chłopiec spojrzał na niego stanowczo.

– Możecie liczyć na moją pomoc, messer.

– Nie czujcie się zobowiązani – odparł Francuz.

Gualtiero, który ani myślał się wycofać, wpatrywał się w niego twardo, a w oczach miał łzy.

– Isabeau nie jest dla mnie byle kim – wyznał. – Bardzo się dla mnie liczy, bardziej, niż do tej pory sądziłem. Bardziej, niż jej powiedziałem. I na samą myśl,

że mogłoby jej się stać coś złego...

Rocheblanche skinął na znak, że pojmuje.

– Jesteście dzielnym człowiekiem, przyjacielu. – Chwycił dłonie młodzieńca w swoje, jakby chciał posmakować jego uczuć. – Proszę o wybaczenie, jeśli w przeszłości obchodziłem się z wami szorstko, ale kwestia strzeżenia własnych tajemnic zaślepiła mnie tak mocno, że przestałem się troszczyć o bliźnich. Teraz jednak nie chcę, byście narażali życie z powodu mojego błędu.

Młodzieniec wyswobodził się z uścisku.

– Jeśli wam się wydaje, że mogę stać z boku...

– Nie będziecie stać z boku – obiecał Maynard.

Gualtiero skinął powoli głową, niemal uspokojony.

– Zdradźcie mi więc wasz plan.

Rocheblanche zachęcił go, by ruszyli dalej, i po drodze przedstawiał mu swoje plany przyciszonym głosem:

– Ja zostanę w mieście i czym prędzej powrócę do Pałacu Signorii. Jak tylko Orsini spostrzeże moją obecność, bez wątpienia wykona następny ruch.

– A co ze mną?

– Wróćcie do Pomposy i spotkacie się w tajemnicy z rycerzem, o którym wspominaliście. Upewnście się, że to naprawdę mój przyjaciel, Robert de Vermandois, po czym przekażecie mu moją prośbę o pomoc i przywieziecie go do Ferrary, skryjcie się w jakimś odludnym miejscu, gdzie zaczekacie na wieści ode mnie.

– Gdzie mamy zamieszkać?

– Z pewnością nie w hospicjum Miłosierdzia Bożego – odrzekł Maynard. – Byłem tam i będą pilnować tego miejsca. Powiem wam gdzie. A teraz posłuchajcie uważnie, albowiem nie wolno wam popełnić błędu.

Gualtiero powrócił do opactwa nazajutrz. Szedł w gęstej mgle, przez którą brząsk nie był w stanie się przebić i dotknąć ziemi. Okrążył *Palatium Abbatis* i cichaczem zdołał dobiec skrajem dziedzińca do wysokiego drzewa, bacząc, by nikt go nie zauważył. Posmutniał na myśl o godzinach spędzonych pod jego konarami z Isabeau, ale porzuciwszy wspomnienia, wykopał dziurę u stóp pnia i włożył do niej monety otrzymane od markiza Obizza. Piętnaście złotych florenów. Była to znacznie przewyższająca jego oczekiwania kwota, która w zwykłych okolicznościach pozwoliłaby mu wyruszyć bezzwłocznie do Awinionu. Teraz wszakże należało zapomnieć o matce, podobnie jak o owej małej fortunie.

Zasypał dołek, przykrył go trawą i gałęziami, a potem udał się na poszukiwanie ojca furtiana. Dostrzegł go pod narteksem czyszczącego skrzydła portalu.

– Wybaczcie, frater.

– Co tam, synku? – zapytał zakonnik, przerywając pracę.

– Może wiadomo wam przypadkiem coś o rycerzu przybyłym w ostatnich dniach do opactwa?

– Jak przypuszczam, macie na myśli pikardyjskiego barona. – Mnich obrzucił go badawczym wzrokiem. – Mieszka w domu gościnnym, tak polecił wielbny Andrea.

– Dziękuję wam – odrzekł pospiesznie Gualtiero i się oddalił.

Chciał się spotkać z tym człowiekiem niezauważony przez nikogo, zwłaszcza przez opata. Na szczęście mgła pozwoliła mu się zbliżyć niepostrzeżenie do domu gościnnego.

Francuz stał przed budynkiem, zwrócony do niego plecami. Właśnie siodłał konia, najwyraźniej przygotowując się do opuszczenia opactwa.

„Dzięki Bogu zdążyłem w porę” – pomyślał Gualtiero. Szybko podszedł bliżej, zdumiony posturą Francuza. Przewyższał Maynarda co najmniej o pięćdziesiąt i miał tors Goliata, podkreślony jeszcze przez skórzany napierśnik, związany po bokach.

– Messer – zagadnął, chcąc zwrócić jego uwagę.

Zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, z mgły wynurzyło się dwóch łuczników.

– Stać! – rozkazali, dzierżąc w dłoniach łuki.

Vermandois instynktownie podniósł z ziemi miecz i do połowy go obnażył, gotów się bić. Nieuchronne starcie zażegnał ojciec Andrea, który pojawił się za plecami zbrojnych, unosząc prawą rękę.

– Odłóżcie żelazo, rycerzu – krzyknął opat. – Straże nie są tu ze względu na

was, lecz na tego nieszczęśnika, który za wami stoi – wyjaśnił, mierząc Gualtiera surowym wzrokiem. – A wy... Sądziście, że uda wam się wejść i wyjść z opactwa, a ja tego nie zauważę? Wstyd! Zawiedliście moje zaufanie, kradnąc kodeks ze skrytorium.

Wprawdzie młody de' Bruni zachował się jak złodziej, ale nigdy by się nie spodziewał, że zostanie tak potraktowany, jakby nim był naprawdę. Stał wyprostowany i wpatrywał się w wielebnego ojca, nie zaprzatając sobie głowy łucznikami.

– Proszę mi wybaczyć moją ucieczkę – bronił się. – Jeśli chodzi o kodeks, niczego nie ukradłem. Po prostu zgodnie z umową oddałem go rycerzowi Rocheblanche'owi.

Słyszając te słowa, Robert Vermandois spojrział na niego.

– Mówicie o messer Maynardzie? – zapytał z ożywieniem.

– Nie wtrącajcie się, rycerzu – ostrzegł ojciec Andrea. – To sprawa między mną a tym bezwstydnikiem.

– Rocheblanche żyje, pojmujecie? – oświadczył Gualtiero, zamierzając jeszcze bardziej rozbudzić ciekawość pikardyjskiego barona. – Spotkałem go wczoraj w murach Ferrary. W tej chwili tylko to się liczy.

– Opowiecie mi o tym w mojej pracowni, natychmiast – rozkazał opat – albo zakuję was w łańcuchy.

– Nikt się stąd nie ruszy. – Waleczny Robert podniósł miecz na łuczników. – O ile oczywiście wielebny ojciec nie chce, by ta trawa splamiła się krwią. – Skrzywił się wyzywająco. – Chłopiec dwukrotnie wymienił imię mojego towarzysza broni, jak Bóg na niebie, zaraz dokładnie mi wszystko wyłuszczy.

Młodzieniec nie kazał sobie dwa razy powtarzać.

– Maynard was potrzebuje, messer – powiedział jednym tchem. – Przyrzekłem, że sprowadzę was do niego, do Ferrary.

– Głupstwa! – syknął Andrea.

– Ależ to prawda – upierał się Gualtiero. – I jeśli zaraz wszyscy mnie nie wysłuchacie, będziecie mieli na sumieniu krew niewinnego dziewczęcia.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

12 PAŹDZIERNIKA

Gdy siostra Eudeline została powiadomiona o stanie Aleydis, opuściła popołudniowe nabożeństwo i pospieszyła do starej chłodni. Zeszła szybkim krokiem do podziemia, wsłuchując się w echo jęków dobiegających z celi dziewczyny. Zastała ją skuloną na posłaniu i szlochającą. Infirmerka już się nad nią pochylała.

– Co się dzieje? – zapytała zdyszana matka przełożona.

Zakonnica nie spuszczała wzroku z Aleydis, dotykając jej brzucha.

– Ma skurcze.

– Jak to możliwe? Jest dopiero w szóstym miesiącu.

– I straci dziecko, jeśli czegoś nie zrobimy.

Eudeline podeszła bliżej Aleydis, uważając na znajdujące się na posadzce przedmioty: miednicę, czyste kawałki płótna, moździerz i buteleczki wypełnione różnymi substancjami. Chociaż pragnęła być przydatna, czuła się tak, jakby mgła otuliła jej umysł.

– Nie stójcie jak skamieniali! – potrząsnęła nią infirmerka. – Prędko! Pędźcie do ogrodu ziołowego i przynieście mi mandragorę.

Przeorysza spojrzała na nią zdziwiona.

– Akurat to ziele?

– Nie mogę stąd odejść, wy musicie to uczynić. – Doświadczone dłonie zakonnicy ciągle dotykały brzucha Aleydis. – Ale bądźcie ostrożni.

Siostra Eudeline zamierzała coś odpowiedzieć. Nie zносиła, gdy traktowano ją w ten sposób w *jej* klasztorze. Jęki osadzonej zepchnęły wszakże dumę na dalszy plan. Skinęła na pachołka, aby jej towarzyszył, i udała się na pole roślin leczniczych.

Mandragora rosła na skraju ogrodu. Oddzielono ją od pozostałych upraw, aby zapobiec zerwaniu przez pomyłkę. Jej fioletowe kwiaty, rozkwitłe w październikowym chłodzie, zdawały się witać Eudeline w milczeniu. Przerazały matkę przełożoną nie tyle trujące właściwości tej rośliny, ile pogłoski o magicznych praktykach z nią związanych. Otrzymany z jej soku czarodziejski napój potrafił sprowadzić pożądanie i szaleństwo, a może nawet zdolność do lewitowania. Mimo ufności pokładanej w infirmerce Eudeline zastanawiała się, jakie korzyści może przynieść młodej niewieście, której grozi poronienie.

– Zanim zerwiecie roślinę czarownic, pani – ostrzegł pacholek – lepiej by było zakreślić trzy kręgi wokół siebie i zatkać uszy...

– Nie mamy czasu – zbyła go Eudeline. – Obwiążcie ją tylko powrozem i wyrwijcie z korzeniami, bez dotykania.

Mężczyzna skinął głową, przeżegnał się, ale nadal stał bez ruchu.

– Odsuńcie się, tchórze! – krzyknęła zniecierpliwiona przeorysza. Wyszarpnęła mu sznur z rąk i obwiązała nim krzak, dając wyraz swej pogardzie. Najpierw władczy ton infirmerki, a teraz nieposłuszeństwo sługi. Tego było doprawdy za wiele! Pociągnęła z całej siły, rozmyślając o cierpiącej, biednej Aleydis. *Ja przynajmniej dowiem się, co znaczy być matką.* Pociągnęła mocniej. „Może nie, moje dziecko”.

Ledwie ujrzała wynurzający się z ziemi korzeń, cofnęła się instynktownie. Był ciemny i mniejszy, niż się spodziewała, zdumiewająco podobny do niemowlęcia. W górnej części dało się dostrzec nawet jakby zarys nosa i oczodoły. Nie pojawiły się jednak cuchnące wyziewy. Ani żadne rozdzierające wrzaski czy diabelskie kwilenie.

Zawinęła roślinę w szmatę i trzymając ją przed sobą oburącz, wróciła do więzienia.

Infirmerka ciągle pochylała się nad dziewczyną w gorączkowym oczekiwaniu. Eudeline wręczyła jej zawiniątko z mandragorą, wpatrując się w przerażoną twarz Aleydis. Nie pojmowała, co się z nią działo. Pomimo złości, którą ciągle czuła do tej zdrajczynie, matka przełożona nie potrafiła powstrzymać współczucia. Uklękła u wezglowia i pogładziła ją po czole.

– Jak ona się miewa?

– Skurcze macicy nie ustają – wyjaśniła infirmerka, oglądając zawartość tobołka. – Spróbujemy je uśmierzyć wywarem.

– Z trującej rośliny? – zapytała przeorysza.

– Mandragora jest trująca wyłącznie w dużych dawkach – rzekła zakonnica, po czym podała jej płócienne rękawice. – Włóżcie je – poleciła – i podajcie mi nóż i moździerz.

Siostra Eudeline nie umiała powiedzieć, co było powodem tego, że Aleydis przestała szlochać: czy stało się to dzięki wywarowi z mandragory, czy za sprawą przychylności bożej. Sok z mandragory pogrążył ją w pełnym zwidów, niemal ekstatycznym półśnie. Nie bacząc na zapewnienia infirmerki, że niebezpieczeństwo już minęło, przeorysza czuwała przy niej aż do późnego wieczora.

Po prawdzie czuła się winna. Może gdyby swego czasu zamknęła dziewczynę w wygodniejszym miejscu, to by się nie wydarzyło. Nie zdołała wszakże tego zrobić. Odkrywszy brzydkie postęпки Aleydis, uznała, że ma prawo powetować sobie w ten sposób wszystkie lęki i niepowodzenia, których doznała

w ciągu ostatnich miesięcy. W tym także nieszczęśliwą miłość do Roberta i niepokój o brata. I robiła to niemal z rozkoszą aż do tego dnia, nie zastanawiając się nad własnymi czynami.

„Co się ze mną stało?” – zapytała samą siebie.

Otarła czoło Aleydis mokrym gałganem i przygładziła kosmyki włosów. Ta dziewczyna spodobała jej się od pierwszej chwili. Pełna wdzięku i zdecydowana, spragniona odkupienia. Eudeline śledziła z daleka postępy, jakie czyniła Aleydis po przyjeździe do klasztoru, przy każdej sposobności dodając jej otuchy i nie troszcząc się o to, że w ten sposób może ujawnić swą przychylność dla niej.

A potem była zdrada. Wszelako nie to ją zraniło. Sprawiała to zazdrość. Ta prosta nowicjuszka, nawet jeśli popełniła niewybaczalny błąd, dowiodła, że jest tak odważna, by łamać zasady i narazić się na niebezpieczeństwo, do czego ona nie była zdolna. Myśl ta powodowała, że przewracała się na posłaniu całymi nocami, walcząc z pragnieniem, by uciec z Robertem, posłać do diabła grzech, welon i lęki, które skłoniły ją do złożenia ślubów.

Nie Aleydis jednak powinna obarczać winą za te katusze. Odnalazłszy na powrót łagodność, wielebna matka spojrzała na jej brzuch i pomyślała o dzieciątku, które tam spało, znowu bezpieczne.

„Może dziewczyna się pomyliła” – przemknęło jej przez myśl.

W gruncie rzeczy ona także mogłaby się dowiedzieć, co znaczy być matką.

Nagle Aleydis się przebudziła i popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

Siostra Eudeline pogłaskała ją po raz ostatni.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała, wstając. – I pozwolę wam je zatrzymać.

Ojciec Claret czał się w winorośli, dopóki nie dostrzegł matki przełożonej wychodzącej ze starej chłodni. Zmierzchało się już, wszelako niewiasta była ostrożna i mogła zauważyć jego obecność. Zaczekał zatem, aż się oddali, po czym poszedł w stronę budynku, który właśnie opuściła.

Skorzystał z panującego w tym dniu zamieszania, by zdobyć klucze od podziemi. Musiał je wszakże jak najprędzej odłożyć na miejsce, jeśli nie chciał wzbudzić podejrzeń. Odsunął rygiel i zszedł na dół. Przyświecał sobie kagankiem, bacząc, by się nie pośliznąć na wygładzonych podszwami stopniach. Byłoby niestosowne, gdyby po upadku znaleziono go martwego albo zemdlonego w tym miejscu. Niestosowne i niebezpieczne dla tajemniczych gier kardynała Bertranda du Pougeta.

Z największą ostrożnością otworzył ostatnie drzwi i znalazł się twarzą w twarz z osadzoną.

– A więc to wy jesteście pierwszą wysłanniczką Jego Eminencji – rzekł prokurator.

Zamknął drzwi i skierował światło na oblicze zdumionej Aleydis.

– Teraz wyjawicie mi wszystko, co wiecie na temat przeoryszy – dodał groźnie. – Wszystko i nie szczędząc szczegółów. Albo przysięgam na Boga, wasze życie zamieni się w piekło.

Tamtej nocy Arab zakradł się aż na wschodnie przedmieścia Reims. Dawno już tego nie robił, ostatnio jednak dowiedział się o dziwnych wydarzeniach w klasztorze Świętej Balsamii, chciał się więc upewnić, czy Eudeline de Rocheblanche nic nie grozi. Niepokoił go zwłaszcza odziany na czarno zbrojny, który pojawił się przed kilkoma dniami w mieście, gdyż widział u niego kłamrę z lwem kroczącym na tylnych łapach. Bez wątpienia był to człowiek kardynała du Pougeta, wszelako Arab niczego nie wiedział na pewno i dlatego nie mógł liczyć na to, że pojmie, w czym rzecz. Rozkazy jego pana były jednak jasne: przyglądać się z daleka i wkraczać tylko w razie konieczności.

I tak też uczynił. Znalazł kryjówkę pod przedsionkiem naprzeciwko klasztoru Świętej Balsamii i trzymał straż, pograżając się w stanie czuwania i zarazem zadumy. Przypominało mu to czasy, gdy pełnił wartę na andaluzyjskich bastionach nocami pod wygwieżdżonym niebem i podczas upalnych świtów, kiedy pustylny wiatr barwił wszystko wokół na żółto. Był wtedy jeszcze prawie dzieckiem i nie wiedział nic o leczniczej magii i chrześcijańskich wojownikach. Ani tym bardziej o pełnej przygód przyszłości, jaka go czekała.

Właśnie usłyszał bicie dzwonów o północy, gdy ujrzał wychodzącą z murów kościoła postać. Wpatrując się w nią uważnie, rozpoznał prokuratora. Widział go już kilka razy w ciągu minionych miesięcy, ale uznał, że jest wielkim tchórzem i nie stanowi zagrożenia.

Teraz mężczyzna krążył czujnie, niemal ukradkiem, po pustej ulicy.

Arab nie spuszczał z niego wzroku. Zobaczył, że z zaułka wyłania się kolejny osobnik. Był wysoki i postawny, otulony czarnym płaszczem. Podeszedł do prokuratora, zamienił z nim parę słów, po czym wziął z jego rąk list.

Ojciec Claret coś wtedy powiedział.

Mężczyzna w czerni tylko skinął głową i zniknął w mroku nocy.

Arab zaś przeczuwał jakiś straszliwy podstęp.

FERRARA, PAŁAC SIGNORII**13 PAŹDZIERNIKA**

Maynard przejrzał się w zwierciadle i pogłodziwszy się po brodzie, przeciągnął brzytwą po pasku skóry. Teraz, gdy znów był na dworze, musiał zadbać o stosowny wygląd. Obizzo III d'Este okazał wspaniałomyślność, goszcząc go w pałacowej komnacie i nie żądając wyjaśnień, chociaż nie ukrywał, że chętnie by poznał powód jego nieobecności. Francuz przyrzekł wytłumaczyć się jak najrychlej, wierząc, że będzie miał dość czasu, by zwabić w jakieś ustronne miejsce Superanzia Orsiniego. Oceniał, że wystarczy mu pół dnia. Nazajutrz pokręci się z odsłoniętą twarzą po rynku i najbardziej uczęszczanych zakątkach w mieście, zwracając szczególną uwagę na kwartał Świętego Romana, aby wróg mógł go dostrzec. Wiedział, jakie grozi mu niebezpieczeństwo, nie było wszakże możliwości, żeby zostawił Isabeau we wstrętnych łapskach widama. Na samą myśl o tym, co on może zrobić dziewczynie, czerwieniał z gniewu.

Przesunął brzytwą po szczęce, oszczędzając kocią bródkę, a naostrzywszy brzytwę ponownie o skórę, zabrał się do golenia szyi. Tak jak ustalili, Gualtiero i Vermandois przybyli już do Ferrary. Chłopiec wysłał mu rankiem wiadomość, w której podał, gdzie się zatrzymali, oczekując na wskazówki.

Rocheblanche drżał z niecierpliwości. Ostatni raz widział Roberta w Reims, w klasztorze Świętej Balsamii. Ciekawił go powód jego przyjazdu do Pomposy, poza tym pragnął go wypytać o Eudeline i o przerażające wydarzenia pustoszące Francję.

Bardziej jednak chciał się rozmówić z Gualtierem. Młodzieniec donosił w liście, że ma mu do przekazania nowiny od ojca Andrei dotyczące tajemniczego kodeksu, który od dawna uznawano za zaginiony.

Brzytwa przecięła skórę, pozostawiając cienką strużkę krwi.

„Wszystko w swoim czasie” – nakazał sobie w duchu spokój Maynard.

Wytarł twarz mokrym gałganem i rzucił go obok przyborów do golenia na blat przy kominku. Za plecami czekało łóżko z wysokim zagłówkiem i obietnica dającego wytchnienie snu.

Wtedy zauważył czyjaś obecność w drzwiach.

To służka z dzbankiem w dłoniach przekroczyła próg. Była młoda i piękna, miała jasną cerę.

– Moja pani przesyła wam tę maść – oznajmiła. – Pachnący balsam

przynoszący ulgę obolałym kończynom.

Rycerz narzucił na ramiona dublet, aby zakryć nagi tors.

– Wasza pani? – zapytał.

– Wielmożna pani Ariosti.

Wahał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Postawcie naczynie przy łożu.

Stanął przy ogniu, czekając, aż zostanie sam. Widząc jednak, że dziewczyna nie odchodzi, podziękował i odprawił ją.

Służka ciągle stała obok łoża.

– Moja pani – rzekła porozumiewawczo – oddaje mnie do waszej dyspozycji.

Niewzruszony Rocheblanche zbliżył się do niej i wziął w palce kosmyk jej włosów.

– Powiadomcie waszą panią, że nie potrzebuję kolejnych względów.

– Sami mi to powiedzcie.

Zanim Francuz pojał, czyj to głos, spostrzegł w progu postać Lippy Ariosti. Uśmiechnięta i pewna siebie dama zmierzyła go wzrokiem, po czym podeszła do kominka. Pod opończą z popielicy nosiła zieloną tunikę z cieniutkiego jedwabiu, zbyt lekką na jesienne wieczory.

– Pani – przemówił Maynard, ukrywając zaskoczenie. – Gdybym wiedział, że zamierzacie się ze mną zobaczyć...

– To była decyzja pod wpływem chwili, messer. – Ogień rzucał blask na jej oblicze, ożywiając miedzianą barwę włosów. – Jestem zmienną niewiastą.

– Czy wasz mąż o tym wie?

Odwróciła się gwałtownie, udając obrażoną.

– Obizzo nie jest moim mężem.

Rocheblanche zdążył się już zorientować, że jej się spodobał, i z pewnością nie mógł przyznać, że jest mu to obojętne. Wszelako była kochanicą markiza, on zaś nie miał zamiaru budzić swym postępowaniem jakichkolwiek podejrzeń w przeddzień trudnego przedsięwzięcia.

– Niemniej powinniście odejść – zauważył.

– Uważacie, że jestem aż taka brzydka?

– Nie to chciałem powiedzieć, pani.

Lippa wzruszyła ramionami. Skinęła na służkę, by opuściła komnatę, a gdy poczuła się całkiem swobodnie, jej twarz złagodniała.

– Gdzie się podziwialiście przez cały ten czas? – przemówiła do rycerza.

– To złożone kwestie, pani – odparł Maynard. – Jutro zdam sprawę z tych wypadków Jego Wysokości w rozmowie w cztery oczy.

– Złożone kwestie... – Lippa przebiegła wzrokiem po fałdach jego dubletu, zatrzymując się na przecięciu w okolicach żeber.

– I zdaje się niebezpieczne.

Francuz odwrócił się plecami i oddalił od niej.

– Powinniście wypróbować maść, którą wam przyniosłam – ciągnęła szlachcianka, próbując pokonać jego opór. – Mogłaby złagodzić dolegliwości.

– Zapamiętam waszą radę.

– Pozwólcie, że wam pomogę z tym medykamentem.

Maynard wyczuł jej obecność za plecami.

– Pani...

– Pobudzacie moją ciekawość, Rocheblanche – szepnęła dama, przysuwając się bliżej, niż pozwalała obyczajność. – A żyjąc w świecie nudnych mężczyzn, wiem, że to zbyt kuszące uczucie, żebym mogła je zignorować. – Jej lśniąca od maści palce wsunęły się pod dublet. – Po coście przyjechali do Ferrary? Szukać władzy? Chwały? Bogactwa?

Maynard stał bez ruchu, rozdarty między powściągliwością a pragnieniem oddania się pieszczotom.

– Po żadną z tych rzeczy.

– Cóż innego może popychać do podróży tak znamienitego rycerza?

Poczuł, jak dłoń Lippy zatrzymuje się na ranie, i przez chwilę oczyma duszy widział widama, który zadaje mu cios w deszczu. A może był to jego ojciec, Gaspar de Rocheblanche? Zdusił w zarodku odruch wściekłości.

– Pragnienie odkupienia poważnego grzechu – odparł szorstko.

– Kłamiecie, Rocheblanche. Widzę to w waszych oczach. – Wargi Lippy Ariosti muskały jego szyję. – Jesteście żądni krwi.

– Być może macie rację.

Maynard chwycił niewiastę za nadgarstek i odwrócił się, by ją odepchnąć. Uzmysłowił sobie jednak, że nie docenił siły lubieżnego uśmiechu swej kusicielki.

– Krwi – powtórzyła Lippa, zrzucając na posadzkę oponczę z popielicy. – I słusznego pretekstu, żeby dać upust furii.

Przyczajona za półprzymkniętymi drzwiami młoda służka nie przestała szpiegować, dopóki sylwetki dwojga kochanków nie zniknęły w skłębionej pościeli. Słyszając odgłos kroków za plecami, niemal podskoczyła. Odwróciła głowę zatrwożona i spostrzegła pazia Jego Wysokości.

– Sio! – syknęła rozdrażniona, machając ręką.

Chłopiec spełnił polecenie. Ociągał się jednak odrobinę za długo.

Nazajutrz Maynard uczynił to, co zamierzał: kręcił się po głównych ulicach Ferrary aż do seksty. Zgodnie z przewidywaniami skupił na sobie uwagę ludzi, zwłaszcza w kwartale Świętego Romana, gdzie wznosił się pałac biskupi. Niedaleko siedziby hierarchy natknął się na trzech uzbrojonych po zęby gwardzistów, którzy poderwali się na jego widok. Przyglądanie się ich barwom okazało się zbyt cenne. Biskup Guido di Baisio wyjechał do Bolonii wraz ze swą milicją, tak więc mogli to być wyłącznie ludzie widama. Rocheblanche powitał ich wyzywającym uśmiechem i słysząc ich rozgorączkowane szepty, podążył dalej, jakby nic się nie stało. Z dłonią na rękojeści miecza wrócił na dwór Obizza, oglądając się za siebie.

Zamkowy ogród był prawie pusty, gdy tam dotarł. Chociaż słońce stało wysoko, zalewało go białawe światło, nadając mu ponury wygląd. Lippa Ariosti siedziała pośrodku, u stóp studni, czytając jakąś księgę. Była w aksamitnej sukni, a jej głowę wieńczył prześliczny hennin. Gdy posłała mu długie spojrzenie, odwzajemnił się gestem i udając zatopionego w myślach, podążał dalej wzdłuż żywopłotu, dopóki czyjś młody głos nie kazał mu się odwrócić.

– Messer, nie wierzyłem, że wróćcie! – przywitał go Aldobrandino.

– Jak widzicie, jestem tutaj – odrzekł Francuz z uśmiechem.

Chłopiec wpadł w zachwyt.

– Mój pan ojciec twierdzi, że nie wie, dlaczegoście nas opuścili.

– Sam mu to wyjaśnię przy wieczerzy.

– Zamiarujecie znów dawać mi nauki?

– Jeśli sprawi wam to przyjemność.

– Udoskonaliłem cię z góry – dodał młody panicz, nie mogąc się doczekać, by dowieść swych słów. Był tak podekscytowany, że zapomniał o dumnej postawie. – Pozwólcie, że wam teraz pokażę.

Zadowolony Maynard już miał spełnić jego prośbę, ale spostrzegł nadchodzącego zbrojnego. Był to jeden z gwardzistów, na których natknął się niedawno pod pałacem biskupim. Przystanął pod arkadami krużganka na skraju ogrodu ze splecionymi ramionami i jął świdrować go wzrokiem.

– Idźcie do matki, messer Aldobrandino – powiedział Rocheblanche. – Za chwilę do was dołączę.

Po czym zbliżył się do przybysza, gotów się bić, aczkolwiek wątpił, że będzie do tego zmuszony. Znalazłszy się z nim twarzą w twarz, dał mu znak brodą, że może mówić. Gwardzista jednak tylko wręczył mu liścik i oddalił się z dumną miną.

Maynard odprowadził go wzrokiem, a następnie przeczytał otrzymaną wiadomość. Zawierała niewiele słów, które jednak wystarczyły, by dać mu do

zrozumienia, że osiągnął cel.

Jeżeli wam na niej zależy, przybądźcie jutro w nocy do pałacu biskupiego.

AWINION, MURY WEWNĘTRZNE PAŁACU PAPIESKIEGO NA SKALE PANÓW

14 PAŹDZIERNIKA

Kardynał du Pouget od dość dawna już nie pozwalał sobie na żadne przejażdżki konne, ale tego poranka chętnie skorzystał z jesiennego ciepła, by ożywić umysł. Popędził gniadosza pod gigantycznymi blankowanymi wieżami, broniącymi pałacu papieskiego i starego miasta, podziwiając mury wzniesione przez Benedykta XII i Klemensa VI. Napawały go dumą, chociaż w jego oczach stanowiły oznakę klęski. Odkąd wrócił z Półwyspu Italskiego po rewoltach w Emilii i Romanii, minęło trzynaście lat, lecz wspomnienie to nadal go paliło. Patrzenie, jak sny o podboju się rozwiewają, było błahostką w porównaniu z koniecznością powiadomienia jego ojca, Jana XXII, że cztery miliony florenów na broń i oddziały milicji zostały wyrzucone w błoto. Aby ochronić Kamerę Apostolską przed upadkiem, papież musiał dołożyć z własnej kiesy dziesiątą część tej kwoty. Przeistoczyła się ona w potężne bastiony, które Bertrand miał właśnie przed oczami.

– Te mury zawsze budzą mój zachwyt – wykrzyknął podążający obok kardynała biskup o orlim nosie. Zwał się Bernard de Graves i wyróżniał spośród osobistej świty hierarchy, liczącej czterystu ludzi, chciwością i ostentacyjnym zamiłowaniem do luksusu. – Gdyby nie dalekowzročność ostatnich dwóch papieży, najeżdżałyby nas hordy rozmaitych oberwańców i najemników zmierzających ku Prowansji.

– Możemy się cieszyć tymi murami wyłącznie dzięki zapisowi papieża Jana XXII – wyjaśnił kardynał.

De Graves spał swego wspaniałego jabłkowitego konia.

– Taka niewdzięczność wobec jego następców? – zadrwił.

Kardynał się nie odezwał. Ów prałat był pupilkiem Klemensa VI, który żył jak pączek w maśle w fałszywym dobrobycie, opartym na długach i obietnicach.

– Pomyślcie raczej o swoich włościach – zakpił, przemierzając truchtem porośniętą drzewami polanę. – Krążą słuchy, że utrzymanie ich sporo was kosztuje.

– W dzisiejszych czasach każdemu jest ciężko – westchnął Bernard de Graves. – W dodatku śmierć Ludwika Bawarskiego najwyraźniej niczego nie zmieniła na lepsze.

Bertrand nic nie odpowiedział. Wiadomość ta dotarła do niego poprzedniej

nocy i jeszcze nie zdążył wyrobić sobie zdania w tej kwestii. Śmierć Ludwika Bawarskiego, która nastąpiła po ataku apopleksji, położyła kres trwającym dwadzieścia pięć lat herezjom, rebeliom i bratobójczym walkom, ale także idei *Imperium Romanorum*, którego celem było zapanowanie nad światem.

– Nie pokładacie ufności w Karolu Luksemburskim? – zapytał z udawaną obojętnością. – Wszak teraz to on jest nowym cesarzem.

– Wasz ulubieniec to prawdziwe utrapienie – westchnął biskup. – Krążą słuchy, że wszedł w układy z księciem Austrii oraz inną szlachtą nastawioną przeciwko papieżowi.

– A gdyby nawet tak było? Nadal pozostaje pobożnym człowiekiem.

– Owszem, oddanym zbieranym przez siebie relikwiom. Albo wynaturzonemu ideałowi ascezy. Pytanie, czy jest oddany matce-Kościółowi.

– Jeśli to zdoła was pocieszyć – odparł kardynał – to na kartach jego *Speculum principum* godnie ją wychwala.

De Graves roześmiał się zjadliwie.

– Od księcia moralisty papież bezsprzecznie wolałby wiernego nieuka.

Bertrand milczał. Marionetkowi namiestnicy stanowili manę z nieba, szczególnie w obecnych czasach. Z początku Karol Luksemburski wpisywał się w ten wzorzec, i to do tego stopnia, że przyłgnał do niego przydomek *Pfaffenkönig*, czyli „król klechów”. Tylko że prowadzenie go za rączkę przestało się już kardynałowi opłacać. Teraz, gdy uzyskał od niego grot włóczni, sam mógł pokierować dalszymi poszukiwaniami *Lapis exilii*.

– Ludzie władzy są jak dziewczki – skwitował niewzruszony. – Aby mieć zapewnioną ich usłużność, wystarczy zapłacić odpowiednią cenę.

De Graves ugryzł się w język, nie bardzo wiedząc, czy słowa te odnoszą się do niego, czy do nowego cesarza. Zanim zdążył się odezwać, uwagę obu duchownych przykuło pojawienie się galopującego jeźdźca.

– Wasza Eminencjo! – zwrócił się do Bertranda mężczyzna. Powstrzymawszy wierzchowca silnym szarpnięciem, wręczył hierarsze zwój pergaminu. – Pilna wieść z Reims!

Kardynał wyrwał mu list, rozsierdzony tak wielkim brakiem dyskrecji. Poprowadził gnidosza w zarośla i gdy upewnił się, że jest poza zasięgiem wzroku biskupa, otworzył wiadomość.

Pochodziła od prokuratora od Świętej Balsamii, który pisał, że znalazł coś ciekawego na temat wielebnej Eudeline. Chwilowo nic nie miał na temat jej brata ani *Lapis exilii*. Podejrzewał jednak, że przeorysza powierzyła dużą sumę pieniędzy pewnemu towarzyszowi broni Rocheblanche’a. Spośród rozmaitych hipotez ojciec Claret nie wykluczał, że miał ją otrzymać sam messer Maynard.

Bertrand poczuł, że jest bliżej zdobyczy. Rozgorączkowany jął czytać dalej.

Prokurator twierdził, że podczas ostatnich poszukiwań odkrył słaby punkt

siostry Eudeline i że może to wykorzystać, by skłonić ją do wyjawienia kryjówki Maynarda.

Kardynałowi spodobała się tak wielka przebiegłość prokuratora. Przedstawiony w następnych wersach plan był nie tylko sprytny, lecz także pozwalał działać całkowicie w granicach prawa. Przyciśnięta do muru matka przełożona od Świętej Balsamii może zacząć mówić.

Schował list do kieszeni w siodle i pogładził grzywę wierzchowca. Oddalony o jakieś dziesięć kroków biskup wpatrywał się weń z mieszaniną zaciekawienia i zniecierpliwienia.

Bertrand du Pouget spał konia, nie zaprzatając już sobie głowy jego obecnością.

Gdyby plan ojca Clareta się powiódł, wkrótce świat mógłby poznać go jako nowego papieża.

FERRARA, KWARTAŁ ŚWIĘTEGO ROMANA

15 PAŹDZIERNIKA O ZMIERZCHU

Maynard i Vermandois zaczęli się na dachu budynku, który był dostatecznie wysoki, by umożliwić im śledzenie wejścia do pałacu biskupiego i wewnętrznego dziedzińca. Po ich lewej stronie, nad rzędem domów i pergoli biegnącym na południe i dochodzącym niemal do murów, górowała – wraz z kompleksem parafialnym – dzwonnica Świętego Romana. Po przeciwnej stronie widok zamykała okazała bryła katedry i wieża pałacu markiza. Pomiędzy blankami nie było widać ani jednego wartownika. Obaj kompani dokładnie przepatrzyli obszar działania. Przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności z miejsca, w którym się znajdowali, dawało się przejść po dachu i dotrzeć do wierzchołka przyległej budowli, z której rozciągał się lepszy widok na dziedzińiec. Poniżej, w opustoszałym ogródku, czekały dwa konie gotowe do ucieczki. Trudność polegała na tym, żeby nie wpaść w oko strażom przed przystąpieniem do ataku, dlatego też obaj przywdziali czarne płaszcze, które pomagały im się ukryć w wieczornym mroku. Pod nimi mieli skórzane brygantyny i bogaty arsenał białej broni. Robert był ponadto wyposażony w długi łuk z drewna cisowego i mocowany do nogi kołczan.

Czekali, czając się niczym koty, dopóki tarcza słońca całkowicie nie zniknęła za horyzontem.

– W końcu was zabiją – burknął znienacka Pikardyjczyk.

– Jeżeli tak się stanie, to wy będziecie musieli ocalić dziewczynę – rzekł Rocheblanche, nie odwracając wzroku od drogi. – Ale na razie zostanieie na tym dachu, żeby mnie osłaniać.

Robert nie wydawał się przekonany.

– Naliczyłem piętnastu ludzi na dole – odparował, chcąc odwieść go od powziętego zamiaru. – A gdybyśmy spróbowali razem?

– Nie chcę was aż tak narażać. Wasz udział w tym najściu będzie musiał pozostać tajemnicą.

– A wam się zdaje, że będę tu stał i patrzył, jeśli sprawy przybiorą zły obrót? Maynard posłał mu lisie spojrzenie.

– Nie dam się wziąć z zaskoczenia po raz drugi. Nie psom widama.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich – westchnął jego kompan. – Siostra was potrzebuje.

– Chcę, żebyście po całej tej historii czym prędzej do niej wrócili.

Na te słowa Vermandois się zasępił.

– Ja... Nie mogę.

– Co to znaczy? – dopytywał się Rocheblanche.

– Dostarczyłem wam już sześćset florenów, jak prosiła – odrzekł z pretensją Pikardyjczyk. – Co mam jeszcze uczynić?

Mocno zakłopotany Maynard spostrzegł, że Vermandois unika jego wzroku.

– Co się z wami dzieje, przyjacielu? Nie zwykliście mówić w ten sposób.

Robert wzruszył ramionami.

– Teraz wy przejmujecie odpowiedzialność. To wy musicie wrócić.

– Zrobię to, lecz dopiero wtedy, gdy rozwiązę pewną istotną kwestię.

– Rozwiążecie ją dziś w nocy.

– Nie chodzi o widama. – Rocheblanche zastanawiał się, jak dużo wie jego towarzysz. Eudeline musiała mu bez wątpienia coś powiedzieć, żeby przekonać go do wyjazdu do Pomposy. Lepiej wszakże nie wyjawiać mu więcej, niż to konieczne. – Wiele miesięcy temu złożyłem przysięgę i zamierzam jej dotrzymać – oznajmił po prostu.

– Czy to ma związek z Bertrandem du Pougetem?

Rycerz skrzywił się pogardliwie. Gdy usłyszał od Roberta o haniebnym postępku kardynała wobec Eudeline, poczuł, że mógłby go zabić gołymi rękami.

– Kardynał jest na pewno w to wplątany, lecz intryga sięga bez porównania dalej, niż sobie wyobrażacie. Sam nie wiem dokładnie, jak daleko.

– Nawet gdyby tak było, nie możecie zostawić siostry bez ochrony.

– Właśnie dlatego proszę was o pomoc.

– Ja ją kocham.

Maynard odwrócił się gwałtownie, zapominając na chwilę o trudnym zadaniu, do którego się właśnie sposobił.

– Coście powiedzieli?

Vermandois nadal nie patrzył na Maynarda. Jego prawa dłoń wypuściła łuk i jął szarpać wąsy.

– To dlatego nie mogę się znów udać do Reims, pojmujecie? – wyjawiał cichym głosem. – Już sam jej widok...

Kompan zerkał nań w milczeniu, rozumiejąc udrękę owego dumnego człowieka, który sprawiał wrażenie niepokonanego. Uśmiechnął się.

– Znakomita pora na wyznania.

Robert wpatrywał się w niego oniemiały.

– Wiadomość wami nie wstrząsnęła?

– Bardziej wstrząsnęła mną wasza zakłopotana mina – drażnił się z nim Rocheblanche. Po czym zmarszczył czoło i ponownie spojrzął w dół niczym smutny drapieźnik.

– Eudeline nie była przeznaczona do klasztoru – oznajmił. – Przywdziała habit z powodu mojego błędu popełnionego w chwili rozpacz. A ja nigdy sobie tego nie wybaczę, bo gdy mówi, że ten wybór ją uszczęśliwił, okłamuje samą siebie. Dlatego nie frasujcie się, przyjacielu, ani tym bardziej nie obwiniajcie. Wasze pełne miłości słowa mogą mnie tylko radować.

– Tak czy inaczej, ona jest zakonnica – powiedział głucho Vermandois.

– Tylko tak długo, jak sama będzie tego chciała.

– Uwaga! – ostrzegł Pikardyjczyk, wskazując jakąś zakapturzoną postać zbliżającą się do pałacu biskupiego.

– Tak, widzę – uspokoił go Rocheblanche. – Wszystko idzie zgodnie z planem.

Robert szarpnął cięciwę łuku, drżąc z niecierpliwości.

– Ufacie temu chłopcu?

– Jak sobie samemu.

Gualtiero przystanął przed oświetlonym pochodniami wejściem do pałacu, usiłując nie myśleć o dwóch aniołach stróżach przyczajonych dziesięć sążni nad nim i wpatrujących się w każdy jego ruch. Misja, jaką miał wykonać, nie należała do łatwych, mimo wszystko był zdecydowany ocalić Isabeau. Nawet z narażeniem życia.

Patrzył bacznie na trzech wartowników, dopóki jeden z nich nie dał znaku, że go zauważył.

– Muszę się rozmówić z Jego Łaskawością widamem biskupa – oznajmił z szacunkiem.

– Jego Łaskawość nie udziela posłuchań pielgrzymom – odparł drwiąco strażnik.

– Nie jestem pielgrzymem. – Gualtiero spostrzegł potężną dagę u pasa mężczyzny, nie dał się jednak zastraszyć. – Jestem skrybą i przybyłem na jego wezwanie.

– Wróćcie jutro, skrybo – zakpił tamten. – Może traficie wtedy na bardziej wyrozumiałą duszę.

Młody de' Bruni nadal tkwił przed nim wyprostowany.

– Opowiecie mu zatem sami o iluminacjach?

– Jakich ilu... micjach?

– *Iluminacjach* – poprawił go chłopiec. Zgodnie z jego przewidywaniami zbyt trudne słowo wprawiło zbrojnego w zakłopotanie, toteż przytknął palec do ust z pewnym zmieszaniem i nerwowością. – No cóż, zadbacie o to? – nalegał. – Jak bez wątplenia wiecie, to nader istotne kwestie.

Przed odpowiedzią strażnik zapytał o radę kompanów, którzy wzruszyli tylko ramionami. Wybałuszył więc na młodzieńca oczy i skinął, by podszedł bliżej, do światła pochodni.

– Mówcie jaśniej, messer.

Teraz Gualtiero już wiedział, że trzyma go w garści. Otworzył sakwę i wyjął szkicownik ze swymi najlepszymi rysunkami.

– To dotyczy iluminacji, których Jego Łaskawość zażyczył sobie do pewnej świętej księgi biskupa – wyłuszczył, pokazując w blasku ognia kilka wykonanych węglem szkiców aniołów i świętych. – Możecie tu podziwiać próby, które zamierzam mu przedstawić, nim zabiorę się do pracy.

Zbrojny obejrzał rysunki, nie kryjąc podziwu.

– To wasze dzieła? – zapytał.

Chłopiec przytaknął.

Mężczyzna ponownie zmierzył go wzrokiem, chcąc się upewnić, czy nie stanowi zagrożenia.

– Zaprowadzę was do środka – rzekł w końcu, odsuwając się na bok.

– Nie ma potrzeby – powiedział Gualtiero. – Znam pałac.

Rzuciwszy to ostatnie kłamstwo, przekroczył próg bez eskorty.

Minął atrium i podążył szerokim korytarzem przecinającym parter budynku, starając się unikać wzroku napotkanych ludzi. Z wyjątkiem kilku pacholków byli to wyłącznie zbrojni. Zgodnie z tym, co mówił Maynard, wszyscy należeli do osobistej gwardii Superanzia Orsiniego. W czasie nieobecności biskupa to on dowodził w tym miejscu.

Kroczył ze spuszczoną głową, udając, że mamrocze modlitwy, jednocześnie bacznie się rozglądał. Wprawdzie habit z kapturem chronił go przed spojrzeniami straży, które zdążyły przywyknąć do widoku duchownych, nie wystarczał wszakże, by tłumaczyć jego osobliwe zachowanie.

Wszystko szło gładko, dopóki nie musiał skrócić na zewnętrzny dziedziniec. Zanim to uczynił, przycupnął w cieniu niszy, aby sprawdzić, czy nikt nie zwrócił na niego uwagi, po czym ruszył krążankiem okalającym dziedziniec.

Gdy tylko dostał się do pałacu, uważnie się rozglądał, chcąc odgadnąć, gdzie zamknięto Isabeau. Pragnienie znalezienia jej było niezwykle silne, ale Rocheblanche już wcześniej wiedział, że tak będzie, i ostrzegał go przed tym.

– Trzymajcie się planu, a wszystko będzie dobrze – polecił.

– Trzymajcie się planu – mruknął teraz pod nosem Gualtiero.

Schował się za kolumną, aby nie zauważył go wartownik, a gdy tylko było to bezpieczne, wychylił się i rozejrzał po dziedzińcu. Choć zapadł zmrok, światło tuzina pochodni zatkniętych na palach sprawiało, że dobrze widział, co dzieje się wokół. Gdy jednak opuści kryjówkę, będzie to stanowiło przeszkodę.

Zmusił się, by nie myśleć o zagrożeniu, i nadal przyglądał się dziedzińcowi, aż ujrzał to, czego szukał. Zgodnie z tym, co mówił Maynard, stajnie znajdowały się na południowym skraju dziedzińca. Dwadzieścia, najwyżej trzydzieści kroków i dotrze na miejsce.

Chłopiec wahał się przez chwilę. Jeśli go złapią, wszystko będzie stracone. Odetchnął głęboko i puścił się biegiem, ze schyloną głową, chcąc się schronić w cieniu żywopłotu.

Gdy zdyszany dotarł do stajni, wśliznął się do środka i jął nasłuchiwać. Policzył do dziesięciu, potem do dwudziestu, lecz nic się nie wydarzyło. Zerknął na zewnątrz, ale nikogo nie zobaczył. Mógł działać.

Ukląkł na stercie słomy i obroku naprzeciw drzwi, wy dobył z sakwy krzemień i krzesiwo. Po czym z szaleńczym uśmiechem zaczął pocierać jedno o drugie, aż powstała iskra.

A potem druga.

I jeszcze jedna.

Płomienie buchnęły z nienacką z tak potężnym rykiem, że Vermandois aż krzyknął. Maynard ścisnął go za ramię, by zamilkł, sam zaś wpatrywał się w języki ognia, jak zgłodniałe wypełzają ze stajni. Lękał się o Gualtiera, ale wkrótce drzwi budynku otwały się na oścież pod naporem spłoszonych koni, a potem w grze światła i cieni ukazała się zakapturzona postać.

Rocheblanche przysunął się do krawędzi daszku i rzucił przyjacielowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Zapamiętajcie moje słowa – rzekł.

Zsunął się zwinnie na galerię, a z niej na sam dół, po czym kilkoma potężnymi susami pokonał drogę do wejścia do pałacu. Zobaczył wszystkich trzech strażników oszołomionych nagłym piekielnym zgiełkiem. Nim zdążyli się odezwać, w karku jednego z nich utkwiała strzała i powaliła go na ziemię. Maynard dobył miecza i dźgnął nim w brzuch strażnika, który był najbliżej, trzeciego natomiast przeszła kolejna strzała.

Francuz wyciągnął klingę z ciała ofiary, spojrzął w górę i skinął na znak podziękowania czatującemu na dachu kompanowi. Vermandois tkwił wyprostowany na tle wygwieżdżonego nieba, w czarnym płaszczu zarzuconym na plecy, z łukiem znów gotowym do strzału.

Rocheblanche nie zwlekał dłużej. Musiał jak najszybciej dotrzeć na dziedziniec, gdzie nadal będzie mógł korzystać z osłony przyjaciela. Liczył też na to, że Gualtiero postępuje zgodnie z ustaleniami.

Przeciął długi korytarz, zanim jednak wydostał się na zewnątrz, natknął się na dwóch zbrojnych. Pierwszego zgładził ciosem w gardło, drugiego cisnął o ziemię i wbił mu miecz między łopatki. Nie bacząc na rozlewającą się po posadzce krew, pognął bez tchu w stronę, z której dobiegały okrzyki trwogi i dolatywał swąd spalenizny.

Znajdował się parę kroków od dziedzińca, gdy instynktownie się odsunął, aby przepuścić konia z płonącym ogonem. Patrzył, jak zwierzę ucieka do środka pałacu, i nagle ogarnęło go ponure przecucie. Zupełnie jakby zapadł w zły sen.

Wreszcie obejrzał się na pałacowy dziedziniec.

Pożar, strawiwszy stajnie, rozprzestrzenił się na żywopłoty i drzewa, aż objął długie drewniane galerie na piętrze. Po trawie biegało bezładnie z dziesięciu zbrojnych, niezdecydowanych, czy gasić ogień, czy łapać spłoszone konie.

Maynard zdjął płaszcz i pozwolił mu się zsunąć pod stopy, po czym ruszył w sam środek pożogi, dzierżąc miecz w dłoni. Kątem oka widział posunięcia skradającej się na sąsiednim dachu postaci, a gdy tylko się zorientował, że jest gotowa do ataku, wrzasnął na całe gardło:

– Superanzio Orsini, przeklęty psie! Pokażcie no się!

Na chwilę zaległa cisza. Każdy z obecnych skierował nań wzrok.

Francuz wpatrywał się w nich po kolei, szukając widama. Nie znalazł.

– To oznacza, że zginiecie wszyscy. – I otworzył ramiona w zapraszającym geście.

Nim zbrojni zdążyli się na niego rzucić, spadł deszcz strzał. Ukryty w ciemnościach Vermandois miał spustoszenie wśród stojących najbliższych strażników, aby dać kompanowi czas na działanie. Mimo to Rocheblanche i tak musiał się spieszyć. Przełożył miecz do lewej dłoni, w prawej zaś ścisnął ciężką maczugę i rąbnął nią w głowę pierwszego przeciwnika, który znalazł się przed nim. Następnie odsunął się na bok i – niewidoczny w kłębach dymu – ugodził kolejnego w plecy.

Wkrótce jednak zaczął działać z zimną krwią; okrutna przyjemność, jaką daje bijatyka, ustąpiła miejsca opanowaniu i rozwadze. Otoczony wrogami Maynard uchylił się przed ciosem włóczni i skupił uwagę na olbrzymie z jasną brodą, prowadzącym wojowników do natarcia. Obronił się przed cięciem, krzyżując miecz i maczugę, następnie kopnął go kolanem w krocze. Mężczyzna cofnął się z grymasem bólu, tymczasem jednego z łotrów u jego boku przeszła strzała Roberta. Rocheblanche skorzystał z zamieszania, by utorować sobie drogę, i sieknął na oślep z prawej strony, łamiąc kolejnemu przeciwnikowi obojczyk.

Zatrzymał się na chwilę, aby otrzeć krew z twarzy, i o mało nie został usieczony przez jasnowłosego olbrzyma. Zrobiwszy unik z diabelską zwinnością, jednym cięciem zranił go w prawą łydkę, zwalając na ziemię, po czym zdzielił maczugą w skroń. Niemal pozbawił go głowy, wydając przy tym budzący grozę odgłos, który zmusił do odstąpienia nielicznych ocalałych.

– Superanzio Orsini! – Owładnięty żądzą mordu Maynard odtrącił stopą ciało ostatniej ofiary. – Taki z was tchórz, że nie wyjdziecie z ukrycia?

Czekał z drapieżnym grymasem przed garstką zbrojnych przerażonych niczym szczury. Żaden z nich nie odważył się już na niego nastawać. Wreszcie wśród dymu i płomieni zrujnowanego dziedzińca ukazał się wywoływany mężczyzna.

– Ty francuski pomocie! – wysyczał widam, pieniać się ze złości. – Tym razem wyrwę ci serce!

Gualtiero zakradł się z powrotem do pałacu, wmieszawszy się w gromadę uciekających przed płomieniami pachołków. Miał niewiele czasu na działanie i jeszcze mniej, żeby zastanowić się, jaki los spotka Rocheblanche'a. Kłopot stanowili nie tylko zbrojni widama, ale także ludzie markiza, którzy z pewnością się wkrótce pojawią.

Wracał tą samą drogą, którą dopiero co przebył, i natknął się na drzwi do podziemi. Zdaniem obydwu rycerzy było to najbardziej prawdopodobne miejsce przetrzymywania Isabeau. Młodzieniec bez wahania przekroczył próg, licząc na to,

że każdy mężczyzna posiadający broń pobiegł, by schwytać Maynarda.

– Isabeau! – zawołał, schodząc po stopniach. – Isabeau!

Podążył wąskim przejściem, nieustannie wymawiając imię dziewczyny, i choć dotarł do końca, nikogo nie znalazł. Tylko echo jego słów odbijało się od murów.

– Isabeau! – krzyknął ponownie z sercem ściśniętym lękiem. – Proszę cię! Powiedz, gdzie jesteś!

– Gualtiero!

Młodzieniec obejrzał się gwałtownie, niespodziewanie ogarnęło go uczucie, jakby narodził się po raz drugi.

– Tak, Isabeau! To ja! Powiedz, gdzie jesteś!

– Nie wiem! – odparła dziewczyna.

Jej głos brzmiał jednak wystarczająco donośnie, żeby go poprowadzić. Gualtiero uzmysłowił sobie, że nie zauważył bocznego korytarza, tak ciasnego, iż można go było przeoczyć. Instynktownie skręcił, nie mogąc się już doczekać, kiedy przytuli dziewczynę.

– Nie przestawaj mówić! – zachęcił.

– Uważaj! – krzyknęła.

– Słyszę cię! Jesteś blisko!

– Uważaj, proszę! Strzeż się mężczyzny!

W tej samej chwili, gdy Gualtiero usłyszał przestrożę, wyczuł za plecami czyjąś obecność. Jego ręka okazała się o wiele szybsza, niż mógł przypuszczać. Kiedy chropowate palce dotknęły jego ramion, wy dobył z kieszeni habitu mały sztylet i pchnął na oślep.

– Uwolnijcie dziewczynę – rozkazał Maynard.

Superanzio Orsini przedzierał się przez płomień i dym, które zdążyły już opanować cały dziedziniec. Pomimo gniewu zachował czujność, niemal spokój.

– A wy powiedzcie waszemu łucznikowi, żeby się cofnął.

– Nie frasujcie się tym, messer. – Francuz musnął jego pierś sztychem miecza i powalał na czerwono biskupi herb, wyhaftowany na tunice. – Jeśli zginiecie tej nocy, to tylko z mojej ręki.

Widam się odsunął.

– Przeklęty z was szaleniec, Rocheblanche! Doprawdy sądzicie, że podobny gwałt może pozostać bezkarny? Wasza głowa trafi na włócznie!

– Uwolnijcie dziewczynę, powiedziałem.

– Najpierw żądam wyjawienia waszych tajemnic.

Maynard uśmiechnął się pogardliwie. Tej nocy uśmiercił już zbyt wielu ludzi, by teraz chciał pertraktować. Pragnął ocalenia Isabeau, ale także krwi tego huncwota.

– Chcę ją zobaczyć natychmiast, żywą, przeklęty psie.

Widam dobył miecza z okrzykiem furii i rzucił się do ataku.

– Nie ważcie się mówić do mnie w ten sposób!

Rocheblanche odparował cięcie, aż iskry poszły, po czym nastąpiła wymiana wściekłych ciosów, która spowodowała, że Orsini znalazł się w opałach.

– Petricciolo! – wrzasnął Superanzio, wijąc się niczym wąż przed broniącym się zasłoną rywalem.

Maynard odwrócił się instynktownie ku trzem zbrojnym, którzy przybiegli na wezwanie. Strzała Roberta przeszła jednego z nich, kolejna chybiła celu i wbiła się w ziemię. Rycerz odskoczył w bok, aby ułatwić kompanowi zadanie, wszelako zdał sobie sprawę, że Vermandois nie jest już w stanie mu pomóc. Otaczały ich chmury gęstego dymu, które uniemożliwiły mu celne wypuszczenie strzał.

Wtem aż syknął z bólu z powodu rozdierającego ukłucia w prawe ramię. Odsunął się czym prędzej od tchórza, który zdradziecko go ugodził, a gdy spostrzegł u niego zajęczą wargę, wiedział, że to gwardzista, który przed miesiącami o mało nie zatłukł go na śmierć. Dzierżył dagę, gotów do następnego pchnięcia.

– Łajdaku! – ryknął Rocheblanche i zdzielił go maczugą.

Petricciolo runął w bok, unikając uderzenia, Francuz zaś skorzystał z tego, by powalić ostatniego zbrojnego, jaki pozostał przy Orsinim. Natarł nań od przodu, roztrzaskując mu nos i czoło głowicą miecza, po czym cofnął się, chcąc się przyjrzeć dwóm przeciwnikom ocalałym z rzezi. Gwardziście i widamowi. Wszędzie wokół nich pośród języków ognia leżały ciała.

Pierwszy zmobilizował się i uderzył Petricciolo. Ruszył do boju, umożliwiając swemu panu atak od tyłu.

Maynard wywinął się obydwu, chociaż zranione ramię nie pozwoliło mu doprowadzić kontrnatarcia do końca. Zaskoczony podstawieniem nogi, runął na warstwę popiołu. Superanzio natychmiast znalazł się nad nim, chcąc go przebić, Francuz jednak wywinął się spod jego razów i drasnął go w udo.

– Nareszcie krwawicie! – wykrzyknął, wstając.

Widam zrobił niezgrabny krok w tył, szukając jakiegoś ratunku. Wydawało się, że Petricciolo rozpląnął się w płomieniach i mroku, lecz nagle wyłonił się z dymu z bitewnym okrzykiem. Maynard nie zdołał uskoczyć przed sztychem dagi, która szczęśliwie nie przebiła skórzanego pasa, ale popchnął napastnika na płonący portyk. Budowla zwała się na nieboraka i go przygniotła.

Nienasycony ciągle Rocheblanche chwycił Petricciola za stopę i wywlókł ze sterty żaru, patrząc, jak poparzony skręca się z bólu. Przypomniawszy sobie okrutną radość, z jaką ów człowiek obił go i upokorzył w dzielnicy Powodzi, a także uprowadzenie Isabeau. Przydepnął mu głowę butem i splunawszy z pogardą, wbił miecz w usta.

Orsini przyglądał się temu skamieniały.

– Teraz wasza kolej, łaskawy panie – zadrwił Maynard, wycierając ostrze o nadpalone szaty trupa.

Superanzio cofnął się z wściekłym grymasem.

– A gdybym ją wam oddał?

Rycerz, zimny niczym kat, nie dał się zbić z pantafelku.

– Powiedźcie, gdzie jest, a przemyślę wszystko od nowa.

– W podziemiach.

– Wobec tego młody de' Bruni zdążył ją już wydostać.

Widam zmełł w ustach przekleństwo i uniósł miecz, przybierając obronną postawę.

– A kardynał Bertrand du Pouget? – dopytywał się z rosnącym niepokojem.

– Przestał was obchodzić?

Rocheblanche machnął lekceważąco ręką.

– Niedawno otrzymałem wieści na jego temat. – Zadał mu błyskawiczny cios, aby sprawdzić jego zasłonę, po czym sieknął z góry na dół, tym razem mierząc dokładniej, i przyprawił go o drżenie ramion. – Wiem o nim wszystko.

– Wątpię. – Orsini odparł trzeci atak, następnie zdyszany wyskoczył do przodu. – Nie zdajecie sobie sprawy, do czego jest zdolny.

– Wiem, że podobnie jak wy jest potworem, ale jeszcze bardziej drapieżnym.

Maynard był zdecydowany, by nie dać mu wytchnienia, odparował więc ukośne cięcie, przybliżył się i rąbnął go pięścią.

Superanzio runął na plecy, łamiąc na kawałki drewniany płot. Zawył z bólu,

bo potężna drzazga wbiła mu się w bok.

– Bertrand du Pouget! – ciągnął z niesmakiem Rocheblanche. – Ten łotr wysłał swoich zbirów, żeby mnie uśmiercili, ale mu się nie udało. Potem usiłował porwać moją siostrę, bo nie wystarczyło mu, że wprowadził swego szpiega do jej klasztoru. Jak widzicie, wiem o nim aż nadto. Wieści dostarczył mi przyjaciel, ten sam, który dopiero co pozabijał z łuku waszych zbrojnych. – Przytknął mu miecz do gardła. – Lecz nie koniec na tym, messer. Zaczynam bowiem podejrzewać, że to właśnie kardynał zdradził Jana Ślepego i uknuł spisek, który tropię do dziś. A wszystko z powodu... *Lapis exilii*. Tak, zapewne tak było. Stąd jego pierścień...

– Być może macie słuszność. – Orsini zaczął się czołgać, próbując ucieczki. – W końcu Facio di Malaspina też się go bał... Zawsze się bał.

Maynard nadal na niego napierał.

– Teraz jednak du Pouget już nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia – rzekł. – Nie wie, gdzie się ukrywam ani jakie znam tajemnice. W odpowiedniej chwili potrafię go zaskoczyć i...

– Głupcze! – szydził człowiek biskupa, śmiejąc się prostacko.

Rycerz pochylił się nad nim.

– Co macie na myśli? Mów, ścierwo! Mów albo przysięgam...

Nim zdążył dokończyć zdanie, z góry dał się słyszeć jakiś głos. Spojrzawszy na przesłonięte dymem dachy, dostrzegł wymachującego rękami Roberta.

– Prędko, przyjacielu! – krzyczał Pikardyjczyk. – Widzę nadciągających na rynek zbrojnych!

– Idźcie! – odparł Rocheblanche. – Zaraz do was dołączę!

– Będę was osłaniał przy odwrócie – upierał się Vermandois.

– Nie, biegnijcie! Pomyślcie o dzieciakach!

Zaczekał, aż kompan usłucha, i pomachał do niego, odwracając się do widama, który skorzystał ze sposobności i ponownie zadał cios. Maynard o włos uniknął sztychu i reagując instynktownie, dźgnął rywala w żołądek.

Wrzask Superanzia zagłuszyła chlustająca krew.

– Głupcze... – powtórzył. – Kardynał... o wszystkim się dowie.

Francuz chwycił go za kołnier i podniósł do góry.

– Jak to możliwe? – wysyczał. – Mówcie! Wyznajcie wszystko!

Nikczemnik uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Dałem rozkaz... żeby w razie mojej śmierci... powiadomić pewną osobę.

– Kogo?

Powieki widama opadły.

– Kogo? – powtórzył rycerz, potrząsając nim ze złością.

Z ust Orsiniego wypłynęła jednak tylko szkarłatna strużka.

Vermandois z łukiem przewieszonym przez ramię zeskoczył z dachu i zamierzał dotrzeć do miejsca, gdzie czekały konie. Zastanowił się wszakże nad ostatnimi słowami Maynarda. Obrócił się na pięcie i nie bacząc na nadciągających zbrojnych, rzucił się do drzwi pałacu biskupiego. Z trudem poruszał się między trupami strażników, gotów walczyć z zaprawionymi w bojach niedobitkami, aż nagle ujrzał w progu dwie postaci.

– Rycerzu, to naprawdę wy! – wykrzyknął blady na twarzy Gualtiero. Obok niego podążało jasnowłose dziewczę, otulone mnisią szatą.

– Prędko! – ponaglił Robert, który bez wahania zawrócił. – Nie ma czasu do stracenia!

– A co z Maynardem? – zapytała Isabeau.

– Mam za zadanie odstawić was w bezpieczne miejsce – odparł tylko Pikardyjczyk, przedzierając się przez zaułek między dwoma budynkami. – O Rocheblanche’u pomyślę później.

Doszli do pustego ogrodu, gdzie czekały na nich dwa osiodłane wierzchowce. Rozpoznawszy karego Rocheblanche’a, Gualtiero wskoczył mu na grzbiet.

– Dalej, wsiadaj! – zachęcił dziewczynę, podając jej dłoń.

Vermandois dosiadł kolejnego konia i ściągnął wodze, kierując się ku głównej ulicy. Jeszcze nie zdążył wyjechać z zaułka, gdy natknął się na oddział żołnierzy z pochodniami. Poderwał wierzchowca, powalając na ziemię tych, którzy znajdowali się najbliżej, po czym popędził dalej, torując drogę młodemu.

– Za mną! – krzyknął, tratując zbrojnych.

Gdy dotarli do ulicy, pomknęli na południe, tymczasem do siedziby biskupa wdarła się chmara wojowników.

– Do bramy Świętego Romana! – wrzasnął Vermandois do Gualtiera i Isabeau.

Przecięli galopem rozwidlenie z ulicą Szeroką, obryzgując łajnem i błotem błakających się jeszcze po mieście nielicznych przechodniów. Gdy przekroczyli mury, nadal widać było płomienie. Serce światła pośród nocy.

Właśnie wstawał nowy dzień, gdy przez fosę otaczającą Bolonię przeprawiał się posłaniec na koniu, kierując się ku dzielnicy Świętego Dominika. Wkrótce potem Guido di Baisio został wyrwany ze snu. Odpoczywał w łóżu z baldachimem w jednej z najpilniej strzeżonych komnat urządzonego z przepychem pałacu, który zajmował od czasów, kiedy objął funkcję archidiakona kurii *bononiensis*.

Odziany w nocną szatę, stary prałat przyjął posłańca w swej pracowni i kazał mu zaczekać, sam zaś ziewając, złamał pieczęć, którą opatrzony był list. Napisał go widam Orsini, bez wątplenia zatem zwiastował kłopoty. Kiedy jednak po otwarciu

listu wypadł mu na dłoń pierścień kardynalski, naprawdę zaczął się martwić.

Obejrzał uważnie oprawę przedstawiającą srebrnego lwa na czerwonej emalii, następnie skupił się na wiadomości. Już się rozbudził, chociaż był w złym humorze, wszelka senna ociężałość ustąpiła mu wszakże z powiek, gdy przeczytał w liście pewne imię.

Bertrand du Pouget.

Guido di Baisio poprawił się na krześle, coraz bardziej zachmurzony i rozdrażniony. Koniecznie pragnął pojąć, w jakąż to niebezpieczną intrygę wplątał się Superanzio. Kiedy jednak dobrnął do końca listu, jego ciekawość przerodziła się w trwogę.

Popatrzył na posłańca, który tkwił bez ruchu w kącie pracowni. I nie odezawszy się słowem, uczynił znak krzyża.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

16 PAŹDZIERNIKA

Ojciec Andrea przechadzał się w tę i z powrotem po zakrystii, a Moczarek nie spuszczał go z oczu. Opat kilkakrotnie miał ochotę paść na kolana przed gęsto usianym klejnotami krucyfiksem, jakby łąknął boskiej rady, ale nadal krążył nerwowo. Kilka kroków od niego, przy wejściu, stał roztrzęsiony Gualtiero, czekając, aż duchowny się uspokoi. Kiedy poprosił o posłuchanie w cztery oczy, aby zdać mu relację z wydarzeń, z pewnością nie spodziewał się tak gorączkowej reakcji.

– Och, gdybym wiedział... – lamentował opat, łapiąc się za głowę. – Nigdy bym na to nie pozwolił... Nie, Panie! Nie i koniec!

– To było konieczne – szepnął młodzieniec.

Wielebny ojciec stanął jak wryty.

– Konieczne? – powtórzył prędko. – Pozabijać ludzi? Podpalić pałac biskupi?

Gualtiero wytrzymał jego spojrzenie.

– Więzili Isabeau jako zakładniczkę.

– Obudźcie się, synku! To był odwet!

– Messer Maynard chciał tylko, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Chciał się zemścić – sprostował opat, tupiąc nogą o mozaikową posadzkę.

– Jeżeli to, coście powiedzieli, jest prawdą, jego wojna z widamem przekracza wszelkie wyobrażenie.

– A gdyby nawet? – zaproponował chłopiec, ulegając uniesieniu. – Zabił okrutnego człowieka. Święty Tomasz rozgrzeszyłby go bez chwili wahania.

Na dźwięk imienia Doktora Anielskiego wielebny Andrea wybuchnął:

– *Vox populi, vox ignorantiae!* – wykrzyknął. – Nawet jeśli Tomasz z Akwinu usprawiedliwia pogrom złych ludzi, z pewnością nie dopuszcza używania przemocy. Sprawiedliwość zaprowadzają zasady, nie dusze w gorączce.

Młodzieniec podszedł do niego z zaciśniętymi pięściami, dając upust targającemu nim wzburzeniu.

– Tyle wrzawy z powodu jakiegoś niegodziwca, a śmierć mojego ojca nie wstrząsnęła wami nawet w połowie tak mocno! – Popatrzył groźnie, zmuszając Andreę, by się cofnął. – Wy, ludzie władzy, jesteście wszyscy jednakowi. Zawsze gotowi się wzajemnie pozagryzać, ale zarazem stanąć murem przeciwko ludowi!

– Jak śmiecie? – Zakonnik oblał się szkarłatem. – Odwołajcie natychmiast te słowa albo...

Gualtiero uciszył go pogardliwym gestem.

– A gdyby Rocheblanche naprawdę szukał zemsty? Gdyby i mnie się to udało! Gdyby! – Uśmiechnął się gorzko, stłumiwszy gniew. – Lecz Isabeau jest wolna i to mi wystarczy.

Zgarbiony Andrea słuchał ze ściągniętą twarzą.

– Isabeau... – powtórzył. – Przywieźliście ją tutaj?

– Doskonale wiem, jak bardzo wam zawadzała – rzekł już bez złości młodzieniec. – Idąc za radą Roberta de Vermandois, odwiozłem ją do sióstr od Świętego Antoniego.

Opat spojrział na cenny krucyfiks wiszący na ścianie, następnie na przycupniętego w rogu charta, a w jego oczach czały się kolejne wątpliwości.

– Dlaczego nie ma tu z wami messer Roberta? – zapytał nagle, zdjęty niepokojem.

– Odstawił mnie na główny szlak i wrócił do Ferrary. Zamierza zasięgnąć języka o losie Maynarda.

– O, niebiosa! Czy on oszalał? Skończy się na tym, że zostanie pojmany.

Zdumiony tą reakcją młodzieniec zastanawiał się, czy za tak ogromną obawą o losy nieznanego nie kryje się jakiś tajny plan. Nie było tajemnicą, że Vermandois zostawił w Pomposie szkatułę pełną monet.

– Messer Robert czuje się dłużnikiem Rocheblanche'a – wyjaśnił. – Ich więź wykracza poza zwykłą przyjaźń. Śmiem twierdzić, że to kwestia wzajemnego oddania.

– A wy, Gualtiero? Komu wy jesteście oddani? – Andrea świdrował go wzrokiem z wojowniczą miną. – Okazałem wam aż nazbyt wielką pobłażliwość, byłem cierpliwy i znosiłem wasze wybryki bez sprzeciwu. Ale dość tego, domagam się odpowiedzi.

Speszony chłopiec bezradnie rozłożył ręce. Nocne wzruszenia sprawiły, że zupełnie zapomniał o zamysłach opata.

– Nie jestem godzien życia w kontemplacji – przyznał zniechęcony.

– Ja natomiast uważam, że bylibyście znakomitym nowicjuszem.

– Zabiłem człowieka.

Ojciec Andrea otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Kiedy to się stało?

– W nocy w pałacu biskupim. – Gualtiero oparł się plecami o ścianę i ogarnięty niespodziewanym znużeniem, ześliznął się na dół, siadając na posadzce.

– Musiałem to uczynić – ciągnął – aby uwolnić Isabeau.

– Ach, tę dzierlatkę!

– Ona nie ponosi winy.

– Odczuwacie chociaż wyrzuty?
– Wyrzuty? – Gualtiero dokonał szybkiego rachunku sumienia, coraz bardziej pragnąc opuścić już zakonnik i przestać myśleć. – Nie, wielebny ojcie. Jedynie ulgę, że nadal żyję.

Opat pochylił się nad nim.

– Powinniście okazać skruchę, synku – upomniał go. – Jeszcze jest czas! Przyjmijcie Boga do serca...

– Niby dlaczego? – rozsierdził się Gualtiero. – Może wy potraficie go usłyszeć?

Wielebny ojciec skrzywił się z bólem.

– Raz usłyszałem, owszem – wyznał. – Żyję dla chwili, w której to się znów stanie.

Młodzieniec położył dłonie na zimnej posadzce, zbierając siły, by wstać.

– *Ja* z kolei czekam na chwilę, w której ponownie zobaczę matkę.

– Bądźcie rozsądni – nalegał zakonnik. – Lęk odbiera wam rozum.

– To nie lęk ma nade mną władzę. Już nie, odkąd wiem, że matka mnie okłamała. Teraz chcę poznać prawdę, chcę się dowiedzieć, kim w rzeczywistości jestem. Nie mogę żyć dalej w niepewności.

– Nie rozumiem... O jakich kłamstwach mówicie?

– Odkrył to dla mnie Rocheblanche.

– Rocheblanche?

Gualtiero podszedł do drzwi, ale zawahał się przed przekroczeniem progu.

– Dlaczego to was dziwi? – odparł. – Czyż sami też nie macie wspólnych tajemnic z tym człowiekiem?

– Jeżeli mówicie o księdze, o której wam wspominałem... – rzekł Andrea.

– To nie moja sprawa – uciął chłopiec. – W każdym razie wiedzcie, że doręczyłem waszą wiadomość – dodał i zniknął mu z oczu.

Opat został sam w mroku zakrystii.

– Po tym, co się wydarzyło – mruknął – wątpię, żeby to miało jakieś znaczenie.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

1 LISTOPADA

Msza w Dzień Wszystkich Świętych poruszyła Eudeline do tego stopnia, że zakonnica, gdy tylko było to możliwe, natychmiast opuściła kościół. Na myśl o zastępach zgromadzonych w niebiosach błogosławionych, którzy przyglądają się śmiertelnikom, osądzając ich, wypełnieni niebiańską łaską, poczuła się brudna i podła. Nie tylko z powodu Aleydis, którą dopiero teraz umieściła w wygodnym skrzydle klasztoru. Kłopot polegał na tym, że nie potrafiła stłumić uczuć do Roberta ani wyrzutów, że naraziła go na niebezpieczeństwo. Już od trzech miesięcy nie miała od niego wieści i mimo że wiedziała, jak długo czeka się na listy z tak oddalonych ziem, martwiła się i drżała z niecierpliwości, by dowiedzieć się czegoś o jego losie. Zadowoliliby się kilkoma słowami, byleby tylko się upewnić, że ma się dobrze i nadal ją miłuje. „Głupia niewiasta” – skarciła się odruchowo w myślach. Swego czasu wierzyła, że jest silna i że dość się nacierpiała, by znieść bez wysiłku życie w zakonie. Lecz oto wzdycha do mężczyzny niczym jedna z tak wielu próżnych dzierlatek z ludu, które widywała zza krat klasztoru.

Okutana wełnianym płaszczem szła szybkim krokiem ścieżką wiodącą do *domus particularis*, chcąc dotrzeć tam, zanim któraś ze siostr zdąży zaprzatnąć jej głowę jakąś kolejną błahostką. Nie miała nastroju na wysłuchiwanie utyskiwań zakonnic, pragnących upiększać habity haftami, opiekować się kotami czy wydłużać czas na posiłki. Z pewnością nie byłaby w stanie zachować się teraz wobec nich jak należy.

Udało się jej dotrzeć bez przeszkód aż do krużganka, wtedy wszakże usłyszała za plecami kroki. Odwróciła się z najsroższą miną, na jaką potrafiła się zdobyć.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że to ojciec Claret.

– Pragnę zostać sama – powiedziała ostrzegawczo, idąc dalej.

– Nie zamierzam się wam naprzykrzać. – Prokurator zrównał się z nią. – Niemniej jednak potrzebuję waszej rady.

Jego oślizły uśmiezek od razu wzbudził w wielebnej matce wstręt. Przeorysza zauważyła, że ojciec Claret trzyma pod pachą skórzany kartulariusz.

– W czym rzecz?

– Już od jakiegoś czasu chciałem o tym z wami pomówić i po prawdzie nie mogę dłużej zwlekać. – Prokurator skłonił ją, by przystanęła przed krużgankiem,

z dala od ciekawskich oczu, po czym ściszył głos. – Jak wam wiadomo, sporządzam właśnie spis aktów i dokumentów klasztoru Świętej Balsamii. Jego Ekszelencja biskup wymaga, aby każda parafia i wspólnota religijna w Reims była przejrzysto zarządzana, co ułatwi nadzór podatkowy Kameron Apostolskiej. – Odczekawszy, aż zakonnica skinie przyzwalająco głową, westchnął. – Cóż, przeglądając stare klasztorne rejestry, natknąłem się ostatnio na pewne nieprawidłowości.

– Mówcie jaśniej.

– Proszę dodać, że nie dotyczą one waszych rządów, ale poprzedniej przeoryszy.

– Nie dziwi mnie to – odparła Eudeline, którą rozdrażniło mówienie ogródkami. – Matka Cécile nie przywiązywała wielkiej wagi do dokumentów. Niekiedy sporządzała je w pośpiechu, niedbale.

Prokurator spuścił wzrok.

– Obawiam się, że to coś o wiele poważniejszego, wielbna matko.

– W takim razie przejdźcie do rzeczy.

Słyszając te słowa, mężczyzna zdecydował się wyjaśnić, o co chodzi.

– Jak mniemam, wiadomo wam, że matka Cécile została mianowana przeoryszą przez papieża, a tym samym miała obowiązek przekazywania jednej trzeciej rocznych dochodów Stolicy Apostolskiej. To powszechna reguła, której sami także podlegacie. Tymczasem z posiadanych przeze mnie dokumentów wynika – mówił prokurator, pokazując matce przełożonej kartulariusz – że wasza poprzedniczka wypełniała swe zobowiązania jedynie częściowo, unikając płacenia świętopietrza albo *servitia communia* przez cały okres swych rządów. Ponadto istnieją nieprawidłowości w uiszczaniu dziesięciny oraz *servitia minuta*, które przekazywane były nieregularnie, zwłaszcza w okresie poprzedzającym jej śmierć.

Wielbna matka nie wierzyła własnym uszom.

– Bardzo nad tym boleję – oznajmiła, łowiąc kątem oka wyraz udawanego żalu na twarzy prokuratora. Cécile była dla niej wzorem do naśladowania, nauczyła ją wszystkiego na temat administrowania klasztorem i włościami, zachęcając, by robiła użytek z własnej przenikliwości i usposobienia. Wieść, że całymi latami oszukiwała poborców Stolicy Apostolskiej, zaskoczyła ją, wszelako nie aż tak bardzo, by straciła zimną krew. – Boleję nad tym – powtórzyła. – Tak czy inaczej, to mnie nie dotyczy.

– Dotyczy, a jakże – sprostował ojciec Claret, unikając jej wzroku. – Jako korzystająca z tych samych beneficjów jesteście zobowiązani spłacić długi przeoryszy Cécile.

Eudeline drgnęła.

– Ależ... to nie do przyjęcia!

– Tak każe Kamera Apostolska. – Prokurator pozwolił sobie na uśmiezek. –

System ściągania danin opiera się nie na beneficjentach, lecz na beneficjach, które muszą przynosić dochód niezależnie od tego, komu się je powierzy.

– Jednakże ja nic o tym nie wiedziałam – ciągnęła coraz bardziej zaniepokojona przeorysza.

– Nikt nie wiedział, wielebna matko. Ale teraz uchybienie wyszło na jaw i zostanie naprawione.

– Wiadomo już, ile brakuje?

Ojciec Claret ukrywał swą bezduszną radość z coraz większym trudem.

– Na oko siedem tysięcy florenów. Muszę jeszcze sprawdzić stan wpłat i...

– To szaleństwo! – Eudeline wyrwała mu z ręki kartulariusz i jęła przeglądać poszczególne dokumenty, przesuwając wzrok po kolumnach dat i cyfr. Oszustwo matki Cécile było oczywiste, ona wszakże potrafiła obwiniać jedynie stojącego przed nią mężczyznę. Przekłęty łajdak się tym rozkoszował. Im dokładniej wpatrywała się w jego szczerzą twarz, tym większej nabierała pewności, że tak było. Podała mu dokumenty szorstkim gestem. – Skarbiec klasztorny nie posiada takich bogactw.

Prokurator przytaknął ukradkiem, spoglądając znacząco, co spowodowało, że wydał jej się jeszcze bardziej nienawistny.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, znam zasoby Świętej Balsamii. – Zaskoczył ją fałszywym śmiechem. – Wszelako wiem, że posiadacie inne bogactwa, oddziedziczone po rodzinie.

Wielebna matka cofnęła się z oburzeniem.

– Chyba nie będziecie wymagać, żebym wyłożyła podobną kwotę z własnej kieszeni!

– Ja nie mam żadnych wymagań – wyjaśniał mężczyzna z coraz większą bezczelnością. – Przedstawicie swoje zażalenia papieskim urzędnikom skarbowym. Ja mam tylko obowiązek powiadomić was, że odmowa mogłaby oznaczać ekskomunikę, o ile nie *aggravatio*.

Chociaż Eudeline kipiała z wściekłości, nie mogła zaprzeczyć jego słowom. Dobrze znała kary nakładane przez Kościół na krnąbrnych dłużników, zwłaszcza w czasach rozrzutnego Klemensa VI. Nie zamierzała wszakże potulnie znosić takiej niesprawiedliwości. Gdyby zapłaciła siedem tysięcy florenów, roztrwoniłaby rodowy majątek, pozostawiając sobie i bratu jedynie zamek Rocheblanche i posiadłości odziedziczone po ojcu.

– Moglibyście dać mi kilka dni, zanim powiadomicie o niedoborze Kamery Apostolską?

– Wiele żądacie, matko.

– Byłabym wdzięczna – odrzekła zakonnica, zmuszając się do uprzejmości.

– Chciałabym znaleźć jakieś inne rozwiązanie, które uratowałoby mnie od ruiny.

Ojciec Claret pogładził się po brodzie i dumął przez chwilę.

– Dam wam jeden dzień – oznajmił w końcu. Następnie skłonił się i obrócił na pięcie z ledwie dostrzegalnym triumfalnym uśmiechem.

Eudeline patrzyła, jak odchodzi, wsparłszy się o kolumnę krużganka, aby nie runąć na ziemię. Pogrążyła się w rozpacz.

Tej nocy nie zdołała zasnąć. Przewracała się w pościeli coraz bardziej zdenerwowana, aż wreszcie poczuła, że musi wyjść na zewnątrz. Wyskoczyła z posłania, zarzuciła na ramiona wełniany płaszcz i opuściła kwaterę, a gdy jej stopy zanurzyły się w trawie, mimo chłodu doznała natychmiastowej ulgi. Mrok był niemal namacalny, w powietrzu unosił się zapach śniegu, chociaż niebiosa postanowiły chwilowo uchronić przed nim przedmieścia i wsie wokół Reims.

Pogrążona w zadumie, ruszyła ciemną, mimo palących się pochodni, ścieżką wzdłuż murów oddzielających klasztor od miasta. Gdybyż tylko był tu Maynard! Już on umiałby jej doradzić, co czynić. Najpierw złapałby ojca Clareta za kołnierz i przepędził jak natrętnego żebraka, a potem udałby się do biskupa i rąbnął pięścią w jego pulpit.

Wszelako w świecie mężczyzn Eudeline musiała sama stoczyć tę bitwę. Uzmysławiała sobie, że nie może się zbuntować przeciw Kamerze Apostolskiej, która będzie żądać zwrotu długu nawet wtedy, gdyby zrzekła się tytułu przeorowskiej. Matka przełożona wiedziała jednak, że i tak nie powinna opróżnić rodzinnego skarbcza. Byłoby to niesprawiedliwe i w stosunku do brata, mającego do ojcowskich legatów większe prawa niż ona. Poza tym bała się nawet pomyśleć, co by się z nią stało, gdyby nagle pozbawiono ją bogactw, które pozwalały jej do tej pory zachować całkowitą niezależność.

Razem z florenami odebrano by jej także możliwość wprowadzania ulepszeń na polach, opłacania wyrobników, a nawet zarządców, którzy kierowali tymi sprawami w jej imieniu. Wkrótce zostałyby jej tylko ugory i nie byłoby ani jednego pachołka chcącego je uprawiać.

Przekląła matkę Cécile, która okazała się bardzo nieodpowiedzialna, nakładając na nią tak ciężkie brzemie. Nigdy by jej nie posądziła o podobny brak uczciwości, toteż uczucie serdeczności i podziwu, którym darzyła ją przez długie lata, jęło się ulatniać. „Przecież musi być jakieś rozwiązanie” – pomyślała, wdychając zimne powietrze, otoczona nocną ciszą.

Wtem podniosła wzrok i drgnęła z przerażenia.

Okrążywszy mury, dotarła do szerokiej furtki wiodącej na ulicę. Właśnie tam, po przeciwnej stronie, majaczyła postać mężczyzny w płaszczu. Tkwił nieruchomo, świdrując ją oczami.

Przezwycięższy strach, Eudeline podeszła bliżej z dziwnym poczuciem zażyłości, gdy tymczasem nieznamy dotknął krat, pozwalając, by mu się przyjrzała.

Był to Arab.

Nim matka przełożona się odezwała, popatrzyła w jego kocie oczy, zdolne świecić nawet w ciemnościach.

– Czego chcecie? – zapytała stanowczo.

– Jedyne was ostrzec – odparł cicho mężczyzna.

– Nie wiem, kim jesteście. Ani kto was przysłał.

– Mimo to powinniście mi zaufać – odrzekł niewzruszony Arab.

Eudeline przypomniała sobie noc, kiedy przybył jej na ratunek, i przeszył ją dreszcz. Czując korzenny zapach jego płaszcza, zastanawiała się, czy kryje się pod nim nadal owo zakrzywione ostrze, którego użył, aby zabić kardynalskiego gwardzistę. Skinęła, by mówić dalej.

– Strzeżcie się prokuratora. – Arab oddalił palce od krat furtki, a jego wytworna postać cofnęła się, niemal rozplywając się w mroku. – On przychodzi w imieniu tego, który was uprowadził.

Po chwili przeorysza, wpatrując się w ciemność, zadawała sobie pytanie, czy naprawdę go widziała, czy też był to tylko sen.

Zgodnie z zapowiedzią ojciec Claret zjawił się dzień później, ale nie sam. Towarzyszył mu wysoki i otyły prałat, przybyły celowo z Awinionu z eskortą zbrojnych.

Siostra Eudeline nie dała się zaskoczyć. Przywitawszy gości przed klasztorными murami, poprowadziła ich niewzruszona aż na dziedziniec kościoła.

– Zbrojni muszą poczekać tutaj – oznajmiła, po czym skinęła na prokuratora i człowieka z Awinionu, aby podążyli do jej *domus particularis*. Po przekroczeniu progu nie odezwała się słowem, dopóki nie zajęli miejsc w pracowni. Sama usiadła za pulpitem i przyłożywszy splecione dłonie do ust, zachęciła gości do mówienia.

Ojciec Claret zerknął ukradkiem na swego towarzysza i zdecydował się rozpocząć rozmowę.

– Zgodnie z postanowieniem – zwrócił się do matki przełożonej – jestem tu w kwestii długu wobec Kamery Apostolskiej, zaciągniętego przez poprzednią przeoryszkę Świętej Balsamii, wynoszącego około siedmiu tysięcy dwustu florenów. Moja rola w tej sprawie ogranicza się do bycia zwykłym świadkiem. Pertraktować z wami będzie człowiek siedzący obok mnie, Jego Wielbność Pierre de Banhac, referendarz Jego Świątobliwości, upoważniony do działania na rzecz papieskiego skarbcza.

Duchowny mierzył tylko wzrokiem Eudeline, gładząc się po obwisłym podbródku.

Zakonnica również wbiła w niego oczy, skrywając obrzydzenie.

– A zatem – przemówiła ostrożnie – jakie byłyby postulaty Kamery Apostolskiej?

– Spłacić dług – wtrącił Pierre de Banhac. Miał głęboki, stanowczy głos, chociaż pobrzmiwała w nim jakaś niemęska, charakterystyczna dla niektórych kapłanów nuta.

– Chętnie bym to uczyniła – stwierdziła matka przełożona – lecz klasztor nie dysponuje taką kwotą.

Zamiast odpowiedzi człowiek z Awinionu spojrział na prokuratora.

– Wielbna matko – rzekł tamten – z pewnością pamiętacie naszą ostatnią rozmowę...

– Jaką rozmowę? – zapytała przeorysza, udając zdumienie.

Ojciec Claret uśmiechnął się nerwowo.

– Tę dotyczącą możliwości spłaty długu... w inny sposób.

– Po prawdzie wasze słowa były dość niejasne. Do tego stopnia, że wprowadziły mnie w silne zakłopotanie.

Opasły Banhac pochylił się ku niej.

– Czyżbyście zaprzeczali, że posiadacie środki wystarczające na pokrycie

zadłużenia?

Eudeline rozłożyła ręce, nadal niewzruszona.

– Jak już wspominałam, mój klasztor nie może sobie pozwolić na podobny...

– Miałem na myśli wasz osobisty majątek – przerwał prałat, który nagle spurpurowiał na twarzy. – Jesteście bogaci, pani de Rocheblanche. Bardzo bogaci! Jak śmiecie drwić z nas, bawiąc się w słowne gierki!

– Moje bogactwo opiera się na ziemi i lasach – broniła się zakonnica. – Skromna kwota pieniędzy, którą dysponowałam, została wydana na ostatni zasiew i utrzymanie pańszczyzny.

To wystarczyło, by prałat uniósł się gniewem.

– Wszelako ojciec Claret twierdzi, że...

Matka przełożona skrzywiła się kpiąco.

– Ojciec Claret nie ma dostępu do moich ksiąg, a tym bardziej do moich zasobów. Musiał sobie wyrobić na ten temat mylne zdanie.

– To nieprawda! – Prokurator się poderwał. – Ta niewiasta kłamie. Chce mnie zawstydzić przed Waszą Wielbnością.

Największą jednak złość okazał Banhac. Wił się na krześle niczym olbrzymia larwa, jakby nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu.

– Niech was piekło pochłonie, ojczy Claret – wybuchnął. – Sądziłem, żeście zdążyli rozwiązać sprawę, zanim mnie fatygowaliście. A tymczasem...

– Zapewniam was, że tak jest! – upierał się duchowny, znacznie zniżając głos. – Zapewniam was, nie mylę się. Wiem na pewno, że ona ukrywa pieniądze w tych murach.

– Gdyby tak było – człowiek z Awinionu posłał przeoryszy groźne spojrzenie – to by oznaczało, że nas okłamała.

Eudeline przybrała wyzywającą minę.

– Czyżbyście powątpiewali w moje słowa, Wasza Wielbność?

– Dobrodziejstwo powątpiewania nie należy do moich urzędowych powinności. – Banhac był u kresu wytrzymałości. – Każę przeszukać zbrojnym klasztor, a wtedy się przekonamy, kto ma rację.

– Jak śmiecie? – Wielbna matka aż spąsowiała. – Jeśli odważycie się wpuścić waszych zbrojnych pomiędzy moje zakonnice...

Prałat podniósł się bardzo niezdarnie i przytłoczył swą potężną posturą obecnych.

– Słuchałem tej kobiety aż nadto – oświadczył. – Ojczy Claret, wykonajcie moje polecenia.

Siostra Eudeline mogła już tylko bezsilnie się przyglądać poczynaniom dostojnego Banhaca. Oprowadzała go po pomieszczeniach klasztoru, gdy tymczasem zbrojni przetrząsali każdy kąt, nie bacząc na to, że wywołują skrępowanie u mniszek. Ojciec Claret towarzyszył im, z maską nerwowego

zakłopotania na twarzy, co i rusz obrzucając obecnych pełnym czystej nienawiści spojrzeniem.

Przeszukano wszystkie pomieszczenia bez wyjątku, nawet krytę. Prałat z Awinionu zostawił ją sobie na koniec z okrutną premedytacją, albowiem miał nieodparte przekonanie, że właśnie tam są ukryte pieniądze. Przeorysza trzymała się z boku, bez sprzeciwu podążając za mężczyznami szperającymi wśród paramentów i sprzętów przed freskiem przedstawiającym Świętą Balsamię. Zachowała wprawdzie kamienny wyraz twarzy, nie mogła się jednak powstrzymać, by nie zerkać na znajdujące się tam tajemne drzwi.

Nie uszło to uwagi prokuratora.

– Chwileczkę! – zawołał gromkim głosem, zbliżając się podejrzliwie do fresku pod ceglana arkadą. – W co też się wpatrujecie z takim uporem, wielbna matko? – Przesunąwszy palcami po ścianie, natrafił na małą klamkę.

Banhac natychmiast znalazł się obok niego.

– Otworzyć! – rozkazał.

Przeorysza westchnęła z rezygnacją i otworzyła ukryte za freskiem drzwi, po czym przepuściła niemile widzianych gości, aby mogli przejrzeć wnętrze.

Nisza była zupełnie pusta.

Obaj mężczyźni, stojąc tuż za progiem, ze zdumieniem lustrowali pomieszczenie.

– Mógłbym przysiąc... – wypnęło się ojcu Claretowi.

– Milczeć! – wykrzyknął wysłannik Awinionu, doprowadzony do ostateczności. – Już dość czasu zmarnowałem przez was na tę komedię.

Eudeline nie mogła się rozkoszować w pełni tym ulotnym zwycięstwem, ponieważ prałat wbił w nią wzrok.

– Co do was, matko przełożona, niech wam się nie wydaje, żeście górá! Jeśli nie za pomocą brzęczącej monety, to w inny sposób spłaciecie długi. Każę wam skonfiskować każdą piędź ziemi, jeżeli będzie to konieczne!

Eudeline cofnęła się raptownie oniemiała. Nie przypuszczała, że Kamera Apostolska może się w swej zachłanności posunąć aż tak daleko.

Banhac ściągnął wargi w sprośnym grymasie.

– Owszem, pani, zostaniecie bez ziemi. Nazwa rodu stanie się jedynym symbolem odróżniającym was od pospolitego plebsu.

– Nie posuniecie się tak daleko! – odparowała wojowniczo zakonnica. – Mój ojciec wziął krzyż w imię papieża i poległ w mauretańskiej Hiszpanii. Ponadto mój waleczny brat...

– A gdzie teraz są wasi paladyni? – szydził prokurator. – O ile nie zechcecie nam wyjawić, gdzie przebywa wasz brat, jego także będziemy zmuszeni uznać za martwego. A w takim razie...

– W takim razie nasza przeorysza zostanie ostatnią członkinią rodu

Rocheblanche'ów – wyłuszczył prałat – i nie zapobiegnie przejęciu swych lenn przez Kamerę Apostolską. – Popatrzył na nią z drwiącym uśmieszkiem. – Oczywiście, o ile brat nie wróci w cudowny sposób z zaświatów, żeby odzyskać do nich prawa.

Eudeline poczuła, jak po żołądku rozlewa jej się coś lodowatego i jadowitego. Nagle pojęła, że wpadła w zasadzkę. Kwestia długu okazała się pretekstem, aby zmusić ją do wyjawienia miejsca ukrywania się Maynarda. Zaciśnęła zęby, powstrzymując cisnący się na usta potok przekleństw. „Sprawiedliwości boska – pomyślała – gdzie teraz jesteś! Gdzie jesteś!” Mogła wszakże tylko patrzeć, jak ci podstępni ludzie opuszczają kryptę, i cieszyć się, że nie jest już narażona na kolejne zjadliwości.

Milcząc jak zaklęta, podążyła za nimi przez kościelną nawę, gdy zaś wyszli na zewnątrz, zaczekała, aż przekroczą klasztorne mury z zadowolonymi minami, jakby to miejsce należało do nich. Zniosła ów ostatni szyderczy gest, trzęsąc się z wściekłości, i dopiero w ostatniej chwili spostrzegła, że prokurator zatrzymał się, by ją pożegnać.

– Jeśli nie chcecie wszystkiego stracić – szepnął ze słodyczą – będziecie musieli zdradzić wasze tajemnice kardynałowi Bertrandowi du Pougetowi. – I zostawił ją samą, z gorzkim posmakiem żółci w ustach.

Siostra Eudeline, zdławiwszy krzyk, przełknęła ślinę i zawróciła w stronę dziedzińca. Przez chwilę, która wydała jej się wiecznością, stała nieruchomo wśród drzew i roślin leczniczych, z trudem powstrzymując łzy. Potem ruszyła ku wyschniętej studni, w której przed miesiącami znalazła zwłoki swej młodej koadiutorki.

„Pokój waszej duszy, cicha siostrze Claire”.

Pochyliła się nad cembrowiną i zajrzała w głąb, rozpoznając w cieniach kształty ciężkich skrzyń, które poleciła służbie tu ukryć przed oczami niepowołanych osób.

I wreszcie pozwoliła sobie na uśmiech zadowolenia.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W&NBSP;POMPOSIE

21 GRUDNIA

Zima pojawiła się nad Padem wraz z silnymi północnymi wiatrami, a mróz skuł ziemię tak mocno, że trzeba by ją rozłupywać. W ciągu kilku dni śnieg przysypał pola, lasy i szlak pielgrzymi biegnący wzdłuż brzegu, zmuszając pątników do szukania schronienia w pobliskich klasztorach i hospicjach. Wszelka działalność zamarła, a wioski między Ferrarą a morzem pogrążyły się w letargu. Jedyne spiżowe dzwony dawały znaki, że życie toczy się dalej, wybijając kolejne godziny w ciemne, niekończące się dni. Podczas gdy rodziny skupiały się wokół ciepła bijącego od ognisk, z lasów wychodziły wilki, jelenie i łasice, wkradając się do obejść – niemal pod same drzwi domów – w poszukiwaniu pożywienia. Nie tylko one wszakże cierpiały głód.

Brak jadła, jeszcze bardziej dojmujący z powodu zimna, doskwierał każdemu, w najgorszym położeniu zaś znaleźli się ci, którzy nie byli w stanie sami o siebie zadbać. Coraz częściej na skraju ludzkich osad, w miejscach wegetacji obszarpańców i wyrzutków, znajdowano trupy. Klasztory przeżywały oblężenie.

Na *insula Pomposie* gruba na trzy piędzi warstwa śniegu pokryła brzegi rzeki, tworząc złudzenie niemal niezmaconego spokoju. Wszelako zakłócały go nie tylko śpiewy mnichów. Ojciec Andrea, chcąc mieć baczenie na tłoczących się u drzwi żebraków, kazał ustawić pod dzwonnica otuloną słomą wiatę, w której zawsze płonął ogień. Jednak z obawy, że głód skłoni ich do przemocy, nakazał potroić liczbę pełniących wartę łuczników.

W owych świętych murach od jakichś dwóch miesięcy gościł Robert de Vermandois. Po wydarzeniach w Ferrarze uznał, że to najodpowiedniejsza kryjówka, chociaż pragnął jak najprędzej przystąpić do działania. Powrót do miasta tuż po ataku na pałac biskupi na nic się nie zdał. Dowiedział się jedynie, że po zabiciu Orsiniego Maynard został otoczony i wsadzony do więzienia przez żołnierzy markiza.

Pikardyjski baron strawił długie tygodnie, obmyślając sposób uwolnienia przyjaciela, gdyż lękał się, że może skończyć na szubienicy. Chcąc się czegoś dowiedzieć, dwa razy zapuścił się potajemnie do Ferrary, by zorientować się w jego położeniu.

Rocheblanche nadal pozostawał przy życiu, trzymano go w lochach Pałacu Signorii. Robert krążył wokół budowli całe popołudnie, dumając, jak mógłby

pomóc mu w ucieczce. Zapisał w pamięci każde drzwi i okno, wysokość murów, blanki i pozycje straży. Nie zauważył jednak niczego, co zdołałoby go natchnąć.

Aż do tego dnia.

Obudzony przez dzwony, opuścił dom gościnny, aby przynieść drewna. Z powodu chłodu wrócił po płaszcz, po czym udał się na dziedziniec, brodząc po kolana w śniegu.

W nocy gwałtowna zamieć pobieliła dach opactwa i schody aż do samego portalu. Vermandois natknął się na wychodzących na zewnątrz zakonników. Właśnie skończyła się tercja, toteż ojciec Andrea prowadził współbraci ku krużgankowi.

Robert skinął głową na powitanie, usilnie starając się okazać szacunek opatowi, który jednak nie przypadł mu do gustu. Wprawdzie pozwolił mu zamieszkać w klasztorze, wszelako zbyt mocno palił się do przywiezionych przez niego z Francji pieniędzy. Pikardyjczyk musiał mu wielokrotnie powtarzać, że dopóki Maynard nie wyjdzie na wolność, nie zostanie wydany ani jeden floren.

Patrzył, jak wielebny ojciec oddala się na czele zziębniętych mnichów, utkwivszy wzrok w jego uroczystej śnieżnobiałej szacie, przez którą przewieszona była czarna stuła, noszona w okresie Adwentu¹⁰. I nagle doznał olśnienia.

Zastygł w bezruchu, nie bacząc na mroźne powietrze poranka, a w jego głowie krystalizowała się pewna myśl. Było za wcześnie, by mówić o planie, ale może po wprowadzeniu określonych poprawek...

Opuściwszy *Palatium Abbatiss*, Gualtiero natarł sobie śniegiem twarz, aby ulżyć oczom. Pracował niezmiernie w skrypcorium nad miriadami ksiąg i miniatur o religijnej bądź laickiej treści. Postanowił wprawdzie, że nie przywdzieje zakonnego habitu, ale ojciec Andrea zezwolił mu na pozostanie w Pomposie do czasu, gdy nie wyruszy na poszukiwania matki. Młodzieniec zdawał sobie sprawę, że zwodzi go, ociągając się, nie chciał jednak wyjeżdżać, dopóki nie pozna losu Maynarda. Ponadto cierpiał na myśl, że oddali się od Isabeau.

Poczuwszy śnieg, aż krzyknął z radości, ale ledwie otworzył oczy, zasępił się.

Właśnie szedł ku niemu rozgorączkowany Robert de Vermandois.

– Chłopcze – zawołał gromkim głosem – musicie mnie wysłuchać!

Gualtiero spostrzegł, że ma na sobie szaty podróżne, łącznie z grubym skórzanym pasem, przy którym nosił sztylet.

– W czym rzecz? – zapytał.

Pikardyjczyk położył mu dłoń na ramieniu i pochylił się nad nim.

– Chyba wiem, jak ocalić Rocheblanche'a – wyszeptał mu do ucha. – Potrzebna mi wasza pomoc.

FERRARA, WIĘZIENIE W&NBSP;PALACU SIGNORII**23 GRUDNIA**

Maynard usłyszał kroki strażnika zbliżającego się do celi, następnie zgrzyt zawiasów, po czym oślepiło go światło kaganka. Nie zaprzętał sobie jednak głowy mężczyzną stojącym w progu, mrużąc oczy w obronie przed bolesnym rozszerzeniem źrenic. I tak nie warto było stawiać oporu. Kajdany na rękach uniemożliwiały mu jakikolwiek ruch. Nie pamiętał, od jak dawna gnił w tym brudnym lochu. Od tygodnia, może od miesiąca. Jeśli człowiek jest skazany wyłącznie na własne myśli, odróżnienie czuwania od pełnego majaków snu staje się mozolnym przedsięwzięciem.

Rycerz nie utracił jednak swej dumy. Gdy tylko oswoił się ze światłem, odsunął dłoń od twarzy i się podniósł. Wtedy pojął, że nie ma przed sobą zwykłego strażnika.

W celi stał markiz d'Este, przyświecając sobie kagankiem.

– Ciągłe nie mogę w to uwierzyć – oznajmił ze wzgardą. – Wyhodowałem żmiję na własnym łonie.

Rocheblanche zignorował jego słowa.

– Wasza Wysokość, byłem ciekaw, kiedy mnie odwiedzicie.

– Zatrzymały mnie nudne obowiązki – rzekł markiz. – Ale teraz jestem tutaj i patrzę ze zdumieniem na twarz człowieka, którego kazałem zakuć w łańcuchy.

Daleki od okazania skruchy rycerz tylko skinął głową.

– Jeśli zawiodłem wasze zaufanie, to dla słusznej sprawy.

– Słusznej sprawy? – wybuchnął Obizzo. – Co mogłoby usprawiedliwić rzeź widama i jego zbrojnych?

– Nie był prawym człowiekiem, za jakiego go uważaliście.

– Zważajcie na to, co mówicie, messer. Superanzio Orsini działał w służbie Ferrary, był moim wiernym przyjacielem.

– Był jadowitym wężem – sprostował Maynard, przeciwstawiając się jego wzburzeniu. – Zdradziłby każdego, was także, byleby osiągnąć swój cel. Nie posiadam dowodów, ale miał konszachty z Faciem di Malaspina i może nawet to on go zabił.

– Facio di Malaspina. – Markiz wypowiedział te słowa, jakby wypluwał błoto. – Oto imię kolejnego pasożyta. Omotał mojego brata, wiecie o tym? Odkąd Rinaldo usłyszał od niego o owej sławetnej księżce, nie był już tym samym

człowiekiem.

– Macie na myśli *Codex Millenarius*?

Obizzo przytaknął, uśmiechając się złowieszczo.

– Was też dopadła ta sama gorączka, doskonale o tym wiem. Zrozumiałem to w dniu, kiedyśmy się pojedynkowali na oczach mego syna na dziedzińcu. Tylko że wówczas nie uważałem was za wroga. – Przysunął kaganek do jego twarzy. – Lecz co do jednego się mylicie, messer.

Rocheblanche czekał w milczeniu na słowa markiza.

– To ja zabiłem Malaspinę – wyjął Obizzo i zaśmiał się okrutnie. – Naprawdę sądziliście, że jesteście sprytniejsi ode mnie? Od dawna znałem jego zamiary usidlenia widama, wyszedłem go więc i osobiście przybiłem mu ten pyszałkowaty język, aby przestał wreszcie zatruwać wszystkich swym groźnym szaleństwem.

Wyznanie było zbyt nieoczekiwane, by Maynard zdołał ukryć zdumienie. Stłumiwszy okrzyk niedowierzania, pomyślał ze zgrozą, że nie wiadomo, ile tajemnic ojca Facia zna markiz.

– Po co było go mordować, skoro moglibyście kazać go stracić?

– Oddając go pod sąd Rady Dwunastu Mędrców? Nigdy! Ten łotr skorzystałby ze sposobności, by obwieścić wszystkim zaciekawienie Rinalda jego heretyckimi doktrynami, okrywając hańbą ród Estów. Jak sądzicie, dlaczego ofiarowałem mu schronienie? To był jedyny sposób, żeby nie ugiąć się przed jego pogroźkami.

– Teraz pojmuję, Wasza Wysokość, chociaż w jednej kwestii się mylicie: w tajemnicach ojca Facia nie ma śladu herezji.

– A co wy o tym wiecie? Nawet nie wyobrażacie sobie, jaką pułapkę skrywają karty tej jego przeklętej księgi!

Maynard po raz pierwszy wyczuł w głosie markiza lęk. Jego twarz musiała wyrażać tak wielkie zaciekawienie, że Obizzo rzekł ze smutnym gestem rezygnacji:

– Już raz moja rodzina doznała prześladowań ze strony inkwizycji. I przysięgam na Boga, że to się więcej nie powtórzy.

– Powinniście mi być zatem wdzięczni – próbował się wykupić od kary Rocheblanche. – Z czasem Superanzio Orsini okazałby się jeszcze bardziej podstępny niż Malaspina.

– On także poszukiwał *Lapis exilii*? – odparł uszczypliwie Obizzo.

– Wiadomo wam i o tym!

– Już mówiłem – odrzekł szlachcic – że mój brat był opętany herezjami ojca Facia. Do tego stopnia, że kazał mu odnaleźć *Lapis exilii* i pozostałe dwie relikwie. – Machnął z rozdrażnieniem ręką. – Ni mniej, ni więcej tylko relikwie Chrystusa! Coś podobnego! Ten nieszczęsny mnich go posłuchał i natychmiast wybrał się w podróż do Francji. Zresztą po utracie stanowiska opata najwyraźniej tylko na to

czekał!

Dla Rocheblanche'a był to kolejny bolesny cios. W jednej chwili pojął, co wywołało lawinę zdarzeń, w które sam został wciągnięty. Jeśli pogwałcono tajemnicę Mont-Fleur, a pogłoski o *Lapis exilii* dotarły do uszu Bertranda du Pougeta i Jana Ślepego, winę za to ponosił właśnie Malaspina.

– Nie jestem ojcem Faciem ani tym bardziej Orsinim – wykrzyknął odruchowo. – Nie stanowią dla was żadnego zagrożenia.

– Doskonale o tym wiem, możecie być pewni. – Oczy Obizza wpatrywały się weń niczym posepni strażnicy. – Gdyby chodziło o śmierć widama, wasza głowa już zdobiłaby grot włóczni. Nie, messer, nie z tego powodu każę wam gnić w lochu. Wina, która powoduje, że jednak utrzymuję was przy życiu, jest o wiele cięższa i dotyczy bezpośrednio mojej osoby.

Maynard podszedł bliżej, dzwoniąc łańcuchami.

– Nie wiem, w jaki sposób mogłem obrazić Waszą Wysokość.

Wykrzywione, bezlitosne oblicze markiza wyglądało jak maska.

– Skoro w pałacu jest tyle niewiast, dlaczego akurat matka moich dzieci? – zapytał i przysuwając się raptownie, rąbnął go pięścią.

Rocheblanche runął na ziemię.

– Co powiecie teraz na swoje usprawiedliwienie? – zapytał groźnie markiz, którego rozsadzała wściekłość. – Widziano was, do licha! Mój sługa widział was w pałacu! Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki noszę ciężar wstydu. Doprawdy nawet sobie nie wyobrażacie, mój panie... Ale zapłacicie mi za to! Zapłacicie za wszystko!

Francuz nadal leżał, niezdolny wykrztusić słowa.

Oszalały z zazdrości Obizzo zwrócił się ku wyjściu, przystanął jednak na chwilę w drzwiach.

– Nie poniesiecie kary od razu i na pewno nie z zachowaniem względów należnych waszej randze. Nie, Rocheblanche, nie skażę was na śmierć z honorami.

– Roześmiał się grubiańsko. – Wraz z początkiem nowego roku zaprowadzą was na rynek i wykastrują na szafocie. Ku uciesze mojej i ludu.

Powiedziawszy to, markiz d'Este uwolnił go od swego widoku. I zabrał ostatni promyk światła.

FERRARA, BURGUS NOVUS**25 GRUDNIA**

Ogromne anielskie skrzydła pokryte piórami z jedwabiu i brokatu wystawały z tyłu wozu, falując wśród gęstych płatków śniegu. Gualtiero z Robertem de Vermandois podążał za nimi wzdłuż fosy Gorgondello, oddzielającej nowe przedmieście od katedry. Siedząc na grzbiecie muła, w płaszczach z workowego płótna doskonale wtapiali się w gromadę wędrownych kuglarzy, śpiewaków i aktorów, którzy tego wieczoru mieli odgrywać na rynku narodzenie Chrystusa.

Na ich widok nadbiegał tłum, oczarowany siedzącymi na wozach zuchwałymi aktorami, mieniącymi się odcieniami czerwieni, czując już przedsmak obiecanego przez markiza przedstawienia. Przez chwilę młody de' Bruni wyobrażał sobie, czego doświadczała Isabeau w ciągu swej włóczęgi, i to nim wstrząsnęło. Na twarzach ludzi dostrzegał nie tylko ciekawość. Za grymasami podniecenia kryła się wrogość, niemal lęk przed tymi, którzy przybyli po to, by choć na chwilę urozmaicić monotonię ich życia.

Karawana wozów podjechała do tylnej bramy Pałacu Signorii, wiodącej na dziedziniec, w pobliżu stajni. Tam kompania mogła przebywać do przedstawienia, gdy tymczasem pośrodku rynku wznoszono scenę.

Wszystko szło jak po maśle. Z początku Gualtiero uznał plan Roberta za niebezpieczny, wszelako była to jedyna realna sposobność ocalenia messor Maynarda. Vermandois pokładał w nim wielkie nadzieje. O ile pomysł, by zakraść się do pałacu, korzystając z bożonarodzeniowego zgiełku, powstał w jego głowie, o tyle napotkanie wędrownej trupy należało potraktować jako szczęśliwy przypadek.

– Boska pomoc – skwitował Pikardyjczyk.

„Albo zwodzenie Szatana” – miał ochotę dodać chłopiec.

Wmieszali się w ciżbę aktorów, którzy przymierzali kostiumy, malowali się bądź stroili instrumenty, jednocześnie mając na wszystko baczenie. Wewnętrzne pomieszczenia były słabiej pilnowane, w dodatku Robert przewidywał, że liczba straży zmaleje jeszcze po zmierzchu, gdy wartownicy wysypią się na rynek, aby mieć na oku świętującą gawiedź. Wtedy najważniejszą kwestią będzie ochrona rodziny markiza i wszystkich wysoko postawionych osób, przybyłych, by obejrzeć widowisko.

– Wtedy ja zejść do lochów – oznajmił Pikardyjczyk. – I poszukam

Rocheblanche'a.

– Mógłbym się wam przydać – podsunął młodzieniec. – Na pewno w podziemiach nadziejecie się na strażę.

– Na zewnątrz będzie z was większy pożytek. – Vermandois wskazał miejsce na uboczu, gdzie mury oddzielały dziedziniec od ulicy. Sięgały na wysokość niemal dwóch ludzi i z pomocą liny albo drabiny sznurowej można by je było z łatwością pokonać. – Musicie znaleźć sposób, żeby przez nie przejść.

Gualtiero zgodził się, starając się nie myśleć o tym, co by się z nim stało, gdyby go przyłapano.

– Musicie być gotowi, kiedy wrócę z naszym przyjacielem.

Wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami. Gdy tylko aktorzy i komedianci wylegli na ulicę, aby rozpocząć przedstawienie, Gualtiero i Vermandois ukryli się pod jednym z wozów, czekając, aż wszystkie stráže opuszczą dziedziniec. Potem się rozdzielili.

– Bądźcie ostrożni – powiedział Pikardyjczyk.

Młodzieniec patrzył, jak ten rycerz o herkulesowej posturze oddala się w głąb pogrążonego w mroku ogrodu, a następnie znika w podcieniach przylegających do pałacowych komnat. Został sam, co kazało mu zwiększyć czujność.

Pewien, że wśród pozostawionych bez opieki teatralnych rekwizytów znajdzie przybory niezbędne do sforsowania muru, przeszukiwał po kolei wozy aktorów. Bardzo szybko przekonał się, że całkowicie je opróżniono. Każdy przedmiot był przydatny do budowy sceny. Nie znalazł ani jednego kawałka liny i żadnej tyczki.

Rozejrzał się w popłochu. Na całym dziedzińcu nie dawało się znaleźć niczego użytecznego, a wśliźnięcie się do pałacu w celu zdobycia potrzebnych przedmiotów wydawało się zbyt niebezpieczne. A przecież musiał jakoś temu zaradzić.

Zaczął się znów wpatrywać w mur. Miał wysokość dwóch ludzi, może nieco mniejszą. Wystarczyłoby się trochę wspiąć, ucześcić się krawędzi, następnie wdrapać na górę i zeskoczyć po drugiej stronie.

Przedsięwzięcie proste i zarazem niewykonalne.

Wtem usłyszał jakieś głosy, pobiegł więc w kierunku stajni i ledwie zdążył się schować przed pojawieniem się dwóch strażników. Zaczekał, aż go miną, ukryty za żłobem pełnym obroku, po czym znów wychynął z cienia.

Strach narastał, uniemożliwiając mu rozumowanie.

„Albo weźmiesz się w garść – nakazał sobie – albo gdy wróci Vermandois, zostaniecie uwięzieni”.

Aż podskoczył na dźwięk rżenia.

Spojrzał na zaprzężone do wozu konie i ogarnął go spokój. Chwilowo nie

istniało żadne zagrożenie. Jakaś niejasna myśl nie pozwalała mu oderwać wzroku od zwierząt.

I znalazł rozwiązanie!

Vermandois wkrótce powrócił. Utykając, wyłonił się ze spowitych mrokiem podcieni. Kiedy o mało nie runął do tyłu, jakaś postać pojawiła się za jego plecami i go podtrzymała. Rozpoznawszy ją, Gualtiero zasłonił dłonią usta, aby nie krzyknąć ze zdumienia. Dał im znak ręką i podbiegł do obu mężczyzn.

– Messer Maynard! – szepnął radośnie. – Jesteście cali...

Rycerz posuwał się naprzód, trzymając pod ramię Roberta.

– Pomóżcie mi go wesprzeć – polecił chłopcu. – Jest ranny w nogę.

– Nic poważnego – burknął Pikardyjczyk.

Gualtiero pomógł im dotrzeć do muru.

– Jak przedostaniemy się na drugą stronę? – zapytał zasapany Rocheblanche. Miał powalane szaty i długą, zmierzwioną brodę, ale śmiało rozglądał się dokoła.

Młodzieniec, prosząc o cierpliwość, oddalił się szybko. Po chwili ukazał się, prowadząc osiodłanego konia. Ustawwszy zwierzę pod murem, wyjaśnił:

– Musimy wdrapać się na siodło. W ten sposób znajdziemy się dostatecznie wysoko, żeby przeskoczyć przez mur.

– Dobrze – orzekł Maynard. – Ale Robert...

Vermandois wypluł przekleństwo.

– Dam sobie radę, do kroćset!

Przystąpili do działania.

54

FERRARA, WYSPA ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

Boże Narodzenie każdego roku napełniało ją smutkiem. Był to okres, który przywoływał intensywniej wspomnienia ojca. Oczyma duszy widziała, jak popisuje się na placach czy przed kościołami, oklaskiwany przez tłum. Jego niesamowite akrobacje i radosna pasja, która nie opuszczała go aż do końca, nadal napawały ją dumą.

Isabeau nie podzielała entuzjazmu, jakie budziło to święto, przypadające na najzimniejszą porę roku, kiedy ludzie umierali z głodu i zimna. Było oczywiste, że żadna z zakonnice od Świętego Antoniego nic nie wiedziała o trudach wędrownego życia ani o lęku przed podróżowaniem wśród wichrów przez ośnieżone bory pełne wilków. Klauzura zabraniała poznawania tego – zabraniała poznawania wszystkiego, co jest niejako esencją świata; była niczym pogrążone w ciszy więzienie, w którym wystarczy zachować posłuszeństwo, a wszystko będzie toczyło się jak najlepiej. Dziewczyna nienawidziła jej z całego serca.

Chociaż gorąco pragnęła wolności, tej nocy musiała poprzestać na wymknięciu się z dormitorium i samotnej przechadzce po ogrodzie, wsłuchując się w skrzypienie własnych kroków na śniegu. Jej jedyną przyjemnością w tym miejscu było słuchanie szumu Padu, który zdawał się nasilać po zmierzchu.

Zaczęła nasłuchiwać, podążając ku nagiej koronie ogromnej wiśni. Mimo szczypiącego zimna zapragnęła wtulić się w jej korzenie, zamknąć oczy i o niczym nie myśleć. Była znużona czekaniem. Znużona troską o Maynarda i Gualtiera. Tęskniła za nimi, aczkolwiek za każdym z nich inaczej.

Aż podskoczyła na widok otulonej płaszczem postaci, przypomniał jej się bowiem zbir, który wyłonił się z dymu, by ją uprowadzić. Zanim wszakże zdążyła krzyknąć, rozpoznała głos ukochanego.

– Nie sądziłem, że tak łatwo można przedostać się do klasztoru.

Isabeau podbiegła do niego, objęła go i ucałowała.

– Dlaczego kazałeś mi tak długo na siebie czekać? – zapytała z wyrzutem. – Gdzie się podziewałeś?

Gualtiero dał jej kolejnego całusa i się uśmiechnął.

– Uwolniliśmy messer Maynarda.

Na te słowa przytuliła go jeszcze mocniej.

– Gdzie teraz jest?

– Z messer Robertem udał się do Pomposy. Będzie się tam ukrywał, dopóki nie poczyni dalszych planów.

– Przecież to pierwsze miejsce, gdzie będą go szukać! – zauważyła Isabeau.

Młodzieniec spoważniał.

– Musi się pilnie rozmówić z ojcem Andream. – Poglądził ją po twarzy uspokajającym gestem. – Nie bój się, nikt nie zdoła go skrzywdzić za tamtymi murami.

Isabeau chwyciła go za rękę, która okazała się lodowata.

– A ty?

– Ja zboczyłem z drogi, żeby cię zobaczyć.

– Zbrojni markiza pewnie cię szukają.

– Nikt mnie nie podejrzewa.

Skinęła głową. Była szczęśliwa, choć zdawała sobie sprawę, że nie może przeciągać tej chwili. Splotła palce z jego palcami, zachęcając, by poszedł za nią.

– Chcę ci coś pokazać.

Klasztor Świętego Antoniego był pusty, migotały w nim płomienie setek świec. Gdy Gualtiero przekroczył próg, poczuł ciepło.

– Nie mogę tu wchodzić – wyszeptał.

– Teraz nikogo nie ma. – Isabeau ruszyła w głąb nawy. – Wszystkie zakonnice śpią.

– Wszystkie oprócz jednej – zażartował młodzieniec, przysuwając się bliżej.

– Ja nie jestem zakonnica – odparła. – I nigdy nie będę.

Gualtiero już jej wszakże nie słuchał. Jego uwagę zdążyły przykuć freski wzdłuż ścian chóru, które były ilustracją *Biblii pauperum*. Przyjrzał się kaplicy po prawej stronie, gdzie ukazano sceny Męki Pańskiej oraz Jana Chrzciciela wraz z Janem Apostołem. Następnie spojrział na drugą stronę kaplicy, odkrywając sceny z dzieciństwa Jezusa.

Studiował proste, lecz zdecydowane pociągnięcia pędzla pracujących w tych murach malarzy, z których ostatni musiał tu gościć niezbyt dawno, sądząc po żywych barwach części fresków. Urzekł go w szczególności uścisk Maryi i Elżbiety, a także scena Ucieczki z Egiptu, podczas której Dzieciątko Jezus ukazane zostało osobliwie w ramionach Świętego Józefa, namalowanego na podobieństwo Świętego Krzysztofa.

Isabeau przeczesła mu palcami włosy.

– Wiedziałam, że ci się spodoba.

Przytaknął, rozdarty między podziwem a dumą.

– Pewnego dnia ja też stworzę tego rodzaju dzieło. I będzie większe, bardziej świetliste od tego.

– Nie masz innych planów na przyszłość? – zapytała, kładąc mu głowę na ramieniu.

Gualtiero westchnął. Doskonale wiedział, o czym dziewczyna myśli, i przez chwilę pragnął ją zadowolić, mówiąc to, co by chciała usłyszeć. Zdał sobie jednak sprawę, że nie może tego uczynić. Spuścił oczy, unikając jej wzroku.

Rozgniewał tym Isabeau.

– Nie myślisz o mnie?

– Najpierw muszę odnaleźć matkę. Zrozumieć, kim jestem.

– Pojadę z tobą.

– Nie. – Odsunął się i zbliżył do pulpitu. – Naraziłbym cię na niebezpieczeństwo.

– Mów sobie, co chcesz – odparowała Isabeau. – I tak za tobą pójdę.

Każde jej słowo było jak słodki cios sztyletem. Gualtiero próbował uspokoić kłębiące się w sercu uczucia, lecz nadmiar trosk, nadmiar myśli sprawiał, że nie potrafił tego zrobić.

– Nie jestem pewien, co do ciebie czuję.

Dziewczyna wpatrywała się weń bez ruchu. Wokół migotało tylko światło świec.

– Kłamca. – Stanęła przed nim i jęła całować go namiętnie dopóty, dopóki jego dłonie nie ześliznęły się na jej biodra. – Kłamca.

Obaj kompani podążali na koniach ku Pomposie, a na spotkanie im spod nieustannie sypiącego śniegu ledwie przenikał szarawy brzask. Pomimo mrozu Maynard radował się, że znów może oddychać świeżym powietrzem i mieć nad sobą niebo. Myśl, że został uwolniony akurat w noc narodzenia Zbawiciela, sprawiała, iż chwila ta wydawała mu się jeszcze bardziej wyjątkowa. Gdy tylko opuścili mury Ferrary, przekonał Roberta, aby wrócili do opactwa, przeciwstawiając jego przestrogom swoje racje, to jest konieczność rozmówienia się z ojcem Andrea. Chciał się czegoś dowiedzieć na temat znalezionej przez opata księgi, miał bowiem nadzieję, że odkryje w niej jakiś ślad *Lapis exilii* i kryjówki, w której ojciec Facio schował relikwie skradzione z Mont-Fleur.

Z pewnością nie potrzebował ostrzeżeń Pikardyjczyka, by wiedzieć, że Obizzo zacznie go szukać właśnie na *Insula Pomposiae*, ale trudno by mu było też opuścić te ziemie, gdyby nie zdemaskował przedtem tajemniczego zausznika Superanzia Orsiniego. Kłuiła go nieznośnie myśl, że ktoś mógł poznać jego tajemnice i powiadomić o nich kardynała du Pougeta.

Pocieszało go jedynie to, że Isabeau jest cała i zdrowa i że on również znajdzie w opactwie schronienie. Skoro ojciec Andrea zamierzał położyć rękę na jego sześcuset florenach, będzie musiał go obronić przed markizem Ferrary.

Gdy wielmożna Lippa Ariosti usiadła na posłaniu, na posadzkę upadła *Vita Merlini*, którą położyła przed zaśnięciem przy wezglowiu. Usłyszała zbliżające się kroki, których władczy rytm nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kim jest nadchodząca osoba. Spokojnie czekała, poprawiając włosy i nocną szatę. Jego Wysokość dawno już jej nie odwiedzał, ale może głęboki dekolt, zademonstrowany przy wieczerzy wigilijnej, rozbudził w nim na nowo żądzę. Tak czy inaczej, pora była osobliwa. Sądząc po szarym świetle przenikającym przez okno, świtało.

Usłyszała, że ktoś przystaje przed wejściem, a potem wzdycha ciężko, niemal grobowo. I ku jej zaskoczeniu bardzo długo zwleka z wejściem.

– Mój panie? – zapytała, wstając.

Nie odpowiedział.

A przecież stał tam, za drzwiami. Była tego pewna, podobnie jak tego, że owo milczenie nie zapowiada nic dobrego. Kładąc kres wahaniom, pobięła otworzyć.

Twarz Obizza przeraziła ją. Zastygła w osobliwym grymasie, była jak maska, która zaraz ma popękać.

– Mój panie – powtórzyła Lippa, wpuszczając go do środka.

Odepchnął ją tak mocno, że wpadła na wielkie srebrne zwierciadło.

– Uciekł! – krzyknął.

– K... Kto? – wyjąkała dama.

Markiz zatrzasnął drzwi i ruszył przed siebie.

– Rocheblanche!

Lippa Ariosti przywarła do ściany.

– Nie pojmuję...

Rozwścieczony Obizzo chwycił ją za szyję. Jego czarne źrenice przypominały studnie bez dna.

– To wasza sprawka? – zapytał oskarżycielskim tonem. – Wysłaliście sługę, żeby mu pomógł?

– Przysięgam, że nie...

– Jak więc to zrobił? – Obizzo odsunął ją szorstko i wyładował gniew na krzesło, łamiąc je na kawałki. – Zabił dwóch strażników i rozpląnął się w powietrzu!

Lippa umknęła w bok, poza zasięg jego rąk. Nader rzadko widywała go w takim stanie, doskonale jednak wiedziała, do czego ten małomówny mężczyzna jest zdolny w przyływie gniewu.

– Dlaczego przychodzicie właśnie do mnie i mi o tym mówicie?

– Ponieważ wiem, że do niego wdychacie! – Zadowolony, widząc, że drży, podszedł do niej już bardziej opanowany. – Przyglądałem się bez słowa waszej grze spojrzeń i milczałem. Owszem, udawałem, że nic nie wiem, nawet wtedy, gdy opowiedziano mi o waszej wizycie w jego komnatach.

– Kłamstwo – broniła się niewiasta, odzyskując odrobinę równowagi.

Obizzo zmierzył ją wzrokiem pełnym nieufności.

– Poderżnąłem gardło pachotkowi, który mnie o tym powiadomił, aby nie wyjawiał tego nikomu innemu. Ale wy... Wy... – Podniósł pięść gotów ją uderzyć.

– Nie ośmielcie się! – syknęła Lippa.

Jego Wysokość zaśmiał się grubiańsko z pięścią zastygłą w pół drogi.

– Och, skoro o tym mowa, od dawna już się nie ośmielam – zadrwił bez zjadliwości. – A przecież nigdy ci niczego nie odmawiałem, głupia wywłoko.

Wprawdzie Lippa Ariosti zdawała sobie sprawę, że jego złość wywołała nie zazdrość, lecz zraniona duma, zrezygnowała wszakże z obrony i zdobyła się na odwagę, by zapytać wyzywająco:

– Jesteście pewni, Wasza Wysokość?

Zbity z tropu markiz rozważał przez chwilę jej słowa.

– Nie pojąłem was za żonę, to prawda. I cóż z tego? Już raz miałem żonę, która uprzykrzyła mi życie!

– Jeżeli nie dla mnie, powinniście to uczynić przynajmniej dla waszych dzieci.

– Dla moich bękartów – szydził. – Jesteście pewni, że wszystkie są moje?

Tego było dla Lippy doprawdy za wiele. Rozpalona oburzeniem dźgnęła go palcem.

– Samiście bękart! – Czerpała przez chwilę zadowolenie, widząc upokorzenie i zaskoczenie człowieka, który był w stanie siać trwogę w całej Ferrarze. Pod wpływem pokusy, by przedłużyć owo ulotne zwycięstwo, wykrzywiła wargi w kpiącym uśmiešku. – Bóg mi świadkiem, że jeśli szukałam rozkoszy w ramionach innego mężczyzny, to dlatego, że wy...

– Milczeć! – Doprowadzony do białej gorączki Obizzo zaatakował ją. Zanim uzmysłowił sobie własną reakcję, zauważył, że słowa pogardy Lippy Ariosti przechodzą w charkot. – Milczeć – powtórzył cichym głosem.

Rzuciwszy mu spojrzenie, w którym nie było przebaczenia, zacisnęła palce na jego prawej dłoni. I wepchnęła głębiej ostrze wbite w swój brzuch.

OPACTWO W POMPOSIE, PALATIUM ABBATIS

26 GRUDNIA

– Musicie odpocząć, messer – stwierdził ojciec Andrea, zamykając drzwi. – Wyglądacie na wyczerpanego.

Rocheblanche przystanął pośrodku pracowni.

– Później pozwolę sobie na kilka godzin snu – rzekł ostrożnie. – O ile nadal zechcecie udzielać mi gościny w waszym klasztorze.

Opat zajął miejsce za pulpitem i zachęcił go, by usiadł naprzeciwko. Każdy jego ruch zdradzał zdenerwowanie, nie było w nim wszakże nieuprzejmości.

– Ma się rozumieć – mruknął.

– Nie ukrywam, że może to dla was oznaczać niebezpieczeństwo – poczuł się w obowiązku wyjaśnić rycerz.

– W końcu jestem w to wplątany – westchnął zakonnik. – Ludzie Obizza III przyjadą was tutaj szukać bez względu na to, czy tu będziecie, czy nie. To tylko kwestia czasu.

– Jednakże gdyby mnie znaleźli...

– Nie znajdą – uspokoił go wielebny ojciec. – Ani was, ani waszego towarzysza broni. Będziecie przebywać w krypcie, z dala od ciekawskich spojrzeń.

Wyraźnie ucieszony Maynard nie dostrzegł w jego zachowaniu ani śladu fałszu czy wahania.

– Jestem waszym dłużnikiem.

Andrea rozłożył ręce.

– Spłaciliście wasz dług z nawiązką – oznajmił, wskazując stojącą w kącie izby szkatułkę. – Przynajmniej wobec mnie.

– Co macie na myśli?

– Wasze sumienie, messer.

Rycerz wzruszył ramionami.

– Jeżeli młody de' Bruni wspomniał wam...

– Opisał mi *dokładnie* wasz karygodny postępek. – Nagle opat przybrał postawę pełną przygany. – Człowiek tak prawy jak wy, rycerz... Jak mogliście urządzić rzeź wśród sług Kościoła?

– Wśród wilków w owczej skórze – odparował Rocheblanche. – Skoro z powodu ich uśmiercenia będę musiał trafić do piekła, trudno. Ale nie pozwolę, by łąjał mnie ktoś, kto nigdy nie miał w ręce broni, aby walczyć z niegodziwcami.

Zakonnik uśmiechnął się gorzko.

– Honor nade wszystko, mam rację?

– Macie rację, ojcie. – Francuz pogładził długą brodę, która pozostała mu po pobycie w więzieniu. – A teraz, jeśli pozwolicie, przejdźmy do prawdziwego powodu mojej obecności w Pomposie. Gualtiero przekazał mi waszą wiadomość.

Oczy Andrei rozbłyły na chwilę.

– Księga.

– Owszem, *Codex Millenarius*. Naprawdę go odnaleźliście?

– Był ukryty w pulpicie należącym do ojca Facia. Gdyby nie zawartość tego manuskryptu, podziękowałbym Panu, że mną pokierował, gdym go szukał.

Maynard wyciągnął ku niemu dłoń.

– Pokażcie mi go, proszę.

Przewyciężywszy instynktowną niechęć, opat wstał i otworzył *armarium* znajdujące się po jego prawej stronie.

– Na nic wam się nie zda, uprzedzam.

– Pozwólcie, że to ja zdecyduję – nalegał rycerz.

Andrea pokiwał głową z rezygnacją, po czym podał mu oprawiony w skórę kodeks.

– Prawdziwy tytuł nie pojawia się na jego kartach – wyjaśnił, podczas gdy Rocheblanche ważył w dłoni księgę z miną pełną nadziei. – Napisano go po łacinie i na pierwszy rzut oka można go wziąć za zbiór urywków z Ewangelii. Jednakże po dokładniejszym badaniu widać w nim jakieś szaleństwo.

Na dźwięk tych słów rycerz podniósł wzrok.

– Przeczytaliście go?

– Po prawdzie wielokrotnie – wyznał opat. – Autor zowie się Flegetanis. Najważniejsze zagadnienie jego dzieła dotyczy pewnego bardzo starego, świętego tekstu, który wpadł w ręce Józefa z Arymatei.

Rocheblanche był poruszony.

– Macie na myśli człowieka, który złożył ciało naszego Pana do grobu?

– Owszem, właśnie jego. Józefa, zamożnego członka Sanhedrynu, a także ucznia Jezusa.

– I co was przeraża?

Głęboko zasepiony zakonnik usiadł z powrotem i ścisnął dłońmi skronie.

– Pytacie, co mnie przeraża? – Roześmiał się nerwowo. – Otóż według Flegetanisa święty tekst będący w posiadaniu Józefa z Arymatei został napisany przez Jezusa Chrystusa na krótko przed ukrzyżowaniem.

Niezdolny zapanować nad wzburzeniem Maynard zerwał się z miejsca i jął krążyć w kółko niczym wilk w klatce. Przypomniała mu się ascetyczna twarz opata Manessiera, tego, który wysłał go do Pomposy, nie wyjawiawszy niczego na temat relikwii skradzionych przez ojca Facia. Tymczasem teraz wysłuchuje opowieści

o świadectwie napisanym przez Syna Bożego! Przycisnął do piersi *Codex Millenarius*.

– Czy Flegetanis podaje, gdzie można znaleźć ów tekst?

Andrea pokręcił głową.

– Twierdzi tylko, że powierzono go Józefowi z Arymatei wraz z kielichem z ostatniej wieczerzy i grotem włóczni Longinusa. Utrzymuje też, że Józef wrył każde swoje słowo w pewnym mistycznym kamieniu, aby nigdy o nich nie zapomniano.

– W mistycznym kamieniu...

– Zwie go *Lapis exilii*.

Nazwa ta odbiła się w umyśle Rocheblanche'a niczym trzask bicia. Oto, czym była tajemnica ukryta w krypcie Mont-Fleur! Powrócił myślami do zagadki, która zawiodła go aż do tego zagubionego gdzieś we Francji klasztoru, i pojął wreszcie wskazówkę po łacinie: *nostra salute* – dla naszego zbawienia – zawartą w trzecim wersie. Zresztą dlaczego miałby się dziwić? W głębi duszy zawsze przeczuwał, że to coś takiego, teraz wszakże, gdy usłyszał te słowa, przytłoczył go ciężar odpowiedzialności. „Ojcie Manessier, jesteście szaleńcem” – pomyślał. „Obarczyć jedną istotę, zagubionego człowieka, podobnym brzemieniem...” Wpatrywał się w wielbego Andree, który pogрузzył się w zadumie.

– Opowiedzcie mi o tym całym Flegetanisie. Co o nim wiecie?

– Po raz pierwszy napotykam jego imię – wyznał opat. – W żadnym urywku Biblii ani piśmie jakiegokolwiek doktora Kościoła nie ma o nim wzmianki, dlatego mogę się oprzeć wyłącznie na tym, co sam mówi na kartach księgi. Twierdzi, że jest ochrzczonym Żydem, pochodzącym z królewskiego rodu Salomona, uczonym i wielkim znawcą gwiazd.

Maynard usiadł, zmuszając się do zachowania spokoju.

– *Astrologus*?

– Tak. Zapewnia, że potrafi ustalić wpływ gwiazd na ludzki los.

– Teraz tym bardziej rozumiem wasze wahanie.

– Nie to jest jego powodem, messer. – Przystawszy kluczyć, ojciec Andrea podniósł głowę i Rocheblanche na powrót zobaczył jego zwykłą nieprzeniknioną twarz. – Podobne kwestie zaprzętały mojego nauczyciela, Seweryna z Padwy, do tego stopnia, że przekonywał mnie, jakoby firmament był księgą napisaną przez Boga dla jego synów. Ale żeby twierdzić, iż jakiś nieznany żydowski astrolog mógł przekazać tak niewymierną tajemnicę...

– Moje doświadczenie skłania mnie do odmiennego przekonania – odparł Rocheblanche. – Przed podjęciem tych poszukiwań miałem sen, którego nie potrafiłem odczytać, dopóki pewien mędrzec, opat, tak jak wy, nie podsunął mi myśli, bym poszukał odpowiedzi w ruchach ciał niebieskich. W nich zaś dojrzałem znaki apokalipsy.

– Zechcielibyście mi o nich opowiedzieć?

– Może kiedyś, wielbny ojcze. – Rycerz wstał i z księgą Flegetanisa ukrytą pod płaszczem skierował się ku drzwiom. – Tymczasem wiedzcie tylko, że tajemnicy *Lapis exilii* zagrażają źli ludzie. Superanzio Orsini był jednym z nich, lecz przed śmiercią zdradził ją jeszcze komuś. Pewnemu prałatowi z Ferrary, jak przypuszczam. Moim zadaniem jest odnalezienie go. A teraz, gdy wiem, o jaką stawkę toczy się gra, jestem gotów na wszystko, byle tego dokonać.

FERRARA, KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO FRANCISZKA

27 GRUDNIA

Ciągniona przez czarne klacze karoca mknęła o zmierzchu po ulicy za katedrą, mijając kościół Świętego Krzysztofa. Przystanęła przed klasztorem braci mniejszych, gdzie Jego Wysokość czekał ze swiątą szlachty i duchownych, aby złożyć hołd jednej z najpiękniejszych dam dworu w Ferrarze. Wszedł do pokrytego tkaninami i pióropuszcami powozu i bez pomocy służby wyniósł z niego na rękach Lippę Ariosti. Na widok jej bladego oblicza, które prawie skrywały płomiennorude włosy, wielu spośród obecnych stłumiło westchnienie zgrozy.

Nie zważając na tę reakcję, Obizzo III wszedł wyprężony do kościoła i przemierzył nawę w towarzystwie bezładnego orszaku wasali i szlochających synów. Najstarszy, Aldobrandino, kroczył u jego boku, ściskając w dłoni matczyne welon.

Kapłan stał przy ołtarzu, zastygły, z wyrazem zakłopotania na twarzy. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na stojącej kilka kroków dalej ozdobionej różami trumnie, następnie spoczął na markizie, który ukląkł przed nim, cały czas trzymając na rękach niewiastę. Obizzo miał poszarzałą twarz i mocno podkrążone oczy, co wzmacniało jeszcze jego posępny wygląd.

– Mój księżę – przemówił frater zatroskanym tonem – jesteście pewni, że ten ślub *in extremis*...

– Odprawcie mszę – przerwał mu grobowym głosem Obizzo. – Dopóki jeszcze oddycha.

Zakonnik spojrział z trwożliwym wahaniem na sine wargi Lippy, potem na jej szkliste, wybałuszone oczy. Przeżegnał się.

W żałobnej ciszy, przerywanej przez z trudem wypowiedane słowa kapłana, nastąpiła ceremonia zaślubin. Po czym markiz złożył oblubienicę na różanym kobiercu pełnym rozpachy gestem, który wzbudził powszechną grozę, i pożegnał ją pocałunkiem.

Po chwili odwrócił się ku zebranych z twarzą jak kamień.

– Niechaj Ferrara oplakuje swą markizę – obwieścił gromko – i przyjmie z radością moich prawowitych dziedziców!

Gdy zabrzmiało *Requiem*, skierował się szybkim krokiem ku drzwiom. Wyszedł na dziedziniec pod murami, gdzie już czekały nań konie.

Była późna noc, gdy Gualtiera obudził stukot kopyt po bruku dziedzińca

opactwa. Wyrzwał z wozu, przecierając zaspane oczy, i dostrzegł jakiś tuzin mężczyzn na koniach, ustawionych półkolem przed fasadą klasztoru. Wszyscy dzierżyli pochodnie, wszyscy z wyjątkiem jednego pośrodku – człowieka o ciemnych włosach i ciemnej brodzie, otulonego tak długim płaszczem, że przykrywał nawet zad jego wierzchowca. Było zbyt ciemno, by młodzieniec mógł go rozpoznać, ledwie jednak usłyszał jego głos, pozbył się wszelkich wątpliwości co do tego, kim był ów człowiek.

– Ojciec Andreo, bądźcie przeklęci! – krzyknął Obizzo III d’Este, podrywając konia. – Pokażcie się i weźcie też ze sobą tego tchórza Rocheblanche’a! – Pogróżce towarzyszył drwiący śmiech jego kompanów.

Gualtiero zastanawiał się przez chwilę nad powodem owej wizyty, nie zamierzając pod żadnym pozorem zdradzać swojej obecności. Nigdy by nie przypuszczał, że markiz może zjawić się nieoczekiwanie w Pomposie we własnej osobie w środku jednej z najmroźniejszych nocy w roku, aby zażądać głowy messor Maynarda.

Zanim chłopiec zdążył cokolwiek wymyślić na temat przyczyny tego, co właśnie widział, z portalu wynurzył się, jak gdyby nigdy nic, wielebny ojciec.

– Wasza Wysokość – przemówił lodowatym tonem – powitałbym was uprzejmie, gdybym nie usłyszał obelg. – Zszedł po schodach, zerkając na przyuczajonych na dzwonnicy łuczników. – Tak czy inaczej, pokój z wami.

– Zabierzcie sobie swój pokój – syknął Obizzo – a oddajcie mi tego skurwysyna Francuza!

– Jesteście pewni, że szukacie we właściwym miejscu?

– Wiem, że go ukrywacie. Czyżbyście ośmielali się zaprzeczać?

Andrea wytrzymał jego spojrzenie, nie okazując niezdecydowania.

– W tych murach mieszkają jedynie ludzie, którzy boją się Boga.

– Jeden z nich jest mordercą! Zbiegiem!

– Nawet gdyby tak było, rycerz, o którym mówicie, znajdowałby się przecież pod moją opieką.

– Oddacie go w moje ręce, nie inaczej!

W zachowaniu Jego Wielmożności była taka dzikość, że nawet Gualtiero się przeraził, chociaż siedział ukryty w wozie. Opat zbliżył się ostrożnie do Obizza i wraził pastorał w śnieg. Tak bardzo spieszył się, by wyjść na zewnątrz, że zapomniał narzucić na habit płaszcz dla ochrony przed zimnem.

– Nie mam obowiązku nikogo wam oddawać ani tym bardziej wpuszczać was do klasztoru – odrzekł stanowczo. – Pomposa narodziła się wolna i taka pozostanie na zawsze.

– Stary głupcze, postradaliście rozum? – zagrzmiał Obizzo. – Stoicie przed panem Ferrary, wikariuszem Jego Świątobliwości papieża!

Andrea gwałtownym ruchem chwycił za wędzidło jego konia.

– *Apostolica dignitate in spiritualibus, iurisdictio solius Imperii* – wyrecytował przez zaciśnięte zęby. – A zatem, Wasza Wysokość, jeśli nie chcecie spekulować *in spiritualibus* o przykazaniach Ojca Świętego, zachęcam, byście stąd odjechali.

Obizzo szarpnął wodze, by uwolnić wierzchowca.

– Superanzio Orsini pojmał dwoje ludzi na waszej ziemi – rzekł oszołomiony – a mnie odmawiacie tego samego prawa?

– Orsini pojmał dwoje ludzi *poza obrębem* klasztoru – sprostował opat. – Nic i nikt nie przekroczy tego progu, żeby wynosić własną władzę nad boską.

Coraz bardziej rozsierdzony markiz sięgnął po długi miecz przytroczony do łąku. Rozmyślił się jednak i zeskoczył z siodła, uśmiechając się złośliwie.

– Naigrawacie się ze mnie? – Wymierzył Andrei tak siarczasty policzek, że zakonnik upadł na śnieg. – Dopiero co złożyłem matkę swoich dzieci w sarkofagu, a wy ośmielacie się mnie obrażać jakimiś głupimi regułami? Nie przeszkadzicie mi w schwytaniu tego łajdaka!

Wielebny ojciec chciał się wesprzeć na pastorałe i podźwignąć, ale markiz buciorem wepchnął mu twarz w śnieg. Zdjęty oburzeniem Gualtiero poczuł instynktowne pragnienie, by się wtrącić. Już miał wypaść na zewnątrz z rykiem wściekłości, który dławił go w gardle, lecz spojrzał ponownie na półkole pochodni otaczających Obizza. Zbrojni ukatrupiliby go, zanimby zdążył się zbliżyć do ich pana.

Ojciec Andrea zdołał się wyswobodzić i podniósł głowę, ciężko dysząc.

– Poniżajcie mnie, proszę bardzo, skoro tak wam się podoba... – wycharczał. – Ale nigdy nie będzie wam wolno pogwałcić schronienia, jakie stanowi opactwo.

W mroku nocy opat i markiz mierzyli się wzrokiem we wrogim milczeniu, trzymając w niepewności wszystkich obecnych. Tymczasem jeden z ludzi ze świty Obizza zsiadł z konia i szepnął coś ostrożnie na ucho swemu panu.

Po chwilowej niechęci Est pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Dziękuję messer Filippowi Miglioratiemu, naszemu sędziemu Rady Mędrców, zawsze gotowemu mi pomóc – oznajmił markiz i wycofał się z pogardą.

Ojciec Andrea, niemal nie wierząc własnym oczom, patrzył, jak dosiada wierzchowca i zarządza odwrót.

Obizzo rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści.

– Niech wam się nie wydaje, żeście górą, niemądry fratrze. Nawet gdybym miał puścić z dymem to stare opactwo, wydostaną Maynarda de Rocheblanche'a. A wtedy biada mu... I wam także!

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII**7 STYCZNIA 1348 ROKU**

– Potrzeba więcej gorącej wody!

Infirmerka musiała niemal krzyknąć, by zagłuszyć jęki Aleydis.

Siostra Eudeline klęczała nad dziewczyną, trzymając jej głowę na udach. Skinęła na jedną ze sióstr, by spełniła polecenie, i dalej wpatrywała się w nieszczęśnicę. Po raz pierwszy pomagała przy porodzie i czuła się zupełnie nieprzygotowana na zetknięcie się z tak ogromnym bólem. „Dlaczego?” – pytała w kółko. „Skąd tak wielkie poniżenie?” Ani wiara, ani rozum nie dawały odpowiedzi. Miała przed oczami jedynie Aleydis, wstrząśniętą i zlaną potem, zmuszoną płacić za winę Ewy, by wydać na świat własne dziecko. Ciało dziewczyny zmieniało się z każdym dniem, w końcu przekształciło się w niezgrabny bukłak, nie pozwalając jej w ostatnim miesiącu chodzić, a nawet załatwiać swoich potrzeb. Wielebna matka robiła wszystko, by jej pomóc, często osobiście, odnawiając więź, która niespełna rok wcześniej skłoniła ją do zatroszczenia się o tę biedną sierotę. Wszelkie przewinienia zostały wybaczone, wszelkie błędy zapomniane. Czekwały cierpliwie niczym siostry.

Wody odeszły Aleydis przedwcześnie, po czym nastąpiły coraz częstsze skurcze, przeszywające ją jak sztylety. Teraz Eudeline przyglądała się, jak infirmerka sprawdza rozwarcie macicy, gdy tymczasem cierpiąca Aleydis szamotała się bezsilnie i kręciła głową.

„Oto dowód, jak niewiele powabu mieszka w ludzkim rodzaju” – pomyślała. Żaden postęp, filozofia piękna czy teologia nie zdołają przekreślić zwierzęcej natury potomków Adama. Rozum zostaje zaślepiony instynktem zwierząt, które przyszły na świat w najokrutniejszych mękach.

Nagle Aleydis pochyliła się i zwymiotowała. Przeorysza podtrzymała jej głowę i otarła czoło gazą.

– Przyjcie! – zawołała infirmerka. – Widzę główkę.

Eudeline sama nie wiedziała, czy napawa ją to radością, czy wstrętem. Śledziła dłonie zakonniczy poruszające się między udami rodzącej, w końcu kątem oka dostrzegła siostrę powracającą z dzbanem gorącej wody.

Tymczasem Aleydis zdusiła krzyk. Eudeline patrzyła, jak drży niczym drzewo pod naporem burzy, i ścisnęła ją za ramiona, aby pomóc.

– Bądźcie silni, siostro – szepnęła. – Nie opuszczę was.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu dziewczyna uśmiechnęła się wzruszona.

– Kocham was... – wyjąkała. Następnie zacisnęła zęby, gdyż przeszył ją kolejny skurcz.

Wielebna matka trzymała ją mocno, aby nie spadła z pośłania. Zachęcające słowa infirmerki dobiegały do niej z oddali niczym echo. Zresztą wszystko zdawało się docierać do Aleydis jakby przez mgłę. Ściany izby pływały wokół niej w jakiejś obłąkanej mieszaninie dźwięków i cieni, ją zaś przenikał tak rozdzierający ból, że Eudeline odczuwała go wraz z nią. Przez chwilę czuła dla niej tak wielki podziw, że aż się wzruszyła. Potem skurcz ustał.

– Gdybym umarła... – zaczęła dziewczyna, wyczerpana – przyrzeknijcie mi... Przyrzeknijcie mi, że to wy zaopiekujecie się moim dzieckiem.

– Nie umrzecie – zapewniła Eudeline.

Aleydis już miała coś powiedzieć, lecz przeszył ją kolejny skurcz. Potem jeszcze jeden i następny. Matka przełożona straciła rachubę i wydawało się jej, że ma jakieś niedorzeczne omamy.

Kiedy wreszcie usłyszała płacz dziecka, zignorowała go. Nadal wpatrywała się w swą podopieczną, odczuwając radość na widok jej nareszcie odprężonej twarzy.

– To dziewczynka – obwieściła infirmerka, podając jej zaczerwienione dzieciątko owinięte w gałgan. – Pokażcie ją matce.

Siostra Eudeline przemierzyła pusty ambulakr z kruszynką w ramionach, przystając przed wysokim, wąskim oknem, przez które przenikało lodowate zimowe światło. Zaczekała, aż Aleydis zaśnie, by wziąć jej córeczkę i przyjrzeć się jej dokładnie w samotności. Pragnęła, by nikt nie zobaczył, jak rozpływa się w uśmiechach i czułościach. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Dopóki nie nauczy się panować nad sobą przy tej istotce.

Uważała, że jest prześliczna – z tymi maleńkimi paluszkami i ledwie zarysowanym noskiem, który zdawał się stworzony do całowania. Już samo kołysanie jej napełniało Eudeline uczuciem spokoju, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała, zdolnego wymazać nie tylko wspomnienia długiej udręki, ale także głębokiej niesprawiedliwości, jakiej doświadczała w ostatnim miesiącu.

Monsignore Pierre de Banhac nie tracił czasu i spełniał swą obietnicę. Z pomocą biskupa i ojca Clareta przystąpił do zajmowania większości bogactw Rocheblanche'ów, by zasilić awinioński skarbiec.

Eudeline musiała to znosić w milczeniu. Prawdę mówiąc, jedyną osobą, do której mogła się zwrócić ze skargą, pozostawał oślisły prokurator, ale owo przekłęte indywiduum o szcurzej twarzy tylko mistrzowsko przypierało ją do muru.

– Jeśli chcecie odzyskać swoje dobra – powiedział podczas ich ostatniego spotkania – będziecie musieli dowieść, że nie jesteście ostatnią żyjącą dziedziczką.

Imię kardynała du Pougeta nie padło ani razu, mimo to przeorysza odnosiła wrażenie, że słyszy je w każdej sylabie. Była pewna, że gdyby zdradziła, gdzie jest Maynard, zbiry tego nikczemnika obsiadłyby go jak sępy. Płonęła dziką wściekłością, widząc, jak jest ogołacana z wszelkich dóbr, postanowiła jednak pogodzić się z porażką. Na razie.

Prędzej czy później powróci Vermandois z wieściami od jej ukochanego brata. A wówczas – i owszem – Eudeline de Rocheblanche pomyśli o zemście.

Pogłaskała trzymanego w ramionach aniołka i urzeczona grymasem pojawiającym się na jego buzi zdjęła ozdobiony klejnotami krucyfiks, który nosiła na piersi, i zawiesiła go dziecku na szyi.

– Angélique – szepnęła ze słodyczą. – Podpowiem twojej mamie, żeby dała ci na imię Angélique.

**CZEŚĆ TRZECIA
TRIUMF ŚMIERCI**



OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

23 LUTEGO

Na początku roku ziemia się zatrzęsała, podobnie jak przed wieloma miesiącami, budząc przerażenie wśród ludu Ferrary, który przyglądał się bezsilnie chwiejącym się wieżom i dzwonnicom, jakby były trzciniami. Nawet ojciec Andrea drżał o swoje opactwo, dopóki nie upewnił się, że fundamenty, kolumny i ściany oparły się kaprysom natury. W okolicy Pomposy strach także prędko ustał, wkrótce bowiem przesłonił go lęk przed głodem, który zagrażał wsiom i miastom.

Nie tylko Andrea rozmyślał o podziemnych wstrząsach, dowiedziawszy się o kolejnej pladze, która pomykała przez grzbiety Alp chyżo niczym diabeł, zbliżając się z każdej strony do jego posiadłości. Słyszał o niej od tygodni, lecz ciągle się wahał, czy powiedzieć o tym konfratom, nie chciał ich bowiem niepokoić historiami jak z najgorszych snów. Sprzeczne nowiny rodziły pogłoski o sędzie ostatecznym, o przeklętych okrętach, które przybiły do Marsylii, a nawet o żydowskim spisku... Pojawiające się wieści były tak różne, że wątpił w ich prawdziwość, z wyjątkiem tej o strachu przed śmiercią, która nagle zaczęła wędrować przez osady i miasta, jakby dostała nóg.

Zakonnik zdołał wyrobić sobie pogląd w tej kwestii tylko dzięki przepełnionemu rozpaczą listowi, który przysłał mu wielebny ojciec Michele Flammini, opat z Vallombrosy.

Dotarł do niego w nocy w sakwie posłańca, który z narażeniem życia przemierzył szczyty w pobliżu eremu w Camaldoli. Andrea natychmiast schronił się w pracowni *palatium* i zapoznał się z jego treścią, mając przed oczami obrazy tajemniczej zarazy, zdolnej uśmiercić człowieka w pełni sił w ciągu paru dni.

Aby opisać jej objawy, ojciec Flammini odwołał się nie tylko do swego doświadczenia, lecz także do pogańskiej mądrości Hipokratesa i Galena. Otóż wyjaśniał, że szukał na półkach rozmaitych bibliotek tekstu, który dostarczyłby mu szerszej wiedzy, lecz nie znalazł żadnego skreślonego ręką chrześcijanina. Z jego słów wynikało, że choroba objawia się przerażającymi wrzodami i dymienicami, często umiejscowionymi pod pachami i wokół pachwin. Największych spustoszeń dokonuje jednak we wgłębieniach ciała, wywołując dyskrazję humorów¹¹, która prowadzi do gnicia narządów wewnętrznych. Rozprzestrzeniała się nieuchronnie, wywołując niesamowicie wysoką śmiertelność, toteż ocalić się można było wyłącznie dzięki łasce Bożej. Florencja stanowiła namacalny dowód na brak

takowej, gdyż zapłaciła za swe grzechy tak ogromną liczbą ofiar, że nie sposób ich było zliczyć. Codziennie uprzątało ulice z trupów, usuwanych o brzasku z domów, chociaż zbiorowe mogiły pękały w szwach od zwłok nieszczęśników powołanych przedwcześnie do życia wiecznego.

Z każdego zdania biły obawa i zdumienie. Mimo to opat z Vallombrosy wykazał się dostateczną trzeźwością umysłu, by spróbować przedstawić na koniec jakieś racjonalne wytłumaczenie dla czegoś, co ze zgrozą określał mianem „morowego powietrza”. Opierając się w dalszym ciągu na pogańskiej medycynie, wspominał o *aer corruptus* – niezdrowym powietrzu – przyniesionym przez południowe wiatry albo może wyrzuconym przez brzech ziemi, zdolnym zakazić rodzaj ludzki.

Wielebny Andrea pozostał w przepelnionym łękiem przed samotnością *Palatium Abbatis* aż do świtu, dumając nad owymi strasznymi słowami. W młodości nauczył się od swego mistrza Seweryna z Padwy, by nigdy nie lekceważyć związków między powszechnymi i pojedynczymi zjawiskami. I o ile z jednej strony skłaniał się ku poglądom ojca Flamminiego, o tyle z drugiej uzupełniał je twierdzeniami Ptolemeusza na temat wielkich zjawisk naturalnych zdolnych pograżyć rodzaj ludzki w żałobie. Doszukiwanie się przyczyny morowego powietrza w trzęsieniach ziemi sprzed kilku miesięcy wydało mu się zatem całkowicie naturalne. O ile było mu wiadomo, dotknęły one nie tylko obszar Ferrary. Wstrząsy objawiły się również we wschodnich Alpach i być może gdzie indziej. Należało się więc zastanowić, czy to właśnie nie one, poruszywszy glebę, uwolniły trujące wyziewy ziemi.

Jako mnich Andrea nie mógł jednak zrezygnować z odwoływania się do własnej wiary. Opat z Vallombrosy też zresztą kończył list skierowanym do Boga błaganiem, żeby oszczędził przed plagą przynajmniej gorliwych chrześcijan, takich jak Szymon z Cascii.

Złożył ręce i zaintonował modlitwę o oszczędzenie Pomposy. Odczuwał strach. Zimny, prawie irracjonalny strach, zabarwiony niemal biblijnym przekonaniem o nieuchronności zdarzeń. Myśli same kłębiły się w jego głowie. Wprawdzie potworna zaraza mogła się rozpętać wyłącznie z woli Stwórcy, ale opat z Pomposy ulegał pokusie spekulowania nad przyczynami i skutkami wydarzeń, tak jak nauczył go jego dawny mistrz.

„O, ja nieszczęsny!” – skarcił się w duchu. Ostatnimi czasy dojrzało w nim przekonanie, że utracił wiarę właśnie za sprawą pychy zrodzonej w umyśle. Tej samej pychy, która skłoniła go do przeczytania księgi Flegetanisa i szukania na jej kartach prawdy wyższej od prawdy dogmatów. Zrobił to, zamiast runąć na kolana i upokorzyć się po tysiackroć przed krucyfiksem.

Jako *miles Christi* powinien przede wszystkim strzec własnej duszy i dusz swoich zakonników. Stąd jedyne dopuszczalne pytanie brzmiało: Dlaczego Ojciec

się gniewa i co należy zrobić, żeby powstrzymać miecz jego anioła?

Drzwi skrzyknęły tak niespodziewanie, że aż się wzdrygnął. Andrea położył list na kolanach i wbił wzrok w drapieżną twarz, która wyłoniła się z cienia.

– Kto idzie?

– Panie – skłonił się przed nim Bonus. – Pyta o was delegacja gości.

– Kto to taki?

– Jego Łaskawość biskup Ferrary.

Zdumiony opat zbliżył się do pacholka.

– Dlaczego tu przybył?

Bonus się cofnął.

– Ojciec furtian nie potrafił mi tego powiedzieć...

Andrea rozważał powody, które mogły skłonić Jego Ekszelencję do przyjazdu do Pomposy w środku nocy, lecz do żadnego nie był przekonany.

– Każcie mu się rozgościć w rozmównicy – polecił. Po czym przypomniał sobie o trzymanym w dłoni liście. – Co do posłańca z Vallombrosy, zadbajcie o to, żeby z nikim nie zamienił ani słowa.

Opuścił *palatium* i spiesząc do klasztoru, przeciął dziedziniec. Powitał go lodowaty chłód świtu. Był tak przygnieciony troskami, że nie zwrócił też uwagi na spadający mu na kark irytujący deszczyk ani na zbytkowną karocę stojącą przed stajniami. Gdy tylko przekroczył próg, nie zdołał jednak powstrzymać bolesnego grymasu na widok fresków w apsydzie, przeraźliwie oszpeconych dłutem mistrza de' Bruniego, gdyż miały ustąpić miejsca nowym malowidłom, które pewnie nigdy nie zostaną wykonane. Ledwie było widać wyblakły wizerunek Chrystusa Pantokratora z obliczem zniekształconym przez dziury, które teraz wydawały się zdruzgotanemu opatowi potwornymi wrzodami, jak te opisywane przez ojca Flamminiego.

Andrea minął prawą nawę, po czym ostrożnie wszedł do rozmównicy.

Jego Ekszelencja Guido di Baisio, otulony czarnym płaszczem, siedział na ławce z boku niewielkiej izby. Bonus skwapliwie zapalił świece i podał mu czarę parującej polewki, aby rozgrzał się po podróży. Ciemne worki pod oczami i przekrwiona twarz prałata zdradzały przygnębienie.

– Wasza Łaskawość – przemówił Andrea, siadając naprzeciw niego – co was sprowadza w moje progi?

Stary biskup upił łyk polewki i zerknął nań ukradkiem.

– Morowa zaraza – szepnęła ze zgrozą. – Powaliła na kolana Bolonię i już pędzi po drogach ku Ferrarze.

– Już tu dotarła? – wykrzyknął z niedowierzaniem opat.

Guido di Baisio przytaknął.

– Mój pałac, podobnie jak inne miejskie rezydencje, przestał być bezpieczny. Śmierć przekracza mury, nie zważając na płeć ani wiek... – Pochylił się do przodu

i ścisnął dłoń Andrei. Jego zimne palce drżały ze strachu. – Przybyłem tutaj, by prosić was o schronienie, wielbny ojcie. Dla mnie i dla mojej świty. *Insula Pomposiæ* strzegą puszczy i Padu... Nie znam równie bezpiecznej kryjówki.

– Ale ja... – zaczął niepewnie opat. Był tak wstrząśnięty, że zapragnął rzucić się na ziemię, płakać i walić pięściami w podłogę. „O, Panie!” – pomyślał. Jak mogło się to zdarzyć tak prędko? Jeszcze nie był gotów, potrzebował więcej czasu, aby się przygotować, aby wzmocnić ducha... Przyłożył palce do powiek, zmuszając się do zachowania spokoju. – To będzie... zaszczyt, Wasza Ekszelencjo.

– Ratujecie mi życie – powiedział z wdzięcznością Guido. – Oprócz tego przyjechałem tu, aby poprosić was o jeszcze jedną przysługę.

– Słucham.

Oczy biskupa zwężyły się w nieprzeniknione szparki.

– Muszę się natychmiast rozmówić z Maynardem de Rocheblanche'em.

Wchodząc do rozmównicy, Maynard spodziewałby się wszystkiego, ale nie spotkania oko w oko z biskupem Ferrary. Na widok prałata siedzącego w głębi izby w towarzystwie ojca Andrei natychmiast wyczuł zagrożenie. Skłonił się i zamknął za sobą drzwi, rozmyślając nad swą ostatnią rozmową z tym starcem. Chociaż nie minął jeszcze od niej rok, wygląd jego twarzy sugerował, że upłynęło o wiele więcej czasu. Wprawdzie uprzednio hierarcha też sprawiał wrażenie wyniszczonego dolegliwościami, teraz wszakże rycerz dostrzegał jego ogromne wyczerpanie, być może bardziej duchowe niż cielesne.

– Wyrazy szacunku, Wasza Ekscelencjo – powiedział.

– Ten to dopiero jest zuchwały. – Wielebny Guido zaśmiał się nerwowo. – Najpierw zarzyna mojego sługę, a potem jak gdyby nigdy nic składa mi wyrazy szacunku.

Po dwóch miesiącach ukrywania się Rocheblanche nie był w nastroju do żartów. Zadarłszy wojowniczo brodę, oznajmił:

– Jeżeli przybyliście tutaj, aby oddać mnie w ręce markiza, Wasza Łaskawość...

– Istnieją o wiele pilniejsze sprawy, messer – odparł biskup. – Niemniej mam obowiązek was powiadomić, że zostaliście wyjęci spod prawa i że wyznaczono nagrodę za waszą głowę.

– Gdy tylko stopnieją śniegi, zdołam dowieść swej niewinności. – Francuz machnął pogardliwie ręką. – Jeśli będzie trzeba, stanę przed sądem bożym i zmierzę się z każdym, kto wniesie na mnie oskarżenie, a z boską pomocą...

– Milczcie, Maynardzie – uciszył go ojciec Andrea. Wydawał się zaniepokojony i mocno zalekniony. Już miał się podnieść z ławki, ale tylko jeszcze bardziej zmarszczył czoło i splótł dłonie. – Jego Ekscelencja zażądał widzenia z wami z powodu pewnej kwestii, która dotyczy nas wszystkich, chociaż w różnym stopniu – wyjął cichym głosem. – Niedawno wspominaliście przy mnie, że Superanzio Orsini wtajemniczył jakiegoś człowieka w śledztwo, w które jesteście wplątani. Dobrze mówię?

Rocheblanche posłał mu nieufne spojrzenie.

– A gdyby tak było?

Guido di Baisio westchnął.

– Mój widam był pyszałkiem, potwierdzam – oświadczył pojednawczo. – Znałem go, nie wątpię więc, że zasłużył na karę, jaką mu wymierziliście. Wszelako okazał mi wystarczającą lojalność, by w swej ostatniej woli powiadomić mnie o istnieniu trzech bezcennych relikwii.

Rycerz nie wierzył własnym uszom. Po miesiącach głowienia się nad tym, kim jest tajemniczy powiernik Orsiniego, nagle ma go na wyciągnięcie ręki. Nie

mógł jednak wykluczyć, że to oszustwo. Wpatrywał się w ojca Andreę, zastanawiając się, czy mógł nadużyć jego zaufania, po czym ponownie skierował wzrok na biskupa.

– Wyrażajcie się jaśniej, Ekscelencjo.

– Mówię o kielichu, grocie włóczni i zagadkowym przedmiocie zwanym *Lapis exilii*.

– Jeżeli to jest pułapka... – zaczął Maynard, spoglądając z pogardą na opata.

– Nie zachowujcie się jak głupiec, messer – udobruchał go Guido di Baisio.

– Na potwierdzenie swoich słów mam list od Orsiniego. – Poszperawszy w kieszeni płaszcza, wręczył mu arkusz pergaminu i mały złoty klejnot. – Wraz z tym.

Podczas gdy niechęć Rocheblanche'a przeradzała się w zdumienie, ważył on w dłoni obydwie przedmioty, które mu tak dawno odebrano: pierścień kardynała du Pougeta i zagadkę *Lapis exilii* odnalezioną w kryjówce ojca Facia. Mierzył wzrokiem biskupa Ferrary, zastanawiając się, co może wiedzieć.

– Oddajecie mi je ot tak, za nic?

Prałat wzruszył ramionami.

– Gdybyście zdawali sobie sprawę z tego, co dzieje się za tymi murami, dostrzeżlibyście cześć waszych słów.

Maynard zauważył udrękę malującą się na jego obliczu.

– Co macie na myśli, Ekscelencjo?

Biskup wymienił z opatem milczące spojrzenie.

– Porozmawiamy o tym niebawem, messer – obiecał. – Teraz pragnę, byście skupili się na tej kwestii. Zdaniem wielebnego Andrei jesteście w stanie rozwiązać zagadkę z pergaminu, który właśnie wam pokazałem.

– Przysiągłem zachować milczenie – odrzekł oschle rycerz.

– Nie zamierzam was zmuszać, aczkolwiek powaga imienia, z którym wiążą się wasze tajemnice, nakazuje mi wyrozumiałość.

– Mówicie o Bertrandzie du Pougecie.

– Zaiste – przytaknął z nutą emfazy Guido. – O awiniońskim purpuracie, a nie o byle kim. To on przed dwudziestu laty zatwierdził wikariat Estów nad Ferrarą, kładąc kres oskarżeniom o herezję, jakie ciążyły nad owym szlacheckim rodem.

– To także on – dodał z mniejszym zapalem Andrea – wkrótce potem próbował oblegać Ferrarę.

– Mimo wszystko Jego Wielbności Bertrandowi winniśmy posłuszeństwo – burknął z niezadowoleniem biskup.

Przysłuchujący się owej wymianie zdań Maynard wyczuł lekki zatarg między Andreą a Guidem. Pierwszy manifestował skrywaną wrogość wobec władzy papieskiej, drugi zaś oddanie. Istniało zresztą prawdopodobieństwo, że

biskup zawdzięcza swą inwestyturę kurii awiniońskiej, toteż czuje się w obowiązku popierać kardynalską hierarchię. A Rocheblanche czuł się wmieszany w całą sprawę zarówno moralnie, jak i osobiście.

– Kardynał czy nie, du Pouget to łotr – wykrzyknął. – Mógłbym wymienić wiele zbrodni, którymi się splamił, usiłując wejść w posiadanie *Lapis exilii*, ograniczę się wszakże tylko do zwrócenia uwagi na jego związek ze śmiercią Jana Ślepego i szkodliwy wpływ, jaki wywiera na nowego cesarza.

Stary prałat patrzył nań oniemiały.

– A więc Karol Luksemburski też jest w to wplątany?

– Podejrzewam, że tak – odrzekł rycerz. – Kiedy opuszczałem Crécy, szpiedzy kardynała byli w jego pobliżu niczym diabły stróże.

Zanim Guido znów się odezwał, dumiał nad czymś przez chwilę, zakrywając usta dłonią.

– Jesteście nader pewni siebie, messer – oznajmił w końcu. – Skąd przekonanie, że nie zrozumieliście opacznie roli Bertranda du Pougeta?

– Stąd, że ten pies próbował zabić najpierw mnie, potem moją siostrę Eudeline. – Rocheblanche stłumił odruch wściekłości wraz z pokusą wydostania się z tego przeklętego pomieszczenia. – Ponadto, jeśli wolno, muszę dodać, że złożyłem śluby milczenia przed człowiekiem posiadającym o wiele większą mądrość niż czcigodni ojcowie. Przed człowiekiem, którego nie zdradzę, choćby nie wiem co.

– Zaszczytne słowa – stwierdził biskup niewzruszony. – Jednakże te same skrupuły, które zobowiązują was do dochowania tajemnicy, nakazują mi rozważyć, czy nie należy powiadomić kardynała du Pougeta.

– Popełnilibyście poważny błąd – ostrzegł rycerz.

– Macie mnie za głupca? – odparł gromkim głosem Guido di Baisio. – Jeszcześmy nie doszli do sedna sprawy, a odnoszę wrażenie, że będące tematem rozmowy relikwie należą do Chrystusa, naszego Pana. Czy gdyby to była prawda, chcielibyście je ukrywać przed matką-Kościółem?

Maynard wpatrywał się przez chwilę w pełną zakłopotania twarz opata, żywiąc nadzieję, że znajdzie w nim sprzymierzeńca. Andrea pogrążył się wszakże w milczeniu. Rycerz zacisnął szczękę.

– Nie mnie o tym decydować.

– Otóż to – zawołał biskup z miną człowieka, który oczekiwał akurat takiej odpowiedzi. – Dlatego powinniście polegać na rozeznaniu kogoś, kto stoi wyżej od was, oświeconego przez Ducha Świętego.

Rocheblanche posłał mu szyderczy uśmiezek.

– Kiedy Bóg postawi go na mej drodze, będę umiał go rozpoznać – powiedział Francuz, dając znak, że jego cierpliwość się wyczerpała. – Dopóki to nie nastąpi, będę miał tylko jedno zadanie do wykonania: odnaleźć kielich i grot

włóczy skradzione przez ojca Facia, aby zawieźć je na miejsce, gdzie były przechowywane.

Zamiast nalegać, Guido di Baisio spuścił z niezadowoleniem głowę.

– To śmielsze przedsięwzięcie, niż wam się wydaje, biorąc pod uwagę obecne okoliczności.

Francuz, znużony tym, że trzymają go w niewiedzy, tupnął nogą i wybuchnął:

– Zechcecie mi wreszcie powiedzieć, co się dzieje?

Biskup uniósł białe brwi.

– Gniew Wszechmogącego, messer. – Ukrył grymas przerażenia pod kapturem płaszcza. – Na tych ziemiach szaleje zaraza.

Maynard spojrział nań oszołomiony. Zerknąwszy z niedowierzaniem na opata z Pomposy, ukląkł przed biskupem.

– Ale jak to się mogło stać... bez żadnego ostrzeżenia?

– Czyż śmierć potrzebuje zaproszenia? – zapytał retorycznie Guido. – W Ferrarze trwa to dopiero jeden dzień, a lud już ogarnęło szaleństwo. Rzędy trupów wzdłuż kanałów, procesje pokutników na ulicach... Po dzielnicach krążą biedacy i kanalie i dając upust najniższym instynktom, napadają na domy bogaczy. Nawet kościoły i klasztory przestały być bezpieczne.

Na te słowa Francuz drgnął.

– Mówcie jaśniej, proszę.

– Straże nie są już w stanie poskromić motłochu – ciągnął biskup. – Ze strony tłumu mnisi i zakonnice cierpią najrozmaitsze prześladowania. Ja sam, aby się ratować...

Słyszając to, Rocheblanche nie zdołał nad sobą zapanować.

– Muszę jechać! – oznajmił, zrywając się na równe nogi.

Ojciec Andrea podszedł doń, by go powstrzymać.

– Messer... Postradaliście rozum?

Maynard odepchnął go szorstko.

– Zostawiłem Isabeau w Ferrarze, przekonany, że tam będzie bezpieczna. Muszę się upewnić, że nic jej się nie stało.

– Grozi wam pojmanie... – ostrzegł go opat. – Albo zarażenie.

Francuz jednak już był w drzwiach.

– Zapłacę konieczną cenę – powiedział bez lęku. – Wszelako możecie być pewni, wielebni ojcowie, że nie zostawię tego dziewczęcia bez opieki.

MURY FERRARY

24 LUTEGO

Maynard i Robert nie zdołali jeszcze dotrzeć do przedmieścia Świętego Jerzego, a już doskonale widzieli, mimo porannej mgły, unoszące się nad bastionów kłęby dymu. Podążali truchtem, omijając szerokim łukiem zamieszkane obszary, aby nie natknąć się na hordy nędzarzy polujących na łupy. Dopiero świtało, mimo to zdążyli już odeprzeć rzezimieszków czyhających na skraju lasu, choć zamierzali oszczędzać siły przed czekającym ich zadaniem.

Od szczytu wzgórza podążali brzegiem Padu, otuleni wełnianymi płaszczami, usiłując nie zważać na jęki dobiegające z okolic starej bazyliki. W miarę możliwości pragnęli trzymać się z dala od ognisk zarazy, tak sugestywnie opisywanej przez biskupa Guida. Zanim jednak przybyli pod mury, musieli przejechać obok zbiorowego grobu pełnego trupów. Rocheblanche zasłonił nos, chroniąc się przed zapachem rozkładu, i patrzył ze wstrętem na ciała splątane niczym korzenie. Skóra leżących tu ludzi miała niebieską, przechodzącą w czerń barwę, nienaturalną, podobnie jak widoczne na niektórych twarzach narośle. Krzyknął, aby przepędzić kruki, które zanurzały dzioby w ich oczodołach, po czym spiął karego i pognął ku murom, starając się otrząsnąć z wrażenia, że na dnie jamy ktoś się jeszcze rusza.

Ruchomy most był długo nieużywany. Brama wejściowa, otwarta na oścież i zanedbana, zdawała się odstręczać wędrowców od jej przekraczania, podobnie jak rozchodzący się po okolicy ostry swąd dymu z płonących na ośnieżonych brzegach ognisk.

Maynard zachęcił kompana do przepłynięcia się przez rzekę i rzucił pełne nadziei spojrzenie ku zachodowi. Wyspa Świętego Antoniego znajdowała się niedaleko, otoczona ołowianoszarymi wodami. Aby się na nią dostać, należało wejść do miasta i ulicą Szeroką dotrzeć do bramy Świętego Piotra. Była to krótka, choć pełna niewiadomych droga.

W połowie mostu musieli się zatrzymać, aby przepuścić wóz ze zwłokami ciągniony przez muła. Starzec w łachmanach na koźle z obłędem w oczach minął ich bez słowa. Wystarczyło jedno spojrzenie, by dostrzec oznaki zarazy na jego lewym policzku.

– Piekło – szepnął Vermandois.

– Możecie jeszcze zawrócić – zauważył Rocheblanche. – Wolałbym mieć

pewność, że jesteście bezpieczni. Szczególnie teraz, gdy macie wyruszyć do Reims.

Pikardyjczyk posłał go do diabła niezbyt uprzejmym gestem i popędził przed siebie.

Pod murami zobaczyli kolejne płonące stosy. Powietrze przesyciła tak gęsta woń kadzidła i przypraw korzennych, że aż ich mdliło, ale zapach ten nie był w stanie przyćmić smrodu rozkładu. Trupy rozsiane były wszędzie. Leżały dziesiątkami, może setkami. Pousuwane z domów, ścieliły się przed nimi, czasem oparte o mury, o krok od zaryglowanych drzwi. Dorośli mężczyźni, dzieci, starcy... Śmierć na nic nie zważała, niekiedy wyglądało, jakby się zabawiała, malując na niektórych obliczach ponure uśmiechy, szydzące z żywych.

Rocheblanche skierował się na zachód, prowadząc konia wzdłuż wysokich obwarowań zamku bizantyjskiego. Biorąc pod uwagę narastające odymianie, niemal przesłaniające niebo, domyślał się, że spora część duchowieństwa i arystokracji zabarykadowała się właśnie tam, pod dzwonicami Świętego Piotra, Świętego Jerzego i Najświętszego Zbawiciela.

Na zwężeniu minął ich kolejny wóz wypełniony truchłami, a następnie musieli zatrzymać wierzchowce, by przepuścić procesję biczowników w szpiczastych kapturach. Przed nimi szła oblana krwią niewiasta z drewnianą tabliczką na szyi, odgrywająca nierządnicę Magdalenę.

– Podłe psy – skwitował Vermandois, uspokajając spłoszonego wierzchowca.

– Każdy ma swojego boga. – Maynard uśmiechnął się smutno, nadstawiając ucha: z dala niósł się jakiś rumor.

Krzyki, rzenie i szcęk broni. Zrazu wydało mu się, że zgiełk ten dobiega z północy, gdzieś od ulicy Piaskowej. Wszelako po chwili uzmysłowił sobie, że nie sposób dokładnie określić, skąd dochodzi. Wrzawa odbijała się echem po dzielnicach.

Zdecydowany unikać jakichkolwiek kłopotów, popędził na zachód, lecz na pierwszym zakręcie nadział się na tłum uzbrojony w kamienie i widły. Były to najgorsze, żyjące w skrajnej nędzy szumowiny. Napiętnowane zarazą i głodem, w rozpaczliwej wściekłości niosły w górze swoje łupy.

Rocheblanche szarpnął wodze i odruchowo zбочzył na południe, w kierunku murów, przecinając zaułek ruder. Robert deptał mu po piętach, za nimi zaś sunęła wyjąca ciżba.

Droga zwężiła się tak bardzo, że wydawało się, iż będą musieli zsiąść z koni, po czym znienacka otworzyła się na pustą przestrzeń. Wyprostowany w siodle Maynard niespodziewanie skręcił, nie chcąc się zderzyć ze zgrają szaleńców, którzy przewrócili karocę, następnie szybko podążył ku bramie prowadzącej za mury.

– Brama Świętego Piotra? – zapytał podążający z tyłu Robert.

– Świętej Agnieszki! – syknął jego towarzysz. – Będziemy musieli zawrócić, klasztor Isabeau wznosi się bardziej na wschód!

Pokonali galopem skrawek stałego łądu pomiędzy Padem a kamiennym ogrodzeniem, bacząc na trupy zrzucane co jakiś czas z blanków. Jeden z nich runął tuż przed Pikardyjczykiem, który o mało nie spadł z wierzchowca.

Rocheblanche gnał na złamanie karku, mając nadzieję, że Pan oszczędził Isabeau. Nigdy by nie przypuszczał, że będzie świadkiem takich potworności ani że śmierć może w nim jeszcze budzić grozę. Po bitwie pod Crécy sądził, że zdołał się już oswoić z pogromem dokonywanym przez potężną kostuchę, ale nie liczył się z tym, co właśnie stało się ich udziałem – z widokiem tak wielu ludzi wyrwanych życiu bez istotnego powodu, niemal dla zabawy. Wszelako usiłował dostrzec jakiś sens w tym, czego był świadkiem. Przecież musiała istnieć jakaś nieskończona racja, jakieś głębsze znaczenie tych wydarzeń. Podobnie jak w przypadku jego wojennych wyczynów.

Pozbył się niepokoju, gdy przed drewnianym mostem wiodącym na wyspę Świętego Antoniego dostrzegł zbrojnych. Wyglądało na to, że nikt jeszcze nie najechał na klasztor benedyktynek. Maynard przystanął przed oddziałem i pozdrowił strażnika, którego uznał za najwyższego rangą.

– Gdzie wasz dowódca?

Zbrojny podniósł przyłbicę, odsłaniając ściągniętą zmęczeniem młodą twarz.

– Zmarł dzisiejszej nocy, messer.

– Nie dziwi mnie to – skwitował Francuz. – Aby się tu dostać, przeszedłem przez piekło.

Zbrojny przyjrzał mu się uważniej, następnie zmierzył Roberta.

– Przejechaliście przez wschodnią bramę?

– Tak – odparł Vermandois.

– W takim razie nic nie widzieliście, wierzcie mi.

Zamiast odpowiedzi Rocheblanche odchylił połę płaszcza i zeskoczył z konia, zamierzając przekroczyć most prowadzący do klasztoru.

– Lękam się o los pewnego dziewczęcia powierzonego benedyktyнком – wyjaśnił pospiesznie. – Przybyłem, aby się upewnić, że ma się dobrze.

Młodzieniec natychmiast kazał mu się zatrzymać.

– Na polecenie przeoryszy nikt nie może wejść na wyspę ani jej opuścić – wykrzyknął. – Mój oddział otrzymał zadanie, żeby nikogo nie wpuszczać.

– Mówcie jaśniej – poprosił Maynard.

– To dla ochrony zakonnic przed zarazą, ale nie tylko – powiedział zbrojny. – Skoro dotarliście aż tutaj, z pewnością widzieliście, co się dzieje na ulicach. Tłuszcza oszalała, korzysta z wielkiego pomoru i plądruje pałacowe i kościelne spichrze. A że dopiero co przegnano ją z rynku, wkrótce wyleje się tutaj.

Rocheblanche pomyślał o piekielnym zgiełku, który niedawno dał się słyszeć, i popatrzył na mizerny oddział wojska. Liczył on piętnastu ludzi, z których kilku było lekko rannych – ocaleli ze starć, ale być może zarazili się morowym powietrzem.

– Jesteście żołnierzami markiza? – chciał wiedzieć.

– Z garstki, która przeżyła – odrzekł dumnie młodzieniec.

Maynard zastanawiał się przez chwilę nad losem klasztoru Świętego Antoniego oraz Isabeau, po czym spojrział na śmiałe oblicze Roberta. Wreszcie oznajmił:

– Ja i mój towarzysz broni bylibyśmy gotowi was wesprzeć, jeśli chcecie.

– Nie wiem, kim jesteście, messer – odrzekł młodzieniec. – Ale będzie to dla nas zaszczyt.

Oczekiwanie trwało dłużej, niż się spodziewali, w końcu wygłodniała horda nadciągnęła. Wylała się niczym wezbrana rzeka przez bramę Świętego Piotra, gdy słońce czerwieniało za unoszącymi się nad miastem słupami czarnego dymu. Maynard spożytkował ten czas na wypytanie zbrojnych o ostatnie wydarzenia; wstrząsnęły nim zwłaszcza opowieści o błyskawicznym tempie, w jakim zaraza zbierała swe żniwo wśród ludności Ferrary. Liczba trupów rosła tak szybko, że mieszkańcy Dolnego Przedmieścia byli zmuszeni palić całe ich stosy, łamiąc święte zakazy. Podłożono też ogień pod wiele domostw w nadziei na zdławienie pomoru, który dziesiątkował ludność.

Widząc nadciągającą cizbę szaleńców, Rocheblanche dosiadł konia i stanął z lewej strony oddziału, gotów do bitwy. Vermandois zajął pozycję po przeciwnej stronie, wy dobył łuk i jał wypuszczać strzały, celując w napastników znajdujących się najbliżej. Zdążył powalić z pół tuzina, mimo że dzieliła go od nich odległość dziesięciu prętów, i nie przestawał, dopóki nie opróżnił całego kołczanu. Wtedy nadeszła pora na walkę wręcz.

Maynard doliczył się blisko sześćdziesięciu rebeliantów, przede wszystkim mężczyzn w sile wieku. Walczyli wszelką bronią, jaka wpadła im w ręce: sierpami, kijami i kamieniami. W tłumie kilka razy błysnęły też groty włóczni, zapewne odebranych w bitwie strażom miejskim.

Rycerz obnażył miecz i spiął karego, zamierzając rozproszyć motłoch, zanim rzuci się na obrońców mostu. Ściął głowę nieszczęśnikowi stojącemu na czele gawiedzi, ale nie zdołał zatrzymać jego towarzyszy. Wówczas próbował wszelkimi siłami powstrzymać napór, tnąc na prawo i lewo, dopóki nie zyskał dość miejsca, by zawrócić wierzchowca i przystąpić do kolejnego ataku.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by dostrzec Roberta, również przypartego do muru. Z tym większą determinacją przerzedzał więc szeregi buntowników nacierających na zbrojnych. Wywijał mieczem, aż raptem został zepchnięty z siodła.

Przeturlał się po błocie, aby uniknąć stratowania, i podniósł się, osłaniając starym drewnianym godłem jak tarczą. Pospólstwo napierało nań falami, zmuszając do odwrotu ku mostowi. Wkrótce zmagął się u boku zbrojnych.

– Zewrzeć szeregi! – krzyknął wojownik za jego plecami. – Teraz już są nasi!

„Ma rację” – pomyślał Rocheblanche. Wściekłość biedaków malała wraz z ich liczbą, chociaż za uspokojenie nastrojów płacili bardzo wysoką cenę. Przetrzebieni zbrojni byli już u kresu sił. Jedynie Vermandois zdawał się odporny na zmęczenie. Siedząc na koniu, nadal siał śmierć imponującym młotem o kruczym dziobie wśród tych, którzy się jeszcze opierali.

I niemal nagle zapanował spokój.

Pokonani oddalali się w pośpiechu ku bramie Świętego Pawła, wlokąc po błocie broń i rozszarpane ciała. Nie poświęcając im nawet jednego spojrzenia, Maynard uspokoił się i dosiadł konia. Wbił wzrok w wyspę i wydał okrzyk zdumienia.

Nikt nie zwrócił uwagi, że zgromadzona na brzegu wspólnota od Świętego Antoniego przypatrywała się starciu. Rycerz natychmiast rozpoznał Isabeau i skinął jej na powitanie, na co dziewczyna odpowiedziała uśmiechem. Oczy wszystkich skupiły się jednak na przeoryszy, która wylała na deski dzban smoły i rzuciła na nią pochodnię.

Płomienie buchnęły z taką siłą, że Rocheblanche wraz z pozostałymi musieli się wycofać.

– No to teraz już nikt nie dostanie się na wyspę – zawyrokował jeden ze zbrojnych.

Nim Rocheblanche się odezwał, dostrzegł, że Robert jest czymś zaniepokojony. Wówczas niedaleko murów ujrzał orszak jeźdźców zdążających na zachód. Nagle dowodzący nimi mężczyzna wydał rozkaz, by się zatrzymali, i sam znieruchomiał na chwilę, świdrując Rocheblanche'a wzrokiem. Był cały w czerni, głowę miał owiniętą chustą, która miała jedynie szpary na oczy.

I wtedy zabrzmiał dzwon na trwogę, a kondotier popatrzył ku wieży Świętego Romana. Wydał władczy okrzyk i jeźdźcy wyruszyli ku swym obowiązkom.

– To był naprawdę on? – zapytał oszołomiony Vermandois.

– Owszem – odparł Maynard. – Jego Wysokość markiz Ferrary.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W&NBSP;POMPOSIE

Gdy zapał kur, Bonus już był na nogach. Przyjazd biskupa z tak wielką świtą oznaczał dla niego zmianę obowiązków. Nie żeby przybyło mu codziennych zajęć, pojawiło się wszakże zadanie nakłonienia gości do przestrzegania zwyczajów panujących w klasztorze. Chociaż byli to ludzie Kościoła, przywykli do próżniaczego życia kurii i do tego, że bez przerwy ktoś im służy.

Ze względu na swą sumiennosc oraz dogłębną znajomość klasztornych reguł Bonus miał prawo się uważać za najodpowiedniejszą osobę do tego rodzaju zadań. Za pełną szacunku postawą kryła się jednak nieprzychylnosc wobec wysoko postawionych gości, zwłaszcza jeśli charakteryzowała ich wyniosłość i pochodzili z miasta. Nigdy nie zapomniał o swoich wiejskich korzeniach i nawet gdy opat Andrea wybrał go do służby, nie zrezygnował z pokornych, acz kojących czynności związanych z wiejskim życiem. Codziennie rano udawał się więc do stajni, by zamieść klepisko i wydoić krowy.

Właśnie wtedy natknął się na chłopca.

Rozpoznał go natychmiast, chociaż leżał na dziedzińcu na wznak z głową w studni. Był to młody paź Jego Ekscelencji, opiekujący się końmi, które ciągnęły biskupią karocę.

Bonus, sądząc, że zemdlął, podniósł go delikatnie i umieścił na ziemi.

Chłopiec podziękował, charcząc. Był zlany potem, miał błędny wzrok. Posługacz dał mu wody, lecz gdy tamten dostał napadu kaszlu, posadził go, opierając o cembrowinę, i czekał, aż atak minie. Jako że nie było poprawy, rozluźnił mu dublet, aby ułatwić oddychanie, i właśnie wtedy spostrzegł szpetny czerwony wrzód na jego piersi.

Cofnął się z krzykiem.

– Czarna śmierć dotarła do Pomposy – zawołał ojciec Andrea – i to wy ją tu przywlekliście!

Guido di Baisio spuścił wzrok, wyczerpany z powodu zakłopotania i lęku.

– Gdybym wiedział, że ten paź jest zarażony, nigdy bym go ze sobą nie zabrał...

Znajdowali się na parterze *Palatium Abbatis*, który stał się tymczasową siedzibą biskupa. Z komnat tych Jego Ekscelencja usiłował nawiązać z powrotem więź z Ferrarą, śląc wieści do markiza i głównych kościołów za pośrednictwem klasztornych gołębi. W oczekiwaniu na odpowiedź odgradził się od świata, zamykając szczelnie każde okno. Nikomu poza opatem nie wolno było z nim rozmawiać.

Wielebny Andrea gardził taką postawą. Infirmierowi groziło zarażenie podczas ratowania młodzieńca znalezionej przez Bonusa, a pasterz ferraryjskiej diecezji troszczył się wyłącznie o własne zdrowie. Opat stłumił wybuch gniewu, zmuszając się, by pamiętać, z kim rozmawia.

– Proszę wybaczyć, Ekszelencjo – rzekł przez zęby – wyrażam się ostro z obawy o swoich zakonników.

– Z drugiej strony macie słuszość – przyznał Guido. – To ja powinienem prosić o wybaczenie.

Opat wychwycił w jego słowach coś więcej niż prośbę o wyrozumiałość. Wydało mu się, że dostrzega wyrzuty sumienia, może nawet poczucie winy, wszelako wysoka pozycja rozmówcy nie pozwalała zapytać go o to wprost.

– Taka jest wola boska – rzekł, podsuwając mu możliwość odpowiedzi.

– Nie wszystko jest wolą boską – odparł prałat. – Pewne wydarzenia zależą od nas samych, od naszych wyborów.

– Co macie na myśli? – zapytał Andrea, uznawszy, że ma prawo mówić bez ogródek.

Biskup wzruszył ramionami.

– Dzisiaj rano szpiegowałem waszych skrybów. – Dał do zrozumienia, że zamierza zboczyć z tematu. – Nie mogłem nie zwrócić uwagi na młodego miniaturzystę.

– Niezwykły talent.

– To syn Sigismonda de' Bruniego, prawda?

Andrea spochmurniał.

– Skąd go znacie?

– Wiem więcej, niż wam się wydaje, wielebny ojciec – odparł Guido di Baisio. – *Więcej, niż wy sami wiecie.*

Opat Pomposy powstrzymał się od nierozważnej reakcji.

– Wiele miesięcy temu pisałem do was w tej sprawie, ale daliście mi mglistą odpowiedź – oznajmił lekko drżącym głosem. – Twierdziliście, że to rodzina heretyków.

Jego Ekszelencja odchylił zasłonę w oknie i udał, że wygląda na zewnątrz.

– Byłem zmuszony... skłamać.

– Niby dlaczego teraz odezwało się wasze sumienie?

– Ponieważ za parę dni może mnie już nie być wśród żywych! – wykrzyknął biskup, rzucając mu trwożliwe spojrzenie. – Siedziałem obok tego pazia przez całą drogę z Bolonii do Pomposy, pojmujecie? Naprawdę sądzicie, że morowe powietrze mnie oszczędziło? Modlę się, by tak było. Ale gdybym umarł tutaj, w tej chwili, nikt nigdy by się nie dowiedział, kim naprawdę jest Gualtiero de' Bruni.

– Może on sam już to wie – obwieścił Andrea ze słabo skrywanym zdumieniem. – Nie chciał mi niczego wyjawiać, a mimo to utrzymuje, że zna

miejsce pobytu swej matki.

Niemal podskoczył na dźwięk zjadliwego śmiechu Guida di Baisio.

– Ach, jego matka! Kto waszym zdaniem rozkazał ją odwieźć pod eskortą do Awinionu?

– Chcecie powiedzieć, że... – Opat otworzył szeroko oczy. – Wy?

Jego Ekszelencja przytaknął.

– Gdy tylko usłyszałem o pojmaniu tej niewiasty, zrozumiałem, że nie mam wyboru. Musiałem jak najrychlej wydalić ją z Ferrary.

– Z jakiegoż to powodu, jeśli łaska?

– Powiem wam, bez obawy. – Biskup maskował z coraz większym trudem potrzebę zwierzeń. – Lecz najpierw, wielbny ojcze, musicie złożyć mi obietnicę, że przekonacie Maynarda de Rocheblanche'a, aby wyjawiał swe tajemnice kardynałowi Bertrandowi du Pougetowi.

Maynard powrócił do Pomposy tuż przed zmrokiem, spędziwszy niemal cały dzień w siodle. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak bardzo wyczerpany cieleśnie i duchowo. Szczególnie ostatni odcinek drogi wystawił go na ciężką próbę, toteż przestał zważać na ziajanie karego, a nawet na towarzystwo Roberta. Pomimo zimnego wiatru był mokry od potu, w piersiach zaś gniotło go potężne gorąco.

Na krótko przed dotarciem na miejsce ocknął się raptownie i uzmysłowił sobie, że był w stanie półczuwania. Zachował mgliste wspomnienie przerażającego snu, w którym Eudeline – a może Isabeau – spadała w przepaść, a on nie mógł nic zrobić. Potem przypomniał sobie nagłe pojawienie się trzech posłańców na koniach. Otoczeni płomiennymi aureolami, przemierzali ścieżkę wyłożoną kośćmi.

– Dobrze się czujecie, przyjacielu? – usłyszał niespodziewanie pełen troski głos Roberta.

Rocheblanche odwrócił się do kompana, by go uspokoić, zamiast jego oblicza ujrzał wszakże twarz gnijącego trupa. Zgnębiony przywidzeniem zdusił okrzyk, niestety, jego strach udzielił się wierzchowcowi. Uspokoiwszy karego, wycieńczony runął na ziemię.

Zanim postradał siły, dostrzegł wśród drzew dzwonnice opactwa.

Gualtiero nie wiedział, gdzie się podzieli messer Maynard i jego towarzysze. Oddalili się przed trzema dniami bez słowa, w wielkim pośpiechu i uzbrojeni po zęby. Było to co najmniej dziwne, zważywszy, że od grudnia Maynard nie wyściubiał nosa z opactwa, obawiając się, że zostanie schwytany przez ludzi markiza. Pojawienie się biskupa musiało coś zmienić. Nie tylko w zachowaniu Rocheblanche'a, ale i we wspólnocie Pomposy. Zresztą młody de' Bruni, gdy tylko zobaczył, jak stary prałat wysiada z karocy razem ze świtą swoich lizusów, czuł, że napyta im biedy.

Frasował się wszakże z powodu nieobecności Rocheblanche'a. Obawiał się, że wyruszył do Francji, gwizdząc na jego plany odnalezienia matki. Pełen wątpliwości postanowił w końcu zwrócić się z tym do ojca Andrei, miał bowiem nadzieję, że Rocheblanche przynajmniej jego wtajemniczył w swoje plany. Choć nie bardzo wierzył w szczerłość opata, zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Ukończywszy zatem obowiązki w skryptorium, udał się do klasztoru, aby prosić go o posłuchanie.

Jeszcze nie zdążył minąć białej kolumnady krużganka, gdy ktoś złapał go za ramię. Obejrzał się przestraszony i napotkał pełen niepokoju wzrok ojca furtiana.

– Prędko, synku – rzucił zakonnik – musicie pójść za mną.

Niemal biegiem ruszył za furtianem w stronę zielarni, do budynku, w którym nigdy dotąd nie był. Przemierzyli korytarz zastawiony długimi regałami, pełnymi różnych słoičków, aż dotarli do drzwi, przed którymi drzemał Moczarek. Wówczas furtian dał mu znak, by dalej szedł sam, i w pośpiechu się oddalił.

Gualtiero przez chwilę stał bez ruchu, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi, w końcu odsunął kotarę zasłaniającą wejście i znalazł się w ciemnej, pozbawionej okien izbie. Jedyne światło – płomień świecy – pozwalało za zawieszonym u sklepienia płótnem dostrzec leżącą na posłaniu męską postać.

Chciał się do niej zbliżyć, powstrzymał go jednak niespodziewany rozkaz.

– Trzymajcie się z dala!

Młodzieniec znieruchomiał, skamieniały z przerażenia. To był głos Maynarda, chociaż bardzo słaby.

– Messer... – wyjąkał chłopiec. – Co się wam stało?

– Weźcie połę szaty i przyłóżcie do twarzy – polecił rycerz. – Oddychajcie przez nią.

– Ale dlaczego?

– Zróbcie tak i koniec – polecił Maynard, po czym dostał ataku kaszlu.

Gualtiero zakrył posłusznie nos i usta szalem, który miał na sobie. Po czym dał mu znak, by mówił dalej.

– Wezwałem was z pewnego szczególnego powodu, przyjacielu – wyjaśnił

Maynard. – Zanim wam go jednak wyjawię, bądźcie, proszę, tak mili i zajrzyjcie za zasłonę. Nie chciałbym, żeby ktoś nas podsłuchał.

Coraz bardziej zakłopotany chłopiec wyjrzał na korytarz.

– Jesteśmy sami, messer.

Rocheblanche skinął głową.

– Wybaczcie te środki ostrożności, ale nie ufam opatowi. W każdym razie nie całkiem. – Nastąpiła chwila ciszy, Rocheblanche westchnął. Gdy się ponownie odezwał, jego głos był jeszcze słabszy. – Cóż, musicie wiedzieć, że dosięgła mnie niespodziewana i nader uporczywa choroba.

Wiadomość ta spadła na Gualtieria niczym grom z jasnego nieba.

– Jak to się stało? – zapytał, truchlejąc. – Nic nie wiedziałem, nikt mnie nie zawiadomił...

– To się musiało wydarzyć w Ferrarze, być może w czasie walki – szepnął do siebie rycerz. – Zdaniem infirmera istnieje mała nadzieja, że przeżyję.

– Nie mówcie tak nawet w żartach! Jesteście silni, messer. Wyzdrowiejecie.

– Nie śmierci się lękam – ciągnął z rezygnacją mężczyzna. – Największym smutkiem napawa mnie to, że pozostawiam niedokończone dzieło. I to, że nie będę w stanie dotrzymać przysięgi. Dlatego zwracam się do was.

– Messer... – Chłopiec cofnął się o krok, owładnięty głębokim żalem i zarazem zdumieniem. – Ja nie jestem szlachcicem ani nawet człowiekiem honoru.

– Myślicie, że nie wiem, czym jest honor? Mój ojciec był rycerzem, podobnie jak ja, lecz po prawdzie ani jeden dzień życia nie upłynął mu pod znakiem honoru. Wy natomiast macie pasję, Gualtiero, i potraficie miłować. Wiem to, poznałem was. Chociaż uważam, że brak wam jeszcze doświadczenia, umieliście zaskarbić sobie moje zaufanie.

– A messer Robert? Dlaczego nie zwróćcie się do niego?

– Robert musi się wywiązać z innej ważnej misji – odparł tajemniczo Maynard. Wyciągnął rękę, chcąc odsunąć zasłonę, by spojrzeć mu w oczy. Powstrzymał się wszakże. – Przyjacielu, mam tylko was. Wypełnicie moją ostatnią wolę?

Gualtiero, zdając sobie sprawę z zaszczytu, jaki go spotkał, poczuł przyływ dumy, podobnie jak wówczas, gdy przyglądał się freskom wykonanym przez ojca, wszelako jednocześnie ogarnął go lęk, że nie sprosta zadaniu. Ponadto słowa messer Maynarda wzruszyły go bardziej, niż mógł się spodziewać. Zastanawiał się, kim jest dla niego ów człowiek, i przypominał sobie wszystkie dobrodziejstwa, które wyświadczali sobie nawzajem przez ostatni rok. Wtedy pojął, że nazywanie Maynarda przyjacielem nie będzie przesadą.

– Uczynię to, messer.

Zza szarej zasłony dał się niemal widzieć uśmiech Rocheblanche'a.

– Zdejmijcie ze ściany obok wejścia sakwę – rzekł. – Otwórzcie ją

i powiedzcie, co znaleźliście.

Młodzieniec odszukał wiszący na gwoździu trzos i rozwiązał rzemień. Wysypał zawartość na dłoń.

– Złoty pierścień i mały zwój pergaminu.

– Znakomicie. – Głos rycerza brzmiał stanowczo. – Przysięgnijcie, że będziecie ich strzec, że za żadne skarby nie pokażecie nikomu i nigdy ich nie zgubicie. Już jutro Robert de Vermandois opuści Pomposę i uda się do Reims. Wyruszyście wraz z nim, oddacie się pod jego opiekę, ale po dotarciu do Awinionu rozłączycie się i pojedziecie dalej, na północ, sami.

Gualtiero drgnął.

– Zatem będę mógł zobaczyć matkę!

– Owszem – zgodził się Maynard. – Odnajdźcie matkę, jeżeli zdołacie. Wszelako cokolwiek się wydarzy, nie porzućcie obowiązku, który wam powierzam. To kwestia życia i śmierci. Minąwszy Awinion, skierujecie się ku ziemiom Vienne i podążycie do ukrytego w borach klasztoru. To klasztor Mont-Fleur, położony niedaleko miejsca znanego jako Cerisier. Wskażę wam drogę i zasady, jakich należy unikać, żebyście się nie zgubili.

– Co powinienem zrobić, gdy tam dotrę?

– Poproście o posłuchanie opata Manessiera i powiedzcie mu, że przybywacie w moim imieniu. – Rycerz mówił coraz szybciej, jakby się bał, że w każdej chwili może zostać porwany przez skrzydlatą śmierć. – Będziecie musieli oddać mu przedmioty z sakiewki i ostrzec przed dwiema osobami. Tylko pamiętajcie... – Maynarda dopadł kolejny atak kaszlu.

– Tak, messer – uspokoił go młodzieniec. Nie był w stanie opisać bólu, który ścisnął go za serce. – Słucham was.

– Pamiętajcie... Nie wolno wam nikomu o tym mówić ani też zdradzić, dokąd zmierzacie. Nawet Robertowi de Vermandois.

– Przysięgam na Najświętszą Panią. Podajcie mi te imiona.

– Karol Luksemburski i Bertrand du Pouget – stanowczo powiedział Maynard. – Będziecie musieli ostrzec wielebnego Manessiera o zagrożeniu, jakie stanowią dla Mont-Fleur. Uprzedźcie go, że obaj wiedzą o istnieniu *Lapis exilii*.

– *Lapis exilii*? Już słyszałem tę nazwę z ust Isabeau... W czym rzecz?

– Nie dane mi było się tego dowiedzieć, przyjacielu. Ważne jest tylko, byście dokładnie zapamiętali moje słowa.

– Mam dobrą pamięć, messer.

– Ostatnia kwestia – dodał Maynard. – Przekażcie Manessierowi, że poniosłem porażkę. Chociaż próbowałem, nie odnalazłem żadnej z dwóch relikwii, które przysiągłem dostarczyć do Mont-Fleur.

W tej samej chwili dobiegł do ich uszu odgłos ciężkich kroków i do izby wszedł olbrzymi rycerz, Robert de Vermandois. Rozchylił zasłonę skrywającą

posłanie.

– Postradaliście rozum? – wykrzyknął Maynard. – Chcecie się zarazić?

– Dlaczego miałbym się o to martwić? – Na twarzy Pikardyjczyka widniały smugi od łez. – Najcenniejsze jest wasze życie! To wy nie powinniście umierać!

Gualtiero spostrzegł, że Rocheblanche kręci głową. Był wstrząśnięty na widok jego bladości i plam potu na tunice.

– Mylicie się, Robercie – rzekł rycerz, próbując go udobruchać. – Teraz wszystko zależy od was. Musicie przysiąc, że się o nią zatroszczycie. Chrońcie ją, miłujcie i powiedzcie jej, że zawsze będę blisko. – Po czym schował się za płócienną zasłoną, ponownie stając się niczym więcej niż zaledwie cieniem. – A teraz, drogi przyjacielu, wyświadczcie mi grzeczność. Zostawcie mnie samego z tym młodzieńcem.

Tego dnia wieczorem Gualtiero ukląkł przed oszpeconą apsydą z Pantokratozem, by się pomodlić. Odmówił *Pater noster* za messer Maynarda, a potem poprosił o odwagę przed czekającymi go trudami. Nie mógł uwierzyć, że został uwikłany w tak ważne i tajemnicze sprawy, które napawały go trwogą, gdyż trzeba było wyruszyć w szeroki świat, a poza tym nie potrafił odegnąć żalu po szlachetnym rycerzu przybyłym z Francji. Nie umiał się pogodzić z tym, że dopadła go nieznana choroba, i choć sam był synem ludu, doskonale rozumiał jego milczący bunt wobec zmagania się z godną politowania i pozbawioną sensu śmiercią. On zresztą też z goryczą przyjąłby myśl, że pozostawia coś niedokończonego. Zwrócił się do Maryi Dziewicy, aby pomogła mu odnaleźć matkę i odkryć prawdę o własnych korzeniach, bez względu na to, jakie one są.

Przez chwilę wydawało mu się, że czuje obecność wielkiego, spokojnego ducha, który przycupnął wśród arkad, by go wysłuchać. Modlił się zatem jeszcze żarliwiej, dopóki jego artystyczna natura, przywykła rozumować raczej za pośrednictwem obrazów niż słów, nie kazała mu spojrzeć na stare freski nawy głównej. Wpatrywał się w oblicza apostołów i proroków, pełen niepokoju, którego nie umiał dokładnie określić, aż wreszcie jasno zdał sobie z tego sprawę.

Nie zobaczy już nigdy Isabeau.

Położył dłonie na mozaice posadzki, zdecydowany nie ulegać wzruszeniom. Zabranie jej ze sobą było całkowicie wykluczone. Zbyt wiele zagrożeń, zbyt wiele niepewności. Powinna pozostać na wyspie Świętego Antoniego.

Nie mógł się jednak pogodzić z tym, że Isabeau przestanie być częścią jego życia. Poprzysiął sobie, że gdy tylko wypełni swe obowiązki, wróci.

Wstał więc i udał się do wyjścia, rozmyślając nad ostatnimi czynnościami, które miał wykonać przed opuszczeniem Pomposy. Minąwszy *Palatium Abbatis*, podążył na skraj dziedzińca, ku wielkiemu drzewu, pod którym ukrył piętnaście złotych florenów otrzymanych od markiza d'Este. Przydadzą mu się w podróży, dzięki nim nie będzie ciężarem dla Roberta de Vermandois.

Doszedłszy do kryjówki, kucnął nad korzeniami i spostrzegł, że ziemia jest świeżo wzruszona. Ogarnięty złym przeczuciem, zaczął drążyć w pośpiechu, z furją, i wkrótce dotarł do miejsca, które wykopał, chowając pieniądze.

– To niemożliwe! – wykrzyknął, uparcie grzebiąc czarnymi palcami dół. – O, Panie, spraw, żeby to nie była prawda!

Po sakiewce z piętnastoma florenami nie było śladu.

Gdy znalazł ojca Andreę, zbliżała się pora wieczerzy. Opat stał przed drzwiami do zielarni i rzucał Moczarkowi płaty suszonego mięsa. Chart połykał przysmaki wpatrzony w dłonie swego pana. Nie oderwał wzroku od mięsa, nawet gdy chłopiec wyłonił się z kruzganka, wrzeszcząc wniebogłose.

– Wiem, że to wy je zabraliście!

Zakonnik podniósł oczy.

– O czym mówicie? – zapytał opat z anielskim spokojem.

– O piętnastu florenach zakopanych pod drzewem! – odparł Gualtiero.

Widząc, jak bardzo młodzieniec jest wstrząśnięty, wielebny ojciec zmarszczył czoło.

– Synku, nie pojmujecie... – zaczął pojednawczym tonem. – Te pieniądze mogą wam wyrządzić więcej zła niż dobra.

Młody de' Bruni nie pozwolił się wszakże uspokoić.

– Należą do mnie! – Jął wymachiwać dłońmi powalanymi ziemią. – Nie macie prawa...

– Doprawdy? – przerwał mu nagle rozsierdzony Andrea. Rzucił na ziemię ostatni kawałek mięsa i podszedł do chłopca, mierząc go spojrzeniem z odległości niecałej piędzi. – Według was jestem aż tak prostoduszny, by nie domyślać się, w jaki sposób zdobyliście tę małą fortunę? Albo sądzicie, że nie wiem o zniknięciu *Vita Merlini* ze skryptorium? Głupi chłopcze! Postanowiłem po prostu milczeć, a tymczasem miałem was na oku, abyście nie wpadli w tarapaty.

– Zatem kazaliście mnie szpiegować – odrzekł z pogardą Gualtiero – zamiast zapytać wprost?

– I może odpowiedzielibyście szczerze? – cisnął mu w twarz opat z surową miną. – Dobrze wiem, co knujecie, i wiem też, że skrywacie tajemnice. Nie osądzajcie mnie jednak. Wcale nie zamierzam nakłaniać was do jakichkolwiek wyborów, mimo że nadal jesteście pod moją opieką.

Młody de' Bruni splótł ręce na piersi.

– Już nie, wielebny ojcze.

– Co przez to rozumiecie?

– Jutro wyruszę wraz z messer Robertem do Francji.

Zakonnik otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Do Awinionu?

Gualtiero wyczuł w jego głosie nutę lęku.

– Nie tylko – odparł, nie dając się ułagodzić. – Mam pewną misję do wypełnienia w imieniu messer Maynarda.

– Dobre sobie, misję... Na Boga, w czym rzecz?

– Przykro mi, jestem zobowiązany do milczenia.

Andrea pochylił się z grymasem troski na twarzy, by pogłaskać potulnego Moczarka, odnajdując w tym geście odrobinę spokoju. Najwyraźniej nie miał ochoty ciągnąć tej rozmowy, w końcu jednak przestał się wahać.

– Rocheblanche skrywa nader groźną tajemnicę. Tajemnicę, którą częściowo znam. – Ściszył głos. – Wszelako grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Jest bardzo chory i gdyby umarł, owa tajemnica zniknie wraz z nim. Dlatego też

w porozumieniu z biskupem byłbym skłonny...

– Messer Maynard nie ufa biskupowi – oznajmił oschle chłopiec. – Wam także.

– Messer Maynard wszędzie widzi wrogów – odciął się opat, głęboko urażony. – Wystarczy sobie uzmysłwić niefrasobliwość, z jaką postąpił z Superanziem Orsinim.

Na widok jego nadąsanej miny Gualtiero pojął, że dał się ogarnąć wzburzeniu. Jeśli zamierzał odzyskać swoje piętnaście złotych florenów, musiał czym prędzej zapanować nad sobą.

– Sposób działania messer Rocheblanche’a różni się od waszego, to prawda – przyznał pojednawczo – lecz wiem na pewno, że go cenicie. Byłem świadkiem tego, z jaką odwagą stanęliście w jego obronie przed markizem Ferrary.

Przejęty jego słowami Andrea przytaknął, wzdychając.

– Macie słuszność, bardzo go szanuję – wyznał z posępnym uśmiechem. – Nie chciałbym jednak, byście poszli w jego ślady.

– Nawet gdybym zamierzał tak uczynić, musicie pozwolić, abym wyjechał. – Chłopiec skłonił się przed nim. – Proszę was o to jak o osobistą przysługę, wraz z błogosławieństwem.

Rozdrażniony zakonnik pomógł mu się wyprostować.

– Pokładałem w was pewne nadzieje – wyjął z goryczą. – I z trudem z nich rezygnuję.

– Czy chcielibyście mnie przymuszać? – nie dawał za wygraną Gualtiero.

– Tego nie twierdzę – zaprzeczył opat. – Zajrzyjcie do mnie, do zakrystii, jutro rano, po jutrzni. Otrzymacie moją odpowiedź.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W POMPOSIE

28 LUTEGO PO JUTRZNI

Gualtiero udał się na spotkanie do zakrystii podekscytowany zbliżającym się wyjazdem. Mimo ostatnich niesnasek pragnął pożegnać się z opatem, jak przystało osobom, które darzą się szacunkiem. Był wszakże zdecydowany, że nie pozwoli ani się zastraszyć, ani skłonić do zmiany zdania. Tego dnia miał rozpocząć wędrówkę ku Francji z błogosławieństwem duchowego ojca Pomposy albo bez niego.

Andrea czekał nań za pulpitem, zatopiony w lekturze. Ledwie go zobaczył, dał mu znak, by podszedł bliżej.

– Przywdzialiście podróżne szaty – zauważył, unosząc brew.

– Messer Robert oczekuje mnie na dziedzińcu – odparł chłopiec.

Zakonnik niespiesznie pokiwał głową. Po czym niezmiernie powolnym ruchem wyciągnął z kieszeni habitu sakiewkę.

– Zwracam wam piętnaście złotych florenów.

Gualtiero wpatrywał się weń ze zdziwieniem.

– Zatem... mam wasze przyzwolenie.

– Raczej moją kapitulację – westchnął opat. – W ostatnich miesiącach starałem się pobudzić wasz talent, licząc na to, że poświęcicie go wyższemu celom. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że poniosłem klęskę.

– Przeciwnie, uczyniliście mnie lepszym człowiekiem – sprzeciwił się Gualtiero. – Pracując w waszym skryptorium, nauczyłem się więcej, niż przypuszczacie. Nigdy nie zdołałem się wam wywdziękzyć.

Wielebny ojciec uczeplił się ostatniej nadziei.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać – oznajmił. – Przemyślcie to dokładnie, synku, zanim popełnicie nieroztropną pomyłkę.

Młodzieniec pokręcił głową.

– Ja z kolei mam wrażenie, że straciłem już za dużo czasu – stwierdził. – Muszę iść. Teraz.

Widząc jego uparty wyraz twarzy, Andrea zmarkotniał.

– Naprawdę jesteście pewni swego wyboru? Porywacie się na przedsięwzięcie pełne śmiertelnych niebezpieczeństw. Nie wiecie, co się ostatnio dzieje. Nie wyobrażacie sobie, jak potworna plaga pustoszy ziemię.

– Macie na myśli zarazę, która dosięgła messer Maynarda?

– Nie inaczej. Oddalając się od Pomposy, niemal na pewno staniecie się jej ofiarą.

Gualtiero przypomniał sobie trupa bladość na twarzy Rocheblanche'a i przeszył go lodowaty dreszcz. Wszelako spędził wśród uczonych skrybów dość czasu, by wiedzieć, czym jest gnuśność.

– Niech się dzieje wola Boga – zawyrokował.

– Boga! – powtórzył Andrea, śmiejąc się sucho. Otworzył ramiona i jał się przechadzać po izbie, coraz bardziej rozgoryczony. – W pewnej chwili wydawało mi się, że Go w was dostrzegłem – wyjawiał – a tymczasem... Spójrzcie! Po raz kolejny ze mnie zadrwił.

– Zadrwił z nas wszystkich – odparł młodzieniec, nie wiedząc, co opat ma na myśli. Wyczuwał jego wewnętrzną rozterkę i poczuł ukłucie żalu. – Niemniej – dodał – nie mogę nie dotrzymać zobowiązań.

Zakonnik nagle znieruchomiał i machnął z rezygnacją ręką. Wyglądało, jakby powściągnął złość, przynajmniej na razie, albo po prostu poniechał zwycięstwa w tej bitwie. Tak czy inaczej, dokonawszy wysiłku zapanowania nad sobą, stanął przed Gualtierem z przepaszającym uśmiechem.

– Mam nadzieję, że postępujecie słusznie, naprawdę – wyznał. – I całym sercem pragnę znów was zobaczyć.

– Ja także – rzekł chłopiec, uspokojony. Ucisnął jego wyciągnięte dłonie, po czym przypomniał sobie coś ważnego i wręczył opatowi zwinięty skrawek pergaminu. – Moją ostatnią prośbą jest, byście wysłali tę wiadomość gołębiem.

– Dokąd? – zapytał z ciekawością Andrea.

– Do klasztoru Świętego Antoniego.

– Pojąłem. Nie potrzeba dalszych wyjaśnień. Obiecuję, że jeszcze dziś poszybuję w powietrze.

– Lepiej by było nazajutrz, aby dotarła, gdy będę już daleko.

– Jak sobie życzycie.

Gualtiero okazał wdzięczność ukłonem.

– Znów jestem waszym dłużnikiem. – Cofnął się o krok, zamierzając odejść.

– Jeszcze chwila, synku – powstrzymał go wielebny ojciec. – Po drodze możecie zostać zmuszeni, by dowieść, że jesteście pielgrzymem. Będziecie narażeni na zagrożenia. – Zbliżył się do pulpitu i wziął zapieczętowany zwój pergaminu. – Skreśliłem dla was niniejszy glejt.

Chwyciwszy w dłonie dokument, młodzieniec dokładnie mu się przyjrzał.

– Cóż to takiego?

– Niniejsza *charta* – odrzekł Andrea – stwierdza, że odbywacie pielgrzymkę do Świętego Jakuba Większego w Composteli. Jeśli będziecie ją zawsze nosić przy sobie, żaden strażnik czy burmistrz podczas waszej wędrówki nie będzie mógł was oskarżyć o włóczęgostwo.

– Wielebny ojcze, to zbyt wielka wspaniałomyślność...

Zakonnik opędził się dobrodusznym gestem i podał mu muszlę w kształcie wachlarza wyżłobioną od góry do dołu.

– Weźcie także i to – powiedział. – Abyście po powrocie mogli dowieść, żeście byli w miejscu, o którym mowa w pergaminie.

Gualtiero schował glejt i muszlę Świętego Jakuba do sakwy, po czym skinął na pożegnanie.

Przed rozstaniem opat położył mu dłonie na ramionach i spochmurniał.

– Messer Maynard nie mylił się co do biskupa – wyznał szeptem. – W razie gdybyście pewnego dnia mieli z nim do czynienia, bądźcie czujni.

Gdy Gualtiero wyszedł z opactwa, ujrzał messer Roberta dosiadającego już wierzchowca. Wystarczył rzut oka na jego ponurą twarz, by się domyślić, że był w zielarni, aby pożegnać się po raz ostatni z Rocheblanche'em. Myśl ta zasmuciła młodzieńca ponad miarę.

– Prędko, na koń – ponaglił burkliwie Pikardyjczyk. – Wyruszamy w drogę!

FERRARA, KLASZTOR ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

29 LUTEGO

Przeorysza siedziała z dłońmi splecionymi na brzuchu, wpatrując się w Isabeau dziwnym wzrokiem. Nigdy nie wyraziła tego słowem ani gestem, ale pogarda, którą ją darzyła, była wręcz namacalna. Robiła wszystko, żeby jej unikać, przydzielając dziewczynie najbardziej poniżające obowiązki, które miały trzymać ją jak najdalej od innych sióstr.

W głębi serca Isabeau była za to wdzięczna matce przełożonej. Ów rodzaj kary umożliwiał jej ucieczkę od żelaznych reguł klasztoru. Po niekończących się mszach, śpiewach i pisaniu z radością wychodziła na zewnątrz, aby pielęgnować ogród bądź zwierzęta albo po prostu napełnić cebry wodą. I w gruncie rzeczy nigdy nie miała powodu, by lękać się przeoryszy.

Teraz jednak wyczuwała u niej silne rozdrażnienie. Uznałaby to niemal za reprimendę, gdyby nie przekonanie, że w ciągu minionego miesiąca zachowywała się jak należy. Stała więc przed jej pulpitem i czekała, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, aż zakonnica przemówi.

– Rocheblanche – odezwała się w końcu przeorysza – uważacie to święte domostwo za lupanar?

– Nie, wielebna matko – odrzekła zdziwiona dziewczyna.

– Wobec tego może za dom dla panien na wydaniu?

– Też nie.

– Znakomicie. – Zakonnica pokazała jej pasek zapisanego inkaustem pergaminu.

– Pojmujecie zatem, że nie mogę się zgodzić na listy od zalotnika.

Isabeau aż podskoczyła.

– To do mnie?

– Od niejakiego Gualtieria de' Bruniego. – Powiedziawszy to, przeorysza przysunęła list do płomyka świecy i spaliła go, nie bacząc na wściekłość malującą się na twarzy młodej niewiasty.

– Nie! – Dziewczyna rzuciła się ku przeoryszy i wyrwała jej z rąk resztki pergaminu. Została spoliczkowana, zdołała wszakże chwycić spopieląły skrawek.

– Nie ważcie się na coś podobnego nigdy więcej, głupia smarkulo! – zbesztła Isabeau przeorysza, grożąc, że uderzy ją znowu. – Sama wam streszczę zawartość. Pomijając szczegóły, które można by określić jako... lubieżne.

– Nie jesteście moją panią! – cisnęła jej w twarz Isabeau. – Messer Maynard zapłacił wam za to, żebyście się mną opiekowali.

Z dostojnością godnym zakonu, do którego należała, mniszka znów jęła niewzruszenie się w nią wpatrywać. Jedyne palce, zaciśnięte na poręczach krzesła niczym szpony, zdradzały rosnącą w niej złość.

– Skoro tak bardzo pragniecie opuścić tę wyspę, droga wolna – oznajmiła stanowczo. – Tylko miejcie na uwadze, że z dala od brzegów Padu wszędzie szaleje zaraza, a nawet gdyby z Bożą pomocą udało się wam wrócić do Pomposy, nikt by was tam nie przyjął. Ten wasz Gualtiero pojechał do Awinionu. A co do waszego szlachetnego brata... – przerwała, by się przeżegnać – spoczywa powalony chorobą na łożu śmierci.

Niespodziewana zgroza, która ogarnęła Isabeau, znalazła ujście w instynktownym długim krzyku, zdolnym rozerwać jej gardło niczym miecz. Dziewczyna odsunęła się gwałtownie od okropnej niewiasty i wybiegła daleko poza klasztorne mury. Wreszcie padła na kolana przed spalonym mostem, którego resztki majaczyły nad ołowianymi wodami rzeki.

Przez długi czas czuła wyłącznie smak łez i rozpaczy.

W końcu uzmysłowiła sobie, że nadal ściska w dłoni skrawek pergaminu. Spłonął niemal doszczętnie, zostało niewiele słów, które dawało się odczytać. Wszelako wystarczyły, by tchnąć w nią iskierkę nadziei.

Czekaj na mnie... Wrócę po Ciebie...

OPACTWO W POMPOSIE

OD 2 DO 9 MARCA

Konanie było powolną męką w strugach potu i gwałtownych dreszczach, nasilających majaki, które bezustannie zakłócały i sen, i czuwanie. Słyszał głosy, widział odrażające wijące się ciała, które wzywały jego imię jak w nieprzerwanej litanii. I cały czas, który wydawał mu się nieskończonością, czuł, że tonie wśród tych potępieńców, w bagnie ślepego grobowca, nie panując w najmniejszym nawet stopniu nad ciałem i myślami.

Wyswobodzenie się było przedsięwzięciem godnym najzuchwalszego szaleństwa. Czuł, jak paznokcie łamią mu się na ciemnych i śliskich ścianach przy próbach wydostania się ku światłu. Z trudem uprzytamniał sobie, że nadal żyje.

Potem odezwało się pragnienie.

Gardło zdawało się pełne piasku i samo oddychanie wywoływało potworne skurcze. Przygwożdżony przerażeniem, spróbował podnieść powieki, lecz były jak zszyte. Wybuchnąłby szloch, ale był tak słaby, że nie mógł nawet uwolnić się od przykrywającej jego ciało pościeli.

Coś musnęło go po twarzy. Czyjaś dłoń. Poczul, że ktoś delikatnie unosi mu głowę, po czym coś szorstkiego dotknęło jego warg. Chłodna, kojąca ciecz spłynęła mu do gardła. Podziękował Bogu.

Gdy oczy zachodziły mu wilgocią ze wzruszenia, usłyszał czyjś głos.

– Cud.

Maynard dostrzegł zarysowującą się coraz wyraźniej postać zakonnika, aż wreszcie rozpoznał infirmera.

– Cud – powtórzył frater, nadal pomału go pojąc.

Potem szlachcic znowu zapadł w sen.

Następne przebudzenie okazało się mniej bolesne, rycerz był jednak tak wyczerpany, że nie mógł nawet unieść dzban z wodą stojącego obok posłania. Niemoc sprawiła, że ponownie stracił przytomność.

Gdy znowu otworzył oczy, była ciemna noc. Nie wiedział, ile czasu upłynęło, w uszach ciągle jeszcze miał echo majaków. Z trudem przewrócił się na bok i ujrzał przy łożu świecę. Dzban nadal tam stał. Spragniony Maynard bardzo powoli wyciągnął prawą rękę i zdołał go podźwignąć. Podniósł głowę i pił małymi łykami, dziękując Opatrzności.

Ponownie odzyskał zmysły, gdy zapał kogut.

Przy posłaniu stał infirmer i badał go. Widząc, że rycerz otworzył oczy, uśmiechnął się.

– Dobrze, dobrze... – mruknął i podał mu sok z czarnego bzu. Później pomógł mu usiąść i go nakarmił.

Rocheblanche po tygodniu poczuł się wystarczająco silny, by mówić i utrzymać się na nogach. Odwiedziny infirmera stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie zakonnika zastąpił pacholek, który przynosił mu wodę i jadło. Majaki nie przestały go wszakże prześladować. Wywinał się śmierci po raz trzeci i nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Widział zbyt wiele trupów, zbyt wiele dziecięcych zwłok na ulicach Ferrary, by odczuwać tylko wdzięczność wobec Boga. Skoro owo wspomnienie było potworniejsze niż wszystkie inne obrazy z pól bitew, nieumiejętność odpowiedzenia sobie na pytanie, dlaczego spośród tak wielu ludzi akurat on przeżył, sprawiała, że stawało się ono jeszcze bardziej przerażające.

Właśnie ta myśl kazała mu opuścić posłanie.

Odziany jedynie w nogawice, z kołdrą na plecach wyłonił się z niszy, w której spędził dni piekła. Przytrzymując się ścian, powoli przemierzył korytarz łączący jego pomieszczenie z zielarnią, i usilnie starając się zapanować nad własnym ciałem, wydostał się na zewnątrz.

Ciepłe promienie wczesnopołudniowego słońca spowodowały, że stanął w progu, przymknął oczy i głęboko odetchnął. Dopiero wtedy zyskał pewność, że wrócił między żywych. Zanurzwszy bose stopy w trawie, poszedł w kierunku *Palatium Abbatis*.

Nieobecność zakonników i pacholeków mocno go zaniepokoiła, lecz gdy dotarł do pałacu, czekały go jeszcze większe osobliwości. Wszystkie drzwi i okna były zaryglowane. Ponadto między kolumnami na piętrze rozmieszczonych było sporo palenisk, wydzielających dym o korzennej woni.

Zatrwożony Rocheblanche ruszył krużgankiem, chwycił kołatkę przy drzwiach i zastukał z największą siłą, na jaką pozwalał mu jego stan. Długo musiał powtarzać tę czynność, nim uzyskał odpowiedź.

– Odejdźcie stąd! – usłyszał w końcu zza drzwi.

Rozpoznał głos opata.

– Wpuśćcie mnie! – zawołał, nie bacząc na ciągle jeszcze obolałe gardło. – To ja, Rocheblanche!

– Rocheblanche? – powtórzył z niedowierzaniem zakonnik.

– Przecież mówię, że to ja!

Kłapka judasza podniosła się nagle i w otworze ukazała się twarz ojca Andrei.

– O, Matko w niebiesiech! – Dał się słyszeć szcęk rygła i porzucając wahanie, wielebny ojciec otworzył drzwi. – Sądziłem, żeście nadal w malignie.

– Infirmer nie powiedział wam, że mi się polepszyło? – zapytał

zdezorientowany rycerz.

– Infirmiera przed trzema dniami zmogła gorączka – oznajmił opat. Rzuciwszy pełne goryczy spojrzenie na fasadę opactwa, jakby zamierzał je przekląć, skupił wzrok na Maynardzie. – Razem z innymi...

– Co przez to rozumiecie? Gdzie są wasi zakonnicy?

– Zaraza, messer. Świta Jego Ekscelencji, sześciu konfratrów i niemal wszyscy posługacze są chorzy. Z braku *valetudinarium* byłem zmuszony umieścić ich w domu gościnnym. Pozostali mnisi ścisnęli się w dormitorium w nadziei, że unikną plagi.

Rocheblanche spojrział w głąb pałacu i zobaczył tylko półmrok, drżący od płomieni świec i dymu kadzidła. Znużony oparł się o kolumnę krużganka.

– A wy, wielebny ojcze?

Andrea westchnął.

– Biskup każe mi siedzieć tu, w zamknięciu, i dotrzymywać mu towarzystwa. Nie pozwala mi wychodzić, nawet odwiedzać współbraci. Wyobraźcie sobie moją mękę, messer! Gdyby to było możliwe, chętnie oddałbym życie, żeby ocalić cały klasztor.

Wprawdzie rycerz wyczuł nutę nieszczerości w słowach opata, ogarnęło go wszakże współczucie dla tego starego zakonnika, który musiał bezsilnie patrzeć, jak jego świat się wali.

– Są wieści z sąsiednich miast?

– Tylko z Ferrary, coraz bardziej przygnębiające – odparł opat. – Zaraza zabrała ponad połowę ludności, i to nie tylko synów ludu. W szpitalach Świętej Anny, Świętej Marii Białej i w lazarecie na przedmieściu Topoli jest tak wielu umierających, że mnisi muszą bezradnie patrzeć, jak chorzy konają na ulicach. Nawet bracia od Świętego Franciszka i Świętego Dominika pootwierali swe podwoje. Wygląda jednak na to, że tylko ci, którzy ryglują drzwi pałaców i klasztorów albo chowają się po wsiach, mogą mieć jakąkolwiek nadzieję.

Maynard poszybował myślami ku zbiorowej mogile na przedmieściu Świętego Jerzego i ku zasłanym trupami ulicom, po których grasowały hordy szaleńców i łotrów. Wspomnienie to nałożyło się na obraz trzech posłańców, przemierzających konno zalane krwią równiny.

– Śniłem... – szepnął, przytykając dłoń do czoła.

Wstrząśnięty jego słowami Andrea pokonał niezdecydowanie, które aż do tej pory nie pozwalało mu przekroczyć progę.

– Macie na myśli *visio*? – zapytał z ciekawością. – Już raz mi o tym napomknęliście.

– Apokalipsa, ojcze – wykrzyknął Francuz, walcząc z lekkim zawrotem głowy. Zbyt długo zachowywał dla siebie ową ponurą przepowiednię, teraz zaś poczuł potrzebę, by się otworzyć przed bystrym i jeśli nawet nie do końca

szczerem, to potrafiącym słuchać człowiekiem. – Obwieścili mi ją trzej jeźdźcy w płomiennych aureolach – wyznał. – Ujrzałem ich między snem a jawą po rzezi pod Crécy i od tej pory mam wrażenie, że mnie prześladują.

– Swego czasu wspomnieliście także o pewnym mędrцу, który was oświecił. – Zakonnik wpatrywał się weń uważnie, niemal urzeczony. – Długo się nad tym zastanawiałem, messer, i doszedłem do wniosku, że mowa o tajemniczym osobniku, któremu złożyliście przysięgę. – Opat dotknął jego ramienia. – O ascecie, który przysłał was tutaj na poszukiwanie ojca Facia.

Rocheblanche odsunął się instynktownie. Słaby mur, który wznosił dla obrony swych tajemnic, chwiał się, nasuwając podejrzenie, czy aby opat nie odkrył czegoś na temat wielebnego Manessiera i klasztoru Mont-Fleur. Może udało mu się to dzięki wskazówkom biskupa Guida albo za sprawą jakiejś nieznaney uwagi pozostawionej przez ojca Facia... W głowie Rocheblanche'a łomotało dziko, rodziły się najbardziej mętne hipotezy, dopóki nie dostrzegł łagodnego wyrazu twarzy Andrei, któremu przecież przed rokiem zaufał. Wówczas uzmysłowił sobie, że nic mu nie grozi, toteż stłumiwszy obawy, wyjął:

– Mędrzec, o którym mówicie, to mnich i *astrologus*. Właśnie on zobaczył w moim śnie trzech jeźdźców Apokalipsy przybywających przed Śmiercią, czyli niosących koronę, miecz i wagę. Bez wahania rozpoznał w nich uosobienia Jowisza, Marsa i Saturna.

Andrea otworzył szeroko oczy.

– Trzy planety... – wyjąkał. – Trzy planety z wielkiej koniunkcji, która miała miejsce trzy lata temu!

Maynard przytaknął.

Opat oparł się o ościeżnicę drzwi, uwolniwszy się nagle od wszelkich lęków i przykrości. Na jego obliczu malowało się jedynie zdziwienie.

– Nigdy jeszcze nikomu tego nie zdradziłem – rzekł cicho. – Mój nauczyciel Seweryn był wyznawcą Piotra Apońskiego, heretyckiego medyka, który wykładał w Paryżu i Padwie naukę o gwiazdach, i przekazał mi podstawy jego myśli. – Przerwał, aby nadać głosowi uroczyste brzmienie. – Podobnie jak Galen i Albumasar, Piotr twierdził, że ruchy ciał niebieskich wpływają na rozprzestrzenianie się chorób, a także na losy rodzaju ludzkiego, tworząc łańcuch przyczyn i skutków. Zawsze wątpiłem w podobne doktryny. Teraz jednak, wobec tych opowieści...

– Z pewnością każda plaga powstaje z jakiejś przyczyny, czy to będzie popełniony przez nas grzech, czy gniew niebios – rzekł Francuz. – Wszelako ja pragnę poznać moją rolę w tych wydarzeniach. Nad wyraz tego potrzebuję, ojcze, aby nadać sens mojemu istnieniu, albowiem w przeciwieństwie do tylu biednych nieszczęśników nadal żyję.

Andrea otworzył ramiona.

– Pan musi mieć jakiś plan wobec was, nie widzę innego wytłumaczenia.
– Jeżeli jest tak, jak mówicie – odparł Maynard – dlaczego objawia się za pośrednictwem aż tak zawiłych snów?

Odpowiedź padła nieoczekiwanie z pograżonego w mroku westybulu:

– Bóg zesłał zarazę na Filistynów, aby ukarać ich za kradzież Arki Przymierza.

Rycerz i opat odwrócili się gwałtownie ku opatulonej postaci, która pojawiła się w progu. Guida di Baisio trudno było rozpoznać, gdyż głowę, usta i nos miał owinięte długim pasem płótna. Spowijał go całkowicie czarny płaszcz, na szyi zaś wisiła *pomme d'ambre*¹², skąd rozchodziła się woń ambry i benzoiny.

– Wasza Ekscelencjo, ja niczego nie ukradłem – oświadczył Rocheblanche. Zapanowawszy nad zdziwieniem na widok cudacznego wyglądu biskupa, uchwycił odniesienie do *Lapis exilii* i się nasrożył. – Przeciwnie, zobowiązano mnie do odzyskania dwóch relikwii, które podstępnie przywłaszczył sobie ojciec Facio.

– A jeśli waszym przeznaczeniem jest zwrócenie zagrabionych przedmiotów Kościołowi? – drażył z uporem biskup. – Zastanówcie się, rycerzu. Sami twierdzicie, że ciągle umyka wam przyczyna wielu zdarzeń, które przeżyliście.

– Potraficie znakomicie siać wątpliwości, lecz nie kłopotcie się zbytnio tymi sprawami. Pewien zaufany człowiek pędzi już ku alpejskim przełęczom, z dala od zarazy, i wkrótce ostrzeże, kogo trzeba, o zagrożeniu, jakie stanowi Bertrand du Pouget.

– Nie pokładałbym w nim tak dużych nadziei – zakpił Guido. – Z najświeższych wieści wynika, że gniew Pański spadł nie tylko na nasz półwysep. Wasz posłaniec pewnie nie zdąży dotrzeć na miejsce, gdyż musi jechać Drogą Lombardzką, gdzie szaleje zaraza.

Oburzony Rocheblanche podszedł do ojca Andrei i szepnął mu na ucho:

– Muszę się z wami rozmówić. Na osobności.

Wyludnione skryptorium pogrążone było w nienaturalnej ciszy. Rocheblanche puścił opata przodem i odsapnąwszy chwilę po wspinaniu się po schodach, podążył za nim wśród pustych ławek. Wyobrażał sobie szeregi zgarbionych kopistów przepisujących manuskrypty. „Mrzonki” – pomyślał z poczuciem winy, że bezcześci miejsce, którego od wieków nikt nie skalał.

– Od kiedy zaraza spadła na klasztor – wyjaśnił przybity Andrea – wszelka działalność ustała.

Maynardowi pilno było rozmówić się z opatem w innej sprawie, ale milczał. Wobec tragedii, jaka rozgrywała się w ostatnich dniach, zaczął się zastanawiać, czy oddanie się duszą i ciałem tajemnicy Mont-Fleur ma jeszcze sens. Skądinąd Guido di Baisio nie mylił się co do jednego: ujawnienie symbolu zbawienia pomogłoby rodzajowi ludzkiemu w zmaganiu się z okrucieństwem tych czasów. Pielgrzymi i wierni zbiegliby się zewsząd, aby zobaczyć prawdziwe relikwie Chrystusa, odkrywając na nowo znaczenie wiary i nadziei.

Jednakże sama myśl o możliwości złamania przysięgi wystarczyła, by zrodziło się w nim poczucie winy. Uważał, że byłoby to niewybaczalne zachowanie wobec Manessiera, a przede wszystkim Gualtieria, który, nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co się dzieje, wyruszył w przeklętą podróż. Myśl ta sprawiła, że nagle zabrakło mu tchu i musiał się przytrzymać ściany. Oddychał z trudem, z ręką na piersi, nękany wyrzutami sumienia. Gdyby tylko wiedział, jak daleko posunęła się zaraza, nigdy nie zdecydowałby się, by wplątać w to chłopca...

Odzyskawszy oddech, ujrzał, jak Andrea pochyła się nad ogromnym kodeksem leżącym na jednym z pulpity. Strona nieparzysta zawierała miniaturę przedstawiającą trzech jeźdźców na monstrualnych rumakach z głowami lwów i ogonami węży. Z ich zbroi i końskich pysków wypęły języki ognia.

Opat zauważył jego zaciekawienie miniaturą.

– W Apokalipsie Jana jest mowa nie tylko o *waszych* jeźdźcach – skwitował ze smutną uszczypliwością – ale także o tych z szóstej trąby, niszczycielach chciwości i pychy w pancerzach barwy siarki. – Postukał palcem w malowidło. – Według komentarzy Bedy Czcigodnego ucieleśniają oni fałszywych nauczycieli.

Chociaż Andrea mówił, jakby miał na myśli nieszczęścia ludzkości, Rocheblanche wykazał się wystarczającą przenikliwością, aby dostrzec w dymie siarki odniesienie do próżności, która potrafi zaślepić zdolność rozeznania. Upłynęło zresztą zaledwie kilka miesięcy, od kiedy właśnie Andrea wysunął hipotezę, jakoby Flegetanis był fałszywym nauczycielem. I oto teraz zdradzał tę samą, choć w sposób bardziej zawoalowany, wątpliwość.

– Przepiękna iluminacja – odparł Francuz, lecz zaraz tego pożałował.

– Ostatnia wykonana przez młodego Gualtieria de' Bruniego. – Zakonnik

bezceremonialnie zamknął księgę i skinął na Maynarda, by zajął jedno z krzeseł pod ścianą. – Zbyt długo unikałem tej kwestii – dodał. – Dlaczego chcieliście się ze mną rozmówić na osobności?

Maynard usiadł z wdzięcznością, obiecując sobie, że odpocznie zaraz po skończonej rozmowie, po czym skupił się, by wyrazić to, co nie dawało mu spokoju.

– Pragnę się dowiedzieć, czy wspominaliście biskupowi o księdze Flegetanisa.

Opat popatrzył nań dotknięty do żywego.

– Jak możecie tak sądzić?

– Mam obowiązek być podejrzliwym – odparł stanowczo rycerz. – Nie ufam temu człowiekowi.

– Słyszałem, że mnie także.

Rocheblanche uspokoił wzburzonego Andreę dobrotliwym gestem. Osłabienie sprawiło, że stał się bardziej skłonny do wyrozumiałości, ponadto istniało niebezpieczeństwo, że straci cennego sprzymierzeńca. Wprawdzie stary mnich skrywał dwulicową naturę, ale zapewnił mu gościnę, pomógł i ochronił go przed wrogami.

– Jesteście sługą Bożym – przyznał. – Musicie być posłuszni Kościołowi, rozumiem to. Z pewnością nie mogę was potępić...

– Nie należy mylić mojej lojalności wobec Kościoła z tępym poddaństwem.

– Wielebny ojciec zmierzył go chłodnym spojrzeniem. – Doskonale wiem, jaka zgnilizna toczy Awinion, i przeklinam ją bardziej niż zarazę, która zagraża dzisiaj całej ludzkości.

– Zauważyłem różnicę zdań w tym względzie między wami a biskupem – wyjawiał Maynard najostrożniej, jak potrafił. – Gnębi mnie wszakże pytanie, czy obawiacie się Bertranda du Pougeta.

– Lękam się skutków jego przypuszczalnego wypadu do Ferrary – odrzekł oschle zakonnik. – Na nieszczęście Jego Ekscelencja nie podziela moich obaw.

– Uważacie, że zdążył już napisać do kardynała o *Lapis exilii*?

Opat wzruszył ramionami.

– Plaga zarazy odsuwa na dalszy plan tę i wszelkie inne groźby. W tej chwili najważniejsze jest przetrwanie i ufność w łaskawość Pana. – Opat jął się przechadzać między pulpitemi, rzucając szybkie spojrzenia w każdy zakamarek w poszukiwaniu kulawego charta. – Niemniej – dodał – nie mogę zaprzeczyć, że w ostatnich dniach *monsignore* Guido powysyłał wiele listów, często nie mówiąc, do kogo.

– Może macie słusność – przyznał Rocheblanche. – Zbyt mocno się frasuję, i to bez powodu. W każdym razie doceniam waszą szczerą i utrzymuję swoją wolę, byście wydali ofiarowane wcześniej sześćset florenów na uśmierzenie

cierpień Pomposy.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić – wyznał zakonnik.

– Co przez to rozumiecie?

– Trzeba pilnie zdobyć pożywienie dla klasztoru, bo inaczej niebawem pomrzemy z głodu. Nasze spichrze są puste, a z powodu szerzącej się choroby i grabieży nie wiem, jak je zapełnić.

– Niech biskup wywrze naciski na Ferrarę – podsunął Francuz.

Andrea pokręcił głową.

– Nie został już nikt, do kogo mógłby się zwrócić. Zapasy w spichlerzach feudałów są warte więcej niż złoto, a ten, kto jeszcze je posiada, wcale nie chce się nimi dzielić.

Maynard dumiał przez chwilę. Chociaż jego umysł domagał się snu, znalazł rozwiązanie.

– Może znajdzie się na to rada – rzekł. – Minionego lata przeprowałem się z przemytnikami, którzy zajmują się handlem wzdłuż Padu. Gdy tylko wyzdrowieję, mógłbym ich odszukać i skorzystać z ich usług, o ile nie dopadła ich zaraza.

– Jesteście aniołem, messer. – Opat uśmiechnął się nieśmiało. – W żadnym jednak razie nie chciałbym was kłopotać.

– Gdybym miał dość sił, już dzisiaj dosiadłbym konia i dołączył do Roberta i Gualtieria – oznajmił Rocheblanche. – Oni są wszakże daleko. Trzeba się wydostać z tej nader niebezpieczniejszej pułapki.

– To znaczy?

– Mówiąc waszym językiem, nie chodzi o bezpośrednie zagrożenie. Podobnie jak wszędzie, także i tutaj w pierwszej kolejności należy uchronić się przed zarazą. Gdy jednak ta hekatomba minie, kardynał du Pouget wznowi pościg za mną, o ile śmierć się o niego wcześniej nie upomni. I jeśli w tym czasie otrzyma wiadomość od biskupa, zjawi się na tych ziemiach wraz ze swymi pomocnikami. Oto dlaczego uważam, że powinniśmy uniemożliwić mu znalezienie tutaj sojusznika, którym mógłby być Obizzo III d'Este.

Opat zmrzążył oczy, będąc pod silnym wrażeniem słów Francuza. Wyraz jego twarzy mówił, że właśnie ocenia stopień zagrożenia dla siebie i swego klasztoru.

– Nie lękajcie się na zapas – skwitował. – Chociaż ci dwaj pożegnali się jako wrogowie, istnieje niejeden sposób, by nagiąć wolę markiza, i z pewnością kardynał potrafiłby to zrobić. A zatem, messer, za pomocą jakiegoż to fortelu zamierzacie zażegnać podobne niebezpieczeństwo?

Maynard przypomniał sobie swoje ostatnie spotkanie z Obizzem. Markiz ledwie raczył nań spojrzeć, tak bardzo był zajęty wypadkami w Ferrarze.

– Nie ma wielkiego pośpiechu, zważywszy na smutne okoliczności. Ale nie wątpicie, ojcze, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, będę wiedział, co czynić.

– Widzę, że wasza pewność nie jest tylko czczym pozorem. Wygląda na to, że macie już dokładny plan.

Rocheblanche jedynie skinął potakująco głową.

– Tymczasem zajmę się zdobyciem pożywienia dla opactwa.

– A ja spróbuję odwdziżyć się za to – oznajmił na koniec równie wymijająco Andrea. – Nie chcę was zwodzić, ale być może znam sposób, aby dowiedzieć się czegoś na temat listów Guida.

NA DRODZE LOMBARDZKIEJ

– „Anioł zaś wziął naczynie na żar, napełnił je ogniem z ołtarza i zrzucił na ziemię”¹³.

Starzec w podartym habicie krzyczał, stojąc na skraju drogi przed wbitym między kamienie drewnianym krucyfiksem. Otoczyła go gromada wędrowców, oczarowanych ruchami jego kościstych palców i gorączkowymi prorocत्वami. Szaleniec perorował zaś coraz zapalczywiej swym piskliwym głosem. Mówił o gradzie pomieszonym z krwią, o szarańczy ze studni Czeluści i o upadku gwiazdy zwanej Piołunem.

Gualtiero zatrzymał konia, by popatrzeć na to smutne widowisko. Od dwudziestu dni, a może nawet dłużej, przemierzał ziemię, na które spadła okropna plaga. Przestał już liczyć, ilu widział kaznodziejów i opętańców, ciągle jednak nie potrafił pojąć, dlaczego owi piewcy nieszczęść pozyskują aż tak wielkie rzesze wyznawców. Wyglądało na to, że ludzie nie mieli jeszcze dość wrzucania trupów do dołów, układania ich na brzegach placów albo umieszczania na płonących stosach, i że szukali śmierci nawet w głęzieniu wydobywającym się z zaślinionych ust.

Przez pierwsze dni wyprawy, w czasie postojów, chłopiec zapełnił swój szkicownik rysunkami zwłok leżących na trawie, opartych o pnie drzew albo wiszących na skleconych naprędce szubienicach. Potem wszakże przestał, gdyż owa makabryczna monotonia przyprawiła go o mdłości. Nie umiałby powiedzieć, kiedy zgroza przerodziła się w obojętność, wszelako wydawało mu się, że już od dawna brodzi po owym oceanie gnijących ciał.

Przerażało go gwałtowne rozprzestrzenianie się szaleństwa. Wraz z pomorem najwyraźniej rozlewała się zaciekłość, zdolna popchnąć lud do najbardziej odrażających czynów. Grabieże, palenie na stosach rzekomych czarownic i procesje biczowników były na porządku dziennym, toteż obaj w miarę możliwości unikali ludzkich osad. O ile wszakże miasta stanowiły groźne ogniska zakażenia, lasy dawały schronienie wszelkiej maści rabusiom i niegodziwcom.

Ich położenie uległo poprawie, gdy znaleźli się u stóp gór. W miarę przedzierania się przez przełęcze i jeszcze pokryte śniegiem ścieżki wszelkie niebezpieczeństwa zdawały się zmniejszać. Wprawdzie wędrowcy i zbiegowie przywlekli czarną śmierć i tutaj, najwyraźniej jednak bardziej surowy klimat powstrzymał jej pochód.

Do rzeczywistości przywróciły go krzyki kaznodziei i młodzieniec zobaczył żebraka, który uczepił się jego buta.

– Miejcie litość, piękny panie – błagał nieszczęśnik. – Trochę drobnych dla zaspokojenia głodu...

Młody de' Bruni szarpnął cugle, lecz mężczyzna nie pozwolił się odepchnąć.

– Jeśli sypniecie mu groszem, zaraz obstąpi was z dziesięciu innych – ostrzegł Vermandois z okrutnym uśmiechem, wskazując tłum zebrany wokół kaznodziei.

Gualtierowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Dotknął sztyletu, który nosił przy przewiązanej w pasie szarfie, ale się rozmyślił. Trzymając się mocno w siodle, wrzasnął:

– Precz!

Po czym wymierzył biedakowi solidnego kopniaka, który powalił go na ziemię.

Nie czekając, aż żebrak się podniesie, oddalili się od tego nędznego teatru szaleństwa.

INSULA POMPOSIÆ, POŁUDNIOWE OBRZEŻA**29 MARCA**

Zatrzymawszy wóz w gęstych zaroślach, Rocheblanche trzykrotnie uniósł kaganek i zaczął czekać, aż przy brzegu zobaczy czarny kształt barki. Śledził postępy całego przedsięwzięcia, siedząc na koźle, otulony płaszczem dla ochrony przed chłodem ciągnącym od wilgotnego śniegu. Wiosna zwlekała z przyjściem, jakby przekleństwo zarazy objęło także zmiany pór roku. I jeden Bóg wiedział, jak bardzo nieszczęśliwa ludzkość wygląda ciepłych promieni słońca.

Ledwie barka dotknęła brzegu, z dziobu zeskoczyło kilku przemytników, żeby przenieść skromny ładunek amfor i baryłek. Rycerz polecił skinieniem, by umieścili je na wozie za jego plecami, i nie spuszczał wzroku z mocno zbudowanego mężczyzny, który szedł mu na spotkanie, jak zwykle uśmiechając się ukradkowo. Wyglądał, jakby żył w ciągłym strachu, że ktoś go szpieguje.

– A dzbany z olejem? – zapytał Maynard, nie racząc się nawet przywitać.

Oreste, bo tak nazywał się mężczyzna, splunął na ziemię.

– Nie ma już oleju. – Pogłaskał jednego z wołów zaprzęgniętych do wozu. Miał tak ogromną dłoń, że zakrywała całe czoło zwierzęcia. – Ale co do reszty, jest wszystko.

Rocheblanche odczekał, aż marynarze skończą załadunek, po czym wydobyl spod płaszcza sakiewkę pełną monet i zważył ją w dłoni.

– O ile pamiętam, prosiłem też o pastylki teriaku¹⁴.

Olbrzym z grobowym westchnieniem odwiązał małe zawiniątko przytroczone do pasa.

– To już ostatnie – oznajmił. – Splądrowano każdy kram zielarzy stąd aż do Pawii.

Francuz wziął woreczek.

– Są kolejne ofiary? – zapytał. Nie otrzymawszy odpowiedzi, pojął, że cała uwaga przemytnika skupiła się na sakiewce z pieniędzmi. Natychmiast mu ją wręczył. – Osiemdziesiąt florenów – szepnął. – Zgodnie z umową.

– Niech będzie, messer.

Oreste przywołał swoich ludzi i skierowali się ku barce. Dopiero w ostatniej chwili, najwyraźniej przypomniawszy sobie pytanie, które mu zadano, odwrócił się do rycerza.

– Owszem, są kolejne ofiary – rzekł posepnie. – Padają jak muchy.

Ojciec Andrea z rękami na skroniach wpatrywał się przez cały ranek w widoczną z okna część cmentarza, nie potrafiąc odpędzić od siebie pewnego zasłyszanego nie wiadomo gdzie heksametru. Powtarzał go bezustannie przez zaciśnięte zęby, budząc zaciekawienie Moczarka, który siedział pod ścianą.

*Florida me genuit nigrantem corpore tellus*¹⁵.

W ziemię wbito dziewięć nowych krzyży. Dziewięciu konfratrów zabrała mroczna noc, zrodzona przez ziemię. A opat mógł jedynie zapłakać, błagając o łaskawość milczącego i wymykającego się Boga. Leżąc na zimnej posadzce, oddał się żarliwej modlitwie, co nie zdarzało mu się od lat. Płomień, który uważał za wygasły, ożywał w nim dzień po dniu, karmiony bólem. Wszelako takie skupienie na niewiele się zdało, pomijając to, że napełniało go poczuciem męczącego powołania.

Porzucicie wszystko i pójdźcie za mną.

Tak, jeszcze raz.

Porzucić wszelką pewność, osobę i dążenie.

Porzucić zakonników i pozwolić im umrzeć.

Andrea otarł łzę. Ciągłe wpatrywał się w dziewięć krzyży, usiłując dojrzeć coś więcej, bo miał tylko złudzenie czystego stawania się. Jego współbracia nie spoczywali pod warstwą jałowej ziemi, dręczeni przez kruki. Nie. Podobnie jak każdy zbawiony, wstąpili jako czyste światło na łono Abrahama, czekając, aż sąd ostateczny otworzy przed nimi bramy raj.

Czyż nie to właśnie było najwyższym dążeniem mnicha? Opat zmusił się do radości, myśląc o wszystkich tych, którzy znosili udręki życia doczesnego, a teraz znaleźli się w troskliwych wiecznych objęciach. Tego było dla niego doprawdy zbyt wiele, radość w tych okolicznościach równała się niemal znieważeniu nieszczęsnego rodzaju ludzkiego. Zmówił cicho *Requiem* za każdą ofiarę zarazy, niesprawiedliwości i przemocy, poddając się rozpacz, aż poczuł dotyk czyjejś dłoni na swym ramieniu.

– Nie turbujcie się tymi, którzy trafili do domu Pana.

Odwróciwszy się powoli, zobaczył za plecami biskupa.

– Nie turbuję się nimi, lecz samym sobą. – Próbował powstrzymać narastający lęk, wszelako po tak długim rozpamiętywaniu tego, co zaszło, potrzebował zrozumienia. – Całkiem niedawno pragnąłem wielkiego odrodzenia duchowego – wyznał odruchowo. – Byłem pyszny, hardy... Ale przynajmniej miałem marzenia! – Oddalił się od okna ze spuszczoną głową, hołubiąc odczuwaną złość. – Spójrzcie na mnie teraz! Klęczę złamany żalobą i rozczarowaniem.

– Jeszcze nie jest za późno – pocieszył go prałat. – Plaga ustanie. A wy... wy...

– Straciłem nadzieję, Eksceleńco. Brak mi sił i środków.

– Pomogę wam, tak jak wy pomogliście mnie.

Opat nie tylko się zdziwił, ale i wzruszył, widząc życzliwość na twarzy Guida di Baisio, zdusił jednak w zarodku pokusę, by się zgodzić.

– To dla mnie ujma – odparł twardo. – Nigdy nie domagałem się zapłaty w zamian za gościnność. A gdybyście chcieli mnie nakłonić do przekonania Rocheblanche’a, wiedźcie, że nie zamierzam sprzedać swojej lojalności.

Biskup, nie obrażając się, zaprzeczył uprzejmie.

– Podejrzywałem, że nie zdradzilibyście messer Maynarda, i nie obwiniam was z tego powodu. Zresztą to, że nadal mamy czym zaspokoić głód, jest zasługą tego człowieka. Ów rycerz kieruje się szlachetnymi zasadami, chociaż jest porywczy i podejrzliwy. Bóg jeden wie, jak bardzo chciałbym otworzyć mu oczy... ale jak się zwykło mówić, amen!

– Rezygnujecie zatem z powiadomienia du Pougeta? – zapytał impulsywnie Andrea.

– Nie wasza rzecz – rzucił Guido, marszcząc czoło. Rozmowa przestała go zajmować, ruszył więc ku schodom wiodącym do biblioteki. Obejrzał się ukradkiem po raz ostatni.

– Bez względu na rozwój wypadków moja gotowość pomocy pozostanie na zawsze bez zmian – dodał. – Zawdzięczam wam życie, wielbny ojciec.

Opat został sam z garścią wątpliwości. Boleść, przygnębienie i zdumienie raptownie przytłumiła myśl o owej nieoczekiwanej zmianie nastroju biskupa. Wystarczyło jedno pytanie, by go rozsierdzić, najdrobniejsza wzmianka o tajemnicach Rocheblanche’a. Wsłuchiwał się w odgłos kroków Guida zmierzającego na parter, zastanawiając się, czy to odpowiednia chwila, by przystąpić do działania. Istniała możliwość, że Jego Ekscelencja zatrzyma się przed półką z mszałami, jak to zwykł czynić niemal co dnia przed obiadem, dając mu czas na...

Andrea powstrzymał drżenie. Jego umysł galopował prędko, niebezpiecznie.

„Uczyń to teraz” – rzekł do siebie.

Jeszcze nie zdążył dokończyć myśli, a już podążał ku pracowni.

Wszedł niepostrzeżenie, niemal zapominając, że przekracza próg pomieszczenia, które jeszcze miesiąc wcześniej było wyłącznie jego. Teraz natomiast zamieniło się w królestwo Guida, w labirynt rejestrów i szpargałów, nad którymi biskup Ferrary pracował w całkowitej tajemnicy, nie dzieląc się z nikim żadnymi szczegółami.

Wszelako żyjąc wspólnie w *palatium*, Andrea nie mógł nie poznać jego zwyczajów. Był pewien, że zapisuje daty wysyłania listów w kartulariuszu, który trzymał pod stosem dokumentów.

Dał znak Moczarkowi, by został na miejscu, sam zaś podszedł do skrytorium i zdumiał się na widok zmian, jakie na nim zaszły. Guido di Baisio był chaotycznym skrybą i chorobliwie notował wszystko z obawy, że o czymś

zapomni. Był też niesłychanym bałaganiarzem.

Opat musiał szperać o wiele dłużej, niż zakładał, aby znaleźć to, czego szukał.

Kartulariusz wcale nie leżał pod stertą dokumentów. Trafił na skraj pulpitu, wsunięty jako zakładka między karty opasłego tomu *Enigmatów*.

„Osobliwy zestaw” – pomyślał Andrea.

Gdy go otworzył, ujrzał zestawienie dat i miejsc, niektóre opatrzone krótkimi dopiskami. Zgodnie z przewidywaniami opata Jego Ekscelencja sporządził wykaz wiadomości wysłanych z Pomposy w ciągu ostatnich pięciu tygodni, pomijał wszakże imiona ich odbiorców. Widniały jedynie miasta, w których mieli oni swe siedziby: Ferrara, Bolonia, Rimini, Florencja, Rzym... Najwyraźniej sprawdzał zasięg morowego powietrza, utkawszy w tym celu sieć powiązań, ale nie tylko. Krótkie notatki skreślone na marginesie listy pozwalały poznać kierunki przemieszczania się pieniędzy, cytaty teologiczne i dyspozycje dotyczące zarządzania dobrami kościelnymi. Skądinąd nader skromna była liczba listów, które doczekały się odpowiedzi. Biskup zaznaczał je skrupulatnie krzyżykiem na marginesie.

Nie było go przy dacie pierwszego marca, kiedy wysłał wiadomość do Awinionu.

Andrea otarł pot z czoła; drżał, myśląc o tym, co Guido di Baisio napisał w owym liście. I do kogo go wysłał. To, że nie było potwierdzenia, iż dotarł na miejsce, stanowiło bardzo mizerną pociechę, biorąc pod uwagę determinację biskupa.

Z piętra dobiegł odgłos kroków.

Obawiając się, że to biskup wraca po schodach, opat zamknął kartulariusz i chciał go odłożyć, ale śpiesząc się, wypuścił go z rąk.

Okrzyżował skryptorium i pochylił się, by go podnieść. Niewielki rejestr trafił pod krzesło, a upadając, otworzył się na ostatniej stronie.

Podnosząc go, Andrea rzucił nań okiem i drgnął.

– O, mój Boże – zawołał po cichu.

Odgłos wyraźnie zbliżających się kroków kazał mu nie zwlekać dłużej. Odłożył kartulariusz na miejsce i opuścił pracownię, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

Maynard zatrzymał woły przed fasadą opactwa i zeskoczył z wozu, radując się na widok promienia słońca przedzierającego się przez chmury. Jeszcze nie zdążył się upewnić, czy ładunek wytrzymał kołysanie na wybojach, gdy za plecami usłyszał czyjś głos.

Zdumiał się, widząc Andreeę wyłaniającego się ukradkiem zza płotu.

– Wielebny ojciec... – szepnął rycerz.

– Muszę się pospieszyć, jeśli nie chcę, by zauważył moją nieobecność.

Pojąwszy, że chodzi o biskupa, Rocheblanche zachęcił go, by mówił dalej.

– Wysłał list do Awinionu – rzekł szybko Andrea – ale jeszcze nie otrzymał odpowiedzi.

– Za mało czasu upłynęło, by można się łudzić, że zaginął.

– Nie to mnie martwi – ciągnął opat. – Wśród jego zapisków znalazłem łacińskie cytaty na temat *Lapis exilii*. Obawiam się, że to ma związek z waszą zagadką. Guido musiał ją skopiować przed wręczeniem jej wam.

Maynard zmełł w ustach przekleństwo.

– Przypominacie sobie zapisane słowa?

– Nie, messer, miałem je przed oczami ledwie przez chwilę. Tekst zawierał sześć wersów, a z zapisków na marginesie wynikało, że biskup usiłuje zrozumieć jego znaczenie.

Francuz posepnie pokiwał głową.

– Skoro tak się rzeczy mają, prosimy Pana, żeby jego przedsięwzięcie się nie powiodło. – Podał opatowi zawiniątko z pastylkami teriaku. – Teraz wracajcie do *palatium*, zanim ten wąż odkryje waszą nieobecność.

FORTECA VILLENEUVE, POD AWINIONEM**27 CZERWCA**

Obaj wędrowcy zostawili pasące się konie pod mostem Świętego Benedykta koło imponujących murów obronnych cytadeli. Gualtiero siedział pod drzewem, czekając, aż Vermandois skończy rozmowę z jakimś podejrzanym indywiduum z awiniońskiego plebsu poznanym przed dwoma dniami. Nastął już dzień, wszelako jedynym odgłosem zagłuszającym plusk Rodanu było krakanie kruków. Chociaż chłopiec od miesięcy nic innego nie słyszał, nie mógł do niego przywyknąć. Ów dźwięk, jako że potrafił uwydatnić ciszę, był gorszy niż pustki wokół nich, a nawet niż smród padliny, przesycający powietrze.

Poszukiwania matki w mieście okazały się zupełną porażką. Najwyraźniej żaden strażnik więzienny ani rajca nie słyszał o Elisie de' Bonacossi ani nic nie wiedział o jakiegokolwiek osadzonej, która przybyłaby w ciągu ostatnich miesięcy z Ferrary. Przynajmniej tak twierdzili. Messer Robert nie dał jednak za wygraną i nadal przetrząsał awiniońskie przedmieścia, nie zważając na lęk przed zarazą.

Gualtiero nie potrafił wyrazić swej wdzięczności dla tego człowieka. Po żalonym końcu, jaki spotkał messer Maynarda, Vermandois wziął go pod swe skrzydła i uczył wychodzenia z opresji, zawsze z honorem i odwagą. Gdyby nie on, po niepowodzeniu w Awinionie nie wiedziałby, co czynić, by wpaść na trop matki. Teraz wszakże czuł rodzącą się nową nadzieję.

Choć po prawdzie była to nikła nadzieja.

Mimo że nikczemna plaga zbierała swoje żniwo wszędzie jednakowo, wydawało się, że najbardziej dotknęła ziemię wokół Skały Panów. Chociaż Gualtiero zdążył już napatrzeć się na niewysłowione potworności, nigdy jeszcze nie widział tak ogromnego morza trupów. Awinion dosłownie obległa śmierć, zupełnie jakby to miasto było celem gniewu Bożego. Krążyły słuchy, że przeżył zaledwie co trzeci ksiądz i że dla tych, którzy pozostali w jego murach, nie ma już nadziei.

Jadąc z messer Robertem wzdłuż murów, nie przypuszczał, że zdołają zebrać tak wiele wiadomości na temat miasta, nie przekraczając jego bram. A właśnie w podmiejskiej gospodzie natknęli się na hultaja, który rozmawiał teraz z pikardyjskim baronem.

Pogawędka zakończyła się wypłatą mężczyźnie sowitej nagrody, po czym Robert odprawił go i podszedł do chłopca.

– To nic pewnego – oznajmił – ale niewykluczone, że wasza matka jest niedaleko.

Gualtiero poderwał się pełen zapału.

– Czego się dowiedzieliście?

– Niedawno do kościółka Świętego Mikołaja w Villeneuve przewieziono jakąś niewiastę. Wieść nie ma więcej jak trzy dni. Podobno wcześniej więziono ją w Awinionie.

Robert nie skończył jeszcze opowieści, a chłopiec już zdążył włożyć stopę w strzemień.

– Warto spróbować.

– Jeszcze nie wiecie wszystkiego – ostrzegł go Pikardyjczyk pojednawczym tonem, który nie zapowiadał nic dobrego. – Ten kościół znajduje się poza cytadelą.

– Wskazał jakiś punkt nad korytem Rodanu, ledwie widoczny przez zarośla. – A należący do niego klasztor zamieniono w lazaret.

Gualtierowi zabrakło tchu.

– Zatem... sądzicie, że...

Messer Robert spochmurniał. Miał ten sam wyraz twarzy jak wówczas, gdy po raz ostatni rozmawiał z Rocheblanche'em. Właśnie jego mina, głębiej niż słowa, zmartwiła młodzieńca.

– Nie ludźcie się zbytnio.

Gualtiero uparł się, że wyruszy dalej sam. Przeciął pędem most Świętego Benedykta, po czym zwolnił, zmierzając ku wschodniej stronie murów, do kościółka Świętego Mikołaja. Otaczała go bujna roślinność, która ciągnąc się na zachód, niemal napierała na fortyfikacje. Gdy podjechał bliżej, zobaczył morze konających, które wylewało się ku dzwonnicy. Skromny oddział zbrojnych trzymał tych ludzi z dala od budowli, a groty ich włóczni połyskiwały w promieniach słońca.

Młodzieńcowi udało się przedrzeć do wojowników.

– Szukam pewnej niewiasty – oznajmił łamaną francuszczyzną. – Zowie się Elisa de' Bonacossi.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, niepewni, co odpowiedzieć. Gualtiero pojmował ich rozterkę na widok pielgrzyma w mnisich szatach, wynurzającego się na gniadoszu z tłumu obdartusów. Już miał coś dodać, gdy jakiś osobnik oparty o stary portal podniósł głowę i skinął nań zaciekawiony.

– Kim dla niej jesteście?

Chłopiec wpatrywał się w jego nieufną, chudą, trójkątną twarz.

– Jestem jej synem – odrzekł, próbując przejechać dalej.

Obcy był wyraźnie zaintrygowany.

– Stać – rozkazał. – Zsiądźcie z konia i zdejmijcie odzienie.

Gualtiero zdążył już przywyknąć do podobnych żądań. Czasami przed

wejściem do domostw jego i Roberta poddawano oględzinom, aby się przekonać, czy nie mają wrzodów pod pachami i w pachwinach.

– Nie noszę żadnych oznak – oświadczył, zeskakując z siodła.

– Wobec tego – odparł z uporem osobnik – nie powinniście mieć nic przeciwko temu, żeby to udowodnić.

Odczepił sztylet od szarfy i rozpiął habit, pokazując szyję, tors i uda wolne od choroby. Otrzymałszy zezwolenie, ubrał się z powrotem i wszedł do kościoła.

Serce łomotało mu tak mocno, że aż wprawiało w drżenie piersi.

Kościół Świętego Mikołaja wyglądał jak przedsionek piekieł.

Nawę ogołoco z ławek, posągów i wszelkich innych ozdób, aby zrobić miejsce dla czterech rzędów sienników, na których leżało co najmniej stu chorych. Gualtiero szedł między nimi, mając nadzieję, że rozpozna twarz Sapii, i jednocześnie walczył ze strachem przed tym. Kroczył niczym lunatyk ogłuszony niedorzecznością przeznaczenia.

W czasie podróży do Awinionu ani razu nie pomyślał, że matka mogła paść ofiarą pomoru. Modlił się, by nikt się nad nią nie znęcał, nie torturował jej ani nie poniżał... Nie przypuszczał, że mogła zachorować na tak potworną chorobę.

Dopiero teraz pojmował, że był naiwny.

Posuwał się wśród zakażonych z wilgotnymi oczami, rozmyślając nad tym, jakimi słowami do niej przemówi, gdy przed nią stanie. Oburzenie, że został oszukany, i lęk przed poznaniem prawdy dręczyły go zbyt długo, by mógł je wymazać z serca, lecz oto nagle poczuł, że osłabły wobec gorącego pragnienia ujrzenia matki i jej przytulenia. Tęsknota, którą jakoś znosił przez ponad rok, osiągnęła apogeum i teraz wrzała w nim wściekle, szarpiąc każde włókno jego ciała.

Kocham cię. Słowa te paliły go w gardle, odkąd przekroczył próg kościoła, chociaż myśl o wypowiedzeniu ich go przerażała. Nie wiedział, w jakim zobaczy ją stanie ani nawet czy jeszcze żyje. Nie wiedział, w jaki sposób ma błagać o to boską Opatrzność.

Przez chwilę wydało mu się, że widzi jej zwłoki owinięte pościelą. Potem jednak zorientował się, że się pomylił, podziękował więc aniołom w niebiosach i skierował się w stronę chóru. Zaduch tu narastał, lecz on o to nie dbał. Sprawdzał gorączkowo każde posłanie, nawet wtedy, gdy smród odchodów i rozkładu był tak dokuczliwy, że przeniknął przez tkaninę, którą przyciskał do nosa.

Kocham cię. Myśl ta dodawała mu odwagi pomimo otaczających go okropieństw, szpetoty i nędzy.

Gdy jednak dotarł do końca nawy i jej nie odnalazł, ogarnęła go rozpacz, że przybył za późno.

– Nie! – wysyczał, gdy ramiona opadły mu pod wpływem nagłego znużenia. Tak nie może być. Nie w ten sposób, nie bez popatrzenia na nią po raz ostatni...

Oparł się o kolumnę, pieszczony podmuchem świeżego powietrza, który spowodował, że odwrócił się ku arkadzie z lewej strony ołtarza. Dostrzegł wypełnione światłem wyjście, za którym otwierał się krużganek. Odżyła w nim nadzieja.

Przekroczywszy próg, zobaczył kolejnych ludzi, leżących na zewnątrz, na posłaniach oddzielonych wyblakłymi zasłonami.

Z nową nadzieją jął znowu jej szukać, ale nagle wyrósł przed nim wysoki i wychudzony frater, który przemówił doń, mając wzrok zatopiony w gąszcz cieni.

– Elisa... – Gualtiero musiał przełknąć ślinę, aby pozbyć się ściskającej go w gardle kuli. – Elisa de' Bonacossi.

Zdumiony zakonnik wyszeptał to imię z szacunkiem, po czym skinął potakująco głową. Przeprowadził go przez rzędy konających, których rozmieszczono w krużganku za oddzielnymi zasłonami.

Młodzieniec rychło pojął, że pod tymi ponurymi baldachimami spoczywają najciężej chorzy, i poczuł odrobinę ulgi na myśl, że matka ma lepszą opiekę niż tamta hałastra, której pozwalają szczeznąć w nawie. A jeśli wyzdrowiała? Przecież po drodze słyszał o ludziach, którzy przetrwali chorobę... Pełen obaw, sklecił jakieś zdanie po francusku, aby dowiedzieć się o stan matki. Zamiast odpowiedzieć, mnich zatrzymał się przed jednym z namiotów.

Gualtiero zerknął nań z ukosa, zaniepokojony jego milczeniem. Wszelkie złudzenia przysły przed ową cienką płócienną granicą. Zakonnik niemal brutalnie uniósł skraj materii, aby go wpuścić.

Dostrzegłszy w półmroku jakąś postać, chłopiec wszedł do środka.

Z początku jej nie poznał. Była drobna, zupełnie jak dziecko, miała palce zaciśnięte na pościeli i zmierzwione włosy, ciemniejsze, niż pamiętał. Następnie przyjrzał się jej wymizerowanej twarzy, z której wystawały tylko kości jarzmowe, i przeszył go rozdzierający ból. Nie został nawet ślad po różanej cerze ani po złocistych warkoczach, które ledwie przed rokiem zaplatała z taką zręcznością. Wszystko to ustąpiło miejsca chorobliwej masce, pozbawionej barw i uczuć.

Młodzieniec ukląkł i wtulił twarz w dłonie, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. „Nie ona” – powtarzał sobie bezustannie. – „Nie ona!” Spoglądanie na matkę w takim samym stanie jak niezliczona rzesza umierających spotkanych po drodze przerosło jego siły. Przez chwilę wzruszenie całkowicie go powaliło. Musiał jednak się przemóc i zdobyć na uśmiech.

Musiał, albowiem ona na niego patrzyła.

– Synu mój... – wyszeptała Sapia bardzo słabym głosem.

Chłopiec otarł łzy i zatonął w jej małych, ale lśniących niczym gwiazdy oczach. Dopiero wówczas w pełni zdał sobie sprawę, jak bardzo pragnął ją zobaczyć.

– Matko... – wyjąkał.

– Mój kochany... – Niewiasta zacisnęła zęby, powstrzymując skurcz, który wprawił jej ciało w drżenie. Potem ogarnął ją lęk. – Idź sobie!

Gualtiero pokręcił głową. Nie mógł przestać szlochać, rozdarty między pragnieniem, by ta chwila nigdy się nie skończyła, a ogłuszającym bólem spowodowanym wielkim cierpieniem matki.

Jej twarz pozostała jednak sucha. Niewiasta z nieoczekiwaną siłą podniosła

głowę i skrzywiła się skruszona.

– Ja cię... okłamałam.

– To bez znaczenia – odparł, nie pamiętając ani jednej bezsennej nocy, podczas której przewracał się z boku na bok i zadreślał pytaniami. – Teraz was odnalazłem i wyzdrowiejecie... Tak... – Z ukłuciem w sercu udał, że nie widzi sinego wrzodu na jej szyi. – Wydobrzejecie.

Niewiasta posłała mu pełen rezygnacji uśmiech, w którym dostrzegł cień dawnej słodyczy. Podniosła dłoń, by go pogłaskać, natychmiast wszakże ją cofnęła, zdjeta zgrozą na myśl, że mogłaby go zarazić.

– Co z ojcem?

Młodzieniec ciągle miał w pamięci tragedię, która rozegrała się na Łące Szubienic, a także rozpacz wywołaną widokiem ciała Sigismonda, lecz nie chcąc jej przysparzać cierpienia, tylko pokręcił głową.

Sapia dała znak, że rozumie, i przymknęła oczy. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– To był dobry człowiek – stwierdziła z goryczą.

Mimo jej wycieńczenia i udręki Gualtiero nie potrafił pojąć tak powściągliwej reakcji matki. Wpatrywał się w nią zakłopotany i po raz kolejny dostrzegł ową wyniosłą i niewzruszoną naturę, z której istnienia nie zdawał sobie sprawy aż do chwili jej pojmania.

– Matko... – rzekł. – Dlaczego to wszystko?

– Dlaczego, pytasz? To proste... Nie miałam wyboru. – Teraz jej metamorfoza się dopełniła. Spojrzenie, postawa, nawet ton głosu zdawały się należeć do kogoś obcego.

– Twoje imię... Twoje *prawdziwe* imię... – powiedział chłopiec z naciskiem, a jednocześnie z żalem i gniewem. – Elisa de' Bonacossi. Co to znaczy?

Słyszając te słowa, zmierzyła go niemal podejrzliwym wzrokiem.

– Mój pierwszy mąż zwał się Bonacossi – oznajmiła z dumą. – Urodziłam się pod herbem orła rodu Estów jako córka markiza Aldobrandina II i Jacopiny Fieschi... Władców Ferrary.

Chłopiec oniemiał.

– Posłuchaj mnie uważnie – poleciła niewiasta, nie dając mu dojść do głosu. – Posłuchaj mnie, synu... – Podjęła wysiłek, by zapanować nad napadem kaszlu. – Jeśli chcesz poznać tajemnicę własnych korzeni... – Wzruszenie wyzwoliło u niej straszliwy skurcz, który sprawił, że przewróciła się na bok i wygięła pod pościelą.

Obawiając się najgorszego, chłopiec natychmiast się pochylił, by jej pomóc, ale odepchnęła go władczy gestem. Gualtiero nie dostrzegł już w niej lęku przed zarażeniem go, lecz wstyd, że ogląda ją w takim stanie. Wyjrzał na zewnątrz, by wezwać pomoc. Na próżno. Zakonnika, który go tu przyprowadził, już nie było.

Elisa otarła krew z warg i odezwała się ochryłym głosem:

– Nim moja młodość przeminęła, wydano mnie za Passerina de' Bonacossiego, władcę Mantui. – Umilkła, by zaczerpnąć tchu. – Trwałam u jego boku, dopóki nie padłam ofiarą spisku Gonzagów i Cangrandego della Scali... Był sierpień tysiąc trzysta dwudziestego ósmego roku, gdy wojsko najechało na Mantuę, a ja... ja... – Zacisnęła powieki, dręczona wspomnieniami i bliska agonii. – Byłam brzemienna! – Zakasłała z wściekłością, a z jej twarzy zniknęły resztki powabu. – Uciekłam – ciągnęła oschle – uciekłam, nim zdążyli mnie pojmać, i schroniłam się w Ferrarze. Tak, w Ferrarze. Tylko że mój pan ojciec już wyzionął ducha... Nie oczekiwałam wtedy znikąd opieki.

Chociaż Gualtierem targaly sprzeczne uczucia, był świadom, że od tamtej pory upłynęło dwadzieścia lat. Niemal tyle, ile właśnie miał. Przewyciężywszy opór matki, chwycił ją za rękę.

– Byliście brzemienni... – powtórzył ze ściśniętym sercem.

– Od paru miesięcy – potwierdziła, lecz pilno jej było wyjaśnić coś zupełnie innego. – Ukryłam to przed braćmi, albowiem nie mogłam się narażać... Powiadomił ich o tym jakiś człowiek Kościoła, może ówczesny biskup. – Wyczerpana, skinęła na syna, by podał jej stojący przy łożu dzban.

Gualtiero uniósł jej głowę i pomógł ugasić pragnienie. Piła małymi łykami. Nie mógł się doczekać końca tej niewiarygodnej historii, a jednocześnie czuł grozę, widząc, że matka słabnie z każdą chwilą. Obawiał się, że jeśli będzie się zbyt wysilać, straci przytomność albo stanie się coś jeszcze gorszego. A choć domyślał się, że owa chwila wkrótce nastąpi, nie był jeszcze gotów na rozstanie. Bóg jeden wiedział, do czego był zdolny, gdyby tylko mógł ją ocalić przed cieniem śmierci, który przyćmiewał jej wzrok.

Chora wszakże nie chciała pozwolić sobie na wytchnienie. Ledwie położyła głowę z powrotem na posłaniu, podjęła przerwana opowieść.

– Przed laty zostałam awiniońskim szpiegiem – wyznała. Teraz mówiła tak, jakby powietrze nie przechodziło jej już przez gardło, sprawiając synowi niewysłowny ból. – Musisz zrozumieć. *Proszę*, byś zrozumiał – rzekła z trudem. – Nie zważając na tysiąc intryg i sojuszy... łudziłam się, że mogę uczynić coś dobrego.

Widząc, jak nie panuje nad oczami, młodzieniec przeraził się, że ją utraci. Po chwili niewiasta drgnęła, jakby się dławiała.

– Odpocznijcie – poprosił. – Opowiecie mi wszystko później, gdy wydobrzejecie.

Lecz Elisa d'Este najwyraźniej zamierzała skraść ostatnie chwile życia czarnej kostusze.

– Synem, którego nosiłam w łonie, byłeś ty! – Wszelki ślad dumy rozpląnął się w jej słabym płaczu. – Teraz pojmujesz... dlaczego uciekłam? Jesteś synem władcy Mantui... Jego prawowitym następcą. Siepacze Gonzagów, Scaligerów

i Awinionu ścigaliby cię wszędzie! – Dostała kolejnego ataku kaszlu, gwałtowniejszego od poprzedniego. Jej podbródek zabarwił się na czerwono. – Zaczęłam się ukrywać, zmieniałam imię... Stałam się Sapią i poślubiłam silnego mężczyznę, który miał cię chronić i być ci ojcem.

– A ja o tym nie wiedziałem – zaszlochał Gualtiero, wspominając, jak bardzo był niesprawiedliwy wobec Sigismonda. Człowiek ten wychował go jak rodzzonego syna, nauczył zawodu malarza, bronił. On zaś odpłacał mu nieustannymi kłótniami i sporami!

Niewiasta poruszyła się zatrwożona.

– Gualtiero... Gdzie jesteś? – zapytała.

– Tutaj, matko – uspokoił ją.

– Musisz powiedzieć mojemu bratu... – Miała szeroko otwarte oczy, majaczyła. – Powiedz, że żałuję.

Chłopiec nie umiał powstrzymać pogardy.

– Mówicie o markizie Obizzu?

Elisa d'Este rozejrzała się dokoła zaniepokojona.

– To nie on wysłał mnie tu na śmierć... Nie wiedział... – Nagle jej ciałem wstrząsnął dreszcz, jakby zobaczyła ducha.

Pogładził ją po czole i stwierdził, że jest lodowate.

– Nie turbujcie się – szepnął, jak najłagodniej potrafił.

– To biskup... Biskup Guido... Chciał się uwolnić...

– Uspokójcie się, proszę was – błagał. – Na miłość boską...

– Przebacz mi, synu... Że wyrządziłam ci tak wielką krzywdę.

Gualtiero otarł łzy, które nie pozwalały mu patrzeć, i otworzył usta, by odpowiedzieć.

Było już jednak za późno.

Sapia zamknęła oczy. Na zawsze.

Z najwyższych wież *palais de Griffon*, wzniesionego przy drodze do Villeneuve, można było dojrzeć masywną dzwonnice kościoła Świętego Mikołaja. Kardynał wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym jego wzrok powędrował wzdłuż oddalającej się od murów leśnej ścieżki po drugiej stronie Rodanu. Zastanawiał się nad tym, co mu właśnie przekazano, po chwili, zaczerpnąwszy powietrza, odwrócił się ku mężczyźnie, który czekał za kratą.

– Odwiedziny u wielmożnej Elisy d'Este, powiadacie?

Osobnik o pociągłej twarzy przytaknął.

– Syn.

– Nie wiedziałem, że ma syna – mruknął zdezorientowany purpurat. – Wyjawiał coś? Imię, pochodzenie...

– Nic, Wasza Ekscelencjo. Wyjechał zaraz po śmierci matki.

– Bardzo dobrze uczyniliście, powiadamiając mnie o tym natychmiast.

I lepiej pozwolić mu się oddalić.

Zza kraty padło przekleństwo.

– Może – podsunął mężczyzna – mógłbym podążyć za nim.

Bertrand du Pouget się zgodził.

– W takim razie bierzcie się czym prędzej do dzieła. – Odprawił go skinieniem. – I gdy tylko się czegoś dowiecie, dajcie mi znać. Tylko mnie.

Gualtiero i Vermandois podróżowali razem jeszcze przez kilka tygodni, posuwając się wzdłuż Rodanu. Rycerz bardzo współczuł chłopcu i nie chciał go zostawić samego. Wielokrotnie pytał, dokąd zmierza, ofiarowując swoje towarzystwo. Jednakże pogrążony w żalobie chłopiec tylko kręcił głową, dotrzymując słowa danego Maynardowi, dopóki nie nadeszła chwila, w której dał do zrozumienia, że dalej zamierza jechać sam.

Rozdzielili się wśród lyońskich winnic, przed osadą liczącą kilka dusz. Zanim się rozstali, Pikardyjczyk przestrzegł go przed niebezpieczeństwami wędrowni i podarował mu baselard, którym miał zastąpić swój mały sztylet. Gualtiero przyjrzał się długiej trójkątnej głowni, zdolnej przebić kolczugę albo tarczę, po czym przytroczył broń do siodła z gestem wdzięczności. Przestał już być chłopcem. Ostatnie przeżycia dokonały głębokich zmian zarówno w jego wyglądzie, jak i w zachowaniu. Robert uściskał go na pożegnanie i popędził na północ.

Młodzieniec natomiast pogalopował na zachód.

Żaden z nich nie zwrócił uwagi na jeźdźca o pociągłej twarzy, który podążał za nimi od Villeneuve. Trzymał się w należytej odległości, zbliżając się do nich po ciemku, aby go nie spostrzegli. Śledził zza gęstwiny drzew ich rozstanie, a potem pomknął ku zachodowi.

Deptał po piętach synowi Elisy d'Este.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

10 SIERPNIA

W ciągu lata czarna śmierć rozlała się po zachodniej Prowansji, dotykając nieubłaganie ziemie wzdłuż Loary, Rodanu i Sekwany. Uczni i kronikarze zaczęli obwiniać koniunkcje gwiazd, upalne wiatry z południa i złowróżbną obecność angielskich najeźdźców, gdy tymczasem ludność Paryża, przerażona nadciągającą zarazą, zaryglowała się w domach. I choć na krótko przed strasznym pomorem wielu widziało ogon komety nad Szampanią, za najbardziej fatalną zapowiedź nieszczęścia uznano ognisko ospy, która rozszalała się w Reims w lipcu.

Siostra Eudeline nie dała się zaskoczyć. Podobnie jak biskupi, podestowie i opaci, pilnie śledziła wszelkie wieści dochodzące z sąsiednich ziem, usłyszawszy zaś o chorobie, która cętkuje skórę różowawymi bąblami, natychmiast odgrodziła klasztor od świata zewnętrznego, aby chronić współsiostry. Daremny trud. Plaga, nieczym diabelskie tchnienie, zdołała przekroczyć mury, dziesiątkując wspólnotę Świętej Balsamii jak każdy kościół czy każde przedmieście.

Zgony następowały niezwykle szybko, toteż zrodziło się podejrzenie, że to nie tylko ospa, ale już czarna śmierć. Matka przełożona była jednak daleka od przejmowania się tego rodzaju domysłami.

Dwadzieścia zakonnic stanowiło żniwo zarazy, drugie tyle uciekło w trwodze, aby nie spotkał ich ten sam los. Eudeline próbowała je powstrzymać, ostrzegając przed niebezpieczeństwami, które czyhają na drogach i we wsiach. Na próżno. Zresztą sama, doświadczając zbyt często żałoby, nie miała wystarczającej siły charakteru ani autorytetu, aby zjednoczyć własne stado.

Ostatnia umarła infirmerka. Walczyła zaciekle, odwołując się do całej posiadanej wiedzy, by znaleźć lekarstwo na chorobę. Bez powodzenia. Jej współsiostry jedna po drugiej zegnały się z życiem, skradzionym przez przekleństwo, które na koniec dotknęło także i ją.

Zgaśnięcie infirmerki było dla Eudeline ostateczną porażką. To tak, jakby pozbawiono ją resztek odwagi, która jej została, wraz z wiarą, że warto dalej walczyć o ocalenie bliźnich.

Klasztor udzielał schronienia już tylko wspomnieniom i duchom.

Jak co dnia, matka przełożona odczekała, aż zelżeje popołudniowy skwar, i odwiedziła mały cmentarz Świętej Balsamii, aby oddać cześć zmarłym współsiostronom. Pozdrowiła każdą po kolei niemal po rycersku, a na koniec zbliżyła

się do grobu infirmerki. Brakowało jej szorstkiej otwartości tej młodej zakonnicy, która była tak bystra i uparta, że ją się zastanawiać, dlaczego Bóg przedwcześnie wezwał ją do siebie.

Tego rodzaju oburzenie nie było dla Eudeline niczym nowym. Po gwałcie zadany jej przez ojca przez długie lata zadreślała się myślą o ogromie niesprawiedliwości dziejącej się na świecie. Jeżeli rzeczywiście – jak głoszą z ambon – nieszczęścia znajdują swe usprawiedliwienie w grzechu, dlaczego nie dotyczą wyłącznie złych ludzi?

Doszła do wniosku, że widocznie niewinni nie istnieją.

Wsunęła palce w jeszcze świeżą ziemię i zacisnęła dłoń, jakby chciała powstrzymać przyływ złości.

Wreszcie podniosła wzrok i ujrzała, jak ktoś się przechadza pomiędzy krzyżami, na tle ich wydłużających się cieni.

Prokurator.

Otarła łzy czarną od ziemi dłonią, nie dbając o to, że powala twarz.

Stanowcza w swym cichym gniewie, wpatrywała się w oblicze mężczyzny, częściowo skryte pod cocullą, i dostrzegła sieć różowawych pęcherzy.

– Jeśli przybyliście tu, aby pozbawić mnie kolejnych dóbr, wiedzcie, że już wszystko straciłam.

– Nie – wyszeptał ojciec Claret. – Nie wszystko.

Eudeline rzuciła ostatnie spojrzenie na leżący na grobie kwiat.

– Moje współsiostry zgasły... Klasztor opustoszał. Także umarł – mówiła twardo – a te, które się jeszcze ostały, wkrótce zmiecie morowe powietrze.

– Nadal żyjecie.

– Tylko pozornie. Niewiasta, którą byłam, już dawno wyzionęła ducha.

Z twarzy ojca Clareta zniknęła fałszywa słodycz, ustępując miejsca groźbie.

– Wyjawcie mi, gdzie go znaleźć.

Przeorysza wpatrywała się bez lęku w jego oszpecone ospą oblicze.

– Przestańcie mi się naprzykrzać.

Niegodziwiec pokręcił głową.

– Skoro milczycie, zapytam ją.

– Ona nic nie wie – odparła Eudeline.

– Wiem, że trzymacie ją tu gdzieś w ukryciu – naciskał prokurator ze złośliwym uśmieszkiem. – Odnajdę ją i wywiozę. Chyba zdajecie sobie sprawę, że mógłbym to uczynić! Sprzedam ją do najohydniejszego zamtuza w Awinionie, aby...

– Precz stąd! – syknęła.

Lecz ojciec Claret aż kipiał z wściekłości.

– Głupia wywłoka! – Nagle pchnął ją na ziemię i zerwał z jej głowy welon. – Zrobię z wami to samo, jeżeli nie zaczniecie mówić! – Wymierzył jej siarczasty

policzek. – Sprzedam jak kurwę! Tak! A kiedy zadowolicie stu, tysiąc mężczyzn, wtedy wrócę i zapytam, gdzie jest ten łajdak, wasz brat, a wy... wy...

Jego nickszemne usta nagle zamilkły, wypływając krew. Eudeline ścisnęła mocniej podniesiony z ziemi kamień i ponownie rąbnęła nim łotra w twarz.

Prokurator runął na plecy, wymachując rękami i nogami niczym zraniony plugawy owad. Wielebna matka nie pozwoliła mu odetchnąć. Przygwoździwszy jego pierś kolanem, zadawała cios za ciosem, dopóki jej furia nie znalazła ujścia.

Aleydis obudził płacz dziecka.

– Wielebna matko, gdzie jesteście? – szepnęła, wstając z posłania. Gorączka deformowała przedmioty i zakłócała jej równowagę, a najgorszy był świąd na twarzy. Czula go nawet we śnie, wraz z duszącym żarem tego przekłętego lata. Unikała dotykania skóry, pomna uwag, które usłyszała na temat drapania pęcherzy. – Matko...

Angélique wrzeszczała wniebogłosy. Nie dostrzegłszy jej, dziewczyna przypomniała sobie, że jest w sąsiedniej izbie. Skądinąd dziwne, że siostra Eudeline zostawiła ją samą... Ruszyła do niej po omacku, szukając wyjścia, aż niemal bezwiednie przekroczyła próg i znalazła się na mrocznym korytarzu.

Płacz dziecka narastał. Aleydis szła w jego kierunku, kilka razy się potykając. Była wyczerpana, gardło paliło ją niemiłosiernie, oparła się jednak pokusie, by wrócić na swoje posłanie. Jej ukochana córeczka skarżyła się właśnie i prawdopodobnie nie miała nikogo, kto by ją utulił. Niewiasta za wszelką cenę chciała ją ukoić.

– Moja maleńka – rzekła śpiwnie.

Posuwała się krok po kroku i wreszcie wszystko wokół stało się wyraźniejsze. Nie widziała dobrze, ale wystarczająco, by rozróżnić zarysy drzwi. Przekroczyła próg, przytrzymując się ościeżnicy, i w końcu jej oczom ukazała się wiklinowa kołyska.

Teraz płacz Angélique był tak głośny, że ranił jej uszy.

– Kochanie moje, bądź grzeczna... – Aleydis się uśmiechnęła. – Jestem przy tobie... Przy tobie.

Aleydis długo musiała uspokajać małą. Na koniec dziewczynka załkała parę razy i wyciągnęła do niej rączki.

Młoda matka pozwoliła się chwycić za kciuk, starając się nie zważać na dreszcze, które nią wstrząsały. Była słaba, bardzo słaba, i mając przytępione zmysły, nie sądziła, że zdoła dotrzeć do swej kruszynki. Teraz jednak mówiła sobie, że wszystko będzie dobrze. Musi tylko wyzdrowieć, a potem stanie się najszczęśliwszą niewiastą na świecie ze swoją cudowną...

Nadal pogrążona w zadumie popatrzyła uważnie na twarzyczkę Angélique i aż się cofnęła.

– O, mój Boże, spraw, żeby to nie była prawda... – wyszeptwała

z niedowierzaniem.

Gdy wyteżyła wzrok, ogarnęło ją bezgraniczne przerażenie.

– Mój Boże, nie... Nie moja córeczka...

Chociaż głos Aleydis brzmiał niewiele mocniej niż rżenie, obraz, który miała przed oczami, nabierał coraz większej ostrości. I była to najstraszliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała.

Szkarłatny pęcherzyk na czole jej córki.

W tym samym czasie roztrzęsiona Eudeline, ciągle ściskając w palcach kamień, wróciła do skrzydła dormitorium, w którym znajdowała się Aleydis wraz ze swą córeczką. Usłyszawszy płacz, chciała się upewnić, że Angélique nic nie jest. Nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że może utracić także i ją. Nie teraz, kiedy również matka małej była w nader poważnym stanie.

Usiłując wymazać z pamięci obraz leżącego bez czucia prokuratora, zajrzała w pośpiechu do izby Aleydis, lecz jej nie zastała. Rzuciła się do komnaty dziewczynki, zdjęta osobliwym przecuciem. Zanim jeszcze ujrzała to na własne oczy, już wiedziała, już to czuła. Toteż biegnąc do pustej kołyski, nie przestawała krzyczeć.

Vermandois dotarł do Reims tego samego dnia. Zaniepokojony głąką ciszą zalegającą ulice miasta, z sercem w gardle ruszył do kościoła Świętej Balsamii. Za sprawą wszechobecną śmierci lęk, że zostanie Eudeline martwą, narastał w nim z każdą chwilą. A przecież pomimo żarliwej wiary w Chrystusa doskonale wiedział, jak niewiele liczą się skierowane do niego modły.

Zeskoczył z siodła przed murami klasztoru i obrzucił wierzchowca szybkim spojrzeniem. Biel jego maści ledwie przebijała spod warstw błota. Uśmiechnął się gorzko na myśl, ile brudu nagromadziło się w nim samym w tej podróży podczas zarazy i nędzy.

Przemierzył energicznym krokiem dziedziniec i krużganek, od razu dostrzegając rząd nowych grobów. Zawahał się, czy przy nich nie przystanąć, ale odczuł potrzebę, by zawołać gromkim głosem Eudeline. Powstrzymał się na widok leżących na skraju cmentarza zwłok. Pochyliwszy się, rozpoznał duchownego z rozbitą głową. Krew była jeszcze świeża.

Dobyl miecza i rozejrzał się wokoło, gotów na najgorsze.

– Eudeline! – krzyknął. – Pani moja, czy coś wam grozi?

Odpowiedział mu tylko wieczorny wiatr.

Pragnąc jak najszybciej dowiedzieć się, co się wydarzyło, wpadł do kościoła, potem do zakrystii, a na koniec do komnat matki przełożonej. Nikogo nie znalazł! Wyglądało na to, że cała wspólnota Świętej Balsamii rozplynęła się w powietrzu.

– Eudeliine! – zawołał po raz drugi, biegając jak oszalały po wszystkich pomieszczeniach: po refektarzu, *valetudinarium*, skryptorium, małej bibliotece...

Im dłużej krążył po klasztorze, tym usilniej pragnął runąć na ziemię i rozpaczliwie szlochać. Panująca wszędzie cisza stanowiła nader wymowną odpowiedź na jego pytania. Rycerz musiał jednak szukać Eudeline dalej. Z powodu złożonej Maynardowi przysięgi. Z powodu miłości, którą ją darzył.

Przetrasnąwszy na dole każdy kąt, wspiał się po schodach do dormitorium i jął zaglądać po kolei do wszystkich nisz.

Aż wreszcie ją znalazł.

Skuloną na posadzce, całą we łzach.

Vermandois upuścił miecz i podszedł do niej pełen niedowierzania.

Może niesprawiedliwie osądził Opatrzność.

Może od czasu do czasu Pan wysłuchuje modlitw...

Ukląkł przed nią i wziął jej głowę w dłonie, dostrzegając w oczach niewiasty zdumienie. „Powiedz jej o Maynardzie!” – nakazał sobie natychmiast. „Powiedz jej! Musi się dowiedzieć!”

Robert był już jednak znużony rozpaczą. Znużony bezkresnym smutkiem zasnuwającym świat. Ponadto w chwili, gdy myślał, jak jej to powiedzieć, Eudeline

poruszyła wargami, wymawiając jego imię.

Zupełnie jakby w jego sercu rozbłysło światło.

„Powiem jej później” – przyrzekł sobie.

I namiętnie ją pocałował.

Tak jak śnił podczas ciemnych nocy owej niekończącej się podróży.

NA POŁUDNIE OD TOURS

Gualtiero starał się w miarę możliwości omijać domy gościnne i gospody, lecz od czasu do czasu był zmuszony szukać schronienia w tego rodzaju miejscach. Właśnie tej nocy, po miesiącach wędrówki, postanowił, że wygodnie się wyśpi i zje gorący posiłek. Wszedł do tawerny i usiadł z dala od ognia, nie spuszczać z oka pochylonych nad wieczerzą gości. Wprawdzie jedni wyglądali na zbrojnych, a inni na prostych pielgrzymów, ale młodzieniec nie wątpił ani przez chwilę, że pod podróżnymi szatami kryją się rabusie, szalbierze i zabójcy. Po drodze miał tak wiele razy sposobność, by się przekonać o prawdziwości porzekadła *Lupus est homo homini*, że zdołał się wyćwiczyć zarówno w posługiwaniu się baselardem, jak i mową Galów. Po prawdzie bardziej w tym pierwszym niż w drugim, jako że ostatnimi czasy rodzaj ludzki najwyraźniej stracił upodobanie do porozumiewania się ze sobą.

Należało się wszakże wystrzegać nie tylko pojedynczych ludzi. Gdy Gualtiero opuścił Langwedocję, wielokrotnie o mało nie porwał go tłum wieśniaków, doprowadzonych do ostateczności przez głód i zarazę. Ostatni raz przydarzyło mu się to na ziemiach Limoges, gdzie, aby uniknąć zamieszek, musiał pędzić co koń wyskoczy z biegiem rzeki, o której nie wiedział ani jak się zowie, ani skąd płynie. Uzmysłowiwszy sobie, że się zgubił, przez ponad miesiąc kluczył po lasach i wsiach, dopóki nie odkrył, że niechcący zapuścił się o wiele za daleko na północ. Zanim odnalazł właściwą drogę, mało brakowało, a wpadłby w łapy angielskich zwiadowców.

Zawrócił zatem do Tours, podążając wzdłuż rzeki Clain, aż trafił do owej zapomnianej przez Boga tawerny.

Właśnie tak też zaczynał się czuć: zapomniany przez Boga. Ból po stracie matki wcale nie słabł, był jednaki w czasie wyczerpujących wędrówek i w chwilach największego zagrożenia. Tylko sen go koił, o ile nie śniły mu się okropieństwa dorównujące temu, co przeżywał na jawie.

Odnalezienie matki, by natychmiast ją utracić, odbierał jako okrutny żart losu. Ponadto odkrycie, że w jego żyłach płynie krew Bonacossich i Estów, według niego niewiele się różniło od odkrycia, że jest bękartem.

Ukojenie potrafiła mu przynieść jedynie myśl o Isabeau. Tęsknił za nią i pragnął wypełnić do końca misję powierzoną mu przez messer Maynarda, aby jak najrychlej do niej wrócić.

Gdy o tym myślał, oberżysta przyniósł mu czarzkę rosółu, w którym pływało kurze udko, a raczej kości, które po nim pozostały. Gualtiero podziękował

skinieniem głowy i zaczął chleptać zupę, nie przestając bacznie przyglądać się gościom. Jego uwagę zwrócił zwłaszcza jeden mężczyzna: siedział na uboczu, podobnie jak on, miał na sobie płaszcz chroniący od deszczu, który jednakże nie zasłaniał rycerskich butów z cholewami ani jego chudej, trójkątnej twarzy.

Z początku czujność Gualtiera wzbudziło jedynie podobieństwo tego mężczyzny do szakala. Potem, skrywając zdumienie, przypomniał sobie, że gdzieś już widział to indywidualium.

Było to w Villeneuve, przed kościołem Świętego Mikołaja.

Wyczuł, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Gdy tylko nadarzyła się sposobność, by niepostrzeżenie opuścić gospodę, zapłacił za wieczerzę i wyszedł. Wolał spać w zagrodzie niż dowiedzieć się, czego chce od niego ów człowiek.

VILLENEUVE, PALAIS DE GRIFFON

Bertrand du Pouget miał już serdecznie dość odosobnienia w komnatach swego drugiego pałacu i życia z dala od rozrywek Awinionu. Po blisko roku, strawionym głównie na poszukiwaniach *Lapis exilii*, owa przymusowa bezczynność zaczynała mu się dawać we znaki. Rzecz jasna, nie miał wyboru. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę ocalałych, z dawnego papieskiego miasta zostało doprawdy niewiele. Chociaż to niestety, ale najwyraźniej aniołowie wyładowali gniew Boży właśnie na ziemiach następcy Świętego Piotra. Najbardziej jednak turbowało kardynała to, że prędzej umrze ze starości, niż czarne słońce zarazy przestanie przesłaniać ziemię.

Wstał z wyściełanego czerwonym aksamitem krzesła, szukając pocieszenia w znajdującej się przed nim szkatułce. Jak zawsze, nim ją otworzył, upewnił się, że drzwi pracowni są zaryglowane. Nikt, nawet najbardziej zaufany sługa, nie mógł się o niej dowiedzieć.

Przekręcił klucz i podniósł wieczko.

Kielich i grot włóczni lśniły w blasku świec. Czarniejsze niż heban, niemal wibrowały, wydzielając odurzającą woń, podobną do ambry, ale silniejszą. Kardynał zastanawiał się, czy taki sam zapach poczuło tych kilku szczęśliwców odkrywających groby świętych męczenników. Oczywiście, o ile w świecie, w którym pozory liczą się bardziej niż prawda, nawet w religii, w ogóle istniały relikwie prawdziwych męczenników.

Jeśli jednak można było być pewnym autentyczności czegokolwiek, to właśnie przede wszystkim owych skarbów.

Odkąd Bertrand wszedł w ich posiadanie, nie wątpił ani przez chwilę, że mają związek z męką Chrystusa. Wystarczyło ich dotknąć, by poczuć delikatne ciepło i natychmiastowe pokrzepienie, tak jakby nieustannie ogrzewał je płomień łaski.

Uważał, że pomimo podeszłego wieku nadal pozostaje w dobrym zdrowiu właśnie dzięki ich bliskości. Już samo to, że umknął przed wielką zarazą, stanowiło dostateczny dowód.

Brakowało mu jeszcze wszakże *Lapis exilii*. Ostatniej relikwii Jezusa Chrystusa, najcenniejszej i najbardziej zagadkowej. Kardynał poszukiwał jej przez wiele lat z zamiarem posłużenia się nią, aby – jak jego ojciec – zostać papieżem. Wszelako teraz, za sprawą morowego powietrza, był zmuszony trzymać się na uboczu, oczekując jedynie na postępy czynione przez ojca Clareta. Brał również pod uwagę to, że Rocheblanche może mu się wymknąć.

Stłumił przyptyw gniewu, nie uznając za stosowne ulegania niskim instynktom przy obu świętych przedmiotach. Stanowiły one wstęp do innego świata, oczy wymierzającego sprawiedliwość Boga. Ciemniejsze i bardziej nieprzeniknione niż noc.

Rżenie konia kazało mu wyjrzeć na zewnątrz. Kardynał zamknął szkatułkę i przechylił się przez biforium wychodzące na pałacowy dziedziniec, który leżał u stóp stromej drogi wiodącej ku fortecy Villeneuve.

Przybyło dwóch posłańców.

Gdy Bertrand rozpoznał na ich szatach awinioński herb, stanął w półmroku, zastanawiając się, z czym należałoby wiązać ich przybycie. Po chwili pacholek zapukał do jego drzwi.

– Wiadomość, Wasza Eminencjo!

– Wsuń ją przez judasza i odejdz – nakazał kardynał. Od kiedy szalała czarna śmierć, unikał styczności z kimkolwiek. Nabrał skądinąd zwyczaju oglądania pochodzących z zewnątrz przedmiotów z nosem zakrytym połówką pomarańczy nadzianą końską dawką goździków¹⁶.

Począł, aż sługa spełni polecenie, po czym pochylił się nad małym zwojem pergaminu, który spoczywał na podłodze.

„Bardzo dziwne” – pomyślał. List wysłano przed latem z pewnego opactwa nad Padem. Z Pomposy. Prawdziwy cud, który dotarł do miejsca przeznaczenia. U dołu widniało imię biskupa Ferrary Guida.

Pouget z rosnącym zaciekawieniem przysunął skrawek pergaminu do płomienia świecy, aby odczytać tekst. Było to kilka słów skreślonych drobnym pismem, ale jakże znaczących.

Jeżeli zależy Wam na odnalezieniu rycerza Rocheblanche'a i relikwii Chrystusa, pchnijcie umyślnych do ferraryjskiej kurii. Piszący ten list strzeże tajemnicy Lapis exilii.

Niech Pan ma Was w swej opiece.

Bertrand przeczytał wiadomość po raz drugi z większą uwagą i zerknął z zaniepokojeniem na zamkniętą dopiero co szkatułkę. Na skąpanej w grzechu awiniońskiej ziemi niewielu ludzi mogło powiedzieć, że dostąpili boskiego objawienia. Cóż, wreszcie zaliczał się do owych wybrańców.

Nie było już potrzeby czekać na wieści od ojca Clareta ani używać siły wobec tej łotrzyki Rocheblanche.

Wiedział, gdzie szukać.

Musiał tylko zaczekać, aż zaraza przestanie siać śmierć.

Nawet gdyby został jedynym człowiekiem na ziemi, i tak wyruszy w tę podróż. Aby zaspokoić własne żądze.

FERRARA, KWARTAŁ ŚWIĘTEGO ROMANA

Podobnie jak wielu zakonników, wielebny Andrea również odczuwał lekkie skrepowanie, znajdując się na ulicy, chociaż w jego przypadku wynikało to raczej z usposobienia niż z ukształtowania przez życie w klasztorze. Przed Pomposą przez długie lata działał w miastach tak tętniących życiem jak Fano, Padwa czy Rimini, ale nigdy nie przywykł do ciżby i zgiełku.

Tego dnia jednak niemal za tym zatęsknił.

Pomimo słonecznego poranka ulice Ferrary świeciły pustkami. Nie było kramów ani tym bardziej wozów czy tłoczących się przechodniów. Nawet w cieniu katedry, gdzie zazwyczaj zbierali się pielgrzymi, żebracy i liczne kumoszki, panowała całkowita cisza.

Z początku sprawiło to opatowi ogromną ulgę, gdy jednak zastanowił się nad przyczyną owego wyludnienia, poczuł smutek.

Od początku lata nie podnoszono już larum z powodu rozlewającej się zarazy – powróciła do piekieł, zabierając trzy czwarte ludności. Ci, którzy przeżyli, nadal nie chcieli wychodzić z domów ani opuszczać wsi z obawy przed powrotem choroby, a ci nieliczni, którzy musieli wyściubić nos za drzwi, czynili to ukradkiem, przemykając jak koty po zadrzewionych ulicach czy przedsionkach i unikając zatrzymywania się jak ognia.

Andrea pragnął jak najszybciej uciec przed tym diabelskim spokojem, przeciął więc szybkim krokiem rynek i kwartał Świętego Romana, skupiając się na powodach swojego przybycia do Ferrary. W ciągu minionych tygodni wielokrotnie zadawał sobie pytanie, czy właśnie tak należy postąpić, aż wreszcie pchnięty rozbudzoną na nowo żarliwością, postanowił poprosić biskupa o posłuchanie.

Dotarłszy przed pałac kurii, przystanął, aby przyjrzeć się śladom po pożarze, szpecącym od poprzedniej zimy mury i arkadę nad bramą. Wyglądało na to, że odwet Rocheblanche'a przysporzył strat nie tylko dumnemu markizowi Obizzowi, ale również spowodował zniszczenia na jednej z najważniejszych ulic miasta. Opat pokręcił głową, potępiając porywczego rycerza i jednocześnie czując dla niego wdzięczność, po czym podążył ku portalowi.

Ani jeden zbrojny nie trzymał straży u wejścia. Tylko nierozgarnięty pacholek, który poznał jego imię i powód wizyty, skierował go na wyższe piętra pałacu, gdzie ogień nie zdążył wyrządzić szkód.

Jego Ekscelencja Guido di Baisio znajdował się w jednej z reprezentacyjnych komnat zwróconych na zachód; siedział przed biforium z rozległym widokiem na dachy zdominowane przez dzwonnice Świętej Justyny,

Świętego Błażeja i Świętej Agaty. Sączył wino z cynowego pucharu, pogrążony w ponurych myślach. Na widok przekraczającego próg ojca Andrei odpędził wszelkie troski i posłał mu uśmiech pełen wdzięczności, zaraz jednak zastąpił go uprzejmym powitaniem.

– Dobrze wyglądacie.

– Wy też. – Andrea ucałował pierścień na jego dłoni i spostrzegł, że nadal nosi na szyi *pomme d’ambre*.

Biskup skinął potakująco głową.

– Codziennie dziękuję Panu. – Wskazał mu krzesło.

– Nie przypuszczałem, że zatrzymacie się w Ferrarze tak długo – oznajmił opat. – W dodatku bez straży i służby. W siedzibie, która tak bardzo potrzebuje odnowy...

Prałat wzruszył ramionami i podszedł do małego stolika, na którym stała taca, a na niej karafka i puchary. Napęłnił jeden z nich i podał gościowi.

– Bolonia jeszcze nie jest bezpieczna – odparł wymijająco. – Ponadto trudy podróży, zagrożenie ze strony rozbójników...

– Pojmuję – uciał Andrea. Nie trzeba było lisiego sprytu, by zrozumieć, że Jego Ekscelencja ociąga się z wyjazdem z miasta z powodów, których wolałby nie ujawniać, toteż nagle opatowi nasunęło się pytanie, czy wybrał odpowiednią porę na odwiedzinę. Zakłopotany odstawił puchar i podniósł się z krzesła.

– Jeszcze przed chwilą pragnąłem się z wami pilnie rozmówić – wyznał – ale teraz zdałem sobie sprawę, że sprawiam wam kłopot...

– Jaki kłopot? – odrzekł biskup. – Ocaliliście mi życie, wielbny ojcze! Jeśli mogę wam być pomocny w jakikolwiek sposób...

– Macie dość własnych zgryzot – ciągnął zakonnik, dając wyraz nagłej niechęci. – Wasz pałac... Nie spodziewałem się, że jest aż tak zrujnowany.

Guido rozejrzał się beztrąsko dokoła.

– Nie ma się czym zamartwiać. – Swobodnie mieszając władczość z grzecznością, skłonił Andree, by usiadł z powrotem. – Szkielet nie uległ zniszczeniu – oznajmił – większość szkód wyrządził dym.

Nawet wobec takiej układności gość nie potrafił się uspokoić. Pamiętał, że to właśnie on udzielił schronienia sprawcy owej rzezi. Zawstydzony spuścił głowę.

– W imieniu Rocheblanche’a proszę was o wybaczenie.

Biskup uniósł brew.

– Rocheblanche! – wykrzyknął. – Nadal uparcie zamierza odkupić winy?

– Teraz bardziej niż kiedykolwiek – potwierdził opat, zatrzymując dla siebie kierujące Francuzem motywy. – Chce się pogodzić z markizem Obizzem. Jeśli to będzie konieczne, nawet za cenę przedstawienia własnych racji Radzie Dwunastu Mędrców.

Wielbny Guido obrócił puchar w dłoni i upił łyk wina. Jego wzrok znów

stał się ponury i nieprzenikniony, wywołując u gościa zakłopotanie. Dumął przez chwilę wpatrzony w dachy ciągnące się aż do dzielnicy Świętego Marka.

– Mógłbym urządzić spotkanie – rzekł wreszcie.

Andrea dał mu do zrozumienia, że nie przybył tu po to, by bronić sprawy messer Maynarda.

Jego Ekscelencja jednak ciągnął myśl.

– Powiedźcie mu, żeby do mnie przyszedł. – Uniósł palec. – Tylko że to będzie niebezpieczne, przedstawcie mu to dobrze. W końcu nadal jest wyjęty spod prawa.

Zakonnikowi nie pozostało nic innego, jak okazać wdzięczność, chociaż podejrzewał istnienie drugiego dna owej troski o Francuza.

– Jesteście aż nazbyt wielkoduszni – rzekł zwięźle. Po krótkim namyśle nie potrafił się wszakże powstrzymać i dał wyraz swej nieufności. – Wszelako nie oczekujcie, że podobną przysługą zdobędziecie przychylność Rocheblanche’a.

Biskup wybuchnął nieoczekiwanie równie gwałtownym, co irytującym śmiechem.

– Zgaduję, że czytaliście zapiski o moich listach, kiedy mieszkałem pod waszym gościnnym dachem. – Pomógł Andrei pokonać skrępowanie, klepiąc go po ramieniu. – To nie jest zarzut, wielebny ojcze. Na waszym miejscu też bym tak zrobił. – Odstawił puchar i stanął przed nim. – Chociaż wiecie o mojej wierności Awinionowi, dziwi mnie, że doszukujecie się w moim planie nieczystych pobudek. Jeśli ciągle żyję, to również dzięki messer Maynardowi, dlatego chętnie mu pomogę, bez względu na upór, z jakim trzyma w ukryciu *Lapis exilii*.

Opat siedział sztywno, jakby kij połknął.

– Wasze słowa przynoszą wam zaszczyt – przyznał – a zarazem budzą mój niepokój.

– Powiadomiłem kardynała du Pougeta o relikwiach Chrystusa i nie żałuję tego – wyjawiał Guido, któremu rozwiązał się język. Mówił szczerze, niemal podniośle. – Musiałem to uczynić i z pewnością pojmiecie dlaczego.

Andrea widział, jak bardzo jest przekonany o własnej słuszności, i chociaż potępiał Guida, naprawdę go rozumiał. Na płaszczyźnie teologicznej dostrzegał związku jego postępowania z zasadą nieomyślności, zawartą w maksymie *Ecclesia ab errore immunis*, dzięki której każdy wysoki rangą prałat mógł zawsze i pomimo wszystko oczyścić sumienie.

– Du Pougeta... – westchnął z powątpiewaniem. – Doskonale wiecie, jak bardzo ów człowiek nienawidzi Ferrary. Skoro ściągnęliście na nas jego uwagę, to co waszym zdaniem ma się wydarzyć?

– *Monsignore* Bertrand wcale nie nienawidzi Ferrary – sprostował Baisio. – Swego czasu pragnął oddać Ferrarę pod opiekę Awinionu wraz z Bolonią, aby uczynić ją wielką i potężną.

- Posługując się wojskiem i szpiegami, mógł ją zniszczyć.
- Wojskiem i szpiegami, owszem. Lecz działał w dobrej wierze.

Obaj duchowni mierzyli się wzrokiem niczym mistrzowie szachowi, niewzruszeni i niemal budzący serdeczność.

W końcu opat nie mógł się dłużej powstrzymać i wbił biskupowi szpilę:

– Matka Gualtiera de’ Bruniego też działała w dobrej wierze. Czyż sami tak nie mówiliście? A mimo to więziliście ją i wypędziliście.

– Może woleliście, żeby Obizzo usłyszał, że była w Ferrarze? – bronił się Jego Ekscelencja tonem pozbawionym złudzeń. – Nie wiecie nic o wyczynach Elisy d’Este, wielbny ojcze. To właśnie dzięki takim szpiegom jak ona Świętej Matce Kościołowi udało się trzymać w szachu wielkie posiadłości ziemskie Emilii i Romanii. Teraz jednak owe czasy minęły, a odgrzebywanie przeszłości popsułoby tylko stosunki między kurią ferraryjską a rodem Estów. Na co, rzecz jasna, nie mogę pozwolić.

Ojciec Andrea wyczuł w tym zdaniu ostrzeżenie, które wyraźnie podkreślił drapieżny wzrok Guida.

– Nie patrzcie na mnie w taki sposób! – naburmuszył się. – Przysięgłem zachować milczenie i słowa dotrzymam. – Po czym odsunawszy na później nieodpartą potrzebę nawymyślania samemu sobie od tchórzy, skupił się na bardziej niepokojących skutkach przedsięwzięcia. – Zastanawiałem się tylko, co by się stało z jej synem, z młodym Gualtierem, gdyby odkrył prawdę...

Jego Ekscelencja przymknął oczy, dając wyraz pragnieniu, by coś podobnego nigdy się nie ziściło.

– Dziedzic Passerina de’ Bonacossiego krótko by pożył w tym świecie wilków – zawyrokował. – Zatem gdyby waszemu miniaturzyście przyszło uciekać przed zarazą, odnaleźć matkę i powrócić na te ziemie...

– Zobowiązuję się nakłonić go do dochowania tajemnicy – oświadczył jednym tchem opat. W końcu zdobył się na odwagę i dodał: – I go chronić.

Biskup odpowiedział jedynie tajemniczym uśmiechem.

– Wedle waszej woli – rzekł tylko i ponownie przybrawszy uprzejmy wyraz twarzy, zmienił temat. – O ile coś mi nie umknęło, nadal nie znam powodu waszej wizyty.

W tych okolicznościach Andrea stracił wszakże cały zapał, który przywiódł go do kurii. Pragnął jedynie powrócić do swego chronionego przez puszcę i wody opactwa i zapomnieć o tej zdradliwej rozmowie.

– Szczerze mówiąc, sądzą, że sprawiłem już dość kłopotu.

– Skończcie z tą komedią – odparł z przekąsem Guido. – Zdajecie się bardziej nieśmiali niż nowicjusz.

Nie uzyskawszy pozwolenia na pożegnanie się, opat spojrzął na cynowy puchar, który postawił na skraju krzesła, i zdał sobie sprawę, że nie wypił nawet

łyka wina. Podniósł go gwałtownie i jał smakować krwistoczerwony płyn.

– Cóż, wygraliście – zdecydował się wreszcie. – Chodzi o moje opactwo.

– Potrzebujecie pieniędzy?

– Nie, Wasza Wielbność. Na razie mam ich dość, żeby zaspokoić potrzeby klasztoru.

Biskup pokiwał głową.

– Zostało was ledwie dziesięciu, o ile dobrze pamiętam.

– Jedenastu – sprostował posepnie Andrea.

– A zatem? – ponaglił Guido.

– To dotyczy moich dążeń do duchowej reformy.

– Prawda, wspominaliście mi o tym i pamiętam, że zachęcałem was, byście spełnili swoje pragnienia. Chociaż po prawdzie... wcale nie wiem, czy warto. Według was to odpowiedni czas na wprowadzenie do klasztorowego życia jeszcze surowszych reguł?

Opat spodziewał się takich zastrzeżeń. Siejąc śmierć, zaraza zaszczepiła trwogę przed apokalipsą i opętanie żądzą umartwiania ciała. Umocnienie owych ogólnych odczuć kolejnym rygiorem wzmogłoby w ludziach fanatyzm.

– Nie surowość chcę wprowadzić – odparł – lecz światło.

Jego Ekscelencja przyjrzał mu się badawczo.

– Mówcie jaśniej.

– Freski w nawie – rzucił Andrea, nie wiedząc, od czego zacząć. – Są stare, straciły blask.

– Nie wspominając o apsydzie – przyznał mu rację Baisio. – Mówiąc ogólnie, jej malowidła usunięto za pomocą dłuta.

– Uczynił to mistrz Sigismondo de' Bruni – poczuł się w obowiązku wytłumaczyć wielebny ojciec. – Kończył ostukiwać ścianę, aby nałożyć na nią nową warstwę zaprawy pod malowidła, gdy go... pojmano.

Biskup uderzył się w pierś w milczącym geście *mea culpa*, wartym więcej niż tysiąc słów. „To ja kazałem go powiesić” – mówiły jego oczy. „Ze strachu, że wie. Że komuś powie”. Uśmiechnął się wspaniałomyślnie.

– Szukacie zatem zdolnego mistrza malarskiego.

– Otóż to, Ekscelencjo.

Uśmiech Guida przerodził się w grymas zaciekawienia.

– W waszych słowach pobrzmiewa szaleństwo – przyznał. – Nieustannie docierają do mnie słuchy o wysiłkach sędziego Rady Dwunastu Mędrców, który koniecznie chce zaludnić Ferrarę, walczyć z głodem i rozdawać opuszczone budowle obcym przybyszom wywodzącym się ze szlachty. Tymczasem wy zjawiacie się tutaj gotów marnotrawić pieniądze i siły dla jakiegoś fresku!

– Jestem benedyktyńskim zakonnikiem – przypomniał mu opat – i nie znam innego sposobu, by oddać chwałę Bogu, jak za pośrednictwem mądrości i piękna. –

Nagle odnalazł wążek wraz z pasją, rozpaloną na nowo w bólu i poświęceniu. Widok gasnących konfratrów uzmysłowił mu, jak ulotne jest życie, toteż nie wolno go marnować na uzalanie się nad sobą. – *Splendor, nitor, lucor!* – wykrzyknął, jakby zamierzał rozproszyć mrok, który otaczał go przez całe lata. – Słowa te zaszczerpiono mi w nowicjacie. Otóż niech ich przesłanie dotrze do nowego pokolenia mnichów poprzez freski, abyśmy wszyscy po ogromnej pladze czarnej śmierci mogli odczytać przyszłość jako obietnicę zbawienia.

Jego Ekscelencja słuchał uważnie, a na jego twarzy malowały się na przemian to niezdecydowanie, to zapał. Wreszcie skinął głową i rzekł:

– Nazwałem was szaleńcem, ale nie z tego powodu szydę z waszego szaleństwa. – Chwyciwszy się za podbródek, jął się przechadzać po komnacie w tę i z powrotem, mamrocząc pod nosem. – Chyba wiem, kto wam się nada – oznajmił w końcu. – To *magister pintor* z Bolonii, niejaki Vitale degli Equi. Kilka lat temu dobrze się spisał, rzeźbiąc cztery pomalowane na biało i złoto drewniane posągi, które znalazły miejsce w katedralnej kaplicy. Nie wiem, czy uszedł zarazie, ale jeśli okażecie cierpliwość, wkrótce się dowiem.

– Niczego innego nie pragnę, Ekscelencjo – podziękował opat, podnosząc się z krzesła. Wreszcie mógł odejść.

Wróciwszy nazajutrz do Pomposy, Andrea zaszył się w pracowni i natychmiast wezwał Rocheblanche'a.

– Miło was znów widzieć, wielbny ojcze – przywitał go z kąśliwą miną rycerz. – Słyszałem, żeście byli w Ferrarze.

– To nie ma z wami nic wspólnego, messer – odparł niewzruszony zakonnik. Znał czujną naturę rycerza za dobrze, by nie wyłowić z jego głosu nuty podejrzliwości. – Nic – powtórzył – z wyjątkiem osobliwej propozycji biskupa Guida.

Francuz spojrzał nań groźnie.

– Czyście mu przypadkiem czegoś nie zdradzili?...

– Bierzecie mnie za młokosa? – uciszył go Andrea, stukając pastorałem o podłogę. – Wyjawilem mu jedynie to, co konieczne, na temat waszego położenia. A Jego Ekscelencja z jakiegoś sobie wiadomego powodu zaofiarował się urządzić spotkanie z markizem Obizzem przed Radą Dwunastu Mędrców. Tak jak sobie życzyliście.

Rocheblanche mocno się zdumiał i przez chwilę nie potrafił się zdecydować, czy zażądać dodatkowych wyjaśnień, czy podziękować. Wreszcie, jak zwykle w takich wypadkach, okazał niechęć.

– Śmierdzi mi to oszustwem.

– Oczywiście mnie także – przyznał Andrea. – Mimo to nie przypuszczam, by biskup był aż tak pozbawiony sprytu i chciał was w ten sposób skrzywdzić. Przeciwnie, skłaniam się raczej do tego, że jest wam przychylny.

– Wam też okazał przychylność?

Rozdrażniony uszczypliwym tonem Rocheblanche’a opat wykrzywił usta.

– Jestem zdania, że powinniście skorzystać z tej sposobności – uciął. – Oczyszczenie się z zarzutów i pogodzenie z markizem Obizzem d’Este może być ważniejszą kwestią, niż nam się wydaje.

– Co przez to rozumiecie?

Długie westchnienie zakonnika wystarczyło aż nadto za odpowiedź.

– Guido di Baisio zwierzył mi się, że zgodnie z naszymi obawami, napisał do kardynała du Pougeta. Teraz więc nasze przypuszczenie zamieniło się w pewność, a Bóg jeden wie, co też biskup mógł wyjawić w tym przeklętym liście.

Maynard pogładził bezwiednie jelec sztyletu.

– Nadszedł więc czas – oznajmił cichym głosem, już szukając oczami wrogów pośród cieni. – Cóż, niech tak będzie! Zaraz jutro udam się do Jego Wielmożności biskupa, aby naznaczył spotkanie z radą, i biada mu, jeśli uknuł jakiś spisek.

Andrea skinął głową.

– Rzecz jasna, macie moje bezwarunkowe wsparcie – przypomniał. – Pora zatem, byście zdradzili, jak zamierzacie oczyścić się z zarzutów przed markizem i Radą Dwunastu Mędrców.

– Macie słuszość, wielbny ojciec – zgodził się z opatem rycerz. – Usiądźcie za pulpitem i posłuchajcie mnie uważnie, albowiem od tych słów zależeć będzie nie tylko moja wolność. Również wasz honor, boście mnie chronili.

REIMS, KLASZTOR ŚWIĘTEJ BALSAMII

11 SIERPANIA

Gdy Robert się obudził, Eudeline nie było już u jego boku. Usiadł na brzegu rozgrzebanego posłania i ochlapał twarz w misce, następnie ubrał się i wyszedł na zewnątrz. Od dawna nie był tak szczęśliwy, zastanawiał się więc, czy to sprawiedliwe doświadczyć podobnego uczucia, gdy się tak wiele wycierpiało. Nie nawykł wszakże do tego rodzaju rozważań, toteż nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Wojna i honor wypełniły większą część jego młodości, wyznaczając prostą drogę, po której kroczył. Służyć królowi, służyć Francji, nigdy nie zadając sobie pytań. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak mało warte było owo męstwo.

Pozostawienie przyjaciela na łożu śmierci, wędrówka przez świat zniszczony przez zarazę i usychanie z nieszczęśliwej miłości... Oto najważniejsze doświadczenia jego życia. Silne doznania owych kilku miesięcy ukształtowały go na nowo, sprawiając, że stał się wrażliwszym i – ufał – mądrzejszym człowiekiem.

Przemierzył klasztorny dziedziniec, podążając bez pośpiechu ścieżką, która jęła znikać wśród krzaków jeżyn i chwastów.

Tak jak się spodziewał, zastał Eudeline na niewielkim cmentarzu.

Zanim się zbliżył, patrzył na nią zza drzewa.

Najwyraźniej coś w niej uległo zmianie. Nie zastanawiał się nad tym jednak dłużej, gdyż na widok jej zalanej łzami twarzy ścisnęło mu się serce.

Poprzedniego dnia był zmuszony powiedzieć jej, jaki los spotkał Maynarda. Nie znalazł dość łagodnych słów, którymi mógłby wyznać, że jej brat wydał ostatnie tchnienie w ramionach czarnej śmierci. I na nic zdała się opowieść o bohaterskich czynach, które były jego udziałem aż do końca.

Wyszedł ze swej kryjówki i przytulił Eudeline, chcąc dodać jej otuchy.

Wyrwała się.

– Nie mogę się na to zgodzić – jęknęła wzburzona. – Nie mogę się pogodzić z tym, że on nie żyje!

Pikardyjczyk spuścił głowę, usiłując znaleźć słowa pocieszenia.

– Swe ostatnie myśli skierował ku wam.

Eudeline ścisnęła jego rękę.

– A potem widzieliście, jak...

– Nie, moja droga. Nie – odparł. – Kiedy wyjeżdżałem, jeszcze żył. Oczywiście pragnąłem zostać. Lecz on ponaglał, żebym wyruszył jak najprędzej.

– Zatem jest nadzieja, że wyzdrowiał!
– Nie czepiajcie się czczych złudzeń. To by wam przysporzyło dodatkowych cierpień.

– Ależ Robercie – upierała się niewiasta. – Ja czuję, że...
– On nie żyje, Eudeline – wykrzyknął Vermandois, ocierając łzy. – Nie żyje! Mnie samemu serce krwawi, gdy to mówię, ale nie mam wątpliwości. Widziałem, w jakim był stanie... Słyszałem jego słaby oddech. I... – Popatrzył bezsilnie na swe ogromne dłonie.

– Nie ma sensu tu dłużej zostawać.

Słowa te wzbudziły jego czujność.

– Co przez to rozumiecie, pani?

Oblicze Eudeline nagle stwardniało.

– Zaraza jest u bram i zastanie Reims już zdziesiątkowane. – W jej głosie słyhać było cierpienie, powstrzymywane wołą godną wojownika. – Straciłam wszystko, Robercie. Ziemie, wszelką pewność, welon. Tylko wy mi zostaliście. Wy i pragnienie zapłakania nad grobem Maynarda.

Vermandois ujrzał w niej przez chwilę hart ducha godny lwicy, ten sam, który w dawno już minionych czasach oczarował go w zakrytej welonem niewieście. Nie wątpił, że ta jej natura przez długi czas kryła się w cieniu, jakby czekając na to, aż będzie mogła wybuchnąć w przerażającym ryku i pochwycić wroga.

– Ależ pani – poczuł się wszakże w obowiązku zaoponować – nie wiecie, że ta droga to jak przedzieranie się przez piekło.

– To mój brat! – Poczzerwieniała. – Za nic w świecie nie zrezygnuję z ostatniego pożegnania.

Pikardyjczyk uśmiechnął się niemal z zadowoleniem.

– Niechaj będzie – odrzekł. – Załadujemy wszystkie wasze dobra na wóz i oddamy się w ręce Boga.

– Jeszcze tylko ostatnia sprawa – dodała Eudeline, zdjęta nowym lękiem. – Chcę odnaleźć Aleydis i dziecko.

– To szaleństwo – ostrzegł Robert. – Na ulicach Reims pełno jest gwałtu i śmierci. Ta nieszczęśnica sama wydała na siebie wyrok, opuszczając klasztor.

Eudeline pokiwała głową.

– Zdaję sobie z tego sprawę – oznajmiła. – Ale mała Angélique...

Vermandois pogłodził ją po policzkach, ocierając łzy.

– Sam spróbuję jeszcze dzisiaj – uspokoił ją. – A wy musicie przyrzec, że zaczekacie tutaj, bezpieczni w tych murach. – Widząc, że się zgadza, poczuł wyrzuty sumienia. Był bowiem pewien, że dał jej złudną nadzieję.

Aleydis, ledwie widoczna w coraz bardziej gęstniejącym mroku, szła dopóty, dopóki starczyło jej sił, ściskając w ramionach dziecko. Kierowała się wyłącznie instynktem, mówiąc jej, że należy uciec jak najdalej – od zła, od wyrzutów sumienia, od śmierci – gdzie nikt i nic nie zdoła jej odnaleźć. Czuła, że kardynał du Pouget, siostra Claire i perfidny Marcus deptają jej po piętach. Straszliwe zjawy, które wychynęły z piekieł, aby zemścić się za jej złe uczynki i błędy.

Zaślepiona gorączką i łzami niewiasta kuśtykała z uporem przez zakurzone ulice, błagając po tysiącokroć o przebaczenie wśród zaułków miasta, które zamieniło się w labirynt. Tymczasem Angélique bez przerwy płakała.

Błagała się z dzieckiem między szarymi murami, w fetorze pozostawionego bólowi i szaleństwu Reims. Gdy osunęła się na kolana, znużona ucieczką przed potwornymi prześladowcami, pojęła, że więcej się już nie podniesie. Skuliła się pod ścianą, przyciskając do piersi córeczkę; nie wierzyła, że wszystko może się tak skończyć. Lecz właściwie dlaczego się dziwić? Życie zawsze było wobec niej niesprawiedliwe. Odkąd tylko sięgała pamięcią, zmuszało ją do kradzieży, do kłamstw i do oszustw.

Fiat voluntas tua – pomyślała ze złością. Niech wszyscy idą do diabła, także ona, skoro taka jest wola Pana. Jedynym pocieszeniem było to, że jej ukochana Angélique trafi do nieba ze świętymi. To wystarczyło, by się uspokoiła i zapadła w sen.

Właśnie wtedy ujrzała po raz ostatni siostrę Eudeline. Znow była szlachcianką, piękną niczym święta. Stała przed nią opromieniona białym światłem, z wyciągniętymi lekkimi i niedającymi się uchwycić dłońmi, gotowa jej pomóc.

– Miłowałam was – szepnęła Aleydis, uśmiechając się łagodnie. – Tak bardzo...

Arab z twarzą zakrytą nasączoną przyprawami korzennymi tkaniną pochylił się nad przycupniętą pod murem niewiastą i zdjął jej z lica kosmyk włosów. Wtem cofnął się, kręcąc głową.

Rycerz w czarnej zbroi na koniu, stojący za jego plecami, warknął, by się od niej oddalił. Wszelako Saracen się ociągał, zaciekawilo go bowiem zawiniątko leżące przy zmarłej.

– Co się dzieje? – zapytał zbrojny.

Przed odpowiedzią Arab ostrożnie zajrzał do środka zawiniątka.

– To niemowlę – odrzekł. – Jeszcze żywe.

– Nie mamy czasu na takie sprawy!

Sługa już jednak podnosił się z ziemi z noworodkiem w ramionach.

– Wydaje mi się, że to dziewczynka.

– Połóż ją z powrotem, do kroćset! – zgromił go czarny rycerz. – Czyś nie zauważył pęcherza na czole? To musi być ospa albo zaraza, na Boga!

– Mylicie się, panie. – Dzikie oczy Araba świdrowały maleństwo. – Mam doświadczenie w rozpoznawaniu podobnych znaków i wiem na pewno, że ten jest nieszkodliwy. To zwykła skaza na skórze.

– Nawet gdyby tak było, chciałbyś się opiekować córką ladacznicy?

– Czyż nie uczyniłem tak samo z wami w Hiszpanii?

Mężczyzna w czarnej zbroi natychmiast zamilkł i splunął z pogardą. Sposobił się do wygłoszenia kolejnej złośliwości, bo chciał jechać dalej, ale jego wzrok spoczął na niemowlęciu, które cudem uniknęło śmierci. Na jego twarzy pojawił się grymas zdumienia i wówczas bez żadnych wyjaśnień zsiadł z konia, sięgając po zawieszony na szyi dziecka naszyjnik.

Na widok żelaznych szponów na jego palcach niemowlę natychmiast wybuchnęło płaczem.

Mężczyzna cofnął dłoń i zaklął. Po czym coraz bardziej poruszony zdjął rękawicę i wziął do ręki wysadzany klejnotami krzyż, który połyskiwał na piersi maleństwa.

Na jego obliczu znów odmalowało się zdziwienie, a po chwili wyglądał już jak opętany. Spojrzał na Saracena do głębi poruszony.

– Możesz ją zatrzymać – oświadczył. – Pod warunkiem, że nie będzie mi przeszkadzała spać.

– Jestem wam wdzięczny – rzekł oszołomiony jego reakcją Arab. – Ale jeśli wolno wiedzieć, mój panie, co skłoniło was do zmiany zdania?

Zbrojny jeszcze raz przyjrzał się złotemu krucyfiksowi wysadzany klejnotami, a następnie uważnie obejrzał grawerunek i znajdujące się w środku na czterech rogach kamienie. Wreszcie pokazał go swemu dociekliwemu słudze.

– To – odparł. – O ile diabeł mnie nie zwodzi, jestem pewien, że należy do mojej córki, Eudeline.

Nim Saracen zdążył odpowiedzieć, usłyszeli stukot końskich kopyt. Po chwili z pobliskiego zaułka wyłonił się człowiek na koniu. Posuwał się truchtem, próbując dojrzeć coś w wieczornej szarówce.

Arabowi wystarczył jeden rzut oka, by stał się czujny.

– Rozpoznajecie go? – zapytał szeptem swego pana.

– Nie jest mi obcy...

– Zdaje się, że zowie się Vermandois. Wiele miesięcy temu o mało go nie zabiliście.

Czarny rycerz położył dłoń na rękojeści miecza.

– Radzisz mi, bym dokończył dzieła?

– To nie będzie konieczne – uspokoił go Maur. – Wystarczy pozostać w ukryciu i czekać, aż nas minie. – Po czym z nieoczekiwaną łagodnością jął

kołysać maleństwo do snu.

FERRARA, DOMUS COMMUNIS

13 SIERPANIA

Maynard w końcu posłuchał ojca Andrei i pozwolił, aby Guido di Baisio umówił spotkanie z Radą Dwunastu Mędrców, chociaż wątpił w jego dobre intencje. Po prawdzie nie miał powodu, by grymasić. W pojedynkę rycerzowi nigdy nie udało się porozumieć z radą, której przedstawiciele ani zasad działania nie znał. W czasie swego pobytu w Ferrarze dowiedział się tylko, że jest to kolegium złożone z dwunastu uczonych posiadających władzę administracyjną i sądowniczą, a na jego czele stoi sędzia i doradca markiza. Rocheblanche'owi znane było jego imię – Filippo Migliorati – i cięty język. Zachował żywe wspomnienie tego Toskańczyka sprzed roku, z czasów pobytu na dworze Estów. Zyskał wtedy dostateczną pewność, że wzbudził w nim niechęć.

Stanowiło to jedną z przyczyn, dla których z wybiciem czwartej godziny zawahał się przed przekroczeniem progu *Domus Communis* – albo Pałacu Mądrości – wznoszącego się u wejścia do kwartału Świętego Romana. Dwa dni wcześniej, kończąc krótką rozmowę, biskup oznajmił, że ma się tam stawić w wyznaczonym dniu i o wyznaczonej porze, i przykazał, aby się nie spóźnił. Mimo pragnienia, by wyjść z ukrycia, Maynard po raz pierwszy poczuł, że nie wie, jak postąpić.

Klnąc przez zęby, spojrzał na strzegącego portalu żylastego gwardzistę. „Raz kozie śmierć” – przekonywał się w duchu, że dobrze robi.

– Zwę się Maynard de Rocheblanche – obwieścił. – Stawiam się zgodnie ze wskazówkami Jego Ekscelencji biskupa, aby prosić Radę Dwunastu Mędrców o posłuchanie.

– Powiadomiono mnie, że przybędziecie – odparł strażnik i upewniwszy się, że nie ma broni, wpuścił go.

Francuz rzucił ostatnie przed wejściem spojrzenie na zasnute chmurami niebo. Wówczas zauważył, że na pałacowych blankach nie widać ani jednej głowy nabitej na włócznię. Wyglądało na to, że zaraza skosiła aż nadto wiele istnień ludzkich, by markiz musiał zaprzętać sobie głowę posyłaniem do piekła kolejnych.

Może po długich miesiącach on będzie pierwszy.

Sala zgromadzeń była słabo oświetlona, ale na jej ścianach dawało się rozpoznać stare freski. Sędziowie Rady Dwunastu Mędrców zajmowali dwie długie drewniane stalle – każda licząca po sześć siedzisk – ustawione po bokach

osobistości, które siedziały pośrodku. Pierwszą z nich był Jego Wysokość Obizzo III d'Este, odziany na czarno – białą barwę miał jedynie w postaci orła wyhaftowanego na rękawie kaftana. Kolejną osobistością był sędzia Filippo Migliorati, zajmujący miejsce obok pustego krzesła, należącego do podesty Donaccia da Piacenzy, którego zatrzymały inne obowiązki.

Stojącemu przed nimi Maynardowi kazano, by wypowiedział swoje imię, tytuł i pochodzenie, w celu zapisania ich w protokole. Rycerz oschle spełnił polecenie.

Obecni na sali, w tym także Obizzo, słuchali go niewzruszeni, chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, o jakie zbrodnie jest oskarżony.

Rycerz nie był pewien, jak powinien odczytywać ich milczenie, lecz trzymał uczucia na wodzy, aż wreszcie jeden z najstarszych członków zwrócił się do sędziego:

– Nie rozumiem, dlaczego musimy udzielać posłuchania człowiekowi wyjętemu spod prawa! Niech go zakują w kajdany, a my wydajmy wyrok.

– Uczynilibyśmy to – odparł z westchnieniem Migliorati – gdyby Jego Ekscelencja biskup nie zwrócił uwagi na błąd w postępowaniu, który doprowadził do pojmania tego osobnika.

– A czyż my jesteśmy tu po to, by służyć biskupowi? – nie dawał za wygraną stary urzędnik.

– Nie biskupowi – uciszył go sędzia – ale sprawiedliwości i komunie miejskiej.

Markiz rąbnął pięścią w poręcz, by zażegnać kłótnię.

– Odczytać akt oskarżenia – nakazał stanowczo.

Na te słowa jeden z dwunastu sędziów zerwał się na równe nogi i jął recytować:

– Messer Maynard de Rocheblanche, oskarżony jest o wtargnięcie w październiku do siedziby episkopatu ferraryjskiego i zamordowanie widama Superanzia Orsiniego wraz z jego jedenastoma zbrojnymi. – Odczekawszy, aż zasuszony notariusz zamieści te słowa w protokole, mówił dalej: – Niezaspokojony owym gwałtem obecny tu Rocheblanche podłożył na dziedzińcu tegoż budynku ogień, wyrządzając niemałe straty w posiadłości diecezji. Został schwytany na gorącym uczynku przez strażę Jego Wysokości, lecz po upływie dwóch miesięcy zbiegł z więzienia markiza, prawdopodobnie dzięki pomocy współnika.

Filippo Migliorati przysłuchiwał się z dłońmi splecionymi pod brodą, wpatrując się w oskarżonego.

– Messer Maynardzie – odezwał się w końcu – rozumiecie stawiane wam zarzuty?

Francuz dostrzegł jego drwiącą minę, lecz pozostał niewzruszony.

– Tak.

– I mimo to macie czelność stawać przed nami?

– Tak.

– A dlaczegoż to? Dlaczegoście nie uciekli? – W głosie sędziego brzmiała kpina. – Byłoby to łatwe dla sprytnego człowieka, a takim daliście się poznać.

– Uczyniłbym to, gdyby sprytu nie przyrównywano do uczciwości i honoru – bronił się Rocheblanche. – Innymi słowy, stoję przed wami, aby odzyskać reputację i jednocześnie dowieść Jego Wysokości, że pomylił się co do mnie.

Dostojny Obizzo machnął ręką z rozdrażnieniem.

– Jak dotąd, dowiedliście jedynie zuchwałości – skwitował, a po chwili wahania podniósł się z krzesła i podszedł do niego. – W czym rzecz, Rocheblanche? – wysyczał. – Czy to kolejna obelga przeznaczona dla mnie?

Wprawdzie Maynard okazał skruchę, wytrzymał wszakże jego spojrzenie.

– Zdaję sobie sprawę, że obraziłem was w rozmaitych okolicznościach, zarówno gdy byliśmy sami, jak i publicznie. O ile w pierwszym przypadku zobowiązuję się odkupić winę przy najbliższej sposobności, tylko przed wami, co do drugiego mogę się jedynie oddać w ręce tej znamienitej rady.

Markiz gotował się do odpowiedzi z grymasem pogardy. Uzmysłowiwszy sobie jednak, że reaguje przesadnie, odwrócił się do niego plecami i usiadł z powrotem.

Należący do Rady Dwunastu Mędrców sędzia na próżno czekał w milczeniu, aż Jego Wysokość coś doda. W końcu zwrócił się do Francuza:

– Cóż, messer, słuchamy. Bardzo chcemy się dowiedzieć, jaki kruczek zastosujecie.

– Żaden kruczek. – Rocheblanche zwracał się do Miglioratiego, lecz wzrok miał wbity w Obizza. Doskonale się orientował, że markiz gotuje się w środku nie z powodu śmierci Orsiniego, lecz zdrady Lippy, mimo to nie miał możliwości wyrazić żalu ani pozwolić mu, by się na nim wyładował. Mógł mu jedynie udowodnić, że jest człowiekiem nieskazitelnym, który walczy o honor i prawdę, wszelako przyznał gromkim głosem:

– Zabiłem widama Superanzia Orsiniego i nie przybyłem tu błagać o łaskę. Owszem, zabiłem go, uczyniłem to, albowiem musiałem się bronić przed jego siepaczami, wysyłając, ilu tylko się dało, do diabła. Pożar na biskupim dziedzińcu był nieszczęśliwym tego następstwem.

– Tymi słowami jedynie potwierdzacie waszą winę – rzekł wyraźnie zbity z tropu sędzia.

– Jestem odpowiedzialny za śmierć człowieka, to prawda. – Teraz to Maynard się uśmiechał, gdyż pęczniał z dumy. – Dowiodę jednak, że miałem prawo popełnić ów czyn.

– Czyście postradali rozum? – wybuchnął sędzia.

– Nie bardziej niż wy wszyscy, panowie. – Rycerz zmierzył wzrokiem

każdego członka rady po kolei, wpatrując się w ich pełne zakłopotania twarze. Wreszcie czuł pewny grunt pod nogami, wiedział, że już żadne prawo ani żaden zakaz nie zdołają go powstrzymać przed wykazaniem się odwagą. – Moje działanie wobec widama było skutkiem wielkiej zniewagi i nie miało nic wspólnego z pospolitą zemstą. Stawiłem mu czoło, aby zmyć niezdolnością obrazę, której żaden z was, panowie, nie puściłby płazem. – Zamilkł na chwilę, aby się upewnić, że wszyscy uważnie go słuchają. – Mam na myśli wydarzenia sprzed roku, z końca lipca, kiedy to Superanzio Orsini podstępnie zwabił mnie do dzielnicy Powodzi, zadał mi zdradliwy cios sztyletem i wrzucił do wód Padu. To, że przeżyłem, zawdzięczam tylko Opatrzności.

Obizzo d'Este był jedyną osobą na sali, która nie okazała zdziwienia. Nadal wpatrywał się w Maynarda, nadal z nienawiścią. Na jego znak sędzia podjął przesłuchanie:

– Piękne słowa, messer Maynardzie. Czy macie dowody na potwierdzenie waszych słów?

Rocheblanche wykonał nieokreślony gest.

– Mógłbym zażądać zeznań czcigodnych ascetów, którzy opatrzyli mi ranne żebro. Mieszkają nad rzeką, w eremie Świętego Stefana. Opiekowali się mną blisko trzy miesiące, albowiem nie byłem w stanie się ruszyć i donieść o niesprawiedliwości, jaka mnie spotkała. Zresztą markiz z pewnością zauważył moją nieobecność na dworze.

– Jestem przekonany, że markiz miał ważniejsze sprawy na głowie – wtrącił z przekąsem Migliorati, posyłając mędrcom porozumiewawcze spojrzenie. – Ponadto, jeśli mogę mówić szczerze, wszyscy lubimy się powoływać na wydarzenia poprzedzające nadejście zarazy. Mógłbym wezwać na rozprawę zgraję oszustów, którzy zaświadczą, że podczas zarazy w wyniku grabieży stracili wszelkie dobra. – Ponownie jął świdrować wzrokiem Maynarda. – Co do waszych życzliwych ascetów od Świętego Stefana, oczywiście przy założeniu, że przeżyli pomór...

– Zostawmy ascetów modlitwom – wtrącił Obizzo i wycelował palec we Francuza. – Ranę, o której wspominaliście, mogliście odnieść na tysiąc sposobów.

Maynard oblał się szkarłatem z oburzenia.

– Twierdzicie, że przybyłem tu, aby opowiadać kłamstwa?

– Wasze zamiary mnie nie obchodzą – odparł Obizzo – ani tym bardziej gotowość naprawienia krzywd wyrządzonych mojej osobie. Jesteście zaklinaczem węży, messer. Tchórzliwym bajarzem, którego jedyny cel polega na dopięciu swego za pomocą zuchwałego roszczenia, a wszystko po to, by darowano wam karę śmierci.

– Mogę znieść wasz gniew – wykrzyknął rycerz – ale nie tego rodzaju obelgi.

Markiz wzruszył ramionami.

– Na honor trzeba zapracować, messer.

– O nic innego nie proszę.

– Co macie na myśli?

Nareszcie Rocheblanche skierował rozmowę na kwestię, na której zależało mu najbardziej. Wypowiedzi sędziego na chwilę zbiły go z tropu, lecz duma Jego Wysokości okazała się przydatna.

– Tam, skąd pochodzę – pospieszył z wyjaśnieniem – panuje zwyczaj, że szlachetnie urodzony człowiek może się oczyścić z zarzutów, odwołując się do sądu bożego, czyli poddając się próbie, poprzez którą Bóg objawia jego niewinność lub winę. Otóż jako że na tych ziemiach obowiązują podobne zwyczaje, domagam się prawa do pojedynku z każdym, kto ośmieli się nazwać mnie kłamcą.

– Głupcze! – syknął Migliorati. – Czyżbyście zamierzali podnieść miecz na naszego pana i władcę, markiza d’Este?

– Tylko jeśli starczy mu odwagi, by przyjąć wyzwanie – odrzekł Maynard.

– Rocheblanche! – Obizzo podniósł się z krzesła po raz drugi. Jeśli zdołał opanować gniew, to tylko dzięki sędziemu, który chwycił go za ramię i szepnął, by się powstrzymał. – Nazywacie mnie niegodziwcem?

– Nigdy bym się nie ośmielił, Wasza Wysokość. – Rycerz przybrał marsową minę, jak ktoś, kto gotuje się do bitwy. – Ignorując jednak moje wyzwanie, dowiedlibyście, że nim jesteście.

Filippo Migliorati zdecydowanie oponował.

– Jego Wysokość jest panem Ferrary. Nawet gdyby chciał, nie może narażać na szwank własnego życia, aby dowieść czyjejkolwiek niewinności.

– Wobec tego niech wyznaczy zastępcę – podsunął Maynard.

– Nie w taki sposób dokonuje się sprawiedliwość, messer! – nie dawał za wygraną sędzia.

Niewzruszony rycerz splótł ręce na piersi.

– Ja natomiast nie widzę innego sposobu – oznajmił. – Żaden z was, łaskawi panowie, nie podważył mojego prawa do obrony przed zniewagą Orsiniego. Skoro jednak nie mam możliwości udowodnienia swoich słów, nie pozostaje mi nic innego, jak odwołać się do tegoż prawa, aby odeprzeć to, co moim zdaniem jest kalumnią.

Markiz Obizzo zagłębił się w krzesle pogrążony w zadumie. Po interwencji sędziego górę znów wzięła jego posepna i nieprzewidywalna natura. Na chwilę jego czarne oczy rozświetlił błysk, zdołał wszakże powściągnąć zapał. Po chwili zwrócił powszechną uwagę, gdy z wystudiowaną powolnością, godną najbardziej przebiegłych drapieżników, skinął dłonią.

– Niech będzie, jak chcecie, Rocheblanche – obwieścił z okrutnym uśmiechem. – Zmierzycie się z moim zastępcą za dwa dni, w święto

Wniebowzięcia Matki Boskiej, na turnieju, który pomimo ostatnich nieszczęść odbędzie się również w tym roku, aby podnieść na duchu lud i całą szlachtę.

BORY MONT-FLEUR

Zaraza, bory, wilki. Młody wędrowiec przemierzył ziemie Vienne, podążając do poświęconej Świętemu Sabinowi *villa Cerisii*. W końcu odnalazł wijącą się wśród drzew ścieżkę, o której wspominał mu Rocheblanche. Wyczerpany, zawieszony między snem a jawą, błąkał się wśród poskręcanych gałęzi makii, która zdawała się nie mieć końca. Odkąd jego koń niespodziewanie padł, zmuszając go do pokonania ostatniego odcinka drogi na piechotę, przez cały dzień nie pozwalał sobie na wytchnienie. Wsłuchiwał się w leśne odgłosy, w jednej ręce ściskając sakwę, a w drugiej baselard. Bardziej niż dzikich bestii obawiał się spotkania ze ścigającym go człowiekiem z Awinionu. Wprawdzie po nocy w gospodzie więcej go nie widział, ale czuł jego obecność, jakby był obok, ukryty w drzewach, i go szpiegował. Mogło mu się tylko zdawać. Pełen wątpliwości Gualtiero postanowił zachować czujność również w nocy.

Był u kresu sił, niezdolny uciszyć przeciążonego umysłu. Maynard objaśnił mu, jak dotrzeć na miejsce, nie przygotował go jednak na to, czemu musiał stawić czoło, i właśnie tym się martwił. Czyżby czekały go jeszcze jakieś próby? Nawet po tak długiej podróży młodzieniec nadal lękał się, że nie sprosta zadaniu.

Mimo to posuwał się naprzód, nie tylko dlatego, że nie mógł się doczekać dotarcia do celu. Zapasy jedła i wody już się wyczerpały i jeśli nie chciał, by ta przeklęta puszcza stała się jego grobem, musiał jak najprędzej znaleźć schronienie.

Z drzemki wyrwał go jakiś ruch w listowiu, toteż Gualtiero przyspieszył kroku. Promienie słońca ciągle przeświecały mocno przez najwyższe gałęzie, zapewniając mu poczucie bezpieczeństwa. O zmierzchu dzikie bestie przestaną być takie ostrożne.

Wkrótce spostrzegł, że popełnił błąd w ocenie, bo chociaż był środek dnia, z zarośli wyskoczył ogromny srebrno-czarny wilk, który stanął przed nim, obnażając potworne kły.

Młodzieniec cofnął się odruchowo i dobył sztyletu. Och, gdybyż tylko koń mu nie padł! Gualtiero rozejrzał się dokoła, szukając drogi ucieczki, lecz na próżno. Jediną możliwością uniknięcia walki było wspięcie się na drzewo, nie sądził jednak, by bestia mu na to pozwoliła. Musiał walczyć, nie miał wyboru. Zastygł w bezruchu, z sercem łomoczącym tak mocno, że aż dudniło mu w piersiach; liczył na to, że zachował dość sił.

Oczy wilka przypominały dwa żółte koła. Młodzieniec nakazał sobie w nie nie patrzeć i skupił uwagę na ruchach łap, aby nie dać się zaskoczyć.

– Idź sobie! – zawołał, wymachując baselardem. – Precz!

Bestia wahała się przez chwilę, po czym warknęła w odpowiedzi tak potężnie, że nawet najzacieklejszemu weteranowi włos by się zjeżył na głowie. I rzuciła się na niego.

Młodzieniec ledwie zdążył się uchylić, by uniknąć pokąsania, i zadał pchnięcie długim sztyletem. Cios trafił w powietrze, a drapieжник zaatakował znowu z taką siłą, że powalił go na ziemię. Był ciężki, niesamowicie szybki. Jego zęby błysnęły o włos od twarzy Gaultiera, który zasłonił się lewym ramieniem.

Wtem ciało Gaultiera przeszła fala bólu, a z gardła wyrwał się krzyk. Wilcze kły zatopiły się w nim aż do kości, pozwalając mu się przekonać, co by się stało, gdyby się poddał. Przypomniawszy sobie, że nadal ściska baselard i ugodził zwierzę w łapę rozpaczliwym ciosem, sprawiając, że wilk oddalił się z wyciem.

Gaultiero poderwał się gotów do obrony. Ledwie zdążył złapać oddech, gdy bestia zaatakowała ponownie, rozwścieczona jeszcze bardziej z powodu rany. Gaultiero usiłował zadać wilkowi drugi cios, lecz tylko bardziej go rozjuszył. Zwierzę krążyło wokół niego, kulejąc, aż wreszcie udało mu się ugryźć go w kostkę.

Młodzieniec runął na plecy, szarpiąc się, ale nie zdołał się wyswobodzić. Czuł, jak kły przebijają się przez skórę butów, i w trwodze kopnął zwierzę w pysk.

Wilk odskoczył i potrząsnął łbem, marszcząc pysk i dziko warcząc. Zanim ofiara miała czas wstać, skoczył na nią z zamiarem rozerwania jej na strzępy.

Świst strzały ledwie było słychać. Cios dosięgnął bestii, która osunęła się w zarośla.

Gaultiero obejrzał się natychmiast i spostrzegł wśród drzew łucznika, gotowego wypuścić kolejną strzałę. Wysoki i chudy jak patyk, miał na sobie tunikę z kapturem i buty z cholewami, związane na łydkach skórzanymi rzemykami. Zastanawiając się, czy powinien bać się go bardziej niż wilka, patrzył, jak wkłada strzałę z powrotem do kołczanu i podchodzi do bestii, aby dobić ją sztyletem. Następnie nieznajomy pochylił się nad nim i odsłonił dziewczęcą twarz.

– Dacie radę się podnieść, przybyszu? – zapytała dziewczyna, zaciskając pięść na zakrwawionej broni.

Młodzieniec chciał wstać, lecz poczuł ból w kostce.

– Z trudem – szepnął.

– Macie szczęście, że usłyszałam wasze krzyki – skwitowała. – Jedyne szaleńcy i głupcy zapuszczają się w ten las.

– Szukam pewnego klasztoru... – Gaultiero przypomniał sobie złożoną Rocheblanche'owi przysięgę, że nikomu nie wyjawia celu swej podróży. Ponadto w obecnym stanie potrzebował pomocy, a skoro dziewczyna użyła słowa „przybysz”, musiała być obeznana z tym miejscem. Spojrzał prosto w jej jasne, bystre oczy. – Klasztoru Mont-Fleur.

Cofnęła się.

– Z jakiego powodu?

– Niosę wiadomość dla opata.

Młodzieniec dostrzegł jej nieufność i przez chwilę bał się, że popełnił błąd. Ona jednak odłożyła sztylet i pomogła mu się podnieść. Była silna, przewyższała go co najmniej o dwie piędzi. Pachniała żywicą i mchem.

– Wesprzyjcie się na mnie – rzekła. – Zaprowadzę was do Mont-Fleur.

Wkrótce dotarli do Mont-Fleur. Na widok klasztornych murów wylaniających się z gęstwiny drzew Gualtiero nie mógł się nadziwić, że był już tak blisko i ich nie zauważył. Kostka pulsowała mu bólem, lecz Matilde – tak miała na imię młoda łowczyni, która go ocaliła – najwyraźniej niepokoiło jedynie jego zranione ramię.

Po tak wielu złych doświadczeniach młodzieniec nie potrafił uwierzyć, że natknął się na dobrą samarytanę. Dziewczyna udzieliła mu pomocy, nie sprawdzwszy nawet, czy nie dopadła go czarna śmierć albo jakakolwiek inna choroba, tak jakby nie obawiała się ich. Ponadto w jej spojrzeniu była jakaś głębia, jakiś spokój, stanowiący ogromną rzadkość w owych ciężkich czasach. Czy to możliwe, że trafił do jedynego miejsca na świecie wolnego od rozpacz?

Odpowiedź uzyskał jeszcze przed przekroczeniem klasztornych fortyfikacji, gdyż przywitali go łagodni ludzie, którzy dwoili się i troili, by zaspokoić jego potrzeby i otoczyć go opieką. Byli to w sporej części zbrojni, aczkolwiek nie mieli barw ani żadnych herbów. Mieszkali wraz z rodzinami w całkowitej prostocie, jak konwersi, w kamiennych domach, przylegających do zewnętrznych murów obronnych Mont-Fleur.

Matilde oddała Gualtiera w ich ręce, sama zaś pospieszyła do niewielkiej budowli, aby rozmówić się ze starszyzną. Wróciła bez łuku i sztyletu. Przywdziała białą płócienną szatę, przypominającą tuniki kamedulskich benedyktynów, i szkaplerz.

– Chodźcie za mną – rzekła.

Młodzieniec spełnił polecenie i przekroczył mury. Szedł zwirową ścieżką w cieniu groźnie wyglądającej dzwonnicy. Klasztor nie był aż tak potężny jak miejskie katedry albo bazyliki powszechnie znanych zakonów religijnych, mimo to biło z niego dostojeństwo. Lunetę nad portalem wypełniała imponująca płaskorzeźba przedstawiająca sąd ostateczny. Widniało na niej piekło albo może nawet sam diabeł pod postacią ogromnej gęby przeżuwającej potępionych.

– Gorgoneion – szepnęła Matilde, jakby chciała go przestraszyć.

Młodzieniec podązał za swą wysoką przewodniczką, zafrasowany pytaniem, co też czeka go w środku. Nie umiał sobie wyobrazić tajemnicy, która miałaby aż tak wielką wagę, żeby skłonić równie nieustraszonego mężczyznę jak Rocheblanche, by poświęcił własne życie w jej obronie. W podróży szukał odpowiedzi w zagadce *Lapis exilii*, chociaż nie rozumiał z tekstu ani słowa. Tymczasem teraz owa tajemnica była na wyciągnięcie ręki.

Przemierzywszy narteks, nie zdołał opanować zdziwienia. Całe ściany nawy pokrywały freski.

Był to cykl biblijny albo *Biblia pauperum*, jak zwykło się mawiać, albowiem

każdy, nawet najbardziej ubogi umysłem osobnik, potrafił rozpoznać i zrozumieć historie zaczerpnięte z Pisma Świętego. Gualtierowi wystarczył rzut oka, by wiedzieć, że owe malowidła to coś więcej niż zwykły zbiór scen. Ich prawdziwe przesłanie zostało ledwie podszeptnięte w wątkach *historia salutis*, od stworzenia Adama po trąby sądu ostatecznego, chociaż od czasu do czasu przebijało z siłą, ukazując z patosem przeniesienie świętej Arki, mistyczne cierpienia Maryi Dziewicy, wskrzeszenie Łazarza, a nawet Mściciela z obosiecznym mieczem, gotowego wytoczyć bitwę na koniec apokalipsy.

Długo tkwił bez ruchu, zapatrzony w koleje ludzkiego zbawienia według teologicznej mądrości. Jego zmęczenie mijało pod wpływem pragnienia, by odkryć, kto przedstawił tak genialnie – nie przeszkadzało bynajmniej, że w starodawny sposób – tę historię, i ogarniała go chęć chwycenia za pędzel, żeby poprawić linie czy kolor.

„Ja też potrafię” – krzyczał w nim jakiś głos.

Nie przemawiała przez niego duma, lecz natchnienie, które dojrzało w pomposkim skryptorium dzięki wcześniejszym naukom burkliwego Sigismonda, a także dzięki siostrze śmierci, której każdy przejaw nauczył się po drodze rozpoznawać.

Widząc zbliżającego się starego mnicha, miał wrażenie, że obudził się ze snu. Patrzył, jak Matilde kłania się z szacunkiem i spuszcza wzrok. Z nieustraszonej łuczniczki, która bez wahania zabiła wilka, nie zostało prawie ani śladu. Uwagę młodzieńca natychmiast przyciągnął wszakże starzec. To musiał być on, wielbny opat Manessier. Ten, który potrafił zafascynować – albo omamić – rycerza Rocheblanche’a.

Przypominał mu jednego ze świętych opisanych w *Złotej legendzie* Jakuba de Voragine. Jego białe brwi i sękaty dłoń zaciśnięte na kaduceuszu przywodziły na myśl zakon wojenny, ale wrażeniu temu przeczył uśmiech, dający się dostrzec mimo brody.

– Widzisz, Matilde? – zwrócił się do dziewczyny z zadowoleniem opat. – Sposób patrzenia odróżnia bystry umysł od ubogiego.

– Gdyby nie to, można by go wziąć za prostego wieśniaka – stwierdziła uszczypliwie dziewczyna.

– Naucz się wystrzegać takich oczu – upomniał ją zakonnik. – A teraz idź, zostaw mnie samego z tym nieznanym.

Matilde zawahała się, lecz na znak starca w końcu się oddaliła.

Wszelako Manessier nie od razu przemówił. Stanąwszy obok Gualtieria, jął się wpatrywać w zdobiące nawę freski z niewzruszoną miną. Młodzieniec przeczuwał, że ów tajemniczy ojciec chce z nim poczuć głębszą więź, a nie tylko nawiązać zwykły dialog. Był gotowy przystąpić do gry, nie tracił wszakże czujności.

– Nęci was ten widok? – zapytał wreszcie opat.

– Jak nic od dawna – westchnął Gualtiero.

Zakonnik oderwał wzrok od malowideł i przyjrzał mu się bacznie, po czym pokiwał głową, że pojmuje.

– Wyglądacie jak ktoś, kto przedarł się przez popioły Awernu¹⁷.

– Gdybyż to był Awern! To był jednak świat żywych. Przynajmniej przez pewien czas.

Manessier pokiwał głową i ponownie popatrzył na freski, mamrocząc coś pod nosem, aż zatrzymał wzrok na wyrazistym przedstawieniu Ukrzyżowania. Zamknął oczy, jakby zraniła go intensywność malowidła.

– Skąd przybywacie?

– Z opactwa w Pomposie – odparł z miejsca Gualtiero. – Przysyła mnie Maynard de Rocheblanche.

Na twarzy opata odmalowało się zdumienie.

– Rycerz... – Po czym zakonnik natychmiast sposepniał. – Ten lekkomyślny człowiek! Przysiągł mi, że nigdy nikomu nie wyjawia istnienia tego miejsca, a tymczasem... tymczasem...

– Messer Maynard był zmuszony to uczynić – pospieszył z wyjaśnieniem młodzieniec. – To była jego ostatnia wola, nim osunął się w ramiona śmierci.

– O, Panie! Jak to się stało?

– Zaraza.

Manessier spuścił głowę i już miał się oprzeć na klęczniku, ale skorzystał z pastorału.

– Przykro mi... Bardzo mi przykro! Niech jego niespokojna dusza odzyska pokój.

Na widok tej reakcji Gualtiero jął się zastanawiać, jakiego rodzaju więź mogła łączyć Rocheblanche'a z Manessierem.

– Messer Maynard zobowiązał mnie do przekazania wam dwóch wiadomości – oznajmił.

Na te słowa opat otrząsnął się ze zmartwienia.

– Słucham.

– Po pierwsze, zechciejcie przyjąć jego przeprosiny. Chociaż usilnie się starał aż do końca, nie zdołał odnaleźć żadnej z dwóch zaginionych relikwii. Nie powiedział nic więcej, zapewniając, że to wystarczy, byście zrozumieli.

– Zaiste rozumiem, synku – odrzekł starzec – i boleję nad tym.

– Druga wiadomość – ciągnął młodzieniec – dotyczy natomiast poważnej groźby, która zawisła nad waszym klasztorem.

Manessier drgnął.

– A kto miałby mi zagrażać?

– Karol Luksemburski i purpurat Bertrand du Pouget. Zdaniem messer

Maynarda obaj poszukują relikwii zwanej *Lapis exilii*.

Opat powtórzył obydwaj imiona przez zaciśnięte zęby, jakby wypowiadał przekleństwo. Jego spojrzenie stało się zimne i twarde do tego stopnia, że wzbudziło w młodzieńcu namacalne poczucie zagrożenia.

– Dwaj nadzwyczaj potężni wrogowie – przyznał. – Czy umiecie powiedzieć, co wiedzą?

– Nie, wielbny ojcze. I wątpię, żeby sam Maynard był w stanie to uczynić.

– W każdym razie jego ostrzeżenie jest na wagę złota.

W tej samej chwili Gualtiero przypomniał sobie o czymś ważniejszym. Otworzył sakwę, wyjął kardynalski pierścień oraz zwój pergaminu zawierający zagadkę *Lapis exilii* i wręczył je mnichowi.

– Powierzając wam te przedmioty – oświadczył – mogę uznać swoje zadanie za zakończone.

Manessier obejrzał je z ogromną uwagą, w końcu skinął głową i schował do kieszeni habitu, kierując wzrok na młodzieńca.

– Co wyjawiał wam Rocheblanche na temat *Lapis exilii*?

– Nic – odrzekł Gualtiero. Czuł jednak, że opat przygląda mu się ze zbyt intensywnością, jakby starał się przeorać jego twarz w poszukiwaniu kłamstwa. Pomyślał o nocach spędzonych na dumaniu nad słowami zagadki i odniósł wrażenie, że starzec *wie*. Powrócił do podziwiania pokrywających nawet fresków, zatrzymując się nad przerażającymi scenami Apokalipsy. Ich widok wzmógł poczucie winy chłopca.

– Jednakże... – wyznał na koniec – przeczytałem treść pergaminu.

Manessier uderzył pastorałem o posadzkę.

– Założę się, że wbrew zakazowi Rocheblanche'a.

– Proszę o wybaczenie, ojcze. Byłem ciekaw.

– I pojęliście sens?

Młodzieniec, nadal wpatrzony w malowidła, wykonał nieokreślony gest.

– Z trudem, z powodu mojej słabej łaciny, której uczyłem się jedynie w ostatnich miesiącach w skrytorium Pomposy – odparł, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że ukrywa część prawdy. Może się oszukiwał, ale gdy tylko wszedł do klasztoru, jał zgłębiać kwestię *Lapis exilii*. Była to instynktowna, niemal bezwiedna reakcja, którą powoli zaczął sobie uzmysławiać. Wywołała ją postać namalowana na wschodniej ścianie.

Opat najwyraźniej się odprężył.

– Wobec tego zwalniam was ze zobowiązania. Macie moje błogosławieństwo, wracajcie tam, skąd przybyliście, i...

– Jedną chwilkę, jeśli wolno. – W coraz większym ferworze Gualtiero zatrzymał wzrok na obrazie, który nie dawał mu spokoju. Był to anioł z olbrzymimi pierzastymi skrzydłami, dźwigający idealnie okrągły kamień młyński. Pod nim zaś

nieznany malarz z Mont-Fleur przedstawił wzburzone fale morskie.

– Ta scena... – szepnął. – Już ją gdzieś widziałem... To znaczy nie, *czytałem ją!*

– Jesteście pewni? – dopytywał się Manessier.

– Tak – odparł młodzieniec.

Zakonnik, powątpiewając w jego słowa, źle jednak skrywał ogarniającą go tajemną rozkosz, niemal pełen nadziei poryw.

– Dotyczy fragmentu Apokalipsy, w którym anioł rzuca kamień młyński w morze, aby obwieścić koniec Babilonu¹⁸.

– Nie to mam na myśli – upierał się Gualtiero. – Raczej niedawną lekturę. Coś, co miałem w rękach... To pierwszy wers zagadki *Lapis exilii*. Kamień... Kamień anioła...

Zakonnik wyrecytował z nieoczekiwanym uśmiechem:

– *Missam ut molam ab angelo in mare / est Lapis exilii situs in Monte floris.*

Anioł na fresku, dźwigający z impetem kamień, zdawał się wpatrywać w Gualtiera z drwiącą miną, przez co otaczająca go tajemnica stawała się jeszcze trudniejsza do uchwycenia. „To właśnie ja jestem” – zdawał się kpić. „Jaką radość może ci to sprawić?” Wzrok młodzieńca jął wędrować przez labirynt obrazów, szukając odpowiedzi wśród nieskończenie wielu fresków nawy. W końcu jego obeznane ze sztuką malarstwa oko zatrzymało się na pewnym osobliwym szczególe. Namalowano go na ścianie naprzeciwko anioła, pośrodku sceny o zupełnie innej treści, gdyby nie obecność przedmiotu przywodzącego na myśl właśnie kamień młyński.

Z początku Gualtiera zdumiało, że tak zbliżone kształty pojawiają się w zupełnie odmiennych kontekstach, ale nagle doznał wstrząsu. I odgadł prawdę.

– To on, mam rację? – Wskazał na fresk. – To *Lapis exilii!*

Opat Manessier, który zdawał się śledzić jego rozumowanie, odpowiedział z porażającą naturalnością:

– Tylko jego wizerunek. – I z zadowoleniem położył mu dłoń na ramieniu. – Ale już choćby z tego prostego powodu, żeście potrafili go rozpoznać, zasługujecie na to, by zobaczyć ten prawdziwy.

Młodzieniec cofnął się o krok, cały drżąc.

– Wielebny ojciec – wyjąkał. – Wątpię, żebym był godzien.

– Nie ociągaj się, synu – uspokoił go zakonnik. – Odkąd wybrano mnie opatem, wy pierwsi, tylko dzięki bystrości umysłu, rozpoznaliście to, co powinno być oczywiste dla wszystkich. Poza wami nikt nie jest godzien.

Gualtiero nadal wpatrywał się w przedmiot o niezwykłym kształcie, który otworzył mu umysł na objawienie. Pomyślał o malarzu, któremu zlecono uwiecznienie go, o jego kunszcie, kierowanym przez wiedzę wtajemniczonego.

– Dobrze, ojciec, pójdę za wami – rzekł. – Przedtem jednak proszę, byście

zaspokoił moją ciekawość i opowiedzieli mi o mistrzu rzemiosła, który stworzył te freski.

– Uczynię to – odparł Manessier. – Potem zaprowadzę was do krypty Mont-Fleur. A wtedy błogosławione niech będą wasze oczy! Albowiem przejrzą.

Dwa dni później Gualtiero opuścił Mont-Fleur z sercem przepelnionym nowymi treściami. Nie potrafił przegnać z umysłu obrazu tego, czemu przyglądał się godzinami w klasztornej krypcie, i teraz już sama myśl o tym sprawiała, że się wzruszał. Gdybyż tylko inni się dowiedzieli... Gdybyż cały świat się dowiedział! Manessier wszakże kategorycznie związał go przysięgą milczenia. Nikt nigdy nie może się dowiedzieć o podobnym skarbie, o ile nie będzie w stanie odgadnąć jego istnienia dzięki bystrości własnego umysłu. Zupełnie tak samo jak w jego przypadku.

W głowie kłębiły mu się jednak i inne myśli. Pragnął powrócić do miejsc, z których wyruszył. Ponownie zobaczyć Pomposę, rozmówić się z ojcem Andream i wyznać miłość Isabeau... I stworzyć coś wielkiego, co pokazałoby, odkryłoby światło, coś, co pozwoliłoby przedostać się temu światłu, które przeniknęło go w Mont-Fleur.

Przeciął na podarowanym mu przez opata gniadoszu cienistą makię okalającą klasztor i pognął na południe, szukając przystępniejszej drogi, która pozwoliłaby mu dotrzeć do alpejskich przełęczy.

Wszelako przed mostem, który umożliwiłby mu przeprawę przez rzekę, ujrzał zagradzającego drogę mężczyznę na koniu. Drgnął, rozpoznawszy go bez trudu.

Był to awinioński szpieg.

– Oto syn Elisy d’Este – szydził huncwot, dobywając miecza. – Teraz wyśpiwacie mi, co was tu przywiodło, albo, jak Bóg na niebie, położę kres waszemu życiu!

Młodzieniec ściągnął cugle z narastającą wściekłością. „Nie mam wyboru” – pomyślał. „Nigdzie schronienia ni drogi ucieczki. Żadnej nadziei na obłaskawienie tego łajdaka”.

Pozostało mu tylko jedno: bić się.

FERRARA, PLAC PRZY KATEDRZE

15 SIERPNI

W porównaniu z poprzednimi wyścigami konnymi plac, na którym miały się odbyć tegoroczne, nie był zatłoczony. Jeśli jednak wziąć pod uwagę straszliwą plagę, która przed kilkoma miesiącami spadła na miasto, serce radowało się na widok i tego skromnego tłumu, nadciągającego, by obejrzyć uroczystości dla uczczenia Wniebowzięcia Matki Boskiej. Przybyła co najmniej setka wychudłych synów ludu, którzy nie byli jeszcze skłonni do radości. Maynard weselił się przede wszystkim tym, że dostrzegł wkoło sporo dzieci, gdyż wraz ze starcami to one najbardziej ucierpiały z powodu morowego powietrza.

Stwierdzenie to stanowiło krótkotrwałą pociechę, natychmiast bowiem jego uwagę przykuł teren zmagania – plac długości około trzydziestu prętów¹⁹ i szerokości niecałych dwudziestu. Wokół niego gromadzili się ludzie, którzy myśleli, że będą oglądać zwykły turniej, urządzony z okazji święta. O wiele bardziej zorientowana była szlachta, siedząca na ozdobionym girlandami podeście, w cieniu ogromnego baldachimu, wzniesionego przed portalem Świętego Romana. Wiele z tych osób właśnie przybyło do Ferrary. Powiadano, że sędzia Sądu Dwunastu Mędrców dokonał cudów, by odbudować zdziesiątkowaną przez zarazę arystokrację, sprzedając pozbawione właścicieli pałace i ziemie obcym familiom z wysokich rodów. Złe języki twierdziły, że skorzystał ze sposobności, by je sobie przywłaszczyć, Rocheblanche'owi wystarczył jednak instynkt, by od razu rozpoznać rozszarpującego padlinę kruka.

Oto stał przed nim tłusty Filippo Migliorati, czuwający nad ostatnimi przygotowaniem. Ze względu na wagę starcia zastąpił zarządcę gminy w roli organizatora uroczystości i właśnie w tej chwili sprawdzał ekwipunek człowieka, który miał walczyć zamiast markiza. Był to dowódca najemników, zwał się Werner von Ürslingen i płynęła w nim szwabska krew. Swego czasu opłacany przez miasto Pię, wojak ów od trzech lat ze zgrają kompanów siał postrach na ziemiach Toskanii. Bardzo był więc rad, że może napełnić trzos, odpowiadając na wezwanie markiza Obizza d'Este.

„W rzeczy samej, markiz umiał dokonać wyboru” – pomyślał Rocheblanche. Ürslingen był słusznej budowy i sądząc po tym, jak poruszał się w płytowej zbroi, nieobca była mu profesja rzeźnika.

Maynard natomiast miał kolczugę zakupioną u ferraryjskiego kowala.

Chociaż splot oczek był raczej szeroki i niedokładny, zapewniono go, iż żelazo pochodzi z kuźni w Mediolanie. Jego ryszunek składał się z długiego miecza i estoka – pierwszy wisiał u siodła, drugi u jego pasa. Zdobył – wedle zasad – także tarczę i kopię. Zwłaszcza ta ostatnia stanowiła przykład dobrego rzemiosła: wyposażona w okrągłą tarczkę ochronną na wysokości rękojęści, wykonana była z drewna, jedynie grot miała metalowy.

Doprawdy niewiele zostało czasu do rozpoczęcia walki dźwiękiem rogu. Rycerz dosiadł swego nieustraszonego karego i podjechał truchtem do połowy placu, przykuwając uwagę widzów. On jednak wpatrywał się wyłącznie w siedzących na podeście. Pośród najważniejszych osobistości dostrzegł uśmiechającego się okrutnie markiza Obizza, którego pozdrowił po rycersku, po czym zatrzymał wzrok na młodym Aldobrandinie, zajmującym miejsce obok dostojnego ojca. Sprawiał wrażenie wzburzonego, być może rozdartego między miłością a rozczarowaniem. Maynard zoczył również biskupa Guida, o obliczu bez wyrazu, jak u sfinksa, i nieco dalej, w cieniu baldachimu, wielebnego Andreę, jawnie zniecierpliwionego wśród tylu ludzi wystrojonych niczym pawie. Francuz podniósł do góry kopię, aby jedwabny proporzec ozdobiony herbem Rocheblanche'ów – białą wieżą na błękitnym polu – załopotał na wietrze, zupełnie jakby chciał go rozweselić.

Potem musiał się zająć wyłącznie walką.

Na uzgodniony znak ustawił się w głębi placu i czekał w siodle sto kroków od przeciwnika. Z tej odległości przez chwilę, zanim twarz Ürslingena zniknęła pod przyłbicą, widział jego szyderczy grymas. Poczł wzrastające napięcie, które przenikało już każde włókno jego ciała; niepokój dawał się zauważyć nawet u konia. Maynard delikatnie szarpnął wodze, aby nie stracić panowania nad sobą i wierzchowcem, następnie upewnił się, czy każda sztuka broni i każdy element obrony jest na swoim miejscu.

Tymczasem Filippo Migliorati wyszedł na środek placu i uniósł ręce, aby przyciągnąć uwagę zebranych.

– Ludu Ferrary! – zaczął gromkim głosem. – Zgromadziliśmy się tu dzisiaj w święto Wniebowstąpienia Matki Boskiej nie po to, by oglądać zwyczajny turniej, lecz starcie, które rozstrzygnie o niewinności bądź winie messer Maynarda de Rocheblanche'a, oskarżonego o zabicie z okrucieństwem i bez usprawiedliwienia widama biskupa, messer Superanzia Orsiniego, wraz z wieloma zbrojnymi. Nie zgodziwszy się z wyrokiem wydanym przez Jego Wysokość markiza i Radę Dwunastu Mędrców, tutaj obecny rycerz domaga się prawa do udowodnienia swej dobrej wiary poprzez sąd boży, to znaczy stanięcie w szranki z najlepszym wojownikiem naszego ukochanego władcy. Niech się zatem dzieje wola Pana, aby sprawiedliwy pokonał kłamcę!

Po czym sędzia się oddalił. Ledwie oczyścił pole, na dźwięk rogu tłum

wydał okrzyk radości.

Maynard przeżegnał się, chwycił tarczę i kopię, następnie spiął karego i popędził prosto na rywala. Przeciął połowę drogi niczym błyskawica, nacierając na potężnego Wenera von Ürslingena.

Szwab galopował z głową w ramionach i wystawioną do przodu kopią. Rocheblanche patrzył, jak zbliża się, szybki i skupiony – zdawać by się mogło, że człowiek i koń stanowią jedno. Trzymał opuszczoną tarczę aż do ostatniej chwili, celując grotem kopii w hełm wroga. Nie słyszał odgłosów ani nie czuł wysiłku, jedynie narastającą gwałtowność, uśpioną zbyt długo. „Dzięki Ci, Panie!” – pomyślał. Po miesiącach forteli i ukrywania się nareszcie rozpoznawał cel, dla którego się urodził, na przekór wszystkim tym nędznym homunkulusom, którzy nie wiedzą, co to honor i duma. W okamgnieniu z jego ramion zniknęła wszelka niemoc i powrócił nieustraszony *chevalier*, który walczył pod Crécy, przysypany gradem zabójczych strzał. W tej chwili nikt i nic nie było mu w stanie przeszkodzić w odzyskaniu dobrego imienia.

Niespodziewane krzyki tłumu przegnały żalobę, którą nosiła Ferrara przez nieskończenie długie miesiące, doprowadzając do wrzenia krew miasta spragnionego się odrodzić. Wśród oszałamiających wrzasków obaj przeciwnicy znaleźli się o pręt od siebie, w wirze barw gotowych wybuchnąć w proroczej, decydującej chwili.

O włos od uderzenia Maynard spostrzegł, że kopia przeciwnika zbliża się do jego piersi. Podniósł tarczę i mocno wyciągnął prawą dłoń, nieprzerwanie celując bronią w głowę Ürslingena. Trudny cios, niemal niemożliwy do wykonania. Szwab, który najwyraźniej do samego końca nie doceniał zagrożenia, był zmuszony odparować na ślepo.

Uderzenie rozdarło powietrze z tak potężnym łoskotem, że widzowie zamarli. Kopie rozbiły się o tarcze, zrzucając obu rywali z siodeł.

Rocheblanche uderzył o bruk z głuchym okrzykiem i prekoziołkował, oddalając się od konia. Wstał, jak mógł najszybciej, i uzmysłowił sobie, że roztrzaskał kopię na kawałki. Olbrzymia postać nacierała już na niego z uniesionym mieczem. Upadając, zgubił hełm, jego okolona jasnymi włosami twarz była zalana krwią.

Francuz uniósł tarczę, ogłuszony wrzaskiem Szwabów i świstem spadającego nań miecza. Siła ciosu odepchnęła go, lecz nie powaliła z nóg, umożliwiając chwycenie rywala za naramiennik. Maynard potężnym szarpnięciem rzucił go na kolana.

Tłum śledził wydarzenia, wyjąc z uciechy, on jednak tego nie słyszał. Korzystając z przewagi, szybko podbiegł do karego, pozbył się tarczy i dobył długiego miecza. Ledwie zdążył to zrobić przed kolejnym atakiem, który odparł.

Szaleńcza wymiana ciosów pozwoliła Rocheblanche'owi zwiększyć

odległość. Uderzenie kopią o tarczę wroga rozerwało mu prawe ramię. Martwił się wszakże bardziej plecami: spadając z konia, nieźle się potłukł i zaczął odczuwać ból.

Werner von Ürslingen z wojennym rykiem zagroził mu niespodziewanym cięciem. Odparowując cios, Maynard poczuł vibracje aż do łokci, mimo to zdołał mocno zbliżyć się do rywala i wymierzyć mu kuksańca w podbródek.

Ürslingen zachwiał się, ale nie upadł. Potężna postura i zbroja zapewniały mu stabilność monolitu. Wszelako poruszał się nader powoli, co Francuz umiał wykorzystać, siekąc go z zaskoczenia na ukos w piętę. Ostrze nie przebiło metalowego nagolennika, jego siła wystarczyła wszakże, by obalić kolosa na ziemię.

Wybuch radości ludu kontrastował z niedowierzaniem i złością, jakie malowały się na twarzy Obizza. Rocheblanche posłał mu drapieżne spojrzenie. Jeszcze chwila, a Werner wstanie. Tylko że jemu potrzeba było o wiele mniej czasu.

Przez okamgnienie dojrzał oblicze siedzącego ojca Andrei. Opat był cały czerwony, miał wybałuszone oczy: nie potrafił zapanować nad podnieceniem. Maynard błyskawicznie skinął do niego porozumiewawczo. Następnie płynnym i wytwornym ruchem chwycił miecz za głownię i kręcąc młynka, zadał Szwabowi tęgi cios głowicą w skroń.

Ürslingen zwałił się na oczach pełnej niedowierzania gawiedzi niczym raniony byk.

– Mili panowie! – zaczął władcym głosem Francuz. Ściągnął czepiec kolczy osłaniający mu głowę i cisnął go na ziemię, wpatrując się w zajmującą podest szlachtę. – Czy ktoś jeszcze chce podać w wątpliwość moją dobrą wiarę?

Markiz Obizzo, któremu nie w smak była grobowa cisza, już miał się podnieść.

– Nie, Wasza Wysokość! – zaoponował biskup Guido, przysuwając się w pośpiechu. Nie potrafił ukryć zdumienia przejawem zuchwałości, jakiej był właśnie świadkiem.

Wyniosły markiz zignorował prałata i wstał. Postąpił kilka kroków naprzód, położył dłonie na balustradzie podestu i omiół spojrzeniem najpierw lud, a następnie rycerza.

– Pokazaliście, na co was stać, Rocheblanche.

Maynard, który nie spodziewał się niczego więcej poza zniewagą, musiał się mimo woli uśmiechnąć.

– Zrobiłem to tylko dla waszych oczu, panie – odciął się. – I dla mojego honoru, rzecz jasna.

Markiz przerwał tę komedię pogardliwym gestem.

– Niech wam się nie zdaje – dodał natychmiast gniewnym tonem – że

z równą łatwością zdolacie wkraść się z powrotem w moje łaski.

Rocheblanche nie dopuścił, by słowa markiza przyćmiły jego własną dumę. Przyjrzawszy się obojętnie szwabskiemu najemnikowi, który dogorywał na bruku, ponownie wbił wzrok w Obizza.

– Poddam się każdej próbie, jaką uznacie za słuszną, byleby pewnego dnia odzyskać waszą przyjaźń – oznajmił gromkim głosem. – Ale wierzcie mi na słowo, szlachetny Obizzo, więcej korzyści przyniesie to wam niż mnie! Albowiem nim wstanie dzień, zrozumiecie, że rozpaczliwie potrzebujecie mojej pomocy.

Nie dodawszy nic więcej, skłonił się na pożegnanie, dosiadł wierzchowca i swobodnie ruszył przed siebie, gdy tymczasem plecy jął mu przeszywać potworny ból. Zupełnie jakby jego ciało rozszarpały kły dzikiej bestii.

NA POŁUDNIE OD PARYŻA

13 WRZEŚNIA

Starania Roberta o znalezienie Aleydis i Angélique na ulicach Reims okazały się bezowocne. Przygnębiona kolejnym niepowodzeniem Eudeline musiała odsunąć na bok troski i poczynić przygotowania do opuszczenia miasta z pikardyjskim baronem. I podczas gdy cała Francja dogorywała, wstrząśnięta plagą, która spadła już na sam Paryż, kochankowie załadowali na zaprzężony w woły wóz wszystko, co można było przewieźć, i wyruszyli na południe w poszukiwaniu bezpiecznego szlaku umożliwiającego przekroczenie Alp.

Eudeline starannie ukryła na dnie wozu, wśród worków z jadłem, kufry z pieniędzmi Rocheblanche'ów i klasztoru Świętej Balsamii. Po stracie tak wielu bliskich osób ograbiona ze wszystkiego z wyjątkiem tytułu szlachcianka nie zamierzała zostawić swych bogactw na pastwę pijawek, które – była pewna – niebawem splądrują klasztor. Poza tym w skrytości ducha pragnęła wykorzystać owe floreny na rozpoczęcie nowego życia z Robertem, choćby i w pobliżu Ferrary, przy grobie ukochanego brata.

Podróżowali już od miesiąca, bardzo rzadko pozwalając sobie na postoje. Robert kilkakrotnie był zmuszony do użycia broni przeciw drobnym rabusiom, im bardziej wszakże posuwali się na południe, tym mniej ludzi napotykali. Zupełnie jakby zaraza zmiotła wszelkie życie na swej drodze. Vermandois doskonale jednak wiedział, że wcale tak nie jest, i trochę się tym martwił. Doszły do niego słuchy, że na zachodzie, w Langwedocji, szerzą się groźne rebelie i że rozwścieczone zgraje biorą na cel szlachtę i bogatych panów. Ukrywał to skrzętnie przed Eudeline, nie chcąc przysparzać jej trosk, i każdego dnia prosił Boga, aby zachował go w zdrowiu i pozwolił mu jej bronić.

Wszelako wraz z początkiem jesieni Wszechmogący przestał go słuchać.

Znajdowali się w pobliżu Vézelay, gdy usadowiony obok powożącej wołami Eudeline rycerz osunął się z koźła i o mało nie spadł z wozu.

– Robercie! – krzyknęła.

Vermandois lekko drgnął, podciągnął się na koźle i wyprostował. Uczynił to jednak z najwyższym trudem, zmuszając niewiastę do szarpnięcia wodzy.

– Dobrze się czujecie? – Ledwie przystanęli, Eudeline pochyliła się ku niemu i omiotła go uważnym spojrzeniem. Był blady i zlany potem. – Robercie, odpowiedzcie mi! Dobrze się czujecie?

Pikardyjczyk skrzywił się nieznacznie i przymknął powieki. Oczy przesłaniała mu niezdrowa mgła.

– Boże, nie! – Złe przeczucie przeszło pierś Eudeline niczym lodowe ostrze. Niewiasta musiała odeprzeć niemal cielesny ból i zebrać całą odwagę, jaka jej jeszcze została. Lecz zarazem nie traciła nadziei. „Tylko nie on!” – powtarzała w duchu. „Nie on”.

– Macie go? – zawołała znienacka, potrząsając jego ramię. – Powiedzcie mi, gdzie on jest!

Baron posłał jej zboląły uśmiech. Po czym z irytującą powolnością wsunął palec pod tunikę i opuścił jej skraj, odsłaniając fioletowawy pęcherz u nasady szyi.

– Powiedzcie, że mnie miłujecie, pani. Przynajmniej raz...

Eudeline otarła gałganem twarz i odwróciła wzrok, wpatrując się w przyćmione światło przedostające się przez okno. Znaleźli schronienie w opuszczonej chacie w pobliżu traktu. Przez chwilę łudziła się, że nigdy nie opuściła klasztoru i że nadal jest tą niewiastą, którą była kiedyś. Wszelako nie przypominała już tamtego dziewczęcia pohańbionego przez ojca ani wyniosłej przeorowskiej od Świętej Balsamii.

– Miłuję was, Robercie.

Przymknął powieki, napawając się jej słowami.

Ona uczyniła to samo.

Szloch przywołał ją do rzeczywistości i uzmysłowiła sobie, że Robert znów się jej przygląda. Jego zielone oczy wpatrywały się w nią po raz ostatni.

– Teraz idźcie... Zostawcie mnie tu...

Eudeline pokręciła głową.

– Zostanę z wami.

– Nie wolno wam... – sprzeciwił się. – Tutaj jest tylko śmierć.

– Mylicie się. – Niewiasta otarła łzy i zmierzyła go dumnym wzrokiem. Lwica, jak określił ją niegdyś Vermandois, niemal się uśmiechnęła. – Tu jest o wiele więcej, mój ukochany. Tu jest jedyny powód, dla którego świat musi nadal istnieć...

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W&NBSP;POMPOSIE

20 LISTOPADA

Ojciec Andrea przestał rozmyślać o świętości i ścieżkach duchowych jako środkach do uwznioślenia wyłącznie siebie. Wykonywał teraz jedynie swoje obowiązki niczym dobry rzemieślnik. Odrodzenie Pomposy stało się istotą jego żywota, toteż pilnie nad nim pracował w dzień i w nocy, nie przywiązując wagi do mrzonek o próżności czy zadowoleniu. Poświęcał Bogu codzienny trud, nie oczekując niczego poza posłuszeństwem ze strony zamieszkujących klasztor. Pozostało mu dziesięciu zakonników, on zaś robił wszystko, by delektowali się każdą chwilą życia oddanego wiedzy i modlitwie.

Mistrz Vitale da Bologna zgodził się pracować za sumę, którą klasztor otrzymał od Rocheblanche'a. Opat czekał właśnie na wieści od niego, tymczasem wprowadził zmiany w klasztornych zwyczajach, dostosowując je do ścisłej reguły Świętego Benedykta. Nie było to łatwe, lecz w końcu milczenie, wstrzeźliwość i modlitwa znów jęły wyznaczać rytm dnia, rozwiewając cień śmierci i rozpacz.

Wszelako nie wolno było zapomnieć o tym, co się stało. Andrea długo rozmyślał nad morową zarazą i podążając za podszeptami messor Maynarda, zastanawiał się, czy ludzkość umknęła przed apokalipsą. To, że mógł się budzić nadal każdego ranka po tak straszliwej hekatombie, uzmysłowiło mu, że jest kimś więcej niż ocalonym. Był świadkiem. Dlatego miał obowiązek strzec prawdy o odnowionym przymierzu między Bogiem a człowiekiem.

Oderwał wzrok od pulpitu i wyrżał przez okno, zwabiony skrzypieniem dobiegającym z ulicy. Był to wóz zaprzężony w woły.

Od razu przemknęło mu przez głowę, że to mistrz Vitale da Bologna. Potem jednak dostrzegł siedzącą na koźle niewiastę. Powiedziałyby, że zakonnica, gdyby nie jej długie włosy rozwiane na wietrze.

Zaciekawiony rzucił się ku schodom.

Od jakiegoś czasu Maynard oddawał się głównie lekturze. Po oszałamiającym zwycięstwie w święto Wniebowzięcia nadal mieszkał w opactwie, czekając, aż markiz Obizzo raczy udzielić mu posłuchania. Rycerz napisał do niego wiele listów, zapewniając, że jest gotów zadośćuczynić mu za swoje haniebne zachowanie wobec wielmożnej Lippy Ariosti i za wszelkie zniewagi, z powodu których markiz żywił urazę. Z ferraryjskiego dworu nie nadchodziła wszakże żadna odpowiedź.

Rocheblanche wyczuwał i doskonale rozumiał zawziętość Obizza, lecz nie mógł sobie pozwolić na utratę takiego sojusznika w chwili, gdy nad ziemiemi nad Padem pojawił się cień Bertranda du Pougeta. Ojciec Andrea oględnie zasięgnął języka i przekazał mu, że kardynał przetrwał zarazę. Nie minie zatem wiele czasu i wznowi poszukiwania *Lapis exilii*.

Maynardowi pozostało jedynie zachować spokój i zabijać czas czytaniem książek. Na szczęście w zbiorach biblioteki w Pomposie znajdowały się nie tylko teksty teologiczne, ale także dzieła klasyków rzymskich, a wśród nich kopia *Eneidy* Wergilusza. Tego właśnie dnia, leżąc pod drzewem na dziedzińcu, dumął nad następującym urywkiem:

*Facilis descensus Averno;
Noctes atque dies patet atri ianua Ditis;
Sed revocare gradum superasque evadere ad auras,
Hoc opus, bic labor est*²⁰.

Od lektury oderwał go głos ojca Andrei, toteż Maynard, nadal błądząc myślami wokół wersów Wergilusza, podniósł wzrok i zorientował się, że mnich nie jest sam. Obok niego szła bladolica niewiasta o szlachetnym wyglądzie.

Dłonie upuściły księgę na trawę, wargi wyszeptały imię, po czym rycerz stanął przed nią, sam nie wiedząc kiedy. Osłupiały i urzeczony.

– Eudeline...

Niewiasta pogładziła go po twarzy. Na jej obliczu znać było pokonane przeciwności losu i niepowodzenia.

– Myślałam, że... nie żyjesz.

Pozwolił, by jej smukłe palce błędziły po jego policzku, po włosach, aż wzruszenie okazało się zbyt silne. Przytulił ją mocno, niemal się w nią wczepiając, i przycisnął jej głowę do piersi. Gdy poczuł, że szłocha, ogarnęła go potrzeba, by do niej mówić, by zapytać, dlaczego tu przyjechała, i by podziękować Bogu za ogromne szczęście, jakim go obdarzył. Z jego ust wydobył się wszakże jedynie długi, nabrzmiały rozrzewnieniem śmiech.

EPILOG

Novissima tempora

FERRARA, KLASZTOR ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

25 LISTOPADA

Isabeau była jedną z pierwszych osób w klasztorze, które poznały francuską zakonnice, dostrzegła wszakże wtedy jedynie jej chłód. Owa piękna i wyniosła niewiasta oznajmiła, że przybywa z Reims i jest szlachcianką. Przeorysza od Świętego Antoniego zaofiarowała jej tymczasowe schronienie, przyjmując jak mile widzianego gościa. Dziewczynie nie udało się dowiedzieć niczego więcej o siostrze Eudeline, dopóki tamta sama jej nie zagadnęła.

Wydarzyło się to na skraju dziedzińca w czasie popołudniowej przerwy. Isabeau siedziała właśnie pod ogromną wiśnią, wpatrzona w dwa drozdy przycupnięte na gałęzi. Zorientowała się w pewnej chwili, że wzbudziła ciekawość nieznajomej, która spod arkady przyglądała się jej z założonymi rękami.

Zakonnica skinęła jej na powitanie i podeszła bliżej.

– Maynard mi o was opowiadał – rzekła cicho w słodkim języku *oil*.

Dziewczyna osłupiała.

– Maynard? – wyjąkała.

Sprawdziwszy, czy nikt ich nie słyszy, nieznajoma przytaknęła.

– Bądźcie spokojni – powiedziała, patrząc porozumiewawczo. – Nie zdradzę waszej tajemnicy. Dla mnie pozostaniecie jego młodszą siostrą, a zatem i moją.

Isabeau nadal nie mogła uwierzyć. Mimo postawy i czarnego habitu benedyktyńskiej mniszki dziewczyna z trudem dawała wiarę, że stoi przed zakonnice.

– W takim razie wy jesteście... – Zawiesiła głos, nagle dostrzegając podobieństwo między ową nader zagadkową niewiastą a swym wybawcą. Łuki brwiowe, kształt nosa, sposób marszczenia ust... – Och, to niemożliwe! – wykrzyknęła.

– Ależ możliwe – zapewniła mniszka. Usiadła obok niej i oparła plecy o pień drzewa, nie tracąc nic ze swej powściągliwej wytworności. – Wyjawił mi, żeście sporo wycierpieli, zanim tu trafiliście.

Chociaż dziewczyna była z natury nieufna, czuła, że może zawierzyć tej nieznajomej. Zapewne z powodu smutku, który malował się na jej twarzy. Albo dlatego, że od miesięcy nie otwierała się przed żadną przyjazną duszą.

– Teraz mam się dobrze – odparła. – Nie licząc nudy, rzecz jasna.

– Przed chwilą wpatrywaliście się w te drozdy, jakbyście chcieli poderwać

się do lotu wraz z nimi – zażartowała bez uśmiechu Eudeline.

Isabeau wzruszyła ramionami.

– Wiele razy myślałam o ucieczce – wyznała. – Gdyby nie...

Pozwalając sobie nieoczekiwanie na swobodne zachowanie, zakonnica położyła jej palec na ustach.

– Świat tam, na zewnątrz, jest okrutny. – Nagle skrywane w duchu wzburzenie siostry dało o sobie znać z zaskakującą mocą, zważywszy jej władczy ton, charakterystyczny dla kogoś, kto wydawał rozkazy albo miał do tego naturalną skłonność. – Nie spieszcie się do życiowych burz – przestrzegła. – Ja sama straciłam ostatnimi czasy wiele drogich mi osób, tak wiele, że czuję się... wyczerpana. I właśnie dlatego, uściskawszy mego ukochanego brata, postanowiłam schronić się w tym klasztorze. Powinniście być wdzięczni za bezpieczeństwo, jakie wam zapewnia, z dala od okropieństw tego świata.

Dziewczyna mimowolnie poczuła dla niej głęboką litość. Wszelako za jej zboląłą miną dostrzegła również z trudem powstrzymaną złość.

– Doprawdy jest aż tak straszna? – zapytała nagle. – Mam na myśli zarazę.

– Nawet nie potraficie sobie wyobrazić, jak bardzo, moja droga. – Eudeline zacisnęła wargi. – Lecz jeszcze gorsi są ludzie.

Isabeau była dostatecznie bystra, by potraktować jej słowa o wiele poważniej niż zwykły frazes. Udała zresztą tylko, że ciekawia ją potworności zarazy, by ocenić, czy warto zdradzać własne lęki komuś, kto podróżował na północ od Alp. Uznała, że warto.

– Pewien przyjaciel... nader bliski mi... – wspomniała – ubiegłej wiosny wyruszył do Francji. A ja... nie wiem, czy jest możliwe, by do mnie wrócił.

Zamiast odpowiedzieć, siostra Eudeline mocno chwyciła jej dłoń.

Dziewczynę ów zdecydowany gest zbił z tropu, jeszcze bardziej zdumiało ją jednak wrażenie, jakie wywołał. Spojrzała na siostrę Eudeline z zapartym tchem, licząc, że usłyszy słowa, z których będzie mogła czerpać otuchę albo przynajmniej słabą nadzieję.

Siostra Eudeline przemówiła jednak wyłącznie po to, by ją ostrzec.

– Musicie nauczyć się być silni, moja droga. W tym piekle często bowiem żąda się od nas gotowości do ofiar tak dużych, że nie jesteśmy w stanie temu podołać.

Po czym pożegnała się i oddaliła w stronę krużganka.

POD MURAMI FERRARY

20 GRUDNIA

Wędrowiec zdjął sakwę i przytroczył ją u siodła gniadosza, którego prowadził za uździenicę. Miał obolałe stopy, był przemarznięty do szpiku kości. Obszarpane odzienie skrywało wychudzone ciało, poobijane z powodu przeszkód, na jakie nieustannie natrafiał.

Płomień w nim wszakże nie zgasł. Prowadził go przez góry, lasy i niedostępne ścieżki i choć podróż wydobyła z niego esencję, jak z drewna gładzonego przez wiatr, zachował swą najcenniejszą myśl. Niezłomne pragnienie, które stało się najpierw potrzebą, a potem światłem.

Isabeau.

Spojrzał na spokojny o zmierzchu Pad, po czym jego wzrok podążył ku otoczonej wodami wysepce.

Ku wyspie Świętego Antoniego.

Z trudem przypominał sobie ich ostatnie spotkanie. Wydawało mu się, że wydarzyło się to przed wiekami, gdy był ledwie chłopcem i nie znał wartości tego, co zostawił za sobą. W owym czasie ból i szczęście miały inną wymowę i inną moc.

Teraz jednak nic już się nie liczyło. Nic poza nią.

Prosił Boga, żeby była cała i zdrowa, chociaż po tylu miesiącach spędzonych na granicy wyczerpania i szaleństwa wszelkie modlitwy straciły wartość.

Stąpił po moście i kołysząc się nad wodami, odniósł wrażenie, że zgubił się w jednym z niezliczonych snów, jakie miał po drodze. Gdy jego stopy dotknęły ziemi, wszystko znów nabrało realnych kształtów.

Musiał jeszcze tylko przekroczyć klasztorne mury.

Podniesiona brama pozwoliła mu dostrzec fasadę kościoła. W tej samej chwili kilka niewiast w zakonnych habitach, które zgromadziły się przed portalem na odgłos dzwonu, się obejrzało. Tylko jedna przystanęła i dłużej nań popatrzyła. Zrazu ze zdumieniem, później z wielkim rozradowaniem.

Nawet nie zauważył, że krzyczy jej imię, ani nie poczuł ciepła łez na swojej twarzy. Piersi rozsadzała mu niedająca się powstrzymać radość.

Isabeau, nie bacząc na wołanie sióstr, wybiegła mu na spotkanie. Zachwycająca i nieprzewidywalna. Nieskończenie piękniejsza, niż zapamiętał. Przekroczyła bramę w przyływie szczęśliwości i objęła go, obsypując

pocałunkami i pieszczotami.

Tkwili tak jedno naprzeciw drugiego pod szarym niebem, z którego zaczynały spadać płatki śniegu.

I nagle znów stał się Gualtierem.

Albowiem właśnie to imię wypowiedziały jej urzekające usta.

Stojący po drugiej stronie mostu mężczyzna o mauretańskich rysach, otulony płaszczem z surowej wełny, przyglądał się owej scenie z niekłamaną ciekawością. Uścisk dwojga zakochanych stanowił w jego czasach rzadkie widowisko, ale mężczyznę zafrapowało coś zupełnie innego. Aż pochylił się do przodu, gdyż zyskał pewność, że rozpoznał jedną z przechodzących właśnie zakonnice. Jego uwagę odwróciła jednak kilkumiesięczna dziewczynka, którą trzymał w ramionach, gdyż zaczęła płakać.

Pogładził kruszynkę po twarzyczce palcem barwy hebanu i by ją uspokoić, dał jej do zabawy wysadzany kamieniami krzyż, który nosił na szyi.

– Kto wie – szepnął. – Kto wie, co pomyśli o tym nasz pan.

OPACTWO MATKI BOSKIEJ W&NBSP;POMPOSIE

Klasztorny dziedziniec Pomposy przykrywał już śnieg, kiedy zjawił się na nim Gualtiero. Młodzieniec zatrzymał gniadosza i spojrzał na stary wóz, porzucony kilka kroków od zabudowań. Wóz wyglądał jak martwa od dziesięcioleci istota, nadgryziona zębem czasu. Za to wspomnienia, które opadły go na jego widok, były niemal namacalne. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi matkę wieszającą pranie. Zdusił wywołany wzruszeniem szloch, po czym pomyślał o niekończących się godzinach, które spędził tu w samotności i lęku.

Płócienne zadaszenie zdążyło się podrzeć, deski przegniły, a koła powykrzywiały się pod ich ciężarem. Młodzieniec zeskoczył z konia i podszedł bliżej, by zjrzeć do środka, ale niewiele zachowało się w całości: naczynka z wyschniętymi farbami, strzępy pergaminu i bawełniany papier wiszący na ścianach. Wszystko zaczęły porastać chwasty.

Na twarzy Gualtiera pojawił się gorzki uśmiech. Wrócił do konia, poszperał w kieszeni siodła i wyjął mały obrazek namalowany temperą. Patrzył na portret niewiasty, zatrzymując wzrok na zagadkowych oczach istoty, którą znał i miłował jako Sapię. Jakaś część młodzieńca nadal nie potrafiła jej wybaczyć.

Ustawił obraz na sztaludze, która zachowała się w kącie, i przywołał z pamięci ów beztroski dzień, kiedy go namalował. Na koniec, zupełnie jakby się żegnał, skłonił się lekko w stronę wozu i poszedł do opactwa.

Musiał rozmówić się z rycerzem Rocheblanche'em.

Maynard przebywał nieopodal opactwa, na skraju lasu oddzielającego go od bagna. Widząc jego ciemną tunikę i płaszcz w tym samym kolorze, można było wziąć go za mnicha; klócił się z tym wrażeniem jedynie skórzany pas, zza którego wystawała rękonośnica sztyletu. Przechadzał się ze spuszczoną głową, niespokojnym krokiem niczym dzikie zwierzę w klatce.

Usłyszawszy skrzypienie śniegu pod butami, obejrzał się gwałtownie i otworzył szeroko oczy, gdyż nie był pewny, czy nie stoi przed nim zjawa.

– Przyjacielu – szepnął cicho. – Nie przypuszczałem, że jeszcze was zobaczę.

Gualtiero się uśmiechnął.

– Ja również sądziłem, żeście martwi.

Rocheblanche zbliżył się do Gualtiera, położył mu dłonie na ramionach i przyjrzał mu się uważnie, odzyskując pewność siebie.

– To naprawdę wy! – wykrzyknął wreszcie. – Chudszy niż pustelnik, ale za to... w dobrym zdrowiu! – Był rad, niemal kipiał wesołością. Już miał go uściskać,

lecz nagle zapytał: – Powiedzcie no, wypełniliście misję, którą wam powierzyłem?

Młodzieniec spojrział w jego niespokojne oczy i przytaknął.

– Byłem w Mont-Fleur – powiedział. – Spotkałem opata Manessiera i przekazałem mu waszą wiadomość.

– Wiedziałem, że mogę wam zaufać – rzekł z zadowoleniem rycerz. – Za waszym pozwoleniem potrafię się odwdzięczyć...

Gualtiero przerwał mu, wymachując ręką. Nagle zaczął mówić poważnym, niemal stanowczym tonem.

– Jest coś jeszcze, messer. – Po krótkim wahaniu dodał: – Widziałem, co kryje się w krypcie klasztoru w Mont-Fleur.

Maynard cofnął się o krok z sercem w gardle.

– Za zgodą opata?

– Sam mnie tam zaprowadził. Po tym, jak rozwiązałem zagadkę.

– Zagadkę?

– O kamieniu anioła.

– Macie na myśli Apokalipsę.

Młodzieniec pokręcił głową.

– Mam na myśli zbawienie rodzaju ludzkiego.

Rocheblanche zeszywniał, nie pojmując, co Gualtiero mówi. Przez twarz przemknął mu uśmiezek powątpiewania.

– Chcecie mi powiedzieć, że rozwiązaliście zagadkę *Lapis exilii*... wy sami?

Gualtiero skrzywił się, czekając, aż Francuz wyzbędzie się nieufności.

– Owszem, z pomocą własnego rozumu – potwierdził wreszcie z niezachwianą pewnością. – I dzięki obrazom, które wskazały mu drogę.

Oniemiały Maynard jał krążyć po nieskazitelnie białym puchu, usiłując dojść do siebie po tym niewiarygodnym wyznaniu. Był przekonany o szczerości Gualtiera, wszelako nie potrafił się pogodzić z tym, że pierwszy lepszy człowiek zdołał rozwikłać tak wielką tajemnicę. Tajemnicę, której jemu, mimo tylu poświęceń, nie udało się zgłębić.

– W istocie ojciec Andrea niejednokrotnie wychwalał waszą przenikliwość – prawil z lekką zawiścią, spuszczać głowę. – Przypisuje wam nader rzadkie przymioty... Przymioty, które zresztą nie uszły i mojej uwagi. – Wtem opadły go wątpliwości i niespodziewanie spojrział groźnie na Gualtiera. – Będziecie trzymać język za zębami?

– Choćbym miał zginąć – odparł młodzieniec, po czym dodał enigmatycznie:

– Nawet gdyby trzeba było dzielić milczenie tylko z wami.

Rocheblanche pokręcił głową. Korciło go, rzecz jasna, by zapytać o rozwiązanie zagadki, duma nie pozwalała mu wszakże na to, zanim udowodni, że jest tego wart.

– Gdyby swego czasu wielebny Manessier zechciał mi je przekazać... –

próbował się usprawiedliwić.

Gualtiero się z nim nie zgodził.

– Przy pożegnaniu Manessier zezwolił mi wyjawić to, co widziałem, jednej osobie. Tylko jednej, pod warunkiem, że okaże się tego godna. – Zbliżył się do rycerza i uściśnął mu dłoń. – Po prawdzie nie znam nikogo godniejszego od was. Jesteście człowiekiem honoru, umiecie dochowywać tajemnicy o wiele lepiej ode mnie. Dlatego nalegam, *musicie* się dowiedzieć, albowiem pewnego dnia od tego może zależeć los Mont-Fleur. – Odczekawszy, aż Maynard pokona opór i skinie na znak przyzwolenia, wyjaśnił: – Najpierw wszakże musicie wiedzieć coś jeszcze.

– W waszym głosie pobrzmiewa groźba, przyjacielu.

– W istocie zapewne tak jest. – Młodzieniec zamilkł na chwilę i rozejrzał się dokoła. W jego zachowaniu nagle pojawiła się obawa przed niewidzialnym niebezpieczeństwem, toteż dodał ostrożnie: – W drodze powrotnej z Mont-Fleur nadziałem się na awiniońskiego szpiega. Człowieka Bertranda du Pougeta.

– Człowieka kardynała? – Rycerz po raz kolejny wyraził powątpiewanie. – Jesteście tego pewni?

– Przysięgam na Boga, messer. Herb na klamrze u jego pasa był identyczny z tym na pierścieniu, który mi powierzyliście wiele miesięcy temu. Widniał na nim symbol srebrnego lwa.

– Lwa *monsignore* du Pougeta... – Maynard wykrzywił usta. – Przyjmując, żeście się nie pomylili, niby dlaczego człowiek kardynała miałby was śledzić?

– To proste. – W głosie Gualtiera zabrzmiała nuta smutku. – Z powodu płynącej w moich żyłach krwi.

Z początku Rocheblanche nie pojął sensu jego słów, ale po chwili niespokojnego milczenia na jego obliczu odmalowało się zdumienie.

– Boże święty! – uderzył pięścią w dłoń. – Tajemnica waszej matki!

– Owszem – westchnął młodzieniec. – Moja matka miała związek z miastem papieży i... z wieloma innymi rzeczami. Wybaczcie, że nie będę się wdawał w szczegóły, ale pragnę wpierw sam to zrozumieć, oswoić się z tą myślą... Skądinąd uważam za niezwykle ważne, byście dowiedzieli się o moim starciu z tym człowiekiem. – Pogładził jelec baselarda, a po jego skórze przeszedł dreszcz. – Musiałem go zabić, żeby uniknąć więzienia.

– Widzę, że macie wyrzuty sumienia – stwierdził Maynard. – Nie powinniście ich odczuwać, jeśli walczyliście odważnie.

Gualtiero uśmiechnął się z goryczą. Owszem, walczył na skraju puszczy Mont-Fleur i w czasie tej krótkiej potyczki pokazał wysłannikowi kardynała, jak syn Passerina de' Bonacossiego i Elisy d'Este nauczył się zręcznie unicestwiać wroga.

– To nie są wyrzuty sumienia – wyznał – lecz obawa, że kolejni szpiegdy przybędą za mną aż tutaj.

W źrenicach rycerza pojawił się błysk.

– I dlatego chcecie mi wyłuszczyć kwestię *Lapis exilii*.

Młodzieniec przytaknął.

– Skoro tak się sprawy mają, nie mogę wam nie przyznać racji – oznajmił Maynard. – Nie wahajcie się zatem i opowiedzcie mi o zagadce z pergaminu.

Na dźwięk tych słów źrenice Gualtiera się rozszerzyły.

– Klucz kryje się w szóstym wersie – wyjął szeptem. – Przypominacie sobie jego treść?

– Jakbym nadal miał go przed oczyma. Odnalazłem go w pewnym manuskrypcie ojca Facia w podziemiach Pałacu Signorii. Brzmiał: *Xpi servata ab primis in quinque*. Wtedy wydał mi się pozbawiony sensu z wyjątkiem chrismonu, monogramu Chrystusa, jednakże natychmiast domyśliłem się jego znaczenia.

– Zgodnie z naukami ojca Manessiera sens opiera się na wyrażeniu *ab primis in quinque*. Tłumaczy się to jako „od pierwszych z pięciu” albo, jeszcze lepiej, „od pierwszych w pięciu”.

– W ten sposób tylko bardziej ją gmatwacie! – zauważył Rocheblanche.

– Zastanówcie się, messer – poprosił go młodzieniec. – Do czego może się odnosić zagadka, jeśli nie do samej siebie? Liczba pięć oznacza jej pięć pierwszych wersów, a słowo *primis* dotyczy liter, od których każdy z nich się zaczyna.

Rycerz skrzyżował ramiona na piersi, mrużąc oczy, tak że stały się jak szparki.

– W gruncie rzeczy – rzekł – nakazuje, by przeczytać w pionie początek pięciu pierwszych wersów, a szósty w całości.

– Tak. Zupełnie jakby zakreślić literę L.

– Cóż, tylko pierwszą literę każdego wersu... – Rocheblanche wysilił umysł i wyrecytował z pamięci tekst zagadki, którą przed dwoma laty w błocie i krwi pod Crécy powierzył mu Jan Ślepy.

*Missam ut molam ab angelo in mare
est Lapis exilii situs in Monte floris
nostra salute clausus in vetusta crypta
sub caelo historiis mire depicto
a meridie Sancti Savini in villa Cerisii.*

Następnie wypowiedział ostatni wers, skrywany przez ojca Facia di Malaspinę:

Xpi servata ab primis in quinque

Zastanawiając się ciągle nad objaśnieniem Gualtiera, ogarnięty narastającą niecierpliwością, za pomocą leżącej na ziemi gałązki skreślił na śniegu owoc swego rozumowania.

– Powinno wyglądać tak.

MENSA CHRISTI SERVATA AB PRIMIS IN QUINQUE

– Stół – przeczytał Gualtiero z rozanieloną miną człowieka, który bardziej *zobaczył*, niż zrozumiał. – Stół to słowo ukryte w pierwszych literach pięciu wersów. Uchwyciliście jego znaczenie?

Rocheblanche nie potrafił oderwać wzroku od napisanego na śniegu zdania.

– O, mój Boże... Po tylu poszukiwaniach, podróżach, rozmyśleniach... – szepnął niezdecydowany, czy powinien szaleć z radości, czy złościć się na samego siebie, że nie był w stanie sam rozwiązać tak prostej łamigłówki. Po czym zwrócił się do przyjaciela ze źle skrywanym wstydem: – Jak do tego doszliście?

– Dzięki obrazom – odparł Gualtiero. – Kiedy przekroczyłem próg Mont-Fleur, wśród malowideł ozdabiających nawę dostrzegłem fresk, który przedstawiał anioła z kamieniem młyńskim w dłoniach, i domyśliłem się, że mam przed sobą odzwierciedlenie zagadki *in figura*. Wszelako to, do czego się odnosi, zdołałem pojąć dopiero wtedy, gdy ujrzałem scenę biblijną unaocznioną naprzeciwko.

Rycerz podążał za tokiem jego rozumowania, zdjęty wstrząsającym przecuciem. „Czy to możliwe?” – dręczyło go pytanie. „Czy to możliwe, że *mysterium* Mont-Fleur wnika aż tak głęboko w dogmat zbawienia?” Mając w pamięci życie spędzone na szukaniu woli Pana w kościołach i na polach bitew, medytacje nad apokaliptycznymi snami o trzech jeźdźcach, nie był już pewien, czy umie rozpoznać boskie znaki rozsiane po świecie. A przecież to słowo – to jedno słowo! – zdawało niczym brama otwierać przed nim mistyczną mądrość.

– Stół – wyszeptał. – *Mensa Christi*...

– Tak, właśnie to ujrzałem na fresku. – Gualtiero otworzył ramiona, jakby chciał mu pokazać ten mistyczny plan. – Zobaczyłem ostatnią wieczerzę, przedstawioną według najbardziej klasycznych kanonów sztuki sakralnej poza jednym szczegółem: stół, przy którym zasiadał Jezus wraz z uczniami, nie był prostokątny ani w kształcie półksiężyca, ale okrągły.

Maynard przypominał sobie powoli, że zauważył ten detal, gdy był w Mont-Fleur, wtedy wszakże gnębiły go zbyt liczne troski, by zdołał uchwycić jego znaczenie. Z pokorą pomyślał również, że być może i tak by mu się to nie udało, nawet gdyby miał jasny umysł.

– Okrągły – rzekł urzeczony. – Jak kamień młyński.

– Albo jak kamień służący do zapieczętowania grobowca – podsunął młodzieniec z zagadkową miną.

– A przecież... – zaczął mówić rycerz i urwał, ściskając palcami skronie, żeby jaśniej rozumować. Słowa *Codex Millenarius*, pojawienie się trzech jeźdźców, symbole, na które natrafił po tak długich poszukiwaniach, nakładały się w jego umyśle niczym karty tarota. – Czyż nie taka była tajemnica powierzona

Józefowi z Arymatei... Nie taka... Według księgi Hebrajczyka Flegetanisa.

– Flegetanisa – powtórzył Gualtiero, rozpraszając jego wewnętrzną udękę. –
Macie na myśli *Codex Millenarius*?

Maynard wpatrywał się weń osłupiały.

– Opat Manessier powiedział wam także i o tym?

– Owszem, także i o tym.

– Jakże więc to możliwe? Według owej księgi *Lapis exilii* powinien oznaczać Ewangelię Chrystusa! Wy natomiast mówicie o stole z ostatniej wieczerzy... Jakimż to cudem dwie tak odmienne rzeczy mogą być ze sobą zbieżne?

Młodzieniec wzruszył ramionami, unikając jego wzroku.

– Podzielę się z wami tą ostatnią tajemnicą tylko w zamian za wasze błogosławieństwo.

– Błogosławieństwo kogo? – wybuchnął Francuz.

– Isabeau.

– Nie pojmuję.

Twarz Gualtiera złagodniała, chociaż nie spieszył się z wyjaśnieniem. Bez względu na to, co chciał powiedzieć, zdawał się rozdarty między pragnieniem, by to wyjawić, a lękiem przed uczynieniem tego. Jął się wpatrywać w opactwo, szukając właściwych słów, i nawet gdy już zdecydował się przerwać milczenie, nie oderwał od niego wzroku.

– Jesteście jej opiekunem, messer, jedyną osobą, do której Isabeau jest naprawdę przywiązana, zatem to was muszę prosić o jej rękę. – Wreszcie spojrzął na rycerza. – Miłuję ją i chcę, by opuściła klasztor... Chcę pojąć ją za żonę.

Przez chwilę Rocheblanche widział w jego zuchwałych oczach niewinnego marzyciela, którego poznał w ubiegłym roku, i przemknęło mu przez myśl, czy chce powierzyć Isabeau człowiekowi słabemu, niezdolnemu ją obronić. Zaraz jednak dostrzegł w twarzy Gualtiera oznaki odwagi, której wcześniej tam nie było, wraz z roztropnością, rozświetloną niezłomną determinacją. Popatrzył więc na młodzieńca tak, jak zwykł to robić, gdy miał do czynienia z równymi sobie ludźmi czy nawet godnymi szacunku wrogami, i odparł ze szczerym uśmiechem:

– Macie moje błogosławieństwo, przyjacielu. Udzielam go wam z radością.

Młodzieniec tylko skinął potakująco głową, w najmniejszym stopniu nie zdradzając uczuć. Oblicze wędrowca, który powrócił z Mont-Fleur, było niemal nieodgadnioną maską.

– Przejdźmy więc do *Lapis exilii* – rzekł poważnym tonem Gualtiero. – Jego natura dotyczy zarówno stołu, jak i Ewangelii. Uzmysłowiłem to sobie, ledwie zszedłem do krypty i zobaczyłem majestatyczny okrągły stół pośrodku.

Zafascynowany jego słowami Maynard się przeżegnał.

– Opiszcie go, proszę.

– Był z kamienia... kamienia, który przykrywał grób Chrystusa – oznajmił młodzieniec, urzeczony wspomnieniem owego mistycznego doświadczenia. Mówiąc, wpatrywał się w pustkę, zupełnie jakby jakaś jego część pozostała w podziemiach Mont-Fleur i nadal mogła radować się widokiem najcenniejszej relikwii świata. – W blasku pochodni – ciągnął – przyglądałem się jego chropowatej powierzchni i dostrzegłem setki, tysiące słów. Był to labirynt liter wyciosanych dłutem, świadków języka, który przestał już być znany człowiekowi. Opat zaś... Opat objaśnił mi ich znaczenie, abym pojął ich nieocenioną tajemnicę. – Uśmiechnął się do siebie, Rocheblanche zaś pomyślał, że oddałby wszystko, byleby dzielić z nim obraz, jaki ukazał się jego oczom, chociaż przez chwilę.

– Dłoń, która wyrzeźbiła owe słowa w kamieniu – powiedział na koniec Gualtiero – należała do Józefa z Arymatei. Ale słowo... Tchnienie głosu, które uwolniło je w powietrzu, należało do Mistrza, naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Wyjawiwszy rycerzowi wielką tajemnicę, Gualtiero pożegnał się i przekroczył próg opactwa. Chociaż był bardzo znużony długą podróżą, koniecznie pragnął jeszcze raz spojrzeć na freski. Gdy przytulił Isabeau, obudziły się w nim dawne pragnienia. Teraz zaś, z umysłem przepełnionym cudami z Mont-Fleur, czuł, że jest gotów je spełnić.

Przemierzył narteks i czekając, aż wzrok przywyknie do półmroku, rozejrzał się dokoła, aby oswoić się z jakże droгим mu pomieszczeniem. O mało nie padł na kolana.

Poblądłszy ze zdumienia, oparł się o jedną z kolumn, a gdy tylko było to możliwe, podszedł niepewnym krokiem do tej części apsydy, w której na rusztowaniu z desek stał mężczyzna i malował arkadę. Był ciemnowłosy i kościsty, miał długą, kędzierzawą brodę, toteż przez chwilę wydawało mu się, że to Sigismondo.

Gualtiero przetarł wilgotne oczy i przełknął łzy, usiłując wykrztusić choć słowo. Dużą część starego fresku pokrywała warstwa świeżego tynku, lecz na brzegach dało się jeszcze dojrzeć powierzchnię noszącą głębokie ślady po uderzeniach Sigismonda i jego.

Znajdujący się na rusztowaniu mężczyzna zauważył Gualtiera.

– Witaj, pielgrzymie! – zawołał, wskazując ruchem pędzla dzieło, nad którym właśnie pracował.

Ciągle nie wierząc własnym oczom, młodzieniec wpatrywał się w potężnego Chrystusa Pantokratora, dokładnie takiego, jakiego przed rokiem malował w wyobraźni: otoczonego gromadą świętych i błogosławionych. Wśród nich, po prawej stronie Zbawiciela, widniała przepiękna anielska Madonna, otulona błękitną szatą haftowaną w złote lilie.

– *Color est lux* – wyrecytował rzemieślnik, podsycając jego zachwyty. – Nic bardziej nie przybliży nas do Boga.

Młodzieniec nadal nie mógł uwierzyć, że to nie Sigismondo. Nawet głos rzemieślnika, pobrzmiwający gwarą z Romanii, przypominał gburowaty głos Sigismonda.

– Ale wy... Wy... – wyjąkał zaciekawiony.

– Nazywam się Vitale da Bologna, do usług – obwieścił mężczyzna, szeroko się uśmiechając. – A teraz bądźcie tak mili, messer, i podajcie mi to naczynie z farbą barwy ochry stojące u waszych stóp!

NOTA OD AUTORA (CZARNA STRONA OPOWIEŚCI)

Wprawdzie fabuła *Opactwa stu zbrodni* jest całkowitą fikcją, ale opiera się na dokumentacji historycznej dotyczącej zarówno „kultury materialnej”, jak i sposobu myślenia w tak bogatym i kontrowersyjnym stuleciu, jakim był wiek XIV. Głód i wojny wraz z postępem technologicznym i kulturalnym miały w istocie wpływ, chociaż w różnej mierze, na sposób myślenia każdego stanu w późnym średniowieczu. Właśnie w takim kontekście należy interpretować epidemię dżumy z 1348 roku. Jej błyskawiczne i niespodziewane rozprzestrzenianie się skłoniło cały chrześcijański Zachód do szukania przyczyn zarazy zarówno w zbiegu zjawisk naturalnych, jak i w związkach rodzaju ludzkiego z Bogiem, wszechświatem i historią. Świadczenia tego rodzaju potrzeb – liczne ówczesne pseudonaukowe traktaty – wiele zawdzięczają medycynie astrologicznej Albumasara, jak na przykład *Chirurgia magna* medyka na dworze papieskim Guy de Chauliaca czy *Tractatus de coniuntione Saturnis et Iovis Christi 1345* Leviego ben Gersona, który praktykował w Prowansji w charakterze medyka i filozofa.

Koniunkcja Marsa, Jowisza i Saturna stanowiła wszakże jedynie pierwszy z niezliczonych impulsów do refleksji, które odcisnęły piętno na pokoleniu uczonych nieumiejących wytłumaczyć powodów szerzenia się czarnej śmierci. W okresie cechującym się natężeniem działań homiletyków, nadmierną pobożnością, bogobożnością i wiarą w przesady pojawiły się bezspornie bystre i analityczne umysły próbujące racjonalnie wyjaśniać zachodzące zjawiska, jak choćby francuski medyk Pierre de Damousy, bolończyk Tommaso del Garbo czy Umbryjczyk Gentile da Foligno, który w swym *Paradigma del soffio pestifero* przedstawił tezę niezdrowego powietrza (*aer corruptus*), wydobywającego się i z głębin ziemi za sprawą wstrząsów, i z morza.

Dżuma mocno dotknęła całą Europę, ale niektóre miasta bardziej niż inne. Wśród tych najbardziej wyniszczonych epidemią była Ferrara. Według miejscowej historiografii w roku 1348 „odkryto zaraźliwą chorobę i miało to miejsce na początku marca [...], śmiertelność zaś była tak ogromna, że przeżyła zaledwie jedna czwarta ludności. Zawsze nieustraszony Lippo [Filippo Migliorati da Prato, ówczesny sędzia Sądu Dwunastu Mędrców] zapewnił wszelkie możliwe środki, następnie ogłosił wiele zarządzeń i wprowadził do Ferrary sporą ilość narodu, rozdając obcej szlachcie ziemię i budowle, opuszczone z powodu śmierci właścicieli, dzięki czemu Lippowi udało się w nader krótkim czasie z powrotem zaludnić miasto” (Alfonso Maestri, *Cronologia et istoria de capi, e giudici de Savii della città di Ferrara*, Ferrara 1683).

Epidemie stanowiły również potężny cios dla Reims. Na początku sierpnia

1348 roku, w czasie, gdy Paryż przyglądał się bezsilnie rozlewającej się dżumie, Pierre de Damousy opisuje epidemię ospy, która dotknęła to miasto na krótko przed falą morowego powietrza (według niego wywołaną gorącymi i wilgotnymi wiatrami z południa).

Podobnie jak w przypadku Ferrary, również zabudowę Reims starałem się odtworzyć zgodnie z zasadami prawdopodobieństwa, zwłaszcza jeśli chodzi o obszar starego rynku w pobliżu katedry. Z równą starannością próbowałem wiarygodnie przedstawić – zwłaszcza pod względem społecznym i ekonomicznym – Awinion. Autentyczne w mojej opowieści są sposoby ściągania podatków i liczby dotyczące danin dla Kamery Apostolskiej.

Wiele osób, które pojawiają się w fabule – tu przede wszystkim muszę wymienić Bertranda du Pougeta – istniało naprawdę. Naturalnie skorzystałem z przysługującego twórcom prawa do kreowania fikcji, gdy chodzi o szkicowanie cech charakteru moich postaci, takich jak Obizzo III d'Este, biskup Guido di Baisio czy opat Andrea, nie wymyśliłem jednak daty śmierci Lippy Ariosti. Jak podają historiografowie Ludovico Antonio Muratori i Antonio Frizzi, zmarła ona na tajemniczą chorobę 27 listopada 1347 roku, po poślubieniu w chwili śmierci markiza Obizza, i została pochowana w kościele Świętego Franciszka. Bardziej ulotna jest postać Elisy (albo Alisy) d'Este, gdyż tworząc ją, zapragnąłem się zabawić i połączyłem tę postać z fikcyjną Sapią. W 1325 roku mężem Elisy d'Este został Rinaldo „Passerin” de' Bonacossi (albo Bonacolsi). Szlachcianka ta nie miała dzieci i prawdopodobnie zmarła cztery lata po swoim ślubie.

Pozostaje jeszcze kilka wyjaśnień na temat *Lapis exilii* – kamienia znanego po części z udokumentowanej legendy, a po części stanowiącego wytwór mojej interpretacji tego przekazu. Po raz pierwszy natrafiłem na jego nazwę w eposie *Parzival* niemieckiego autora Wolframa von Eschenbacha (XIII w.). Nawiązując do literackiego cyklu o Świętym Graalu, wspomina on o pewnym tajemniczym kamieniu zwanym *Lapsit exillis*, który miał mieć ezoteryczno-chrystologiczny związek z zagadkowymi słowami *Lapsit elixir* albo *Lapis exilii*. W tekście Wolframa jest ponadto mowa o tajemniczej dokumentacji na temat Graala, prowadzącej do Toledo, słynnego ośrodka kultury arabskiej i hebrajskiej, z której wywodzi się prawdopodobnie legendarna księga Flegetanisa. Kierując się instynktem i podpowiedzią, nie mogłem się oprzeć pokusie i połączyłem tę tradycję z *Merlinem* francuskiego poety Roberta de Borona (współczesnego Wolframowi). Zgodnie z jego fascynującą opowieścią Okrągły Stół (zbudowany przez ojca Artura według wskazówek Merlina) miał przypominać stół z ostatniej wieczerzy, odtworzony po raz pierwszy przez syna Józefa z Arymatei i znany jako Stół Graala.

A wtedy nie potrafiłem już rozróżnić historii, legendy i tradycji literackiej, więc dałem się ponieść fantazji.

¹ Fragment *Dies irae* – mszy św. za zmarłych w przekładzie Leopolda Staffa.

² *Cingulum militiae* – pas rycerski – był przywilejem i znakiem rozpoznawczym tego, kto prawem urodzenia należał do stanu rycerskiego.

³ List do Efezjan 6,14: „Stańcie więc [do walki] przepasawszy biodra wasze prawdą i oblóknijcie pancerz, którym jest sprawiedliwość” (cytaty z Biblii za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, w przekł. z języków oryginalnych, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Pallottinum, Warszawa–Poznań 2000).

⁴ W prowansalskim *donzel* to młodzieniec szlacheckiego rodu, który przygotowuje się do zostania rycerzem.

⁵ *Hortus simplicium* była to strefa klasztoru przeznaczona na uprawę ziół leczniczych.

⁶ *Cioppa* – długa szata, noszona od XII do XIV wieku przez notariuszy i adwokatów.

⁷ *Vita Merlini* (*Żywot Merlina*) – dzieło Godfryda z Monmouth, walijskiego duchownego i kronikarza z XII wieku (przyp. tłum.).

⁸ W letnie noce gwiazdy Altair (z gwiazdozbioru Orła), Deneb (z gwiazdozbioru Łabędzia) i Wega (z gwiazdozbioru Lutni, dawniej zwana Pikującym Orłem) tworzą asteryzm zwany Trójkątem Letnim.

⁹ W dzielnicy *cloître Notre-Dame*, oprócz katedry, znajdowała się szkoła katedralna, pałac biskupi i domy kanoników.

¹⁰ Po Soborze Trydenckim liturgiczna czerń obowiązująca w Adwencie ustąpiła miejsca fioletovi.

¹¹ Według medycyny świata antycznego zaburzenia zdrowotne wynikają ze złego mieszania się (dyskrazji) czterech humorów wewnętrznych ludzkiego ciała: krwi, flegmy, żółci i czarnej żółci.

¹² Kulisty lub owalny ażurowy wisior, najczęściej złoty bądź srebrny, w którym umieszczano pachnące substancje, takie jak ambra, kadzidło, mirra i benzoina. Używano go w celach kosmetycznych, a także dla ochrony przed zarażeniem dżumą i innymi chorobami.

¹³ Apokalipsa św. Jana 8,5.

¹⁴ Teriak – albo „lek na wszystko” – była to mieszanka substancji obojętnych, pochodnych opium, wyciągu ze żmii i sproszkowanej ropuchy. Już w czasach Galena można go było dostać w pastylkach (kołaczyki).

¹⁵ „Żyzna ziemia wydała mnie czarną na świat ze swego ciała” (*Aenigmata Aldhelmi*, XCVII [Nox]).

¹⁶ Wysuszonym pąkom kwiatowym drzewa goździkowego przypisywano tak wielką moc uzdrawiającą, że ich jedna garść warta była pół wołu.

¹⁷ Avernus (dziś Lago d’Averno) – jezioro, które według mitologii greckiej, a potem rzymskiej, stanowiło wejście do świata podziemnego; piekło (przyp.

tłum.).

¹⁸ Apokalipsa św. Jana 18,21.

¹⁹ Według jednostek miar przyjętych w średniowieczu pręt miał długość od dziesięciu do dwunastu stóp. Jedna stopa odpowiadała mniej więcej trzydziestu centymetrom.

²⁰ „Wstęp łatwy do Awerna domu / Dniem i nocą bram Dita nie bronią nikomu / Ale wrócić na górny świat spod jego pował / W tym trud cały” (Wergilusz, *Eneida*, ks. VI, przeł. Tadeusz Karyłowski).

